

LAURA LIPPMAN

## Wyroki życia

Przekład AGNIESZKA WESELI

Tytuł oryginału Life Sentences



*Pełnej miłości pamięci Jamesa Crumley'a, 1939-2008.*

*Daję słowo, było zabawnie.*

*Niczym wrota Hadesu jest mi nienawistny ów  
człowiek, który jedną rzecz ma w myśli ukrytą, a inną znów  
mówi.*

Homer *Iliada*\*<sup>1</sup>

---

<sup>1</sup> Homer *Iliada*, przeł. Ignacy Wieniewski, Kraków 1984, księga 9, 312-313.

# Rozdział 1

– Cóż – powiedziała kierowniczką księgarni. – Dziś walentynki.

Nie jest tak źle, zamierzała Cassandra odpowiedzieć w swojej obronie, ale nie chciała wyjść na zirytowaną. Musi się uśmiechać, być urocza i skromna. Będzie się zachwycać: jaka cudownie intymna atmosfera, okazja do rozmowy, prawdziwej wymiany myśli z czytelnikami, a nie zwykle paplanie o sobie. Poza tym nie było tragicznie: trzydzieści osób w lutowy wieczór na przedmieściach San Francisco. W walentynki. Większość znanych jej pisarzy zabiłaby za trzydzieści osób w takich okolicznościach. W każdych okolicznościach.

Bez sensu też przypominać kierownicze – Beth, Betsy, Bitsy, och, imię wyleciało jej z głowy, ostatnio miała coraz bardziej dziurawą pamięć, – że tego samego dnia cztery lata wcześniej do tej samej księgarni na spotkanie z Cassandrą przyszło niemal dwieście osób. To byłaby sugestia, że dziś ktoś zawinił, a przecież Cassandra Fallows nie wierzy w winę. Słynie z tego, a raczej – słynęła.

Wzięła się w garść – to też jej specjalność. W pięć minut odświeżyła się w biurze kierowniczką, przeczesała włosy i umalowała usta. Włosy, w dzieciństwie najgorsza zma Cassandra, teraz stały się jej największym skarbem: lśniące i srebrne. Za to wargi wydawały się węższe. Poprawiła kolczyki i wygładziła spódnice, przypominając sobie, że ogólnie rzecz biorąc, dobrze jej się wiedzie. Ma pracę, którą kocha, jest zdrowa. Szczęściara ze mnie. Prawdziwa szczęściara. Mogłaby nie napisać już ani słowa i mimo to żyć całkiem wygodnie. Pierwsze dwie książki były jak lokata w banku, pewniejsza niż jakakolwiek inwestycja.

Trzecia książka... Cóż, była niekochanym, nieudanym dzieckiem, które teraz trzeba wychwalać.

Stała za pulpitem i zaczęła swoją opowieść, wyćwiczoną i gładką – powtarzała ją przez dziesięć dni spotkań z czytelnikami w całym kraju. „Naprzeciwko domu, w którym dorastałam, był szpital dziecięcy”. Na widowni siedziały głównie kobiety po czterdziestce. Wcześniej przychodziło więcej mężczyzn, oczywiście dlatego, że pamiętniki – zwłaszcza drugi tom – obfitowały w szczegóły na temat jej rozwiązłości, zdrowego seksualnego apetytu, który tuż po czterdziestce na krótko wymknął się spod kontroli. „Leczono w nim przewlekłe chore dzieci; w szczególnie ciężkich przypadkach przebywały tam przez całe miesiące, a nawet lata”. Czy to prawda? Nie zrobiła aż tak dokładnego wywiadu w Kernan. Pracownicy szpitala płoszyli się i nie chcieli rozmawiać: nie wierzyli, że autorka słynnych pamiętników poradzi sobie z powieścią. Postanowiła więc pójść na całość i zaszaleć, pozwolić sobie na

swobodę powieściopisarza. Darowała sobie sprawdzanie faktów, tygodnie w bibliotekach, rozmowy z rodziną i przyjaciółmi. Właśnie to nadawało jej wspomnieniom jednolity kształt i wiarygodność. Po raz pierwszy w życiu – wbrew temu, co twierdził jej drugi mąż – wszystko sobie wymyśliła. „Książka – na wypadek gdyby tytuł nie mówił tego dość jasno – jest hołdem dla *Tajemniczego ogrodu*; akcja dzieje się w latach osiemdziesiątych, ponieważ wtedy odnalezienie biologicznych rodziców było jeszcze czymś niezwykle trudnym, niemal tabu, które zaczęło słabnąć w latach dziewięćdziesiątych, a dziś, w miarę jak biologiczni rodzice zdobywają coraz większe prawa, stało się wręcz niemożliwe”. Nie przyszło jej do głowy, że świat, tak jak pracownicy szpitala, może niechętnie przyjąć ją w nowej roli. „Fabuła jest całkowicie fikcyjna, chociaż rozgrywa się w rzeczywistym miejscu”.

Przeczytała swój ulubiony fragment. Widownia śmiała się w dziwnych miejscach.

Czas na pytania z sali. Cassandrze nigdy nie przeszkadzała przewidywalność pytań, nie złościło jej, że ludzie w kółko pytają o to samo. Nie przejmowała się nawet, kiedy mówili o jej ojcu, matce, drugiej żonie ojca, eks-mężach, jakby to były postaci z powieści, fikcyjne twory, które można osądzać i analizować do woli. Teraz za to, kiedy publiczność zaczęła doszukiwać się prawdziwych osób w jej trzeciej książce, poczuła niepokój. Czy ona to Hannah, czujna, ostrożna dziewczynka, która niechcący rozpoczyna ciąg tragicznych wydarzeń? A może jest Woodrowem, chłopcem w gorsecie ortopedycznym? Czy jej rodzice posłużyli za wzór powieściowych? Przecież wydawali się tak różni, biorąc pod uwagę wcześniejszy historyczny zapis, jaki stworzyła. A pożar? Czy rzeczywiście był pożar? A wypadek w basenie, pustym, bo rodzina nie miała pieniędzy, żeby go naprawić?

– Czy pani ojciec naprawdę jeździł fioletową taksówką maraton? – chciał wiedzieć jeden z nielicznych mężczyzn na widowni, na oko co najmniej sześćdziesięcioletek. Emeryt, który z nudów łązi wszędzie za żoną. – Pytam, bo mój ojciec miał starego desoto i...

No jasne, pomyślała, uśmiechając się jednak i kiwając głową. Obchodzą cię tylko te szczegóły, które możesz jakoś skojarzyć z własnym życiem. Ja opowiedziałam swoją historię, napisałam dwieście pięćdziesiąt tysięcy słów. Twoja kolej. Ale nawet teraz nie była zirytowana. Widownia powinna dołożyć coś od siebie. Jeśli pisarzowi udało się poruszyć wyobraźnię czytelników, oni musieli mieć swój wkład, to część kontraktu, zwłaszcza w przypadku autorki wspomnień, którą była i najwyraźniej pozostała w ich oczach, przynajmniej na razie. Opowiadając swoją historię, zachęcała innych, żeby zrobili to samo. Skoro zwierzenia tak dobrze zrobiły jej duszy, jak mogłaby odmawiać tego komukolwiek?

– Ostatnie pytanie – powiedziała kierowniczką, wskazując na kobietę w głębi sali. Miała czerwony płaszcz przeciwdeszczowy, lśniący od wilgoci, i bezkształtny zgniłozielony kapelusz, przywiązany pod brodą rzemykiem.

– Jak mogła pani to napisać?

Cassandrze – jak rzadko kiedy – zabrakło słów.

– Nie wiem, czy dobrze zrozumiałam – zaczęła. – Pyta pani, jak się pisze powieść o ludziach, którzy nie są mną? Czy jak to się robi, że zostaje wydana?

– Nie, chodzi mi o tamte książki. Miała pani pozwolenie, żeby je napisać?

– Pozwolenie, żeby pisać o własnym życiu?

– To nie tylko pani życie. Również pani rodziców, drugiej żony ojca, przyjaciół. Czy dała im to pani najpierw do przeczytania?

– Nie. Ale wiedzieli, co robię. I sprawdziłam tyle faktów, ile mogłam. Wiele razy wspominałam, że moja pamięć jest zawodna. Właściwie ten temat wciąż powraca.

Kobieta nie wyglądała na usatysfakcjonowaną. Kiedy pozostali tłoczyli się w kolejce po autografy, ruszyła sztywnym krokiem do kas. Cassandra z przyjemnością wyrzuciłaby ją z myśli jako filisterkę, mącicielkę, rozdrażnioną, bo nie ma nic lepszego do roboty w walentynki. Niosła jednak imponujący stos książek, choć Cassandra nie widziała wśród nich grzbietu swojej powieści. Ta kobieta była jak zła wróżka na chrzcinach królowej. „Jak mogła pani to napisać?” Zwyczajnie, bo jestem pisarką.

Stojąca przy końcu kolejki kobieta – trzydzieści osób w walentynki, w deszczowy i zimny wieczór to naprawdę sukces – podała jej podniszczony egzemplarz pamiętników w miękkiej oprawie.

– Autografy tylko na książkach zakupionych na miejscu – odezwała się kierowniczką. Cassandra nie mogła mieć pretensji. W dzisiejszych czasach niełatwo prowadzić księgarnię, nawet kiedy ludzie nie przynoszą do podpisu własnych egzemplarzy.

– Nic się nie stanie, jeśli podpiszę tylko tę jedną – załagodziła Cassandra; dziecko rozwiedzionych rodziców, wieczny negocjator.

– Nie stać mnie na wydania w twardych okładkach – przepraszała kobieta. Była jedną z niewielu młodych kobiet, które dziś przyszły. Ładna, choć jej strój i nieśmiałość wskazywały, że jeszcze nie zdaje sobie z tego sprawy.

Cassandra знаła ten typ. Sama kiedyś taka była. „Sypiasz z wieloma facetami? – miała ochotę zapytać. Obzerasz się? Pijesz, ćpasz? Problemy z tatusiem?”

– Dla...? – Pióro zawisło nad stroną tytułową. Cassandra zastanawiała się, jak to możliwe, że tak źle wydana książka znalazła aż tylu czytelników. Odetchnęła z ulgą, kiedy

wydawca zdecydował się na dodruk z nową okładką, pytaniami dla grup dyskusyjnych na końcu, notą z wyjaśnieniem, jak to się stało, że Cassandra w ogóle ją napisała, i aktualizacją najważniejszych informacji. Konieczność opowiedzenia w tym nowym epilogu o śmierci Annie okazała się niespodziewanie bolesna. Cassandra sama była zaskoczona, jak bardzo brakuje jej drugiej żony ojca.

– Nie musi pani pisać nic specjalnego.

– Napiszę, co pani chce.

Młoda kobieta wydawała się oszołomiona taką hojnością. Jej oczy zamglily się i zaczęła stękać:

– Och... no... więc, dla Cathleen. Przez „c”. Ja... ta książka jest dla mnie bardzo ważna. To jak moja historia.

Zawsze ciężko słuchać takich wyznań, chociaż Cassandra rozumiała, że to wzruszenie jest komplementem, najgłębszą istotą jej sukcesu. Mogłaby zaprotestować, podkreślać oryginalność swojej biografii, zaprzeczać jej uniwersalności, która pociągała tak wielu czytelników – albo po prostu liczyć wpływy na konto i powtarzać sobie, wzruszając ramionami: Kij ci w oko, panie Tołstoj. Wychodzi na to, że wszystkie nieszczęśliwe rodziny są takie same.

„Dla Cathleen – napisała między tytułem, *Córka swojego ojca*, a własnym imieniem. Znajdź swoją historię i ją opowiedz”.

– Ma pani piękny podpis – stwierdziła Cathleen. – W ogóle na żywo jest pani bardzo ładna.

Zarumieniła się, kiedy dotarło do niej, co powiedziała. Nie pierwsza zresztą. Twarz Cassandry, która patrzyła ze zdjęcia na okładce, była surowa, nieco chłodna. Mężczyźni często na to narzekali.

– Ty też jesteś ładna na żywo – odezwała się, ratując dziewczynę jej słowami. – I nie zdziwiłabym się, gdybyś miała gdzieś w zanadrzu gotową historię. Powinnaś ją opowiedzieć.

– No cóż, próbuję – przyznała się Cathleen.

Oczywiście.

– Powodzenia.

Kiedy kolejka się rozeszła, Cassandra zwróciła się do kierowniczk:

– Chce pani, żebym podpisała książki, które są w sklepie?

– Och. – Kierowniczka była zaskoczona, zupełnie jakby nikt nigdy wcześniej tego nie proponował, jakby Cassandra właśnie zrewolucjonizowała księgarstwo. – Bardzo chętnie. Oczywiście nie wszystkie. Nie śmiałabym nawet prosić. Może ten stosik?

Betsy/Beth/Bitsy wiedziała, tak samo jak Cassandra, że nawet ten stosik – może jedna piąta wszystkich egzemplarzy w sklepie – będzie do zwrotu, mimo podpisu autorki. O tylu rzeczach się nie mówi, tyle niewygodnych prawd trzeba obejść na palcach. Jakbym nadal była dzieckiem. Wciąż to samo. Książka zajmowała dwudzieste trzecie miejsce na dłuższej liście „New York Timesa” i w miarę trwania trasy promocyjnej zyskiwała trochę większą popularność. *Malowany ogród* był – niemal pod każdym względem – udaną powieścią. Nie zyskał tylko przychylnych recenzji. Prawie wszystkie utrzymane w tonie troski i żalu, brzmiały jak głosy kolegium lekarzy, którzy zebrali się nad łóżkiem Cassandry, żeby wydać ostateczny wyrok: „To, że ktoś napisze dwa tomy słynnych wspomnień, nie znaczy, że da sobie radę z powieścią”. Chyba łatwiej znieść ciosy i otwartą wrogość.

Mimo to *Malowany ogród* sprzedawał się, choć nie w tempie, jakie przewidywał nowy wydawca, który zapłacił zawrotną sumę, żeby odebrać Cassandrę swojemu poprzednikowi. Teraz wydawca już zaczął napomykać, że – chociaż uwielbia, po prostu uwielbia jej powieść – byłoby... cóż, całkiem zabawnie, gdyby wróciła do pisania o faktach. Zabawnie? Oczywiście, zbliżając się do pięćdziesiątki – „Ale skąd, nie wyglądasz na swoje lata!” – miała przed sobą jakieś dziesięć lat, które może przeznaczyć na odkrywanie życia, kolejne dziesięć lat doświadczeń. Opisała już, jak to jest być czyjąś córką. I czyjąś żoną. Nawet dwukrotnie. Czy nie powinna wreszcie napisać książki o sobie?

Nie umiała jej sobie wyobrazić. Powieść poskładała ze ścinków własnego życia, niewykorzystanych wcześniej resztek, zszywając je fantazją z czułymi wspomnieniami *Tajemniczego ogrodu* (dziewczynka zapuszczająca się w zakazane miejsce, chłopiec przykuty do łóżka – dlaczego wciąż musiała wyjaśniać te nawiązania?). Do pewnego stopnia pochlebiało jej, że czytelnicy chcą Cassandry Fallows, nie jej fantazji. Problem w tym, że skończyło jej się życie.

W hotelu zamówiła kolację do pokoju. Nie mogła zdecydować, na co ma ochotę. Restauracja hotelowa była całkiem niezła, ale Cassandra wołała nie zapuszczać się tam w wieczór zastrzeżony dla kochanków. Nawet w najbardziej korzystnych okolicznościach nie przykładła wagi do tego święta. Nie umiał sobie z nim poradzić żaden z mężczyzn, których знаła, włącznie z ojcem. Kiedy była mała, oddałaby wszystko za bombonierkę, choćby pudełeczko z czterema czekoladkami od Whitmana, albo jedną, jedyną różę. Zamiast tego mogła się spodziewać szablonowej kartki z drogerii Windsor Hills, a matka dostawała zwykle zestaw płynów do kąpieli i mleczek, zakurzony i przeceniony, bo leżał w sklepie od

Gwiazdki. Ojciec tłumaczył, że urodziny matki – (dwudziestego drugiego lutego; dzieliła je z Jerzym Waszyngtonem) – wypadły tuż po walentynkach, więc nie może świętować obu okazji. Tylko, że urodziny zawałał tak samo. Torty dla matki, gotowe, ozdobione wisienkami, kupował zazwyczaj w supermarkecie, wracając z uniwersytetu. Trudno uwierzyć, że ten sam mężczyzna uwodził ją sonetami i nocnymi przejażdżkami po swoim rodzinnym Waszyngtonie, pokazując pomniki i historyczne pamiątki, o których większość ludzi nie miała pojęcia. I że to właśnie on deklamował *Lenorę* Poego – „Płacz, Guy de Vere! (czyż brak ci łez?)”<sup>2</sup> – w hołdzie dla jej imienia.

Jednak pewnego roku – Cassandra skończyła wtedy dziesięć lat – ojciec urządził wielkie walentynkowe przedstawienie. Kupił jej i matce perfumy w centrum handlowym, jednej Chanel No. 5, drugiej Kwiat Lili, i zabrał je na obiad do Tio Pepe, gdzie pozwolił Cassandrze napić się sangrii. Wtedy pierwszy raz spróbowała alkoholu. Nie minęło pięć miesięcy, a – o czym wiedziało już teraz kilka milionów czytelników – porzucił żonę. Porzucił je obie, chociaż, zgodnie z odwieczną uświęconą tradycją wszystkich ulatniających się rodziców, zawsze zaprzeczał, jakoby zostawił Cassandrę.

Trzeba jednak mu przyznać, że zachował się wspaniale, jeśli chodzi o pierwszą książkę Cassandry. Przeczytał ją w wersji roboczej i zażądał tylko jednej drobnej zmiany, a i to z myślą o uczuciach matki. „Pewnego razu usprawiedliwiał się, twierdząc, że nigdy jej nie kochał, że ożenił się tylko dlatego, że uczony, jakim chciał być, nie może sobie pozwolić na trwonienie energii”. Cassandra zgodziła się wykreślić te słowa, choć podejrzewała, że jest w nich więcej prawdy niż w większości wypowiedzi ojca. Wychwalał książkę, kiedy miała przeciętne powodzenie wśród krytyków, i cieszył się każdą chwilą sukcesu, gdy stała się księgarskim przebojem i doczekała wydania w miękkiej okładce. Z entuzjazmem myślał o filmie, którego produkcja wciąż się odwlekała. Za każdym razem, kiedy kolejny aktor w średnim wieku popadał w konflikt z prawem, posyłał Cassandrze jego zdjęcie z aresztu jako załącznik do e-maila, z radosnym dopiskiem: „Prawie, prawie tak zasuszony, że może mnie zagrać!” Zgadzał się udzielać wywiadów do programów, których była bohaterką, ale nigdy nie próbował wejść na pierwszy plan, nie starał się zrobić wrażenia, że jest kimś więcej niż ojcem Cassandry Fallows.

Matka, przeciwnie, zazwyczaj miała na zaciśniętych ustach wyraz milczącej dezaprobaty, niezależnie od tego, ile razy Cassandra przypominała ludziom o jej zaletach.

---

<sup>2</sup> Edgar Allan Poe *Lenora*, przeł. Roman Klewin.



Wszyscy kochają łobuza. Wraz z nadejściem kwietnia ojciec znów znajdzie się w centrum uwagi i Cassandra nic nie mogła na to poradzić.

Westchnęła, myśląc o nieuniknionej podróży do Baltimore tuż po zakończeniu trasy promocyjnej, o tym, jak trudno dzielić czas między dwa domy, o trosce i uwadze, jakich wymaga matka, gdy ojciec staje w pełnym świetle reflektorów. Czy ośmieli się zatrzymać w hotelu? Nie, będzie musiała wrócić do domu przy Hillhouse Lane. Może uda jej się wreszcie przekonać matkę, żeby go sprzedała. Fizycznie wciąż doskonale dawała sobie radę, ale to mogło się bardzo szybko zmienić. Cassandra obserwowała siedemdziesięcio – i osiemdziesięcioletnich rodziców, którymi opiekowali się jej przyjaciele, i to, jak marnieli, zarazem stopniowo i gwałtownie. Nie powinna się wyprowadzać. Ale gdyby została, nigdy nie zaczęłaby pisać. W Baltimore wisiała nad nią przeszłość, dusząca, przygniatająca, wszechobecna. Potrzebowała dystansu, w znaczeniu dosłownym, żeby móc zobaczyć swoje życie dość wyraźnie, by je opisać.

Włączyła CNN. W podróży zawsze zostawiała telewizor włączony na całą noc, chociaż wrywał ją ze snu. Był jej jednak potrzebny, jak budzik, który przypomina szczeniakowi bicie serca matki. Dziwne: przecież odgłosy, jakie docierały do jej zacisznego szeregowca na Brooklynie – kroki, szum wody – nie różniły się od hotelowych. Po prostu hotel ją przerażał, pewnie przede wszystkim dlatego, że za wcześnie widziała *Psychozę* – kolejny przykład ojcowskiej zapobiegliwości Cedrica Fallowsa, który pozwolił siedmioletniej córce zapoznać się z *Psychozą*, *Bonnie i Clyde* dał jej oglądać, kiedy miała dziewięć lat, a *Ojca chrzestnego* jako czternastolatce. Skoro telewizor jest włączony, Cassandra prawdopodobnie nie śpi, więc nikt nie powinien jej zaatakować.

Wystawiła tacę z nakryciami z obiadu na korytarz i wśliznęła się pod kołdrę. Odpływała i budziła się; w tle nieustannie szemrał strumień wiadomości. Śniło jej się rodzinne miasto, dziwaczny dom na wzgórzu, ale dopiero około czwartej zdała sobie sprawę, że nazwa „Baltimore” powraca co dwadzieścia minut w kolejnych wydaniach wiadomości, powtarzana w kółko wśród najnowszych doniesień.

„...przypadek z Nowego Orleanu przypomina sprawę sprzed ponad dwudziestu lat, kiedy to Calliope Jenkins, mieszkanka Baltimore, podczas dochodzenia i procesu powoływała się na piątą poprawkę do konstytucji, odmawiając podania, gdzie przebywa jej dziecko. Siedem lat w więzieniu nie zachwiało jej milczącego uporu. Teraz tę niezwykle rzadką strategię stosuje ponownie...”

Niezwykle unikalna tautologia, pomyślała Cassandra, zapadając w sen. A skoro coś jest unikalne, nie można tego zastosować drugi raz. Zaraz potem nadeszła refleksja: Poza tym

nie wymawia się Kallajopi, tylko Kaliope, jak karaoke. Dlatego Tisha skróciła jej imię do Callie.

W następnej sekundzie Cassandra otworzyła oczy. Za późno, program zniknął. Musiała czekać dwadzieścia minut na kolejne wiadomości i migawkowe zdjęcie ponurej kobiety między dwoma zastępcami szeryfa. Nie, wciąż nie była pewna. Ale w końcu ile mieszkank Baltimore w określonym wieku może nosić takie imię? Czy to... czyżby... to musi być ona. Znała tę kobietę. A raczej dziewczynkę, która stała się tą kobietą i najwyraźniej zrobiła coś niesłychanie strasznego. I to dosłownie – kolejne określenie, którego nadużywają w wiadomościach. Milczeć przez siedem lat, niczego nie wyjaśnić, nie uciec się do wygodnego kłamstwa – ale dlaczego? Pasowało to do tamtej cichej dziewczynki sprzed lat, która robiła wszystko, byle nie zwrócić na siebie uwagi.

– To Calliope Jenkins. Dołącza do was w połowie roku – powiedziała nauczycielka w czwartej klasie.

– Calliope – odezwała się nowa uczennica cichym, niepewnym głosem, jakby nie miała prawa oczekiwać, że ktoś poprawnie wymówi jej imię.

Wysoka i koścista, ładna – ale chłopcy byli za młodzi, żeby to zauważyć, a na dziewczynkach jej uroda nie zrobiła wrażenia. Calliope należało sprawdzić, przesłuchać i wpisać w rolę, jaką przewidzieli dla niej uczniowie z klasy pani Bryson. Role główne – najmodniej ubrana, najlepsza tancerka, najfajniejsza koleżanka, prymuska: Cassandra – zostały rozdzielone już w trzeciej klasie, kiedy otwarto szkołę. Dziewczynki nie były okrutne, skąd. Ale gdyby Calliope za bardzo się panoszyła albo sięgnęła po rolę, na którą, ich zdaniem, nie zasługiwała, wpakowałyby się w kłopoty. Była nowa i to koleżanki decydowały o jej losie. Chłopcy próbowali ją zaszufłakować, nadać jej przezwisko – ale żaden ich pomysł nie pasował i ostatecznie się nie przyjął. Cassandra wyjaśniła, że Calliope nosi imię muzy, że ona sama też omal takiego nie dostała i że jest naprawdę eleganckie. Jednak to Tisha w zasadzie uratowała młode życie Calliope, kiedy nazwała ją „Callie”.

Na tym wspomnienia Cassandry się zaczynały i kończyły. Jak to możliwe? Po raz pierwszy poczuła odrobinę zrozumienia dla sąsiadów seryjnych morderców, którzy opowiadają te same banały o cichych, zamkniętych w sobie ludziach. Ktoś, kogo znała, kto pewnie był na jej urodzinach, popełnił straszliwą zbrodnię, a Cassandra mogła powiedzieć tylko tyle, że Calliope była... cicha. I zamknięta w sobie.

Za to Fatima musiała znać ją dobrze. Kiedyś mieszkała w pobliżu. Cassandra przypomniała sobie też zdjęcie zrobione na pikniku na zakończenie czwartej klasy. Dziewczynki stały w szeregu, oplatając się ramionami; Callie na końcu. Fotografia została

nawet opublikowana, wraz z kilkoma innymi, na frontyście<sup>3</sup> pierwszej książki Cassandry, lecz tylko jako świadectwo beztroskiej młodości: Cassandra uśmiechała się szeroko do aparatu, nieświadoma, że parę tygodni później ojciec odejdzie do innej kobiety, rozbijając rodzinę. Czy wspomniała w ogóle o Calliope? Bardzo wątpliwe. Callie po prostu nie była istotna, ani klasowa gwiazda, ani oferma. Tisha, Fatima, Donna – one stanowiły część opowieści. Cicha Callie się nie liczyła.

A jednak to ona w dorosłym życiu przeszła prawdziwy dramat. Martwe dziecko. Siedem lat w więzieniu. Siedem lat milczenia. Kim była? Jak z cichej Callie można się stać współczesną Medeą?

Cassandra zerknęła na zegarek. Dochodziła piąta, w Nowym Jorku nie ma jeszcze ósmej. Za wcześnie, żeby dzwonić do agenta, nie mówiąc o redaktorze. Narzuciła hotelowy szlafrok i podeszła do biurka, gdzie laptop czekał w trybie czuwania. Zaczęła pisać e-maila. Następna książka będzie głęboka, prawdziwa – o niej, ale też o czymś więcej. Znajdą się w niej wspomnienia Cassandry, na które wszyscy czekają, i całkiem nowa historia, kontrapunkt wobec przeszłości. Dotrze nie tylko do Callie, lecz do wszystkich dziewczynek, które pamięta z tamtych czasów: Tishy, Donny, Fatimy.

Uderzyły ją ich imiona: stosunkowo zwyczajne, przynajmniej w zapisie. Wyróżniała się tylko Tisha, której pełne imię brzmiało Leticia – może dlatego tak szybko pośpieszyła na ratunek Calliope, wymyślając przezwisko. Dzisiaj imię to demograficzna wizytówka, można z niego wyczytać wiek, status społeczny, rasę. Dawniej imiona nie znaczyły aż tak wiele. Zanotowała również tę refleksję. Jej myśli wybiegały już naprzód, do książki, którą napisze, a równocześnie pamięć cofała się wielkimi, chaotycznymi skokami do czwartej, dziewiątej, szóstej klasy. Cassandra wstrzymała oddech, kiedy potknęła się na głęboko pogrzebanym wspomnieniu, zamieszczonym w pierwszej książce. Co Tisha o tym pomyślała? Czy w ogóle czytała *Córkę swojego ojca*?

Główną postacią nowej książki będzie Callie. Na pewno zrobiła to, o co ją oskarżono. Zbrodnia w afekcie? Wypadek? Jak zdołała ukryć ciało, a później, w ciągu tylu lat w więzieniu, nie ujawnić swojej winy? Czy istnieje prawdopodobieństwo, że jej syn żyje? Może Callie kogoś chroni?

Cassandra spojrzała na ekran telewizora i twarz Callie, znów powracającą w programie informacyjnym. Znała medialny cykl wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, że za dzień lub dwa postać Calliope Jenkins zniknie, bo jest tylko wypełnieniem luki w aktualnych

---

<sup>3</sup> Frontyście – rysunek (lub fotografia) sąsiadujący ze stroną tytułową książki (przyp. red.).

wiadomościach, przypisem znalezionym na poczekaniu, żeby zastąpić niedostatek sensacyjnych nowin. Callie została zapomniana i znów będzie zapomniana. Jak jej dziecko, na zawsze porzucone w próżni; nieuznane oficjalnie za martwe ani za zaginione, było po prostu brakiem w spisie, jak towar zapodziały w magazynie. Afroamerykański chłopczyk przepadł, rozpląnął się bez wyjaśnienia, ale nikt specjalnie się nie przejął. Jego matka, niemal na pewno winna, pokonała wymiar sprawiedliwości upartym milczeniem.

Dobre, powiedziała sobie Cassandra, zapisując także tę myśl.

## Pierwsze słowa

Miałam niemal trzy lata, a jeszcze nie mówiłam. Odezwałam się tylko dlatego, że matka omal mnie nie zabiła. Omal nie zabiła nas obu, ale ona miała ten luksus, że mogła wybierać. Ja po prostu zostałam zabrana na przejażdżkę.

Matka nie przejmowała się moją niemotą. Zamartwiał się za to ojciec, wykładowca literatury klasycznej na Uniwersytecie Hopkinsa. Perspektywa posiadania dziecka, które nie mówi – prawdopodobnie niedorozwiniętego umysłowo – przerażała go tak bardzo, że nie pozwalał matce iść ze mną do specjalisty. Znał siebie dość dobrze i wiedział, że niepomysłna diagnoza może zachwiać jego uczuciem do mnie. Wierzył w bezwarunkową miłość, ale tylko pod pewnymi warunkami.

Poza tym miał powody przypuszczać, że milczę z własnych, niewyjaśnionych przyczyn. Wcześniej zaczęłam chodzić, a pozostałe milowe kroki w rozwoju czyniłam we właściwym czasie. Nie byłam też niema. Mój słownik składał się z trzech słów: „tak”, „nie” i „Ric” – to skrót od Cedric, imienia ojca. Nie jestem pewna, dlaczego nie miałam żadnego określenia dla matki. Może imię „Lenora” było zbyt trudne dla dziecka. Bardziej prawdopodobne jednak, że nie uważałam jej za odrębną jednostkę, a raczej za większą mnie, za część zdolną odłączyć się, żeby zaspokoić moje potrzeby. W obecności matki nie potrzebowałam nawet swoich trzech marnych słówek. Wystarczyło pokazać palcem i chrząknąć, żeby wiedziała, czego chcę. „Powinniśmy ją nazwać Kalibanem, nie Cassandra”, stwierdził kiedyś ojciec.

Tylko miesiąc dzielił mnie od trzecich urodzin, a ja wciąż się nie odezwałam. Pamiętam, że padał wtedy śnieg – w Baltimore często są wiosenne zamiecie. Tamtego dnia, we czwartek – nie potrafiłam oczywiście odróżnić dni, po prostu wiele lat później

przejrzałam gazety z całego tygodnia – moja matka wybrała się po sprawunki, jak się wtedy mówiło, do starego sklepu Eddiego przy Roland Avenue.

Zaczęło sypać, zanim wyszła z domu, ale spiker w radiu upierał się, że opady nie będą duże. W ciągu pół godziny – tyle spędziła w sklepie – śnieg zmienił się w deszcz, a deszcz w marznącą mżawkę. Matka wyjechała z parkingu w zupełnie inny, groźny świat, w którym kierowcy tracili panowanie nad samochodami, a te wirowały po całej Roland Avenue. Matka uznała, że główne ulice będą bezpieczniejsze, i postanowiła wrócić okrężną drogą. Zapomniała jednak, że szeroka i wygodna Northern Parkway jest stroma jak tor kolejki górskiej. Szybko zrozumiała swój błąd: jej auto ześliznęło się gwałtownie w lewo, ale nie mogła już się cofnąć. Miała przed sobą lśniąca od lodu zjeżdżalnię, a w dole skrzyżowanie ze światłami, przed którymi za nic nie zdoła się zatrzymać. Co robić?

Moja pragmatyczna, ostrożna matka wyłączyła silnik i zdjęła stopę z hamulca. Turkusowo-brązowy kombi runął w dół jak tobogan. Zaczęłam turlać się wśród toreb z zakupami, ani na chwilę nie tracąc pogody ducha. Samochód przyspieszał. Sunął szybciej, niż matka się spodziewała, jednak za wolno, żeby przejechać przez skrzyżowanie, zanim światło zmieni się na czerwone. Zacisnęła powieki, chwyciła kierownicę wyprostowanymi rękami i modliła się.

Kiedy otworzyła oczy, nasz kombi stał już w ogródku jednego z domów przy Northern Parkway, a zamarzające w powietrzu krople wody z wyrwanego hydrantu spadały na karoserię jak kamyki. Opis tego ostatniego szczegółu może być jednak dodatkiem ojca, który w kółko powtarzał tę historię. Rozważna Lenora, zawsze poprawna Lenora – zjeżdżająca na łeb, na szyję ze wzgórza, ze swoim jedynym dzieckiem na tylnym siedzeniu. Matka z trudem zdołała opowiedzieć o tym jeden, jedyny raz.

Wieczorem, przy kolacji – dla matki minęły całe dekady – po tym, jak pojawiła się policja, odholowano nasz samochód, a straż pożarna zabrała nas i zakupy do domu, stłukło się tylko jedno jajko, ojciec zdawał długą, jak zwykle, relację z dnia spędzonego w *akademei* – tak właśnie nazywał uczelnię. Cytował czyjeś wypowiedzi i własne riposty, czyli „waleczne sztychy”, aluzja do hymnu stanu Maryland. Kiedy skończył, zapytał jak co dzień: „A jakie wieści z domowego frontu?”

I na to – podobno – wreszcie się odezwałam. Co prawda w niezrozumiałym języku, ale za to z wyrazistą gestykulacją: machałam jak szalona tłustymi łapkami, chcąc oddać pęd samochodu, stukałam się w głowę, żeby pokazać, jakie hełmy nosili panowie w mundurach, którzy przybyli nam na ratunek. Całkiem dobrze naśladowałam nawet syrenę. W ciągu dwudziestu czterech godzin pojawiły się słowa, jak gotowy zestaw zębów.

– I od tego dnia – podsumowywał zawsze mój ojciec – od tego dnia... – uwielbiał powtórzeniami podkreślać znaczenie swoich słów... – od tego dnia nikt już nie mógł zamknąć ci buzi.

Z książki *Córka swojego ojca* Cassandry Fallows z 1998 roku, obecnie wydanej po raz dziewiętnasty.

# **Bridgeville**

20-23 lutego

## Rozdział 2

Cassandra Fallows? Kto ją przysłał?

Gloria Bustamante zerknęła na kartkę ze staroświeckiego różowego bloczka, drżącą w dłoni jej tymczasowej pracownicy. Od rana dziewczyna została już trzy razy objechana i teraz trzęsa się z nerwów, objęła o meble, wszystko upuszczała i podskakiwała z piskiem na dzwonek telefonu. Nie wytrzyma nawet tygodnia. A zapowiadał się gorączkowy tydzień, telefony już urywały się w związku ze sprawą Buddy'ego Harringtona. Szkoda. Dziewczyna była bardzo dekoracyjna – ulubiony typ, choć nie z powodów, o jakie ją wszyscy podejrzewali.

Asystentka wbiła wzrok we własne notatki.

– To pisarka?

– Kochanie, nie wymawiaj zdania twierdzącego jak pytania – powiedziała Gloria. – Nikt nie będzie cię brał poważnie. I domyślam się, że jest pisarką albo reporterką, skoro dzwoni w sprawie Buddy'ego Harringtona. Muszę wiedzieć, dla jakiej gazety albo stacji telewizyjnej pracuje.

W uszach Glorii jej ton brzmiał zupełnie neutralnie, ale dziewczyna skuliła się ze strachu. Ach, kiedy rejestrowała się w agencji pracy tymczasowej, na pewno spodziewała się, że zostanie skierowana do jednej z tych wyelegantowanych kuźni kariery tuż nad wodami Zatoki. Stając przed XIX-wiecznym szeregowcem, w którym mieściło się biuro Glorii, zmniejszyła swoje oczekiwania do staroświeckiej, lecz wciąż świetnej firmy, jaka czeka za lśniącoymi drzwiami. Rzeczywiście, dwa niższe piętra, z odnowionymi wnętrzami, witrażami w oknach i stylowym oświetleniem, wyglądały obiecująco.

Jednak Gloria wynajmowała pomieszczenia na trzecim piętrze, na które prowadziły ponure, wąskie schody, pokryte zakurzonym chodnikiem. U ich szczytu na gościa czekał szereg pokoi, zapchanych po sufit pudłami, tak że nie widać było ani skrawka ścian.

– Chcę, żeby potencjalny klient wiedział, że każdy cent z fortuny, którą każę mu płacić, idzie na jego obronę, a nie na zbędne ozdóbki – wyjaśniała Gloria nielicznym osobom spośród baltimorskiej palestry, które mogła nazwać swoimi przyjaciółmi. I nawet oni dodawali w myślach: Ani na twoje ubrania czy kosmetyczkę. Gloria Bustamante była bowiem bezwstydnie i celowo zaniedbana: słynęła jako flejtuch, chociaż na siebie wydawała więcej niż na biuro. Znoszone pantofle miała od Prady, poplamione zakiety od Saksa Jandela, a



wyszmelcowaną biżuterię przywoziła z drogich zagranicznych podróży. Chciała, żeby ludzie wiedzieli, że stać ją na kupowanie najlepszych rzeczy – i ich zniszczenie.

– N... nie, to nie dziennikarka – wyjąkała dziewczyna. – Napisała tę książkę... o ojcu? O ojcu. Omawiałam ją w klubie miłośników książek? To znaczy, omawiałam ją w klubie miłośników książek.

– Odkąd młode ładne dziewczyny chodzą do takich klubów? Myślałam, że to dobre dla starych, brzydkich ropuch jak ja. Chociaż ja też bym się nie zamknęła w pokoju z samymi kobietami, żeby pić wino i gadać o książkach. Ostatecznie mogę się napić.

Dziewczyna obrzuciła pomieszczenie spojrzeniem, jakby szukała bezpiecznej kryjówki. Najwyraźniej nie wiedziała, czy powinna zaprzeczyć nieuchronnej prawdzie o powierzchowności Glorii, czy udać, że jeszcze nie zauważyła jej zmarszczek i szpetoty.

– To był klub dla matek i córek – powiedziała wreszcie. – Chodziłam z mamą.

– Dziękuję za wyjaśnienie, kotku. Inaczej pomyślałabym, że chodziłaś tam ze swoją nastoletnią córką, którą, zgodnie ze wspaniałą lokalną tradycją, poczęłaś w szkole średniej.

Asystentka się cofnęła. Tchnęła z niej ta zapierająca dech w piersiach świeżość, jaką mają tylko dziewczyny przed dwudziestym piątym rokiem życia. Włosy, oczy, wargi, nawet paznokcie – wszystko lśniło bez śladu kosmetyków. Białka oczu przyciągały spojrzenie bardziej niż jasnyniebieskie tęczęwki, różowe uszy jak muszelki zachwycaly nie mniej niż okrągłe, brzoskwińowe policzki. Do tego miała chłopięcą figurę, rzadkość w czasach, w których nawet najszczuplejszym pannom wyrastają znienacka komicznie wielkie piersi. Gloria pamiętała sztuczki ze swojej młodości – choć sama się do nich nie zniżała: wypchane staniki, zwitki ligniny. Piersi wyglądały o wiele bardziej wiarygodnie niż te sterczące melony. Prawdziwe nigdy nie są takie okrągłe. Oby ta mała nie zaczęła majstrować przy tym, co dała jej natura.

– Wychowałam się w Ruxton? – wymamrotała asystentka.

Najwyraźniej uważała, że dziewczyny z eleganckich przedmieść nie rodzą dzieci w wieku dwunastu lat. Zdziwiłabyś się, kochanie, miała ochotę oświecić ją Gloria. Byłabyś w szoku, ile bogatych rodzin siedziało w moim gabinecie, zastanawiając się, co zrobić, bo jeden z przyjaciół tatusia – albo i sam tatuś – zabawił się z nieletnią córką. Tak też bywa. Nawet w Ruxton. W końcu Buddy Harrington wyrósł na przedmieściu nie tak daleko od Ruxton.

– Nie wątpię. A więc Cassandra Fallows chce napisać o Buddym Harringtonie? Pewnie specjalizuje się w kryminałach opartych na faktach i potrafi wydać książkę w ciągu miesiąca czy półtora. Będziemy ją omijać z daleka.

Buddy Harrington był oskarżony o dokonanie osiemdziesięciu procent morderstw, do których doszło w hrabstwie Baltimore od początku roku do końca lutego. Ogólna liczba morderstw na przedmieściach wynosiła pięć, niewiele w porównaniu z trzydziestoma zbrodniami na terenie miasta. Harrington miał odpowiadać za cztery zabójstwa: swojej matki, ojca i siostr bliźniaczek – wszyscy zostali zastrzeleni we śnie. Dwa tygodnie temu, w czwartkowy wieczór, szesnastolatek zadzwonił na policję, twierdząc, że znalazł ciała po powrocie z konkursu chórów w Ocean City. Harringtona aresztowano, zanim dzień dobiegł końca. Wciąż jeszcze się nie przyznał, choć naciskał, żeby Gloria pozwoliła mu opowiedzieć całą historię ze szczegółami. Powstrzymywała go właśnie ze względu na tę gorliwość. Buddy Harrington nie pasował bowiem do typowych opisów cichego, zamkniętego w sobie chłopaka, który pewnego dnia załamuje się i zaczyna zabijać. Przeciwnie: był wyróżniającym się uczniem i wybitnym sportowcem, pięknie śpiewał, cieszył się sympatią kolegów i uznaniem nauczycieli. Mieszkańcy przedmieścia zamarli ze zgrozy.

Gloria od czasu zatrzymania Buddy'ego spędziła z nim kilka godzin i już się otrząsnęła. Wiedziała też, że wszystkie zalety, które on uważa za swoją siłę – że jest przystojny i tak bardzo normalny – tylko go pogrążą. Nic nie przeraża ludzi bardziej niż miły amerykański chłopak, który okazuje się psychopatą. Póki nie doprowadzi do tego, by sądzone go jako nieletniego – o ile jej się uda – nie może pozwolić, żeby Buddy drażnił przyszłą ławę przysięgłych. A nie zasiądą na niej, naturalnie, jego rówieśnicy, lecz kilkanaście matek i ojców z klasy średniej, których wyprowadzi z równowagi jego pewność siebie i opanowanie. Zwłaszcza jeśli – witaj, O. J. Simpsonie!<sup>4</sup> – będzie się trzymał swojej wersji: „Pomóżcie mi znaleźć prawdziwego zabójcę”.

– Nie, nie chodzi o Buddy'ego. Chce panią spytać o jakąś starą sprawę? – Dziewczyna zmrużyła oczy, próbując odczytać własne pismo. – Coś o Kan-ta-lupie?

– Kanta... Calliope?- Gloria mogła sobie pozwolić na bałagan w papierach i ograniczyć kontakt z komputerem do minimum, bo w każdej chwili miała dostęp do wszystkich spraw ze swojej długiej praktyki. Jej pamięć była niezawodna. W rzadkich chwilach, kiedy ktoś poczuł się na tyle swobodnie w towarzystwie Glorii, żeby wspomnieć o jej nadzwyczajnym piciu, jedynie pamięć – jak twierdziła – wyrównywała szanse w starciu.

Ale Callie Jenkins i tak nigdy by nie zapomniała.

– Tak, właśnie. Calliope Jenks.

– Jenkins.

---

<sup>4</sup> O.J. Simpson – zawodnik futbolu amerykańskiego wielokrotnie oskarżany o przestępstwa karne i cywilne (przyp. red.).

– Zgadza się.

– A co dokładnie chce wiedzieć?

– Nie powiedziała?

– A pytałaś?

Wbity w ziemię wzrok dziewczyny mówił więcej niż słowa. Gloria sięgnęła przez biurko po kartkę, ale asystentka stała za daleko. Dziewczyna zbliżyła się z wahaniem, jakby Gloria mogła ją ugryźć, pozwoliła odebrać sobie notatki i natychmiast odskoczyła w tył.

– Numer spoza stanu – stwierdziła Gloria. – Chyba z Nowego Jorku, ale nie z miasta. Long Island, może Brooklyn. Nie orientuję się w tych nowych numerach.

Kiedyś wystarczył rzut oka i rozpoznawała kierunkowy. Znała także na pamięć nazwy stolic wszystkich stanów i była jedyną osobą na przyjęciu, która umiała wymieniść cały zestaw nazw lub nazwisk: siedmiu krasnoludków, dziewięciu sędziów Sądu Najwyższego, trzynastu pierwszych kolonii.

– Teraz jest w mieście – odparła dziewczyna zadowolona, że wreszcie coś wie. – Mówiła, że na krótko. To jej komórka. Ale jakiś czas spędzi w Baltimore.

Gloria zgniotła karteczkę i rzuciła do pełnego kosza, z którego różowa kulka wyturlała się na podłogę.

– Ale ona jest sławna! Znaczą, jak na pisarkę. Była u Oprah.

– Nie rozmawiam z ludźmi, jeśli nie mogą mi w niczym pomóc. Ta sprawa już dawno została zamknięta i lepiej o niej zapomnieć. Callie jest teraz zwykłą obywatelką i żyje swoim życiem. Przynajmniej tyle jej się należy.

Ale czy na pewno? – zastanowiła się Gloria, kiedy już odprawiła dziewczynę. Czy Calliope dostała to, co jej się należało, czy znacznie więcej? A Gloria? Czy dostała więcej, czy dokładnie tyle, ile powinna? Czy zrobiła dla Callie wszystko, co mogła w tamtych okolicznościach, czy ją zawiodła?

Gloria nie lubiła koncepcji winy, tak samo jak słowa „winny” wypowiedzianego przez przysięgłych – choć, oczywiście, nie słyszała go zbyt często. Wina jest marnotrawstwem, jak źle użyta energia. To wynalazek prawników, zależy od oceny innych. Gloria nie miała czasu czuć się winna, i była niemal pewna, że nie musi czuć się winna – nie w przypadku Callie Jenkins. Niemal.

Zadzwoiła do agencji pracy tymczasowej i zawiadomiła, że nie może zatrzymać asystentki.

– Przyślijcie inną. Tak samo ładną, tylko bardziej kompetentną.

– Nie wolno pani tak mówić – protestowała pracownica agencji.

– Pozwycie mnie – odparowała Gloria.

## Rozdział 3

– Dlaczego nie zatrzymasz się u mnie? – zapytała matka nie pierwszy raz. – Taki był plan.

– Owszem, kiedy miałam zostać w Baltimore tydzień. Ale dziesięć, dwanaście tygodni? Zwariowałabyś ze mną.

A ja z tobą.

– No tak, ale tyle czasu w hotelu... nie będziesz mogła gotować...

– To mieszkanie, wynajmują je na krótko pracownikom różnych firm. – Cassandra przewidziała kolejny zarzut. – Nie jest aż takie drogie.

– A swoje mieszkanie w Nowym Jorku wynajęłaś komuś?

– Nie.

– Więc przez trzy miesiące będziesz płaciła podwójny czynsz. I tutaj na pewno potrzebujesz samochodu.

– Mamo, mam swój samochód. Przyjechałam nim do ciebie, stoi na podjeździe.

– Naprawdę nie wiem, po co ci samochód w Nowym Jorku.

– Bo lubię to, że mogę w każdej chwili się wyrwać, odwiedzić przyjaciół za miastem albo wybrać się na... plażę – powiedziała ogólnie, ze strachu, że nazwa „Hampton” wywoła kolejną falę głośnych obaw.

Recenzje ostatniej książki Cassandry sprawiały przykrość matce. A e-maile od matki sprawiały przykrość Cassandrze. Aż do ostatniej zimy nie miała pojęcia, że matka umie utworzyć wiadomość. Wszystko wskazywało na to, że laptopa, którego dostała od córki w prezencie, używa wyłącznie do układania pasjansów. A jeśli chodzi o pocztę elektroniczną, odpowiadała tylko na rzadkie e-maile od Cassandry, i nawet wyrażała się niezwykle lapidarnie: „Dziękuję”, „To miło, kochanie”. Lennie Fallows uważała chyba e-mail za odpowiednik telegramu albo rozmowy zamiejscowej z lat siedemdziesiątych, sposób kontaktu zastrzeżony dla sytuacji wyjątkowych albo specjalnych okazji i wymagający zwięzłości.

Lecz nagle w styczniu zaczęły nadchodzić wiadomości bez [re:] w temacie – prawdę mówiąc, w ogóle bez tematów, co było jeszcze straszniejsze, bo Cassandra nie mogła przewidzieć, o czym matka chce rozmawiać.

„Nie martwiłabym się Kirkusem”. „PW jest w porządku, jeśli nie brać pod uwagę, że przytacza cudze opinie”. „Przykro mi z powodu NYT”.

Tylko, że matka nie pisała „NYT”, ani nawet „New York Times”. Używała nazwiska krytyka, jakby był jej sąsiadem, dobrym znajomym. Ten drobny fakt najbardziej przybijał Cassandrę. Zawsze chciała dać matce poczucie, że sukces córki jest jej zasługą. Czuła to już jako nastolatka, kiedy Lennie biegła po mieście w ohydnej czapce, z kieszeniami pełnymi narzędzi, i była – no cóż – postacią żalną i zawstydzającą. Jednak sama Lennie upierała się, że wszystkie osiągnięcia Cassandra zawdzięcza genom swojego ojca. Nawet tytuł książki, która zapewniła Cassandrze pozycję, czynił Cederica centrum całej historii.

Za to życie córki, autorki bestsellerów – tak, to wreszcie był dla matki powód do dumy i zachwytu i wcale nie chodziło o drobne korzyści finansowe, jakie przy tej okazji także odnosiła. Uwielbiała, włączając radio, usłyszeć głos Cassandry albo dowiadywać się w sklepie, że sąsiad oglądał jakiś program z udziałem panny Fallows. Pewnego razu w supermarkecie Giant Cassandra widziała taką scenkę na własne oczy: na uwagę o ostatnim wywiadzie matka zmarszczyła czoło, jakby śledzenie medialnej kariery córki już przerastało jej możliwości. Mówi pan o „Today”? O Charliem Rosie? A może o tym dziwnym show na kablówce, w którym wszyscy wrzeszczą?

– Na pewno jest pani bardzo dumna – nie dawał jej spokoju sąsiad.

A Lennie Fallows – nigdy nie pozbyła się nazwiska człowieka, którego nienawidziła – odpowiedziała tonem lodowatej satysfakcji:

– Zawsze byłam z niej dumna.

W języku matki stanowiło to odpowiednik komunikatu: Odczep się, zgredzie”.

Cassandra zaczęła grzebać w lodówce; prawo córki. Olbrzymia lodowa, model Subzero o podwójnej szerokości, nadałaby się do małej restauracji. Kuchnia była ostatnim dziełem Lennie i na pierwszy rzut oka wyglądała imponująco. Cassandra wiedziała jednak, gdzie szukać śladów oszczędności – dowodu, że matka nigdy nie otrząsnęła się z lęku o jutro, jaki towarzyszył jej codziennie w chudych latach. Lodówka i kuchenka na pewno są lekko uszkodzone, kupione z przeceny. Na nowy porcelanowy zlew dostała zniżkę, jako stały klient sklepów dyskontowych, a zamontowała go prawdopodobnie sama, jak kran i rozdrabniacz odpadków. Trzymała się zwykłych, popularnych odcieni. „Łatwiej będzie sprzedać”, mówiła, zupełnie jakby kiedykolwiek zamierzała pozbyć się domu. Jak Penelopa swoich zalotników, tak Lennie wciąż niszczyła własną pracę. Kuchnię wyremontowała już ze trzeci raz. Robiła wszystko, żeby tylko zostać w domu, który trzyosobowej rodzinie wystarczał aż nadto, dla samotnej matki z dzieckiem stał się rujnującym ciężarem, a jako siedziba dla siedemdziesięciokilkulatki był po prostu śmieszny.

Ich rozmowa przybrała już jednak zbyt niebezpieczny obrót, żeby Cassandra odważyła się wspomnieć o domu, który matka z biegiem czasu pokochała i uparła się bronić go wbrew wszystkim przeciwnościom.

– Pamiętasz Calliope? – zapytała.

– Kaliope? Takie organy? Chyba źle to wymówiłaś.

Ojciec zacząłby od poprawienia wymowy.

– Nie, z mojej klasy. Callie Jenkins. Przyszła do Dickey Hill w czwartej klasie. Jest na jednym zdjęciu. Nosila trzy grube warkocze z pomponikami na końcach. – Cassandra chwyciła garść włosów, żeby odświeżyć matce pamięć.

– Trzy...? Ach, znaczy, była czarna.

– Mamo!

– Co? To nic złego tak powiedzieć. Chyba, że się jest mną. Rozumiem, że mnie, słynnej bigotce, nie wolno zauważyć, jaki ktoś ma kolor skóry.

Cassandra nie zamierzała jej pouczać. A poza tym matka miała trochę racji.

– Dobra, nieważne. Chodzi o to, że oglądałam w CNN reportaż o tej sprawie z Nowego Orleanu. Zaginęło dziecko, a matka milczy i zasłania się piątą poprawką. Powiedzieli, że to przypomina historię Calliope Jenkins sprzed kilku lat. To musi być ona, nie uważasz? Ile Calliope Jenkins może mieszkać w Baltimore?

– Więcej niż ci się wydaje.

Cassandra nie wiedziała, czy traktować to dosłownie, czy jako ogólniejszą uwagę o morderstwach dzieci albo o ich rodzinnym mieście.

– Myślisz, że z tego byłaby dobra książka?

Matka zmarszczyła czoło z namysłem, jakby była agentką czy wydawcą Cassandry albo jakby Cassandra nie mogła nic przedsięwziąć bez błogosławieństwa matki.

– Książka o przestępstwie? Na faktach? To coś nowego.

– Niezupełnie. Chciałabym spleść to, co zdarzyło się Callie w dorosłym życiu, z naszym dzieciństwem. Chodziłyśmy razem do szkoły. Potem do tego samego liceum; tylko kilka dziewczyn z podstawówki tam poszło.

– Tylko jedna czarna – podkreśliła znacząco matka.

– Niech będzie. Rasa też gra tu jakąś rolę. Ale to ma być historia Callie. O ile ją znajdę.

– Nawet jeśli, to czy ona może z tobą rozmawiać? Pamiętam tę sprawę...

– Tak?

– Jak każdy, kto tutaj mieszka. – Czy to niewyrażona wprost pretensja, przypomnienie, jak bardzo Cassandra zawiodła matkę, wyprowadzając się z miasta? – Nie skojarzyłam nazwiska, ale pamiętam, co się stało. Chodziło o to, że ona nie chciała nic powiedzieć. Ale jeśli zabiła dziecko, mogą ją oskarżyć nawet teraz. A skoro go nie zabiła, to czemu wtedy nie współpracowała?

Cassandra doskonale wiedziała o tym problemie. Wydawca od razu podjął tę kwestię. Ustaliły, że w książce nie będzie chodziło o przyznanie się do winy ani nawet zdobycie odpowiedzi na wszystkie pytania. Czytelnik powinien uwierzyć, że Cassandra zrozumiała coś istotnego odnośnie do swojej dawnej przyjaciółki ze szkoły. „Dawna przyjaciółka ze szkoły” – tak nazywał Callie redaktor. Cassandra próbowała z początku to sprostować i mówiła „koleżanka z klasy” albo „znajoma”, ale szybko się poddała. Co to właściwie znaczy „przyjaciółka”, kiedy masz dziesięć, jedenaście lat? Bawiły się razem na przerwach, chodziły na te same przyjęcia urodzinowe.

– Nie mogę zaplanować tej książki, i to jest podniecające. Pierwsze dwie były już w pewnym sensie gotowe. W końcu chodziło o moje przeżycie, nie wiedziałam tylko, jak je opisać. I nad obiema pracowałam sama, we własnym świecie. Za to teraz porozmawiam z Callie, kiedy ją znajdę, i z innymi koleżankami z klasy. Tishą, Donna, Fatimą. I z prawnikiem Callie, i z policjantem, który ją przesłuchiwał... Boże, nie wiem, czy zdążę w trzy miesiące.

– No i, oczywiście – wtrąciła matka, wpatrując się w filiżankę z herbatą – będziesz tutaj podczas tego zamieszania wokół twojego ojca.

– To będzie tylko incydent. Zwykły wywiad. Zgodziłam się wziąć w nim udział tylko dlatego, że chodzi o pieniądze dla biblioteki Gordon School. Mamy dług wobec szkoły. A poza tym może być ciekawie: wywiad z ojcem przed czujną publicznością. To król dygresji, stale zbacza z tematu.

– O tak – przyznała matka. – Twój ojciec uwielbiał zbaczać z tematu.

– To naprawdę nic wielkiego. – Cassandra żałowała, nie po raz pierwszy, że w ich rodzinie dotyk był zawsze czymś krepującym. Chętnie teraz pogłaskałaby dłoń matki.

– Wiem. Po prostu nienawidzę, jak... z tego, co zrobił, tworzy wielką, romantyczną historię, a potem otacza wszystko tajemnicą. I ani słowa o niej.

„O niej”. Cassandra podziwiała matkę. Lennie od lat nie wymawiała imienia Annie, chyba że naprawdę musiała. Może to nie najzdrowsze podejście, ale na pewno imponujące. Cassandra odziedziczyła po matce talent do zachowywania urazy, bardzo cenny – jak mawiała w wywiadach – dla autorki wspomnień: zdolność pamiętania każdej, najmniejszej nawet krzywdy. Nazywały to „węgierską wadą”, myśląc o matce Lennie. Przez trzydzieści lat



nie odzywała się do własnego syna i dożyła dnia, w którym jej wnuczka utrwaliła ten fakt dla potomności w swojej książce. Nonnie nie miała o to żalu, wręcz przeciwnie. Sławna wnuczka podniosła jej status w domu spokojnej starości, gdzie mieszkańcy zazwyczaj traktowali sąsiadów jak powietrze. Kiedy Cassandra odwiedziła babcię, jak się okazało ostatni raz, ta uparła się, że muszą pójść razem do jadalni, a tam pokazywała ją wszystkim obecnym. „Moja wnusia, pisarka, prawdziwa pisarka, a jaka poczytna!” Cassandra nie wiedziała, czy babcia w ogóle przeczytała książkę, z której była taka dumna; oba tomy, w miękkiej i twardej oprawie, stały na stole w jej pokoju. Jedyne książki w pokoju – a może nawet jedyne, jakie babcia kiedykolwiek miała. Ślub córki z „uczonym człowiekiem” zadziwił Normie, ale też był powodem do dumy. A później niezgłębione pojęcie lojalności kazało jej lubić Cedrica Fallowsa, nawet kiedy zdradził Lennie.

– Nigdy nie rozumiałam – powiedziała Cassandra podczas tego ostatniego wspólnego obiadu – dlaczego umiałś wybaczyć mojemu ojcu, a własnemu synowi nie. Co on takiego zrobił?

Babcia machnęła ręką, jak wiele razy wcześniej, kiedy Cassandra pracowała nad *Córką swojego ojca*.

– Phi. Nie gadam z nim i nie gadam o nim.

– No dobrze, ale tata postąpił naprawdę podle. To znaczy, że wujek Leon zrobił coś jeszcze gorszego?

– Twój ojciec, wujek Leon... kto to wie?

– Ktoś musi wiedzieć.

– Nieważne. Książka jest dobra. – Czyli: „doskonale się sprzedaje”. – Nie musi być prawdziwa. *Wojna i pokój* to też wymyślona historia.

– Moja książka jest prawdziwa, babciu. To wspomnienia. Zależało mi na tym, żeby wszystko napisać tak, jak było.

– Możesz napisać tylko tyle, ile ludzie ci pozwolą.

– Jesteś zła, że opowiedziałam o wujku Leonie i o tobie? Stałam po twojej stronie.

Nonnie wycelowała w nią widelec.

– Ja umiem być zła. Jakbym się na ciebie złościła, to nie rozmawiałybyśmy tutaj.

Miesiąc później już nie żyła. Cassandra, ku swojemu zdumieniu, zobaczyła na pogrzebie swojego ojca. Jeszcze bardziej ją zaskoczyło, że miał dość taktu, żeby nie przyprowadzić Annie. Rzadko się bez niej ruszał. Za to kiedy rabin zaprosił zebranych, żeby podzielili się swoimi myślami, Cedric po prostu nie mógł się powstrzymać. Wstał i powiedział kilka słów, choć zrobiła się niezręczna sytuacja. Nie podnieśli się wujek Leon ani

matka Cassandry – a zięć, który od dawna przestał już być zięciem, wylewał z siebie gładkie komunały na temat niezbyt lubianej przez siebie kobiety.

Później, na wczesnym lanczu w domu matki, Cassandra zaryzykowała i zbliżyła się do ojca.

– Babcia stwierdziła, że źle opisałam to, co się działo, bo nie znałam prawdy.

Stali sami przy stole z zimnym bufetem. Miała go tylko dla siebie; wstrząsająca nowość.

– Normie miała nierówno pod sufitem – oznajmił ojciec, nadziewając wędlinę na widelec. – Wiesz, dlaczego była taka wściekła na twój wujka Leona?

– Nie, nigdy mi nie chciała powiedzieć.

– Bo nie pamiętała. Trzydzieści lat temu zrobił coś, co ją wpieniło, ale zapomniała co. Pamiętała tylko, że jest zła. Wujek Leon rozpaczliwie próbował ją przeprosić, tylko że nie wiedział, o co chodzi. Twoja matka starała się wypytać i zrobiła to czy tamto, żeby się mógł poprawić. A babka odpowiadała: „Nie, to nie to”, jak jakiś sfinks z alzheimerem albo węgierski Titelitury<sup>5</sup>, który każe królownie zgadywać swoje imię, ale sam go nie zna.

Czy tak rzeczywiście mogło być? Cassandra postanowiła mu uwierzyć, chociaż zawsze przedkładał dobrą anegdotę nad prawdę.

– Oto cała rodzina twojej matki – zakończył. – Bogu dzięki, wdałaś się we mnie.

Dzisiaj, ponad dziesięć lat później, matka mówiła:

– Bogu dzięki, że wdałaś się we mnie. Jesteś twarda. Dojdiesz do siebie na pewno.

– Po czym?

– Hm... chodzi mi o to... że masz rację, ta następna książka może być rzeczywiście wyjątkowa.

Matka nie sugerowała, że Cassandra poniosła klęskę. Po prostu nie umiała wyzwolić się z kontekstu własnego życia, które widziała jako serię błędów i rozczarowań. A przecież i ona cieszyła się krótką chwilą sławy. Kiedy Cassandra chodziła do liceum, matka zaczęła występować w cyklicznym programie lokalnej telewizji jako Zaradna Lennie. Pokazywała, jak samodzielnie dokonać drobnych napraw domowych. To właśnie wtedy, ku rozpaczy córki, zaczęła nosić na co dzień kombinezon i czapkę ochronną.

Kobieta bardziej ambitna rozwinęłaby cotygodniowy występ na ekranie w medialne imperium. W końcu program *Ludzie mówią* współprowadziła młoda pulchna kobieta o imieniu Oprah. Wiele lat później, kiedy Cassandra zasiadła na jej sofie, zapytała w przerwie

---

<sup>5</sup> W oryginale Rumpelstilzchen (Rumpelstiltskin), postać karzełka z jednej z bajek braci Grimm (przyp. tłum.).

na reklamy: „Czy pani pamięta tamtą majsterkowiczkę, taką krótko ostrzyżoną blondynkę?” Oprah powiedziała, że tak, a Cassandra chciała w to wierzyć. Matka zawsze miała talent do bycia niezauważaną – między innymi dlatego pozwoliła się oczarować pełnemu życiu, zwracającemu powszechną uwagę Cedricowi Fallowsowi.

Cassandra zamierzała uczynić przemianę swojej matki głównym tematem drugiego tomu wspomnień. Jednak tę książkę zdominował seks: jej dwa małżeństwa, romanse w ich trakcie i po rozpadzie – brzydki zwyczaj, którego wyrzekła się w książce, chociaż w życiu nie do końca. Szczęśliwa samotność matki nie pasowała do tej opowieści. Prawdę mówiąc, Cassandra czułaby się skrepowana, umieszczając matkę w takim erotycznym kontekście. A z kolei sama historia Lennie była za słaba, żeby utrzymać całą książkę: zbyt prosta, przewidywalna.

– Trochę tego za mało – stwierdził jej pierwszy wydawca. – I strasznie smutne.

To zaskoczyło Cassandrę. Była przekonana, że opisała matkę z czułością i dumą.

– Nie przeszkadza ci – zapytała ją teraz – że nigdy nie pisałam o twoim życiu w taki sposób jak o ojcu?

– Ależ nie. To najmiłsza rzecz, jaką dla mnie zrobiłaś – odparła Lennie i szybko się poprawiła: – Nie żebyś napisała źle. Po prostu nie wystawiam wszystkiego na pokaz. To nie mój styl, tylko ojca. I twój.

– Dopiero co mówiłaś, że wdałam się w ciebie.

Lennie stała przy zlewie, odwrócona do Cassandry plecami, i splukiwała naczynia. Miała teraz najnowszą zmywarkę Boscha, ale wierzyła, że najpierw naczynia należy porządnie wyszorować.

– Pod niektórymi względami. Ale masz też wiele jego cech. Jesteś silna jak ja. Ugniesz się, a nie złamiesz. Tylko... całkiem się odkrywasz. Pozwalasz ludziom, żeby wszystko o tobie wiedzieli. Tak robi twój ojciec.

Idąc z pustym kubkiem do zlewu, Cassandra starała się uciszyć szept podejrzania, że jej matka bardzo grzecznie nazwała ją właśnie zdzirą i ekshibicjonistką.

## Rozdział 4

Grzeje piec.

Dziecku źle.

Grzeje piec.

Dziecku źle.

Z piecem źle.

Dziecko wrze.

Z piecem źle.

Dziecko mrze.

Piecdzieckogrzejemrze. Piecdzieckogrzejemrze. Piecdzieckogrzejemrze. Piec mrze. Dziecko mrze. Grzeje piec. Dziecko wrze. Z piecem źle. Dzieckopiec. Dziecko piec. Dzieckopiec.

Obudziła się złana potem. Pewnie menopauza, chociaż w jej przypadku to nie wyjaśniało wszystkiego. Ten sen zdarzał się ponad dziesięć lat. Nawet nie sen – nie było żadnych obrazów, tylko słowa, objijające się o siebie, brzęczące jak zapomniana moneta w pralce.

A nawet jeśli to sen wywołał falę potu, i tak wiedziała, że menopauza się zbliża. Rok temu naprawdę wierzyła, że zdąży mieć jeszcze jedno dziecko, że tym razem złapie okazję, którą dwa razy straciła. Rennay. Donntay. Chciała tak mało. Czasem przychodziło jej do głowy, że właśnie w tym problem. Im mniej pragniesz, tym mniej dostajesz. Pewne swojej wartości dziewczyny, które żądały gwiazdki z nieba, dostawały ją i jeszcze księżyc na dokładkę. Nigdy nie obniżały ceny. Mężczyzna kupował ich towar albo odchodził. Kiedy tylko zaczynałaś się targować, kiedy pokazałaś, że weźmiesz mniej, niż chciałaś – nie, nie chciałaś: potrzebowałaś – wszystko ci zabierali.

Przyływ gorąca minął, ale nie mogła już zasnąć. Przebrała się w suchą koszulę, narzuciła szlafrok i wyszła na oszklony ganek. Widziała stąd swoje wypielegnowane podwórko, a dalej podwórka sąsiadów. Mieszkała na zadbanej ulicy – żadnych ekstrawagancji, ład i porządek. Miły domek, miłe miasteczko, miłe małe życie. Bridgeville, Delaware.

Wolałaby siedzieć w więzieniu.

I właściwie w nim była, tylko że tym razem nie miała nic, co by ją podtrzymywało na duchu, żadnych nadziei, marzeń, obietnic. Nie, to już nie więzienie. To piekło. Bez ognia i siarki, niewygód i tortur. Piekłem okazały się miły domek w miłym miasteczku, pełna lodówka, dość pieniędzy w banku. Nie bardzo dużo, ale więcej niż kiedykolwiek widziała. Wolna od codziennych trosk, mogła cały czas rozmyślać nad tym, co poszło źle i czego nie da rady już naprawić. A gdyby tak ona...? Gdyby on? Gdyby oni, we dwoje...? Bridgeville. Piekło na ziemi. Większość ludzi uznałaby, że Calliope nie zasługuje na taki dobry los.

I mieliby rację.

## Amo, Amas, Amat

Miałam pięć lat, kiedy ojciec postanowił, że będę uczyć się łaciny i greki. Nikt się nie dziwił – w końcu wykładowca literatury klasycznej. Nazwał mnie imieniem prorokini, której słów nikt nie słuchał. Wcześniej matka nie zgodziła się na Antygonę, Afrodytę, Andromedę, Atalantę, Artemidę, żadną z dziewięciu muz ani nawet na – jego ulubioną – Atenę. Atena wyskoczyła, całkiem uformowana, z głowy Zeusa, a jej matka, Metis, została uwięziona w środku. Ojciec był zachwycony tym pomysłem.

Matka wolałaby dać mi imię Diany, rzymskiej odpowiedniczki Artemidy. Ojciec nienawidził jednak rzymskich imion i nieraz narzekał na ich popularność w naszej kulturze. Ucząc się nazw planet Układu Słonecznego, nie mogłam polegać na prostych mnemotechnicznych sztuczkach – „Moja Wiecznie Zapracowana Mama Jutro Sama Upiecze Nam Placek” – ponieważ musiałam pozamieniać je w głowie: Hermes, Afrodyta, Ziemia – „Gaja!”, rzucał ojciec ze złością – Ares, Zeus, Kronos, Uranos – „Jedyny Grek w tej gromadzie Rzymian. Stary spryciarz i kazirodca”, mawiał z lubością, Posejdon, Hades.

Tak więc nikt się nie dziwił, a ja najmniej. Ojciec miał mnóstwo jednoznacznych poglądów, które wypowiadał pewnym głosem komentatora sportowego, oznajmiającego, że Orioles są lepsi od Coltów. Grecy bogowie lepsi od rzymskich. Nixon to kryminalista; ojciec osądził go na wiele lat przed aferą Watergate. Płyn do mycia Pan Bąbelek jest szkodliwy dla skóry i niszczy rury. Od popcornu w folii aluminiowej dostaje się raka. Lepsza pornografia niż serie wydawnicze produkowane przez wielkie koncerny, jak powieści o Nancy Drew czy braciach Hardy<sup>6</sup>. Dziewczynki nie powinny obcinać włosów na krótko.

---

<sup>6</sup> Popularne w USA serie powieści detektywistycznych dla młodzieży.

Przynajmniej tę ostatnią opinię przywołał w obronie mojej czupryny przed nożyczkami. Tak strasznie wydzieralam się podczas mycia, że zdesperowana matka chciała zabrać mnie do fryzjera, a ojciec się temu sprzeciwił.

– Dobrze, w takim razie od dzisiaj ty zajmujesz się jej włosami – oznajmiła matka.

Ojciec podjął wyzwanie. Wyszukał kremową odżywkę i grzebień z rzadkimi ząbkami, które pomogły opanować moją szaloną grzywę.

– Jak na dziewczynkę masz za dużo włosów, ale zobaczysz, jaka będziesz zadowolona, kiedy dorośniesz – powtarzał często.

W jednym z najszcześniejszych wspomnień z dzieciństwa stoję w wiecznie niewykończonej łazience przy sypialni rodziców, a ojciec przeciąga grzebień przez moje włosy – zdecydowanie, ale tak, żeby nie sprawić mi bólu. Nie umiał rzucić piłki, sport go nudził. Nie poradziłby sobie z synem. Jedynym mężczyzną, jakiego rozumiał, był on sam.

W świecie według Rica Fallowsa nikogo zatem nie dziwiło, że jedyne dziecko ma poznawać mowę starożytnych. Wszyscy zastanawiali się jednak, dlaczego ojciec nie uczy mnie sam: znał oba języki, chociaż łacinę lepiej niż grekę. Mimo to zaprowadził mnie do kolegi z wydziału, Josepha Lovejoy'a, którego polecono mi nazywać – zgodnie z baltimorskim zwyczajem – panem Joem.

Pan Joe i jego siostra, panna Jill, mieszkali niedaleko nas w „odwróconym domu”. W budynku wzniesionym na urwisku nad Gwynns Falls salon znajdował się na samej górze, kuchnia i jadalnia niżej, a sypialnie na parterze, na poziomie ogrodu. Pan Joe zasiadał ze mną do lekcji w gabinecie na najwyższym piętrze, a ojciec pomagał panie Jill przygotować herbatkę – nie sam tylko napój, ale prawdziwą herbatkę z kanapkami i ciasteczkami. Lovejoyowie pochodzili z Anglii i przyjechali do Baltimore w ramach programu wymiany akademickiej. Panna Jill miała, według ojca, „słynną cerę Angielki”, chociaż dla mnie jej skóra wyglądała jak każda inna. Pan Joe był wysoki i mizerny, a do jego cery nie przyznałby się żaden kraj na świecie.

Pewnego wyjątkowo ciepłego majowego popołudnia w kuchni zaczął gwizdać czajnik. Śpiewał tak dość długo, aż wreszcie pan Joe postanowił sprawdzić, co się dzieje. Słyszałam, jak schodzi do kuchni, a potem jeszcze piętro niżej. Wrócił kilka minut później i powiedział, że na dzisiaj kończymy. Za chwilę pojawił się mój ojciec, nie było tylko panny Jill z kanapkami.

– A herbatka? – zapytałam.

– Dziś nie będzie herbatki – oznajmił pan Joe.

– Woda się wygotowała?

– Co...? Tak, tak, właśnie.

– A kanapki i ciastka?

– Cassandro, co to za maniery – oburzył się ojciec.

Minęło niemal dziesięć lat, zanim wreszcie zrozumiałam. Wiedziałam już wtedy, że ojciec miał mnóstwo romansów – „Nie romansów! Flirtów. Jedyne romans miałem z Annie, a z nią się ożeniłem”. Dopiero jednak gdy odszedł od mojej matki do Annie, zaczęłam kawałek po kawałku składać długą historię jego zdrad. To słowo również odrzucał.

– Nigdy nie zdradziłem twojej matki. Seks nic dla mnie nie oznaczał, to była tylko fizjologia. W tym cały problem. Nie wiedziałem, że można mieć i seks, i miłość, zanim nie poznałem Annie.

Ta rozmowa odbyła się, kiedy szłam do college’u. Ojciec postanowił zrobić mi wykład o podwójnych standardach, przekonując, że moje dziewictwo jest bezcennym skarbem. Trochę się z tym spóźnił.

– A panna Jill?

– Panna Jill? Ach, ta ruda Angolka. Tak, ona też. Ale nie od razu. To nie było zaplanowane. No, może troszkę.

– A co pomyślał sobie jej brat?

– Brat? Jaki brat? – spytał naprawdę zaskoczony.

– Pan Joe.

– Pan... och, kochanie, to jej mąż. Skąd ci przyszło do głowy, że byli rodzeństwem?

Aż do dzisiaj przeczesuję swoje wspomnienia, pewna, że uchwycę moment, w którym ojciec mnie okłamał. Może chodziło o to, że upierał się, że bym nazywała ich panem Joem i panną Jill? Zwykle nienawidził takich lokalnych zwyczajów językowych. Tylko po co miałby mnie oszukiwać? Gdyby byli bratem i siostrą, pan Joe uniknąłby niechlubnego tytułu rogowca, lecz to nie usprawiedliwiałoby ojca. Teraz zdaję sobie sprawę, że herbatka nie wymagała żadnych przygotowań: ciastka były ze sklepu, a kanapki czekały już gotowe, zanim przyszedliśmy, obeschnięte i jednocześnie wilgotne od plasterków ogórka.

Dlaczego uważałam ich za rodzeństwo? Ponieważ nawet moje skromne pięcioletnie doświadczenie podpowiadało, że nie tworzą pary. Lekcje łaciny skończyły się latem, kiedy Lovejoyowie wrócili do Anglii. Panna Jill – pani Lovejoy – przez kilka kolejnych lat przysyłała kartki na Boże Narodzenie, ale moja matka nigdy się jej nie zrewanżowała. Na pierwszym roku studiów wyjechałam do Londynu. Tam się przekonałam, że nienawidzę towarzyskich herbatek. Uwielbiałam za to Anglików, zwłaszcza rudzielców, i pieprzyłam się z nimi na potęgę.

# **Banrock Station**

25-28 lutego



## Rozdział 5

Pracę nad swoimi dwiema ostatnimi książkami Cassandra rozpoczynała od zapakowania laptopa i wyjazdu do ośrodka wypoczynkowego. W ten sposób starała się powtórzyć przypadkowy zbieg okoliczności, w których zrodził się pierwszy tom wspomnień. *Córka swojego ojca* zaczęła się pisać właściwie sama i była owocem miłosnego zawodu oraz beczynności. Romantyczny wypad do Wirginii Zachodniej ostatecznie okazał się wyprawą w pojedynkę, ponieważ pierwszy mąż odszedł nagle. Zawiadomił Cassandrę, że jego hazardowy nałóg pochłonął skromną zawartość jej wszystkich kont i sprawił, że ich dom w Hoboken został obciążony drugą i trzecią pożyczką z zabezpieczeniem na hipotecę, co w praktyce pozbawiło go wartości – i to pomimo wysokich cen nieruchomości w latach dziewięćdziesiątych.

Zrozpaczona, przerażona przyszłością, ale świadoma, że pokój już jest spleacony, jechała wiele godzin przez zimowe krajobrazy – w weekend przed walentynkami! – planując, że przez dwie noce i dwa dni będzie płakać, pić i jeść. Jednak wino i czekoladki skończyły się szybciej, niż przypuszczała. Drugiej nocy, w niedzielę, obudziła się o drugiej z jasną, trzeźwą głową. Z początku sądziła, że alkohol przestał działać, ale kiedy godzinę później wciąż nie spała, wstała z łóżka, narzuciła puszysty hotelowy szlafrok – jeden z dwóch, co zauważyła z bólem w świeżo złamanym sercu – i jak w transie podeszła do biurka, zbyt ładnego, by nadawało się do pracy.

W środkowej szufladzie znalazła kilka kartek i lichym długopisem zaczęła bazgrać coś, co okazało się pierwszymi stronami *Córki swojego ojca*. Zachowała je i chociaż w ciągu następnych sześciu miesięcy książka, którą pisała, żeby zagłuszyć cierpienie i strach, bardzo się zmieniła, początek został ten sam: „Miałam niemal trzy lata, a jeszcze nie mówiłam”. Potem, kiedy szukała przedstawiciela, pewien znany agent stwierdził, że będzie ją reprezentować, ale pod warunkiem że napisze wstęp na nowo.

Zabrał ją na lancz i wyjaśnił swoją teorię literatury – sprowadzała się do tego, że: „Pierwsze pięć stron to zawsze gówno”.

– To takie chrząknięcie, zanim zaczniesz mówić – oznajmił nad rozczarowująco skromnym posiłkiem: sałatka szpinakowa i woda. Cassandra spodziewała się wspanialszego, bardziej dekadentckiego posiłku, w jednej ze słynnych restauracji, do których chadzają rekiny rynku wydawniczego. Jednak agent przeżywał właśnie okres posuchy i musiał wyrzec się ulubionych lokali.

– Jakbyś pukała w mikrofon: „Już włączone? Raz, dwa. Raz, dwa” – mówił z angielskim akcentem, choć od dawna mieszkał poza ojczyzną. – Przedobrzone, zbyt wycackane. A już prologi... o nich w ogóle nie mówmy.

Cassandra była jednak przekonana, że napisała książkę o kobiecie, która znajduje własny głos, własną historię – mimo że tytuł sugerował coś przeciwnego. Postać ojca tkwiła w środku opowieści jak słup totemiczny, a Cassandra tańczyła wokół niego i zaplatała wstążki. Znalazła innego agenta, czarującego południowca, niemal tak samo znanego, a słodkiego jak miód i nieskąpiącego pochwał. Zасыpywał ją zachwytemi – jak matka, jakiej nigdy nie miała. Wiele lat później, podczas rozdania National Book Awards – należała do jury – wpadła na pierwszego agenta. Zachował się tak, jakby nigdy wcześniej się nie widzieli. Nie mogła pozbyć się wrażenia, że w ten sposób chciał zachować twarz.

Drugi tom wspomnień zaczęła w ośrodku spa w Berkshires, tuż po rozstaniu z drugim mężem. Tym razem to ona odeszła. Paul pojawił się na ostatnich stronach pierwszej książki. Podobnie jak miliony czytelników, Cassandra wierzyła, że właśnie dzięki niemu cała historia zyska happy end. Wyznanie prawdy o tym rozpaczliwie nieudanym związku – oraz o innych związkach przed ślubem, w trakcie małżeństwa i po rozwodzie – wydawało się ryzykowne i część fanów pierwszej książki nie chciała przyjąć złego zakończenia. Większość jednak znów dała się porwać, a recenzje *Wiecznej żony* były nawet lepsze niż *Córki swojego ojca*. Oczywiście dlatego, że tuż po wydaniu tą ostatnią niemal nikt się nie zainteresował.

Potem, ledwie osiemnaście miesięcy temu – za wcześnie, teraz już wiedziała, że nie pozwoliła powieści dojrzeć jak wspomnieniom – zameldowała się w Greenbrier. To był kolejny hotel w Wirginii Zachodniej, odległy jednak – w sensie dosłownym i przenośnym – od tamtego smutnego miejsca niedoszłych romantycznych uniesień, w którym przyszła na świat jej pierwsza książka. Może na tym polegał problem – zbyt świadomie starała się odtworzyć, a nawet ulepszyć okoliczności tego pierwotnego momentu gorączkowej twórczości. Kobieta, która w wirginijskim domu wypoczynkowym zaczęła bazgrać o swoich przeżyciach, miała w sobie niewinność i zachwyty; i straciła je w ciągu piętnastu następnych lat.

A może problem leżał głębiej: nie była powieściopisarką. Nie umiała tworzyć z wyobraźni, tylko przywoływać to, co się zdarzyło. Czarodziejka przeszłości, wyrocznia, która ogląda się wstecz. Zgodnie z wolą ojca, Cassandra, niezdolna wypowiedzieć niczego prócz prawdy.

Lecz tym razem odpowiedzi nie tkwiły w niej – a przynajmniej nie większość z nich. Ostatniej nocy, siedząc w sterylnym wynajmowanym mieszkaniu, zaczęła spisywać wszystko,

co jej przyszło do głowy, cały strumień wspomnień. Nie ograniczała go do Calliope, postanowiła utrwalić każdy szczegół życia w szkole podstawowej Dickey Hill, nieważne jak błahy. Wiedziała już, że drobne detale prowadzą do wielkich odkryć. Ogólne wspomnienia pojawiły się od razu: gra w zbijaka, bożonarodzeniowe przedstawienie, lekcja pani Klein o Picassie i Chagallu. Grupa dziewczęca. Nie myślała o niej od całych wieków, choć była kluczem do całego pierwszego tomu wspomnień. Ciągutki Teraz i Zaraz – ale czy już je produkowano? – parada w Dickeyville Czwartego Lipca, jej króciutki występ w telewizji: pulchna, w obcisłym trykocie demonstrowała, że dziewczynki w pewnym momencie rozwoju nie są w stanie wykonać pełnego skłonu w pozycji siedzącej. Nie umiała powiedzieć, co ją w tej chwili bardziej śmieszyło: determinacja, żeby znaleźć się w telewizji, czy ludzka wiara w to, że skłony naprawdę coś dają.

Ale gdzie w tym wszystkim Calliope? Dorastająca dziewczyna, która powinna znaleźć się w centrum opowieści Cassandra, wciąż wydawała się tylko tajemniczym, milczącym znakiem. Nieważne, jak bardzo Cassandra starała się przywołać wspomnienia związane z Callie, ta po prostu... była. Nie pakowała się w kłopoty, nie unikała kłopotów. Czy to może być wskazówka? Dręczyła zwierzęta? Kradła? Pewnego roku ktoś stale wyciągał im desery z pojemników na drugie śniadanie. Czy w domu Callie działo się coś, co nauczyło ją, że lepiej nie rzucać się w oczy? Cassandra miała niejasne wrażenie – nie mogłaby nawet nazwać tego wspomnieniem – że widziała kiedyś rozdrażnioną, niepewną kobietę, która z miejsca zakładała, że się z niej kpi lub traktuje ją nieodpowiednio. Potrafiła szarpać dziecko za ramię albo syczeć: „Nie przeciągaj struny!” Właśnie to zrobiła na urodzinach Cassandra, kiedy przyszła po Callie. Nie, zaraz. Wtedy zabrała ją matka Fatimy, a ona nie potraktowałaby tak cudzego dziecka. A jednak Cassandra była pewna, że widziała taką scenę i że chodziło o Callie, nie o Fatimę.

Przemoc domowa – nieunikniona w takiej historii, ale trochę, hm... nudna. Miała nadzieję, że to wszystko nie okaże się aż tak proste: ofiara przemocy znęca się potem nad własnymi dziećmi. Cassandra stanęła przed murem. Nie pamiętała już nic więcej. Czuła się jednak zbyt niepewnie, żeby ruszyć na poszukiwanie prawdziwej, żywej Calliope. Postanowiła więc spędzić popołudnie w bibliotece i sprawdzić, czego dowiedzieli się inni o kobiecie, którą oskarżono o zamordowanie własnego dziecka.

Centralna Biblioteka Enocha Pratta – między innymi tutaj ojciec po separacji z matką zabierał Cassandrę w sobotnie popołudnia. Paradoks rozwodów w latach sześćdziesiątych: ojcowie, którzy nigdy nie zajmowali się własnymi dziećmi, mieli nagle spotykać się z nimi co drugi weekend. W rodzinie Fallowsów wypadło to tym bardziej niezręcznie, że Ric upierał

się, żeby w tych wspólnych wypadach brała udział Annie, na co Lennie twardo mówiła „nie”. Ric prowokował porzuconą żonę, organizując niby to przypadkowe spotkania ze swoją dziewczyną. W bibliotece, w zoo, w kinie Westview, w kręgielni.

– Patrzcie, kogo my tu mamy! – Nie udawał nawet zaskoczenia; raczej udawał, że udaje.

Przynajmniej Annie wyglądała na skrepowaną jawnością ich związku. I na zdenerwowaną – nie bez przyczyny. W 1968 roku ludzie krzywo patrzyli na mieszane pary i bez skrepowania wyrażali swoją niechęć.

Cassandra lubiła Annie. Wszyscy ją lubili – oczywiście oprócz Lennie, którą trudno za to winić. Prawdę mówiąc, wyjścia z udziałem Annie były o wiele fajniejsze, bo udziału w rozrywkach i przyjemnościach dziesięciolatki nie traktowała jako coś upokarzającego. Miała wtedy dwadzieścia sześć lat, a wydawała się jeszcze młodsza, ale Cassandrę zawsze traktowała z macierzyńską czułością. Spodziewała się, że będzie jej macochą, zanim jeszcze komukolwiek przyszło to do głowy, włączając samego Rica. W swoim mniemaniu przeżywał wspaniały romans: a romans i małżeństwo, jak wiadomo, się wykluczają.

Annie zakładała, że zostanie jego żoną. „Zagięła na niego pazur”, mówiła Lennie z goryczą, a Cassandra zastanawiała się, jaki to pazur: krótko obcięty paznokieć pielęgniarce? A może wypielegnowany pazurek kokietki; jako dziesięciolatka znała już takie słowa. Myślała o różnych rodzajach paznokci, długich, szponiastych, jaskrawo pomalowanych, uwodzicielsko gładzących jedwabną suknię. Ale nie umiała wyobrazić sobie Annie – krótko ostrzyżonej dziewczyny z okrągłą buzią – z takimi paznokciami, a tym bardziej wyrachowanej.

Annie została dosłownie wrzucona w ramiona ojca Cassandry. Wokół nich falował i burzył się tłum. Ric próbował wydostać ją z tego zamętu, lecz sam został wciągnięty i poniósł szkody znacznie poważniejsze niż Annie, której tylko podarła się sukienka.

– Zamieszki to... dziwna sprawa – mówiła Annie wiele lat później, starając się opisać tę scenę na potrzeby pierwszego tomu wspomnień Cassandry. – Pamiętasz, kiedy przechodził huragan Agnes? Potok wezbrał, jakiś człowiek wysiadł z kombi, złapał się drzewa i patrzył, jak samochód odpływa? Wtedy było tak samo, ale zamiast wody i wiatru szaleli ludzie. Jakby nie wiedzieli, że są ludźmi. Czy to ma jakiś sens?

Cassandra uważała, że tak. Potem słowa Annie należały do najczęściej cytowanych w recenzjach. Sama Annie jednak nigdy nie rozmawiała z dziennikarzami, choć bardzo o to zabiegali.

– Byłam ci winna swoją historię – powiedziała pasierbicy. – Ale tylko tobie. Nikomu innemu.

Pięć lat później, kiedy jej myśli przetłumaczono na dwadzieścia osiem języków, a portret, wraz z innymi fotografiami z frontyspisu, trafił do krajów, o których nigdy nie słyszała – Annie zmarła na raka jajnika w wieku pięćdziesięciu dwóch lat. Cassandra myślała, że ojciec się załamał, tym bardziej że druga żona była od niego o tyle młodsza. Jednak – mimo tysięcy drobnych dolegliwości – trzymał się dobrze. Aż za dobrze, jak twierdzili pracownicy domu spokojnej starości, gdzie teraz mieszkał. Cassandra wiedziała, że musi ugłaskać dyrektorkę podczas najbliższej wizyty – i bała się tej wizyty jak ognia. Ale teraz, cóż, czas iść do biblioteki.

Zanim pozwolono jej zabrać się do roboty, musiała wysłuchać nużących wyjaśnień – jak znaleźć mikrofilmy, włożyć je do czytnika, jak drukować. Potem wreszcie mogła wziąć się do szuflad pełnych pudełek z mikrofilmami. Otwierając je, czuła się jak dzieciak podczas poszukiwań ukrytego skarbu. Sprawa Calliope trafiła na pierwsze strony akurat w momencie połączenia się ostatnich dwóch dzienników w mieście, „Beacon” i „Light”, więc Cassandra miała do przejrzania tylko jedną gazetę, ale i to okazało się bardziej czasochłonne, niż sądziła. Poszukiwania w Internecie pozwoliły jej zawęzić okres do konkretnego roku, nie знаła jednak miesiąca, a płatne archiwum dziennika nie obejmowało tak starych numerów. Musiała zacząć od stycznia i przedzierać się przez cały 1987 rok. Dodatkową wskazówką był fragment reportażu z CNN: z pewnością nakręcony w jakiś chłodny, wietrzny zimowy miesiąc.

Chwilę trwało, zanim wpadła na pomysł, jak szybko i efektywnie przeglądać treść gazety. Zerknęła na pierwszą stronę, potem przewijała mikrofilm na pełnej prędkości aż do informacji lokalnych. Od zapachu rozgrzanej kliszy i patrzenia na śmigające po ekranie litery robiło jej się niedobrze. Może powinna wynająć kogoś do tego męczącego zajęcia? Nigdy nie zlecała nikomu swojej pracy. Poza tym lubiła ślęczeć nad mikrofilmami – robiła to już przy pierwszej książce. Chciałaby tylko znowu poczuć tamtą beztroskę, radość z pisania bez wielkich oczekiwań, skromność własnych marzeń.

Znalazła Calliope pod koniec marca, który w 1988 roku wybuchnął wiosną jak wulkan. Pogoda była elementem tej historii. W lutym śnieżycą goniła śnieżycę – tak przynajmniej twierdziła Marlee Dupont, opiekunka społeczna, która miała czuwać nad dzieckiem. Zasypane drogi stały się nieprzejezdne, a najgorzej było w Zachodnim Baltimore, które zawsze odśnieżano w ostatniej kolejności. Opiekunka dzwoniła, ale telefon okazał się wyłączony i dlatego w jednym miesiącu nikt nie odwiedził Calliope. Marlee Dupont w zasadzie nie wyjaśniła, dlaczego tak się stało. Kiedy wreszcie pojawiła się w mieszkaniu przy Lemmon Street, zastała tylko Calliope.

– Gdzie twoje dziecko? – zapytała.

– Nie mogę powiedzieć – odparła Calliope.

I niewiele więcej udało się z niej wydobyć przez kolejne siedem lat.

Kiedy po raz pierwszy powołała się na piątą poprawkę do konstytucji? Trudno stwierdzić, ponieważ reporterzy podchodzili do tej sprawy z dystansem; wiele już zdążyło się zdarzyć. Nie było więc jasne, dlaczego Callie pozostawała bez nadzoru opieki socjalnej. Cassandra przeskoczyła dalej. W artykułach o zwolnieniu Callie z więzienia niemal po siedmiu latach znalazła więcej szczegółów. Zaczęła zapisywać w swoim moleskinowym notatniku ciąg wydarzeń. Marzec 1988 roku: opiekunka społeczna odkrywa zaginięcie trzymiesięcznego syna Calliope. A więc Donntay urodził się w grudniu 1987 roku. Odebrano jej poprzednie dziecko, którym źle się opiekowała, lecz urzędnicy, powołując się na prawo do prywatności, odmówili podania dodatkowych informacji. Wspomnieli tylko, że ten incydent nie był powodem, dla którego po narodzinach Donntay'a przydzielono Calliope opiekunkę społeczną.

Odebrano jej poprzednie dziecko. O tym nie mówili w wiadomościach, a i tutaj pisano jedynie mimochodem. Siedem lat wcześniej Calliope straciła prawa rodzicielskie. Dziecko miałoby teraz – Cassandra policzyła szybko – dwadzieścia siedem lat. Co za męczarnia. Co się z nim stało? Czy należy do historii Callie? Powinien do niej należeć? Zbadła sprawę adopcji, pracując nad *Malowanym ogrodem*, i wiedziała, że w latach dziewięćdziesiątych rozmaite grupy zaczęły zabiegać o ułatwienie dostępu do akt. Ich osiągnięcia nie miały jednak wpływu na życie pierwszego syna Callie. Mógłby znaleźć matkę tylko pod warunkiem, że oboje zapisaliby się w specjalnym rejestrze.

Fotografie na mikrofilmach były z grubym ziarnem, niewyraźne, zwłaszcza po wydrukowaniu. Zdjęcie przedstawiało Callie w 1988 roku, kiedy trafiła do więzienia za obrazę sądu. Stężała twarz, puste oczy i napięte do bólu mięśnie karku. Nawet mimo bezkształtnego zimowego płaszcza widać było, że ma ciało szczupłe jak modelka. Narkotyki? Cassandra czytała gdzieś, że u heroinistów występuje zabójcza przemiana materii, każda kaloria jest spalana jeszcze długo po tym, jak wyjdą z nałogu. Calliope patrzyła w dół, za to prawniczka trzymająca ją pod ramię spoglądała prosto w kamerę. To właśnie ona wciąż nie oddzwoniła do Cassandry. Nieoczekiwana przeszkoda: teraz, kiedy była znana, wszyscy do niej oddzwaniali. Prawda, że na razie nie zdołała dotrzeć do nikogo, kto mógłby ją skontaktować ze śledczą, ale ludzie, do których się odzywała, byli przynajmniej na tyle uprzejmi, żeby podnieść słuchawkę.

Studiując młodszą o te wszystkie lata twarz prawniczki na zdjęciu, uświadomiła sobie nagle, że przypisuje jej rozmaite cechy. Zajadła jak buldog. Pospolita. Ostra, ale konkretna.

Jak to jest być brzydką? Cassandra, podobnie jak każda ze znanych jej kobiet, wątpiła we własną atrakcyjność; kilka razy dziennie czuła zawód na widok swojego odbicia w lustrze. Z upływem lat zdarzało się to coraz częściej. Wiedziała jednak, że nikt nie nazwałby jej brzydką. Jak by to było? Oczywiście wcale by się nie cieszyła, choć – właśnie to do niej dotarło – uroda nie gwarantowała powodzenia w miłości. Jeśli chodzi o związki, jej znajome o przeciętnym wyglądzie miały więcej szczęścia od tych ładniejszych. Ostatnio w mediach pojawiły się niby-ekonomiczne, dość obrzydliwe wyjaśnienia tego faktu, które sprowadzały się do oklepanej rady: Młodsza już nie będziesz, więc bierz, co się trafia.

Cassandra przeszła przez dwa nieudane małżeństwa i nie zamierzała powtarzać tego doświadczenia, zwłaszcza po tym, jak jej drugi mąż spróbował złamać intercyzę. Był to czystej wody szantaż, w dodatku udany: dała mu więcej, niż zasługiwał, w nadziei, że nie będzie rozsiewał plotek na jej temat. Wciąż lubiła mężczyzn – miała żonatego kochanka, faceta idealnego, który niemal nie wymagał uwagi – ale małżeństwa już nie potrzebowała. Ojciec miał rację: małżeństwo i romans to dwie zupełnie różne sprawy. Jej pierwszy związek zakończył się tragicznie – ukochany z uniwersytetu, pokonany przez demony, które ukrywał przed nią od lat, zniszczył finansowo ich oboje. Drugie małżeństwo było po prostu pomyłką. W swojej książce stworzyła z tego opowieść ku przestrodze, podsumowaną morałem: „Jeśli w przeddzień ślubu zastanawiasz się, czy nie popełniasz strasznego błędu, popełniasz go na pewno”.

Umieściła w czytniku mikrofilm z numerami gazet z 1995 roku, w których znalazła artykuły o zwolnieniu Callie. Ciekawe, czy na jej twarzy na zdjęciu zobaczy ślad siedmiu lat spędzonych w więzieniu. Zabawne, że Callie wyszła mniej więcej w tym czasie, kiedy Cassandra zaczęła pisać. Callie wyglądała lepiej, zdrowiej, ale była niewiarygodnie smutna. Nie sprawiała wrażenie kogoś, kto czuje się zrehabilitowany. Nie miała zresztą powodu: wciąż uważano ją za morderczynię własnego dziecka, która uniknęła sprawiedliwości dzięki sprytniej prawniczej sztuczce.

Brzydka prawniczka gdzieś znikła, zastąpiona przez mężczyznę. Zadziwiająco przystojnego. Przynajmniej on wydawał się szczęśliwy – uśmiechał się lekko, aż na policzku pojawiał się cień dołeczka. Reginald Barr – coś jej to mówiło. No tak, Tisha nosiła nazwisko Barr, miała też młodszego brata, uroczego dzieciaka, na którego wszyscy wołali Słodziak. Nie, coś jeszcze. A to przezwisko wzięło się skądinąd. Od batonika Reggie? Nie, mówili na niego Słodziak z powodu tańca, w którym się specjalizował, a naśladował jakiś zespół...

Cassandra próbowała pochwycić wymykające się wspomnienie. A myśli pędziły jak koń w kierunku przeszkody. Albo rozbijały się o mur niepamięci, albo przeskakiwały na

bujne pastwisko. Ale to, wiedziała na pewno, opisała już w pierwszej książce. Astors, jeden z wielu kwartetów naśladowujących Temptations. Oglądała ich w programie tanecznym – w American Bandstand? W show z Baltimore, u Kirby’ego Scotta? – a ojciec w kółko gadał o tej nazwie: „Astors! Astorowie! Ciekawe, jaką część rodzinnej fortuny odziedziczyli!”

W jednej z piosenek naśladowali pszczoły, brzęczące wokół głowy apetycznej dziewczyny, a Słodziak przerobił ten moment na komiczną scenkę, w której z udawanym przerażeniem opędzał się od owadów. Robił też taki charakterystyczny ruch biodrami, trochę nieprzyzwoity jak na jego wiek. Kiedy zaczynał, Tisha wyganiała go z pokoju. „Bzzz, bzzz...” coś tam, coś tam.

A więc brat Tishy bronił Callie. Cóż, Baltimore słynęło jako duża wioska, a takie zbiegi okoliczności zdarzały się jeszcze częściej w północno-zachodniej części metropolii, gdzie czarni tworzyli rodzaj komuny. Poza tym to pasowało do Tishy: jeszcze w szkole ratowała Callie z kłopotów. Cassandra wiedziała, jak to rozegrać. Reg zaprowadzi ją do Tishy, a ta pokaże jej drogę do... wszystkich. Bo przecież pisała o wszystkich, choć głównie o Callie. Nie będzie zbyt otwarcie okazywać, że interesuje ją Callie, przynajmniej z początku, chociaż nie przestanie szukać tej detektyw „bzzz, bzzz – śpiewali Astors. Kto widział naszą dziewczynę?”



## Rozdział 6

Gdzie, do cholery, jest Banrock Station?

Teena Murphy położyła karton chardonnay na taśmie kasy w dyskontowym sklepie z alkoholami Beltway Fine Wines. Przychodziła tu, cholera, średnio co sześć dni, a robiłaby to może jeszcze częściej, gdyby nie fakt, że w weekendy pozwalała sobie na wódkę. Ale dziś po raz pierwszy zastanowiła się nad nazwą swojego ulubionego trunku. Wino w kartonie miało wiele zalet – niska cena, stosunkowo niewielka waga, co dla niej było kluczową kwestią – lecz Teena wybierała je dlatego, że pijąc, nie widziała, jak szybko opada poziom płynu.

– Urządzasz przyjęcie? – zapytał wesoły tenor za jej plecami. – A mnie nie zaprosiłaś?

Odwróciła się zaskoczona, że ktoś w Beltway Fine Wines pozwolił sobie na taki żart. Kiedyś była śliczną dziewczyną, ale ten czas dawno już minął. Włosy posiwiały, co dodawało jej lat, tak jak niski wzrost i drobna budowa. Nikt nie żartuje z lekko przygarbionych siwych pań, zwłaszcza kiedy w Beltway Fine Wines tłoczą się niecierpliwi klienci.

Chyba, że ktoś cię zna.

– Lenhardt – powiedziała. – Co robisz w moim drugim domu?

Skoro dowcipkuje, to nie może być prawda, tak?

Dawny kolega się roześmiał. On też się postarzał. Cóż, nie widzieli się od piętnastu lat. Teena wciąż dostawała zaproszenia na bożonarodzeniowe uroczystości z okazji przejścia na emeryturę, nawet zjazdy wydziału zabójstw, ale nigdy z nich nie korzystała. Nie chciała, bo nosiły piętno litości. I pogardy.

– Dobrze wyglądasz, Teenie – skłamał. Nawet w najbardziej szalonym okresie, między dwoma małżeństwami, Lenhardt potrafił prawie komplementy tak, że nie brzmiało to jak podryw.

– Ty też. – Przynajmniej ona nie mijała się z prawdą. Wyglądał równie dobrze jak zawsze. Lenhardt, teraz na pewno po pięćdziesiątce, zawsze był trochę przy kości. W blond włosach błyskało ledwie kilka pasm siwizny.

– Gdzie mieszkasz?

– Na Chumleigh, za York Road – odparła szybko, obronnie. Pamiętała, co mówili ludzie: że na swoim nieszczęściu zbiła fortunę. – Na zachód od York Road. I dom nie był aż taki drogi.

– Chumleigh! – Zaśmiał się, widząc jej niepewną minę. – Nie pamiętasz Tennessee Tuxedo? I tego morsa, Chumleya? A Don Adams chyba podkładał głos pingwina? Nie?

Nieważne, jako mieszkanka hrabstwa Baltimore jesteś jedną z obywaterek, którą mam obowiązek chronić i której służę, niekoniecznie w takiej kolejności. Pracujesz?

– U Nordstroma.

– To wyjaśnia te szykowne ciuchy. Ale ty zawsze lubiałaś się stroić, Teenie. Pamiętam...

– Tak – przerwała; nie chciała, żeby kończył: „...jaka byłaś podniecona, kiedy wstąpiłaś do wydziału śledczego i nie musiałaś już nosić munduru”.

Gdy pozbyła się służbowego stroju, zaczęła wyglądać pięknie. Były lata osiemdziesiąte – z perspektywy czasu okres raczej upadku niż wznoszenia mody – a zakupy w butikach wpędziły ją w długi. Panowała wtedy estetyka nadmiaru: obszerne koszule, olbrzymia biżuteria, dzikie wzory. Miała spódnicę w róże wielkości kapusty. Ach, i te za duże swetry od Adrienne Vittadini, które dziewczyna jej postury mogła nosić jak sukienkę.

Koledzy kpili, że wygląda jak punk. Nie rozumieli, że jej styl był romantyczną aluzją do najnowszej mody miejskiej. Wzywano ją nawet na rozmowę. Przełożeni radzili, żeby nosiła się trochę skromniej, ale wtedy włączył się przedstawiciel związku zawodowego i udowodnił, że stroje Teeny mieszczą się w wytycznych. Owszem, w wydziale pracowało wielu elegantów, którzy paradowali jak pawie w drogich garniturach i krawatach. Pozostałe pracownice wydziału – w sumie dwie – ubierały się jak kobieta sukcesu, w nudne żakiety i bluzki z krawacikiem. Teena wolałaby już mundur.

Dzisiaj nosiła ciemne, poważne ubrania z dzianiny, kupowane po przecenie w sklepie, gdzie pracowała. Zauważyła, że łatwiej sprzedać innym kobietom drogie ubrania, jeśli wygląda się neutralnie i unika rzeczy, które na pierwszy rzut oka wydają się kosztowne albo markowe. Był to paradoks obcowania z bogatymi klientkami. Teena знаła się na ubraniach lepiej niż ktokolwiek. Żyła między nimi od lat. W swoim dziale kolekcji specjalnych czuła się jak w przedziwnym przytułku dla zwierząt, pełnym egzotycznych stworzeń, szukających domu. Bardzo starannie dobierała im przyszłe właścicielki: zależało jej, żeby najrzadsze okazy trafiły do osób, które są ich naprawdę warte.

– Zabawne, że na ciebie wpadłem – powiedział Lenhardt znad koszyka z zakupami, bardzo szacownymi, według Teeny: trzy butelki wina, szkocka whisky, skrzynka Fostera.

Ciekawe, na jak długo mu wystarczą, jak często tutaj przychodzi, czy pije piwo do obiadu – a może dwa albo trzy?

– Wczoraj albo przedwczoraj dzwonił do mnie ktoś, kto cię szuka. Ale tak to bywa. Nie widzisz starego kumpla całe lata, a potem łup, nagle wszędzie go pełno. Zauważyłaś?

Sprzedawca włożył karton wina do jej koszyka. W Beltway Fine Wines pachniało zawsze tak samo: nieokreśloną mieszaniną drewna, mokrej tektury i przypraw. Zastanawiała się, czy to zapachy trunków, ulatniające się spod korków. Zawsze czuła się tutaj trochę nieswojo, ale też zawsze zaglądała do sklepu w drodze z Nordstroma, kiedy zmieniała się z Teeny w pracy w Teenę domową. Nikt nie nazywał jej już Teenie, lecz wciąż nie mogła znieść swojego pełnego imienia: Sistina.

– Ktoś mnie szuka i dzwonił do ciebie?

– Zdaje się, że nie dowiedziała się niczego na policji w mieście, więc zaczęła się rozglądać za twoimi dawnymi kolegami, którzy opuścili okręt na początku lat dziewięćdziesiątych. Chyba uważa, że jesteśmy stuknięci, i myśli, że prędzej się z nami dogada. I ma trochę racji.

Lenhardt oszczędził, kiedy nowy szef wydział zabójstw wprowadził system rotacyjny. Teena pewnie dołączyłaby do exodusu, gdyby nie wypadek kilka miesięcy wcześniej.

– Ona?

– Jakaś pisarka. Zdaje się znana. Żona czytała jej wspomnienia w klubie miłośników książek. Teraz ta babka pracuje nad czymś nowym. – Zapłacił kartą i odebrał torbę z zakupami od sprzedawcy.

Teena zdała sobie sprawę, że tarasuje drogę klientom, którzy chcą wyjść ze sklepu. Ruszyła powoli ze swoim wózkiem, ale Lenhardt dogonił ją bez trudu.

– Dlaczego chciała ze mną rozmawiać?

Zerknął na nią.

– A ty chcesz z nią rozmawiać?

– Nie.

– Tak myślałem. Nic jej nie powiedziałem. Zresztą nie miałem nic do powiedzenia, a nawet gdybym miał i tak bym nie pisał ani słówka. Wiesz dobrze.

– Ale dlaczego właśnie teraz?

– Przypomniała sobie, że zna... jak ona się nazywa?

– Calliope Jenkins. – Czuła się jak dziecko, które igra z potworem z lustra. Wypowiedz jego imię trzy razy, a stanie przed tobą. Oczywiście nie bała się Callie Jenkins. Niezupełnie.

– Zgadza się. Chodziły razem do szkoły.

– I o tym ma być książka? – Jej głos zazgrzytał lekko na ostatnim słowie, ale na szczęście szum automatycznych drzwi to zagłuszył. Na zewnątrz ostry wiatr niósł kłujące krople deszczu. Zapomniała włożyć rękawiczki i dłonie już zaczęły boleć. Eksperci

medyczni, których tamta strona wynajęła podczas arbitrażu, twierdzili, że choroba Raynauda<sup>7</sup> to sprawa losowa, że nikt nie zdoła dowieść bezpośredniego związku zachorowania z wypadkiem. Kobiety o drobnej budowie są podatne na Raynauda, powtarzali. Tak czy inaczej, przed wypadkiem Teena nawet nie zauważała chłodu.

– Nazywa się Cassandra Fallows – powiedział Lenhardt. – Znaczy, ta pisarka.

Podszedł z nią do samochodu. Teena poczuła falę zawstydzenia: był taki zwykły. Rozpadający wrak mniej by ją krępował niż ta zielona, dobrze utrzymana mazda, która mówiła wszystko o jej nudnym, bezbarwnym życiu.

– Dzwoniła gdzieś z okolic Nowego Jorku. Numer na 9, na wypadek gdyby cię znalazła – ciągnął Lenhardt. – Sam, z ciekawości, próbowałem znaleźć twój numer, ale w książce telefonicznej go nie ma. Za to adres dość łatwo zdobyć przez wydział komunikacji. Oczywiście nie wydostanie go stamtąd, chyba że pojedzie aż do centrali w Glen Burnie. Niestety wtedy może jej się udać. O ile... Dom jest twój czy wynajęty?

– Mój.

Skrzywił się.

– To dobrze. Wynajmowanie to strata pieniędzy, ale trudniej człowieka znaleźć. Wybacz, chyba gadam jak twój ojciec. A właśnie, jestem ojcem. Mam chłopaka i dziewczynkę, Jasona i Jessicę.

– Gratuluję. – Mówiła szczerze. Dla niej bycie rodzicem graniczyło z cudem. Jak każda normalna życiowa sprawa.

Teraz jednak nie zastanawiała się nad dziećmi Lenhardta. Pisarka. Pracuje nad książką. Jakiś czas temu, kiedy sprawa była świeższa, co kilka lat dostawała list od jakiegoś reportera, zwykle gorliwego młodzika z „Beacon-Light”, który przypadkiem trafił na tę historię. Mogła się spodziewać czegoś podobnego, kiedy nazwisko Calliope padło w wiadomościach przy okazji sprawy z Nowego Orleanu. Sama zaczęła o niej myśleć. Ale od tak dawna nikt się nie odzywał w związku z tamtym śledztwem. Kolejny powód, żeby unikać przyjęć w policyjnym gronie. Przynajmniej oszczędzała sobie opowieści o tym” jak to kiedyś...”, wszystkich wspomnień z pola bitwy.

– Do widzenia, Lenhardt. Miło cię było zobaczyć.

– Może nasze ścieżki znów się kiedyś skrzyżują.

– Może.

Zwłaszcza jeśli często tutaj kupujesz.

---

<sup>7</sup> Choroba Raynauda – napadowy skurczu tętnic w rękach, rzadziej w nogach; powodowany m.in. przez zimno (przyp. red.).

Do domu dojechała w piętnaście minut i – jak zwykle – dopiero na miejscu z przerażeniem uświadomiła sobie, że pędziła jak szalona. Zawsze miała skłonność do takich szaleńczych wyścigów. Dlatego właśnie nigdy nie piła poza domem – przy jej wzroście i wadze wystarczył duży kieliszek wina, żeby przekroczyć dopuszczalny limit alkoholu we krwi. Och, nie upiłaby się – jej organizm, przyzwyczajony do dużych ilości wina z kartonu, nie poddawał się tak łatwo – ale kto by w to uwierzył? Wszyscy spodziewaliby się, że Teena Murphy, w swoim eleganckim stroju i boleśnie zwyczajnym samochodzie, jest pijana. To by wyjaśniało, jak może być sobą i przeżyć.

Parkując wóz, usłyszała coś – skrzypnięcie gałęzi? – i omal nie wyskoczyła ze skóry. Odgłos był tylko przywołany z pamięci, a i tak nie wiedziała na pewno, czy jej mózg nie wygenerował go po fakcie. Tak czy inaczej, na każdy nagły trzask reagowała paniką. Zdawało jej się, że nie krzyczała aż do chwili, kiedy rozległ się ten dźwięk, chrupot łamanych kości, które pękały jak gałązki pod stopą olbrzyma. W jej uszach brzmiało to jak drwiący chichot, jakby ktoś z niej drwił. Oczywiście przez te wszystkie lata, kiedy próbowała rozmawiać z Calliope Jenkins, ta nawet się nie uśmiechnęła, nie mówiąc o głośnym śmiechu. Ale Teena zawsze miała wrażenie, że Callie śmieje się w odruchu zadowolenia, że zdołała wszystkich wystawić do wiatru.

Do wypadku doszło kilka miesięcy po tym, jak Callie Jenkins została zwolniona z więzienia. Zbieg okoliczności, nic innego. Teena pojechała aresztować kobietę, której syna oskarżono właśnie o morderstwo. Kiedy kobieta o tym usłyszała, całkiem jej odbiło. Teena szczyliła się tym, że nigdy nie wyciąga broni za wcześnie – mówiono, że policjantki mają do tego skłonność. Chociaż taka drobna, nie bała się przepychanek. Tylko, że tego ranka była zmęczona – nie, nie pijana – i sięgnęła po pistolet, a tamta wytrąciła go jej z ręki. Spadł pod samochód. Kiedy po niego sięgała, wóz nagle potoczył się do tyłu.

Weszła do małego, wysprzątane szeregowca, który kupiła za pieniądze, jakie w ramach ugody wypłacił jej producent samochodu, kiedy wreszcie przyjął odpowiedzialność za wypadek. Nie, nie przyznali, że hamulec ręczny był uszkodzony, a dość dobrze zapoznali się z życiem Teeny, żeby – jak powiedział prawnik przydzielony z urzędu – podważyć w sądzie jej wiarygodność. Po prostu uznali, że taniej ich wyniesie ugoda, a to, co dla wielkiego koncernu samochodowego było drobiazgiem, wystarczyło aż nadto, żeby kupić od ręki dom przy Chumleigh Road. Chumley! Teraz sobie przypominała. Znała tę kreskówkę. Po prostu wyleciała jej z głowy, jak wiele innych rzeczy. Miała czterdzieści sześć lat i z trudem mogła uwierzyć, że kiedyś była sześciolatnią dziewczynką, która lubiła kreskówki i postanowiła iść do Akademii Policijnej, bo naoglądała się Angie Dickinson w *Policjantce*.

– Należy do drużyny kalek, wiecie – mówił jej ojciec, nawiązując do innego popularnego programu. – Mają tam faceta na wózku, ślepego i grubasa. Ona jest kobietą, a to już wystarczające upośledzenie.

Nie był złośliwy i z pewnością nie wiedział, że okaże się prorokiem, bo córka rzeczywiście dołączyła do drużyny kalek. Po prostu nigdy nie rozumiał, dlaczego ładna dziewczyna – i w dodatku hetero, czego nigdy nie powiedział – chce pracować w baltimorskiej policji. Teena nie śmiała mówić o tym głośno, ale myślała, że uda jej się jako pierwszej kobiecie w Stanach stanąć na czele komendy policji w wielkim mieście. W latach siedemdziesiątych miała pełne prawo w to wierzyć. Dziwne, że teraz, kiedy kobiety kierują komendami – w Des Moines, w Jackson, Missisipi – wydawało jej się to znacznie mniej prawdopodobne. W 1986 roku, gdy została detektywem w wydziale zabójstw, była trzecią kobietą z tym stopniem. Dzisiaj, dwadzieścia dwa lata później, jako detektywi w wydziale służyły... dwie kobiety.

Teena wydobyla karton z winem z bagażnika, oszczędzając prawą rękę, i oparła go na biodrze, jak dziecko. Zaraz coś zje – mrożony obiad z delikatesów Trader Joe's, zupę i kanapkę – i będzie odwlekać pierwszy łyk wina, żeby sobie udowodnić, że potrafi. Umyje naczynia, posprząta kuchnię. I dopiero potem wsiądzie do pociągu w kierunku Banrock Station. Minie po drodze wszystkie te małe miasteczka, wszystkie miejsca, których nigdy nie pozna ani nie odwiedzi.

## Rozdział 7

Tutaj trafi biblioteka Elizabeth Perlstein, a starą bibliotekę zamienimy w sale wykładowe. Z pewnością nam się przydadzą. Cassandra udawała, że z zainteresowaniem studiuje plany. Nie umiała sobie wyobrazić nowego budynku – nie miała takiej zdolności. Za to dyrektor – nowy, już zapomniana, jak on się nazywa – był wyraźnie podekscytowany perspektywą wzniesienia kolejnego gmachu na terenie, mówiąc szczerze, nieciekawego i ciasnego kampusu. Dla tych, którzy przykładali wagę do rankingów, szkoła należała do drugiej kategorii baltimorskich prywatnych placówek naukowych. Wielu osobom te kwestie wydawały się naprawdę istotne. Starsi baltimorczyki mieli genialną umiejętność wyszukiwania w głowie niezbyt pasujących anegdotek, ile razy ktoś wspomniał o Gilman, Friends, Bryn Mawr, Roland Park Country, Park School, a nawet o Boys Latin. Niektórzy dziwili się, że Gordon School jeszcze istnieje, przekonani, że obróciła się w proch wraz ze swoimi hipisowskimi ideałami. Tymczasem szkoła nigdy nie poniosła fiaska jako nieudany eksperyment w zakresie wolnej miłości, mimo że tak właśnie funkcjonowała w zbiorowej wyobraźni. W rzeczywistości panował w niej intelektualny rygor, związany zarówno z tradycjami angielskich szkół z internatem i programem St. John's College, opartym na klasycznych przedmiotach i z eksperymentalnym wykorzystaniem otwartej przestrzeni. Słynny liberalizm Gordon School ograniczał się do tego, że nie kazano nosić mundurków i nie stawiano ocen. W ramach tej ostatniej praktyki tworzono nawet fałszywe świadectwa na potrzeby college'ów. Absolwenci Gordon School bez trudu dostawali się na najlepsze uczelnie, zanim wykryto niedozwolone praktyki i surowo ich zakazano. Na szczęście Cassandra zdążyła już wtedy skończyć Princeton.

Niezależnie od tych niedociągnięć Gordon School zatrudniła jej matkę – chociaż nie miała oficjalnych uprawnień pedagogicznych – jako nauczycielkę matematyki w niższych klasach. Cassandra natomiast pobierała stypendium przez trzy ostatnie lata nauki. Połączenie hipisowskiego klimatu i wysokich wymagań intelektualnych – choć bez podsycania rywalizacji – okazało się idealne dla uczennicy o jej temperamencie. Teraz z prawdziwą radością powitała możliwość wsparcia szkoły.

Mniej zachwycały ją nieustanne naciski, żeby przekazała na projekt jeszcze więcej pieniędzy. Zabawne, jak błędnie szacowano jej dochody. W większości ludzie uważali, że zarabia mało, bo nie wierzyli, że na pisaniu można się wzbogacić. Jednak część osób przeceniała jej zamożność, jak dyrektor, który zaproponował, żeby przekazała darowiznę na

poziomie „diamentowym”, w którym dolną – dolną! – granicą było sto tysięcy dolarów. Bóg jeden wie, ile trzeba zapłacić, żeby móc umieścić swoje nazwisko na budynku. Elizabeth Perlstein z rocznika ‘88 albo dorobiła się miliardów na nowoczesnych technologiach, albo wyszła za miliardera. Szczęśliwie Cassandra zdołała opanować sztukę wdzięcznej odmowy: umiała unikać ostatecznego „nie”, nigdy nie mówiąc „tak”. Zrezygnowała za to ze znacznej opłaty, jaką pobierała za publiczne wystąpienia, i namówiła ojca, żeby też wziął udział w spotkaniu i pozwolił jej, by – po raz pierwszy przed widownią – wypytała go o zamieszki 1968 roku. Bilety na to wydarzenie kosztowały pięćdziesiąt dolarów, a prywatna kolacja – dwieście pięćdziesiąt dolarów. Szkoła miała zarobić niemal pięćdziesiąt tysięcy dolarów: może nie była to donacja „diamentowa”, ale platynowa z pewnością, a zdaniem Cassandra – większa niż wystarczająca.

– Tak się cieszymy, że pani jest z nami – powiedział dyrektor. – Baliśmy się, że zagarnie panią uniwersytet na to ich sympozjum.

– Och, to spotkanie jest dla mnie o wiele ważniejsze.

A prawda była taka, że Uniwersytet Baltimore nawet się z nią nie skontaktował, nie zaprosili też jej ojca, żeby nagrał swoją opowieść do internetowego archiwum uczelni. Zraniło to Cassandrę, ale nie zaskoczyło: od czasu, kiedy *Córka swojego ojca* odniosła sukces komercyjny, krytycy wytoczyli jej wojnę. W pretensjach powtarzali zarzut, który po raz pierwszy wysunęła dość średnia afroamerykańska pisarka lesbijka: Cassandra przywłaszczyła sobie jedno z najważniejszych wydarzeń politycznych i zmieniła je – znała te słowa na pamięć – w historyjkę o urodzinach białej dziewczynki, które popsuł zamach na Martina Luthera Kinga, ble, ble, ble... Zdanie rozeszło się szerokim echem, ale Cassandra była dość mądra, żeby nie odpowiadać. Jednak w chwilach samotności, kiedy przypominała sobie, jak zabolęła ta krytyka, spierała się w głowie ze swoją nemezis, gwiazdą jednej książki, która podobno obiecała już trzy kolejne powieści trzem wydawnictwom: „Nie wykreślaj mnie z historii. Akurat ty powinnaś wiedzieć, co znaczy być wykluczoną, słyszeć, że nie brało się w czymś udziału – ze względu na rasę, płęć, orientację seksualną. Moja opowieść to moja opowieść. A mój ojciec – pokręcony i bynajmniej nie najwspanialszy człowiek – uratował tego dnia życie kobiety”. Tak, poduszka Cassandra słyszała te słowa już wiele razy.

Ale cóż, to była dopiero czterdziesta rocznica. Może coś się zmieni przy pięćdziesiątej. Uświadomiła sobie nieoczekiwanie, że wtedy pewnie już przy niej nie będzie ojca, i na moment straciła wątek wywodu dyrektora. Uśmiechała się tylko i kiwała głową. Uśmiech i potakiwanie nieraz tuszują nieuwagę.



– Pedant – zawyrokował Ric Fallows kilka godzin później, kiedy opowiadała mu o spotkaniu.

Było to jedno z jego ulubionych słów, uniwersalne potępienie na każdą okazję. Pedant, pedantyczny, pedanteria, pederasta – tego ostatniego epitetu używał wymiennie z „pedantem”, choć oczywiście wiedział, że oba te słowa znaczą co innego. Ironia polegała na tym, że Cedric Fallows był – w dosłownym sensie – o wiele bardziej pedantyczny niż ktokolwiek, kogo tak nazwał.

Tytuł „pedanta dnia” nosił jeden z jego sąsiadów w Broadmeade, który śmiał narzekać, że pan Fallows siedzi na swoim patio w szlafroku. I tylko w szlafroku. Ośrodek dla seniorów wzniesiono na podobieństwo wioski, z domami wokół wspólnych dziedzińców, więc sąsiedzi mogli bez trudu oglądać ojca w negliżu.

– Jeśli specjalnie patrzą – wytknął, kiedy Cassandra wspomniała o tej sprawie.

– Najwyraźniej patrzą. I nie mają nic przeciwko szlafrokowi. Przeszkadza im brak czegokolwiek pod spodem.

– Mówimy o zeszłym lecie. Po co to wywlekasz?

– Bo „wiosna przybyła” – zaintonowała wysokim głosem. – „Głośno śpiewaj, kukułko, w szlafroku”<sup>8</sup>.

Uśmiechnął się.

– To „lato przybyło”. A twoja wymowa staroangielska jest godna ubolewania.

Użyła jego sposobu: uczona aluzja, żeby rozluźnić atmosferę. Teraz porzuciła temat, żeby porozmawiać o zbliżającym się spotkaniu w Gordon School.

– Nie wiem, czy chcę iść.

Była zaskoczona. Spodziewała się, że ojca ucieszy chwila sławy. Nigdy nie zrobił wielkiej kariery naukowej, o jakiej marzył, nie wydał przełomowej książki, nie zmienił sposobu odczytywania mitów. „Pieprzony Joseph Campbell”, fukał od czasu do czasu. Cassandra nie wiedziała, czy ojciec uważa Campbella za uzurpatora, który przejął jego pomysły, czy za niszczyciela, który pozbawił je sensu.

– Zobowiązaliśmy się – powiedziała nerwowo, myśląc o planach, o biletach wyprzedanych na długo przed wydarzeniem. – Ogłosili już...

– Och, przyjdę, skoro muszę. Ale dlaczego ty nie mozesz wszystkiego opowiedzieć, tak jak w książce?

– Bo to twoja historia.

---

<sup>8</sup> Nawiązanie do słynnego angielskiego kanonu z XIII wieku o incipicie *Sumer is icumen in*.

– Była moja. Ale stała się twoja.

Skarga? Uznanie prawdy? A może coś pomiędzy?

Ojciec zawsze wydawał się z niej dumny. Pamiętała pierwsze spotkanie z czytelnikami, na którym miała podpisywać książki w walczącej o przetrwanie niezależnej księgarni w centrum Baltimore. Nikt nie przyszedł. Cassandra nie zostawiła w mieście wielu przyjaciół. Najmocniejsze więzi łączyły ją z kolegami z college'u i znajomymi z Nowego Jorku. W Nowym Jorku podczas pierwszego przyjęcia tuż po ukazaniu się książki księgarnia pękała w szwach od tłumu przyjaciół i pracowników wydawnictw. Potem wszyscy przenieśli się do restauracji. W Baltimore, gdzie wydawca spodziewał się entuzjastycznego powitania miejscowej dziewczyny, która sięgnęła po sławę, na spotkaniu promocyjnym pojawiły się dokładnie cztery osoby: ojciec Cassandry i Annie, matka jej i przyjaciółka, która sądziła, że Cassandra napisała historię walki o prawa obywatelskie w Baltimore. Wieczór był jednak wyjątkowy; po raz pierwszy od czasu kiedy Cassandra skończyła liceum, jej rodzice i Annie znaleźli się w jednym pomieszczeniu – ponieważ dostała dyplom w połowie semestru, nie zawracała sobie głowy ceremonią na koniec roku, po prostu spakowała się i pojechała do wynajętego mieszkania przy Lower East Side, a działo się to w czasach, gdy Lower East Side wciąż była Lower East Side.

Denerwowała się, czytając swoją książkę przed rodzicami. I przed Annie. Fragment, który zaznaczyła z myślą o promocji w księgarni, wydał jej się nagle nieodpowiedni: pisała w nim o próbach odtworzenia momentu spotkania ojca i Annie. Rodzice wychowali ją tak, że w sprawach seksu była bezpośrednia i szczerą, ale czy to dotyczyło ich życia intymnego? Matka wyjaśniła ośmioletniej córce biologiczną stronę seksu, a ojciec przez całe życie przekazywał swojej jedynaczce wiedzę o trudniej poddającej się opisom naturze pożądania. Miała sześć czy siedem lat, kiedy zwrócił jej uwagę na klientkę przy stoisku ze słodyczami na Lexington Market.

– Ta kobieta – powiedział, gestykulując łyżeczką od lodów – ma wspaniały tyłek. W *Kompleksie Portnoy'a* Philip Roth porównał taki tyłek do brzoskwini albo nektarynki. Dla mnie to zbyt pospolite. Prędzej wiolonczela albo bulwa amarylisa, z której kręgosłup wyrasta jak łodyga kwiatu.

Nie, musiała coś pomylić – wtedy książka Rotha jeszcze się nie ukazała. Pamiętała, że patrzyła na jej złotą okładkę – powieść leżała na szafce nocnej w mieszkaniu ojca i Annie – i myślała: „Nie ma na buty dla mnie, ale sobie książki kupuje, i to w twardej oprawie!” Uważał książki za rzecz równie ważną jak jedzenie. Mocno by się zdziwił, gdyby ktoś powiedział, że nie powinno się kupować książki, kiedy tylko przyjdzie na to ochota. A poza tym biblioteka

ojca była istną kopalnią wiedzy dla dziewczynki o brudnej wyobraźni. Cassandra zapoznała się z twórczością Rotha, Updike'a i Mailera. Przeczytała też *Candy*, choć niewiele zrozumiała, dopóki w college'u nie omówili Woltera. Współczesne powieści ze zbioru ojca o wiele lepiej niż klasyczne dzieła przygotowały ją na wejście w świat. Lektura nie uchroniła Cassandry od głupiego romansu z jednym z wykładowców, uzbroiła za to w wiedzę, że profesor nie ma aż tak wielkiej władzy, jaką przypisuje mu młoda kobieta.

Oczytana czy nie, z gustem wyrobionym własną ciężką pracą czy bez niego – Cassandra nie potrafiła przeczytać przed ojcem i Annie fragmentu książki, który o nich opowiadał. Tym bardziej że był również o matce i sztywnej, odprasowanej Lillian. W ostatniej chwili wybrała wyimek z prologu, ale jąkała się i potykała na słowach, jakby ich nigdy wcześniej nie widziała. Potem ojciec i Annie zabrali ją do Tio Pepe – zastanawiała się kwaśno, czy przegrali, czy wygrali w rzucie monetą – gdzie ojciec upierał się, że Lillian, nieświadoma swojej orientacji lesbijka, od lat kocha się w Lennie. Nawet Annie uznała ten pomysł za śmieszny.

– Och, Ric. – Westchnęła, trzepocząc rzęsami, a ojciec zapatrzył się na nią, jakby wciąż nie wierzył, że należy do niego.

Jak wspaniale było trzy lata później wrócić do Baltimore i przemawiać w audytorium biblioteki Enocha Pratta do gęstego tłumu ludzi, którzy z pasją czytali jej wspomnienia w tanim wydaniu. Przyszły głównie członkinie klubów miłośników książek, ale także kilka znacznie młodszych dziewczyn najwyraźniej dręczonych przez ojców, i kilku starszych mężczyzn: ze zbyt bliska badali zdjęcie autorki i uważali, że mogą jej pomóc w tej całej sprawie z ojcem, choć rzadko się do tego przyznawali, nawet przed sobą.

Dlaczego po tylu latach prowadzenia wykładów i ćwiczeń ojciec ma tremę przed wyjściem na scenę?

– Nie denerwujesz się, prawda?

– A denerwowałem się kiedyś przed publicznością? – odparował. – Poza tym to ty wszystko załatwiasz, tak? Zadajesz pytania, a ja odpowiadam.

– Cóż, zapowiadali, że to będzie rozmowa. Ty też możesz mi zadać kilka pytań. – Głos jej się załamał, kiedy stanęła nad odwieczną czarną dziurą: ojciec nigdy nie interesował się jej życiem. Ona mogła podać, na ile sposobów umie opisać tyłek kobiety, ale on nie potrafiłby powiedzieć, czym się zajmowali mężowie jego córki. A kiedy naciskała, mówił: „Cóż, jakoś nie widziało się ich w pobliżu”.

– Jasne, jasne – zgodził się teraz. – Puszczę ci kilka łatwych piłek.

– I powiesz o Annie? – zapytała ostrożnie.

- Co masz na myśli?
- O tym, jak ją spotkałeś, o okolicznościach.
- Jeśli będzie potrzeba. Ale to nieważne...
- Oczywiście, że ważne.
- Nie potrzebowałem żadnych zamieszek. I tak bym ją spotkał. Była moim przeznaczeniem.

Zawsze tak racjonalizował tę historię, a z czasem najwyraźniej uwierzył w swoją wersję. Nie zdradził matki: po prostu stanął oko w oko z przeznaczeniem i miał dość rozsądku, żeby nie sprzeciwiać się wyroczni delfickiej. Ciekawe, że w innych sferach życia nie uznawał czegoś takiego jak przeznaczenie.

Z trudem godziła się z faktem, że ojciec żywił do kogoś wszechogarniającą i nieprzemijającą namiętność, o wiele większą niż wszystkie, które Cassandra kiedykolwiek widziała. Znała oczywiście porywające uczucie zatracenia się w pierwszej fazie romansu, ale zadziwiali ją ludzie, którzy trwali w tym szaleństwie. Czy byłoby jej łatwiej, czy ciężiej, gdyby ojciec skierował tę pasję ku matce? W pewnym sensie cieszyła się, że ojciec darzył ogromną miłością kogoś innego, nie matkę, ponieważ dzięki temu przynajmniej ją miała dla siebie. Przy ojcu i Annie zawsze czuła się samotna, nie na miejscu. Zwłaszcza jako nastolatka nie mogła oprzeć się wrażeniu, że będąc w jej towarzystwie, myślą tylko o tym, żeby już sobie poszła i pozwoliła im do woli uprawiać seks. Nastolatki wszędzie widzą seks, nie da się ukryć. Ale nawet teraz, dorosła, dwukrotnie zameżna i rozwiedziona, uważała seksualną namiętność ojca do Annie za wyjątkowo długotrwałą. Kiedy Annie wychodziła z pokoju, rozglądał się zagubiony. Kiedy wracała, patrzył na nią z taką ulgą, że aż bolało. Szalał za Annie. Takie zdanie osobiście skreśliłby w wypracowaniu jako mętne, nieprecyzyjne i sztuczne. Jednak w jego przypadku była to prawda. I Cassandra nie miała pojęcia dlaczego.

Annie była naprawdę piękna, a drobne niedoskonałości twarzy – szpara między przednimi zębami, jabłkowa krągłość policzków, grube brwi, których nigdy nie regulowała – równoważyły komiksową perfekcję ciała. Była też urocza. I niegłupia. Ale również nie błyskotliwa. Ten ostatni fakt zastanawiał Cassandrę najbardziej. Skoro ojciec, słynny snob, wybrał kobietę o przeciętnej inteligencji, jaka z tego wskazówka dla jego córki? Z brzydkiego kaczątka Cassandra wyrosła na dość atrakcyjną kobietę. Niekoniecznie ładną, ale na pewno seksowną i pociągającą. Lecz każda wizyta u ojca przypominała jej, że cechy, które cenił najwyżej – inteligencja, bystrość – nie charakteryzowały jego wybranki, miłości życia. Umysł najwyższej jakości, mawiał ojciec za F. Scottem Fitzgeraldem, jest zdolny pomieścić dwie

sprzeczne myśli naraz, nie popadając w obłąd. Cassandra patrzyła na siebie, na Annie i stwierdzała, że ojciec ma umysł najwyższej jakości.

– Czas na obiad – odezwał się. Mógł gotować sobie sam, ale wolał jadać we wspólnej sali, choć zawsze upierał się przy drinku przed posiłkiem. Zachwiał się, wstając z fotela, więc Cassandra wyciągnęła ku niemu rękę.

– Nic mi nie jest – prychnął. – Trochę mi się kręci w głowie od tego drogiego dżinu, który mi ciągle dajesz. Za dużo w nim procentów.

Pił dżin, a drinka sporządzał według własnego przepisu, ale co tam.

– Chodź, tato – powiedziała. – Znów razem wejdziemy na wzgórze.

Uśmiechnął się zadowolony z tej aluzji do jednego ze swoich ulubionych wierszy.

– Będę pierwszy, zobaczysz.

## Chwiejnie w dół

Szkoła podstawowa numer 201 w Dickey Hill jesienią 1966 roku była nowiutka. W dniu jej otwarcia panował niewyobrażalny chaos. Stałam w korytarzu, niedaleko gabinetu dyrektora, z całej siły powstrzymując się, żeby nie złapać ojca za rękę. Ledwie pięć minut wcześniej strząsnęłam jego dłoń z ramienia. Odprowadzał mnie do szkoły – prawdziwe święto! Wspinaliśmy się na wzgórze za osiedlem Wakefield, co, oczywiście, wiązało się z recytowaniem wiersza *Johnie Andersonie, mój Jo*. I to ze szkockim akcentem, a jakże!

*Johnie Andersonie, mój Jo, mój Janku,  
znów razem weszliśmy na wzgórze.  
I dzień mieliśmy od poranku  
tak piękny, że trwać mógłby dłużej.  
Zaszło słońce, my schodzimy  
chwiejnym krokiem, w dłoni dłoń.  
U stóp wzgórza noc spędzimy,  
Johnie Andersonie, mój Jo.*

Wtedy po raz pierwszy, patrząc na ojca, poczułam ukłucie wstydu. Nie trwało długo – całe lata dzieliły mnie jeszcze od okresu, w którym wszystko, co dotyczy rodziców, stało się

nie do zniesienia, kiedy sam dźwięk głosu matki w samochodzie wywoływał nerwowe wzdrygnięcie – ale pamiętam, że przyspieszyłam nieco, żeby schodzący się uczniowie nie skojarzyli mnie z tym dziwnym człowiekiem.

– Wiesz, co znaczy słowo „oćmić”, Cassandra? – zapytał ojciec, nawiązując do jednej z linijek wiersza: „I jego skroń oćmiła chmura”.

Nie musiałam długo udawać, że bardzo mnie interesuje osiedle Wakefield. Zawsze podziwiałam domy i mieszkania. Te budynki z tarasami, na które teraz patrzyłam, nie mogły się równać z moim wymarzonym apartamentem na najwyższym piętrze wieżowca, lecz miały coś w sobie: szczególną zwartość, zwykle lubianą przez dzieci. Chciałam się zaprzyjaźnić z ich mieszkańcami, chciałam zobaczyć, co kryje się za drzwiami i zasłonami w oknach. Ten sam impuls kazał mi potem podjąć pracę w charakterze wolnego strzelca w magazynie piszącym o wnętrzach: ponury epizod. Dokądkolwiek szłam – chodnikiem w Wakefield czy długimi alejami, wiodącymi do różnych punktów miasta – zawsze chciałam poznać, jak mieszkają ludzie, czym żyją, o czym myślą.

Ponieważ zachęcano mnie, żebym dzieliła się z rodzicami każdym pomysłem, który przemknął przez mój żwawy dziecięcy umysł, powiedziałam o tym ojcu.

– Mam nadzieję, że w tych domach mieszkają dzieci i że pójdę do mojej klasy, i że się zaprzyjaźnimy, i będę do nich przychodzić po szkole, żeby się razem bawić.

Na Hillhouse Lane czułam się samotna: jedyne dziecko w pięciu okolicznych domach. Owszem, nie brakowało tam nastolatków, ale z nimi nie miałam nic wspólnego. Jak dla mnie mogli być niedźwiedziami, Marsjanami albo salamandrami.

– Twojej matce to by się nie spodobało.

– Dlaczego?

– Bo jest snobką.

Zastanowiłam się. Snob uważa się za lepszego od innych. To wcale nie pasowało mi do matki, która wciąż za coś przeproszała. Głównie mojego ojca. Za obiad: za godzinę podania i potrawy. Za to, że nie dopilnowała, żebym nie oglądała w telewizji *Peyton Place* czy kilka lat później *Miłości po amerykańsku* – ten program ojciec uznawał za tak obrzydliwy, że wprost nie mógł się od niego oderwać. Telewizja, którą pogardzał, okazała się stałym elementem moich weekendowych wizyt u niego, najpewniejszym sposobem, żeby mnie „rozerwać”. W piątkowe wieczory zasiadałam twardo przed ekranem, włączałam kanał ABC i zanurzałam się w świecie fantazji, w zlewających się rzeczywistościach *Bandy Bradych*, domowej magii *Niani i profesora*, harmonii *Rodziny Partridge'ów*, *Tamtej dziewczyny* (mojej idolki), *Miłości po amerykańsku*. Zabawa była przednia – a raczej byłaby,

gdyby nie komentarze ojca: „Aha, więc teraz tak wygląda farsa... do kosza z Sheridanem, Wilde won... prawiczki pierniczki, pierdolić to”... W wieku jedenastu lat wiedziałam już, kto to Sheridan i pani Malaprop, a także Oskar Wilde, który powiedział, że w jego kraju każdy może być dobry, bo nie ma w nim żadnych pokus. Wiedziałam nawet, co to prawiczki: ludzie, którzy muszą się jeszcze trochę postarać, żeby zrobić dzieci. Ojcu udało się jednak wykręcić od wyjaśnienia, co znaczy pierdolić. Musiałam więc dojść do tego sama i uznałam, że to coś, co dzieje się z pierniczkami. Pierniczki po jakimś czasie zaczynają się pierdolić.

Pierwszego dnia nauki w trzeciej klasie słowo „pierdolić” nie należało jeszcze do mojego słownika, chociaż znałam już wiele dziwnych wyrażen. „Zaprawiony” – tak mój ojciec mówił na kogoś pijanego. „Szenile”, dekoracyjna tkanina obiciowa, o której śniła moja matka, zmuszona urządzać dom z bardzo skromnym budżetem. „Antydisestabliszmentarianizm”, najdłuższy wyraz w słowniku. Umiałam go nie tylko przeliterować, ale nawet – na wyraźne życzenie ojca – opisać, co tak ogólnie znaczy. Dzisiaj wiem jeszcze mniej niż wtedy: ma coś wspólnego z angielskim Kościołem i przeciwnikami... czegoś tam. I tak mogłam też powiedzieć, co znaczy oćmić, choć tylko na podstawie kontekstu: zachmurzyć się, pokryć cieniem. Zaczynając naukę w trzeciej klasie, planowałam niby to przypadkiem rzucać w rozmowie te i jeszcze inne słowa, żeby nikt nie wątpił w wysoką jakość mojego intelektu.

Kiedy ojciec zdobył kartkę z informacją, do której klasy zostałam przydzielona, pożegnałam się z nim i, usiłując nie okazywać paniki, ruszyłam na piętro. Pani Klein była młoda i ładna – po prostu ideał nauczycielki. Sala wypełniała się szybko. Rozejrzałam się, szukając swojej najlepszej przyjaciółki. Zauważyłam znajomą osobę – nieśmiałą, jasnowłosą dziewczynkę z sąsiedztwa, ale ją odrzuciłam. Miała dziwne oczy, z ciemnymi kręgami. Podsunęłam się w stronę grupki trzech uczennic, które wyglądały na najbardziej pewne siebie. Ławki były zestawione po cztery, a dziewczynki wybrały miejsca przy oknach, mniej więcej na środku sali.

– Mogę tu usiąść? – zapytałam najmniejszą.

Zerknęła szybko na pozostałe dwie. Jedna była wysoka i mocno przy kości, ale od razu się zorientowałam, że nikt nie śmiałby kpić z jej wagi. Druga, ładna i wstydliva, unikała mojego wzroku. A wszystkie trzy czarne – tak właśnie bym je wtedy nazwała i jeszcze byłabym z tego dumna. Do naszej klasy chodziło tyle samo białych, ile czarnych dzieci – w przeciwieństwie do szkoły imienia Tomasza Jeffersona, gdzie w klasie uczyły się tylko dwie Afroamerykanki. Ale podeszłam do tych dziewczynek nie ze względu na ich kolor skóry. Wtedy w ogóle mnie to nie interesowało. Ale później zaczęło interesować – aż do przesady –

rodziców. Ojciec ponad miarę wychwalał moje przyjaciółki, a matka w zasadzie gratulowała sobie, że ich mamy to takie miłe i grzeczne panie. Z wyjątkiem mamy Fatimy.

Ojcu podobała się zwłaszcza Donna, „pięknooka Donna”, jak zawsze ją nazywał, ale lubił też Tishę i Fatimę. Nie pozostały moimi jedynymi przyjaciółkami w Dickey Hill. Z czasem poznałam dziewczynki, które mieszkały na osiedlu Wakefield. Często je odwiedzałam. Ich domy okazały się niemal tak ciekawe, jak się spodziewałam: małe, stłoczone pokoje, zupełnie jak w mysiej norze. Ale w szkole spędzałam czas z Donną, Tishą i Fatimą. Byłyśmy bystre, zawsze w pierwszym rzędzie, a każda miała jasno wyznaczoną rolę. Ja dostawałam dobre stopnie – one też, ale ja najlepsze. Donna słynęła jako artystka. Śmiała Fatima przecierała szlaki dla reszty. A Tisha pełniła funkcję szefowej i opiekowała się pozostałą trójką. Wydawało nam się, że możemy wszystko.



# **Szklane domy**

1-2 marca

## Rozdział 8

– Dzień dobry, kochanie.

Cassandra zasypiała głęboko i z trudem się budziła. Wszyscy, którzy znali ją naprawdę dobrze – rodzice, obaj eksmężowie – wiedzieli, że potrafi przez sen odebrać telefon i nawet wypowiedzieć kilka na pozór składnych zdań. Dzisiejszego ranka czuła się szczególnie zdezorientowana: nie miała pojęcia, gdzie jest – ach, tak, Baltimore, wynajęte mieszkanie – ani kto dzwoni. Śniło jej się coś... miłego, tyle mogła powiedzieć.

– Bernard – wymruczała wreszcie nieco przytomniejszym głosem. – Jaki dziś dzień?

Zaśmiała się, jakby żartowała, a przecież mówiła serio. Ponad dziesięć lat pisarskiego życia nie przyzwyczyliło jej jeszcze do tego szczególnego efektu zlewania się dni, które niczym się od siebie nie różnią. Poniedziałek? Nie tylko uwierzyła – spodobało się jej nawet, że jest poniedziałek. W miarę jak mijał tydzień pracy, wyczuwała wokół siebie narastającą falę dobrego humoru, choć nie dzieliła entuzjazmu z tymi wszystkimi ludźmi spotykanymi w kawiarniach i restauracjach. Brakowało jej zwłaszcza beztrudnej atmosfery piątkowych wieczorów, luksusowej pustki sobót – jednak nie do tego stopnia, żeby zapragnęła poznać też ponurą rzeczywistość zwykłych dni roboczych. Tak chyba czują się ludzie przyjmujący stale leki: każdy dzień jest mniej lub bardziej podobny do poprzedniego.

Oczywiście ona sama nigdy tego nie doświadczyła. Pod tym względem naprawdę była córką swojego ojca. Ric Fallows szczylił się, że nigdy nie zażywał nic poza aspiryną czy antyhistaminą. Cassandra wiedziała, że ta postawa jest rodzajem fanatyzmu, możliwego dzięki dobremu zdrowiu, lecz nie potrafiła jej nie przejąć. Śmieszyło ją trochę, kiedy lekarz zapisał ojcu Lipitor<sup>9</sup>.

Sama raz w życiu – na krótko przed rozpadem pierwszego małżeństwa – dostała receptę. Nie zrealizowała jej, choć swojemu psychiatrze powiedziała co innego. Skontaktował się z nią, kiedy wyjawiała to w drugiej książce. Był wściekły – wściekły! Twierdził, że mówiąc całemu światu – a raczej mniej więcej ośmiuset tysiącom czytelników – iż zlekceważyła zalecenia lekarza, podważyła jego kompetencje. I nieważne, że nie podała jego nazwiska – uprzedzał jej obronę.

„Pragnę Pani przypomnieć – grzmiał w e-mailu, że zgodnie z prawem wystarczy, aby oczerniona osoba została zidentyfikowana przez część zainteresowanych, nie przez

---

<sup>9</sup> Lipitor – lek podawany przy podwyższonym poziomie cholesterolu (przyp. red.).

wszystkich. Na przykład Pani były mąż wiedziałby, że ten fragment odnosi się do mnie, a więc można tu implikować oszczerstwo”.

Odpisała tak: „Trudno, żeby mój mąż miał na Pana temat zdanie jeszcze gorsze niż to, które wyrobił sobie na podstawie pańskich rad. Dziś jestem zadowolona z tego, jak wszystko się ułożyło, więc nie obchodzi mnie lekceważenie etyki zawodowej, tępota i nieumiejętność słuchania, jakimi się Pan wykazał. Skoro jednak tak bardzo martwi się Pan o swoją reputację, proszę przyjąć do wiadomości, że »implikowac« pisze się przez »m«. Pozdrawiam, pańska była pacjentka, obecnie w niezłym stanie, nie dzięki Panu”.

Dzisiaj nie wysłałaby takiego e-maila – bałaby się, że facet umieści go w internecie. Ale wtedy poczuła się naprawdę świetnie. Mądrze zrobiła, nie zgadzając się na prochy, które jej wciskał. Sekretem szczęścia nie jest to, że się nic nie czuje.

Nie był nim też Bernard.

– Jest sobota – odezwał się. – Tilda pojechała na weekend do Connecticut, do siostry. Mogę wpaść?

– Mógłbyś, gdybym siedziała u siebie w domu. Ale jestem w Baltimore, pracuję nad nowym projektem. Mówiłam ci przecież.

Już całkiem rozbudzona słyszała wszystko – nawet to, co nie zostało powiedziane.

– Sądziłem, że będziesz wracać na weekendy.

– Na niektóre, tak. Tylko, że nie miałam pojęcia, że uda ci się wygospodarować wolny czas w sobotę.

– Ja też. I od razu o tobie pomyślałem.

– Jesteś uroczy. – Stłumiła ziewnięcie.

Bernard był uroczy. I bardzo czuły, nie tylko dla niej, ale także dla swojej żony. Zdradzał ją, owszem, ale romansował delikatnie i niezwykle ostrożnie. Cassandra potrafiła uzasadnić i wytłumaczyć sobie związek z żonatym mężczyzną: chodziło tylko o seks i towarzystwo od czasu do czasu. Nie interesowało jej małżeństwo, a wszyscy mężczyźni, z którymi się spotykała, prędzej czy później uznawali to za nieznośne. Bernard naprawdę kochał swoją żonę, dlatego wydawał się idealnym partnerem. Mogła dokładnie zaplanować spędzany z nim czas – zwykle wiele tygodni wcześniej.

Jednak ostatnio stawał się coraz bardziej wymagający. Nie był w Cassandrze zakochany, ale nie umiał się pogodzić z faktem, że ona nie zakochała się w nim. Romans wygasał. Miała nadzieję, że rozstaną się w zgodzie. Prawdę mówiąc, liczyła na to, że kiedy wyjedzie do Baltimore, Bernard odzwyczai się od niej, a potem rozejdą się gładko i bezboleśnie.

- Może bym cię tam odwiedził – zaproponował. – W weekend szybko się jedzie.
- Pracuję – skłamała.
- W sobotę?
- Mam umówionych kilka wywiadów.
- A jak książka?
- W porządku. – Oby. Tak naprawdę nie wiedziała.

Bernard, którego poznała rok wcześniej na wykładzie, musiał jednak wierzyć, że jeśli chodzi o pisarstwo, Cassandra nigdy nie traci wiary w siebie ani pewności. Przeczytał jej powieść przed publikacją i stwierdził, że jest wspaniała. Pracował na Wall Street – jego prognozy finansowe były o wiele trafniejsze niż sądy o literaturze. Szkoda, że nie ostudził jej wtedy: mógł przecież przypomnieć, że żadna hossa nie trwa wiecznie. „Na każdy towar przychodzi krach”, powiedział ostatnio. Chodziło o ropę, ale Cassandra wciąż się zastanawiała, czy do niej także się to odnosi.

- Tęsknię za tobą – wyznał tonem pełnym ukrytego znaczenia.
- Cóż, przynajmniej nie stwierdził, że ją kocha. To byłaby katastrofa.
- Ja za tobą też – zapewniła w pewnym sensie szczerze.

Chciałaby mieć go teraz w łóżku. Był czułym kochankiem, a szczególnie podniecał go fakt, że ma romans – pierwszy, jak się zarzekał. Cassandra nie do końca mu wierzyła, choć rozumiała, że sam jest o tym przekonany. Wyczuwała w nim seryjnego monogamistę: wiernego żonie i aktualnej kochance. Przypominało to linię kolejową z dwoma torami. Na lokalnym biegu jego małżeństwo z Tildą, słodką blondynką, której zdjęcie od czasu do czasu pojawiała się w dziale „Niedzielny szyk” w „Timesie”, kobietą w staroświeckim, tradycyjnym stylu, wrażliwą, oddaną dobroczynności. Tor ekspresowy łączył kolejne romanse z kobietami, z którymi Bernard nigdy nie związałby się na poważnie. Cassandra była pierwszą twórczą osobowością w tym gronie. Pewnie zdążyłby się nią już znudzić, gdyby udawała, że go kocha. Ale na to zwyczajnie nie miała siły i energii.

- Ja... – zaczął.

Przerwała mu natychmiast: nie mogła sobie pozwolić, żeby to usłyszeć.

- Przyjadę w przyszłym tygodniu, w poniedziałek albo wtorek. Mam spotkanie z wydawcą. Zwykle bywasz wolny wieczorem, prawda?
- Tak, jeśli dasz mi wcześniej znać.
- Dam. Dużo, dużo wcześniej. – I odwołam w ostatniej chwili. Czym, na krótką metę, niczego nie osiągnie. Jeśli wciąż będzie go traktować chłodno i z dystansem, jeśli pozostanie

niedostępna, Bernard może zechcieć rzucić dla niej Tildę. – Do widzenia, kochany – dodała. Miała nadzieję, że przymiotnik wystarczy.

Już w ogóle nie chciało jej się spać. Był słoneczny, choć chłodny marcowy poranek. Niesamowite, jak pogoda wpływa na nastrój. Niebo szare czy niebieskie, jej życie przecież się nie zmieniało. Czy jest szczęśliwa? Powinna być. Ma pieniądze, zdrowie, nawet opiekę zdrowotną. Żyła, jak chciała. Bez męża ani dzieci, ale te sprawy uważała za przereklamowane. Był Bernard – choć akurat to oznaczało regres. Drugą książkę zakończyła zapewnieniem, że wyrosła już z bezsensownych, powierzchownych romansów, że czuje się dobrze sama ze sobą.

Czy jest szczęśliwa? Albo chociaż zadowolona? Ktoś naprawdę szczęśliwy i zadowolony nie walczyłby tak zaciekle z własnym starzejącym się ciałem. Pozwoliłby włosom posiwieć, dałby sobie spokój z zabiegami odmładzającymi u kosmetyczki, a przede wszystkim olałby siłownię i syzyfowy bój z grawitacją. Jednak Cassandra obawiała się, że jej życie jest za wygodne, że w całym tym komforcie drobiazgi urastają do wielkich problemów – tylko w siłowni napotyka czynny opór. A raczej – napotykała do czasu ukazania się powieści.

Zaraz, czy ktoś nie napisał wiersza o tym, jak błahostka, zerwane sznurowadło, potrafi złamać człowieka? Podeszła do laptopa i wstukała w wyszukiwarkę „zerwane sznurowadło”. Dziewięć wyników, z czego połowa dotyczyła książki Nicholsona Bakera *Antresola*. Autor jakiegoś blogu przypisywał natomiast ten fragment Charlesowi Bukowskiemu, więc zaczęła szukać od nowa, łącząc „Bukowski” i „sznurowadło”. W końcu znalazła, wiersz nawet nosił tytuł *Sznurowadło*. Ach, pęknięte, nie zerwane. Pęknięte sznurowadło, przez które mężczyzna – lub kobieta, dodawał Bukowski z zaskakującą w jego czasach polityczną poprawnością – trafia do domu wariatów.

Czytała, pełna podziwu dla poety, którego nigdy wysoko nie ceniła. Jej postępowy ojciec nienawidził „nowych głosów”: Bukowskiego, Ginsberga, Kerouaca, Burroughsa. Ten, kto ogłasza się rewolucjonistą, nigdy nim nie jest, mawiał, przekazując w ten sposób, że sam należy do nielicznych prawdziwych rewolucjonistów. Cassandra, choć zaprzeczała mu w wielu kwestiach, w tej się nie sprzeciwiła. Była zbyt zajęta czytaniem Sidneya Sheldona i Judith Krantz. I tej naprawdę wstrząsającej książki – *Laurel Canyon?* – w której masochistka pozwala się zgwałcić grupie mężczyzn, czemu przygląda się inny mężczyzna. Tyle, że ten ostatni okazuje się bohaterem i ratuje inną bohaterkę, nie tę masochistkę, z toksycznego związku. Jaka nastolatka miałaby czas na Bukowskiego, skoro są na świecie takie książki?

Dzisiaj mogła mu poświęcić sporo czasu, zaintrygowana listą rzeczy, które według niego doprowadzają do szaleństwa. Problemy z samochodem, z zębami, awokado za pięćdziesiąt centów. Przed tym samym drżała jako dwudziesto – i trzydziestolatka. Naprawa samochodu, wizyta u dentysty – zawsze wymagająca dopłaty, choćby się miało najlepsze ubezpieczenie. Do listy dodałaby: tanie bułgarskie wino, które zaczęli pić z mężem, bo butelka kosztowała tylko pięć dolarów, kradzież papieru toaletowego z Burger Kinga – popełniła to przestępstwo kilka razy w okresie, kiedy starała się przeżyć jako asystentka w wydawnictwie; zniszczenie świeżutkiego manikiuru, za drogiego i całkowicie nieuzasadnionego... Bukowski sporządził też litanię problemów politycznych, ale Cassandra nie rozumiała, jak wydarzenia na świecie mogą odebrać komuś rozum – bezpośrednio, oczywiście.

I w tym właśnie sęk, pomyślała. Wypalona żarówka w korytarzu po długim, męczącym dniu wywołuje atak szału, ale czy lęk przed globalnym ociepleniem spowoduje, że wymienisz ją na energooszczędną? Nienawidziła określenia „pusty naród”, lecz gdyby poczuła, że ma do tego prawo, rozprawiałaby bez końca o ludzkiej obojętności, o bezwładzie, bezsilnej niechęci do działania. Dzisiaj, kiedy pękło sznurowadło, człowiek siadał przy komputerze, czytał artykuł o kolejnej obłąkanej filmowej gwiazdce, po czym zamawiał przez Internet nowe buty. Kto miałby czas szukać sznurowadeł?

Wróciła do prostokątnej paszczy Google’a, która wyglądała, jakby czekała na żer. No dobrze, niech będzie sobotni ranek. Cassandra jest w Baltimore, nie ma nic do roboty, nie ma dokąd iść. Ostatecznie może zabrać się do pracy, wtedy kłamstwo stanie się prawdą. Wpisała „Leticia Barr”. Nic. Spróbowała „Tisha Barr”. Znów nic. „Donna Howard”. Tym razem kłętka urodzaju: to samo nazwisko nosiły senatorka z Teksasu i znana wróżka. Fatima, wielka Fatima. Na pewno nie przeszła przez życie niezauważona. Nie, jednak nic. Czyżby wszystkie przyjęły nazwiska mężów? Nawet feministki tak robiły, zwłaszcza kiedy pojawiały się dzieci. Cassandra uświadomiła sobie, że jedno nazwisko, na pewno pozostało takie samo: Reginald „Słodziak” Barr – oczywiście bez ksywki. Natychmiast trafiła na stronę kancelarii Howard, Howard & Barr.

Ach, jaki przystojniak! Na zdjęciu w gazecie nie wyglądał aż tak zabójczo. Może fotografia na stronie została wygładzona? Zręczny grafik z Photoshopem potrafił zamaskować niejedną skazę na urodzie; najlepszym dowodem – jej własna podobizna w książce.

Chciała kliknąć na przycisk „Kontakt”, ale cofnęła rękę. Wiadomość z formularza na stronie odczyta jakiś stażysta, a poza tym to będzie wskazywać, jak bardzo Cassandrze na czymś zależy, i utrwali jej pozycję petentki. Nie, w sobotę rano nikt nie siedzi w pracy.

Sprawdziła adres: wielki biurowiec w samym centrum, gdzie działa mnóstwo kancelarii. Idealne miejsce na przypadkowe spotkanie. Właśnie od tego zacznij.

Czy Reginald ją rozpozna? Ludzie często ją rozpoznawali. Podobno jej twarz nie różniła się zbyt od tej, którą zapamiętali sprzed dziesięciu, dwudziestu, trzydziestu, nawet czterdziestu lat. Nie wiedziała, czy traktować to jako komplement, kłamstwo czy obrazę. Twarz powinna zmieniać się z wiekiem, a jej – jak uważała – wyglądała lepiej niż w dzieciństwie, kiedy przypominała ryjek pulchnego chomika. Ważniejsze było co innego: czy ona rozpozna Reginalda. Czy został w nim ślad małego „Słodziaka” Barra? Wciąż miał dołączki – choć ze zdjęcia na stronie patrzył poważny prawnik, specjalista, wojownik o prawa swoich klientów.

Tak, pewnie go rozpozna. Jedyny problem, że musi poczekać aż do poniedziałku. Wzdychając, sprawdziła repertuar pobliskiego kina, pomyślała, że warto byłoby ugotować coś ekstra, pożałowała, że nie ma dla kogo gotować. Skoro zerwane – pęknięte – sznurowadło może doprowadzić do obłądzenia, co się dzieje z ludźmi, którzy nie martwią się o sznurowadła i awokado za pięćdziesiąt centów? W wynajętym mieszkaniu, dziewięć pięter nad rodzinnym miastem, Cassandra czuła się jak bibelot owinięty w watę, odległa od codziennych trosk. Na siłowni ćwiczyła ciało, żeby nie zmiękło, ale co z duszą? Nie chciała, żeby sensem, celem i osią jej życia był mężczyzna, czy nawet praca. Wcale też nie pragnęła mieć znowu dwudziestu trzech lat, debetu na koncie i pustej lodówki. A jednak brakowało jej tych emocji, które towarzyszyły odkryciu w miejscowym sklepie bułgarskiego wina, śmiechu na widok etykiety i ceny. Śmianie się z samej siebie – tę umiejętność już niemal zatraciła.

## Rozdział 9

Inaczej niż w Nowym Jorku, w wieżowcach w Baltimore jest trzynaste piętro. Baltimoreczycy nie są przesądni i nie wierzą, że usuwając trzynastkę z panelu windy, unikną pecha. Gloria zawsze to w nich cenila. Co daje nazwanie trzynastego piętra czternastym? Nic, poza tym, że od trzynastego w górę wszystkie numery pięter stają się kłamstwem.

Mimo to jedynie czysty przypadek sprawił, że Gloria mieszkała na trzynastym, najwyższym piętrze Highfield House. Czyhała na okazję przez wiele lat. Ciągłe oglądała budynek, wzniesiony na początku lat sześćdziesiątych, według projektu Miesa van der Rohe. A potem, kiedy znalazł wreszcie odpowiedni lokal, musiała czekać jeszcze rok, zanim architekt wypatroszył go i zaprojektował od nowa. Wieżowiec miał niewiele wspólnego z sąsiednimi ceglanyymi gmachami, które wydawały się bardziej okazałe, wspaniałe, pełne przepychu. Wzniesiony z białej cegły i szkła, wsparty na palach Highfield House był, w zamierzeniach, dopełnieniem otaczającego krajobrazu. Gloria postarała się odtworzyć ten sam klimat w swoim mieszkaniu, pomyślanym jako oprawa dla kolekcji sztuki abstrakcyjnej i stylowych mebli z połowy XX wieku. Gdyby urządziła przyjęcie, goście zdziwiliby się, widząc nieskalany, nowoczesny apartament, tak niepasujący do właścicielki.

Jednak Gloria nigdy nie zapraszała gości. To jej dom – i chciała go mieć tylko dla siebie.

Świat, który zobaczyła po przebudzeniu tego sobotniego poranka, oświetlało anemiczne zimowe słońce. Pozwoliła sobie na luksus powolnego wchodzenia w dzień, z dzbankiem kawy, tostem ze sklepu Eddiego, komentarzem Scotta Simona ze stacji NPR w tle. Nie wsłuchiwała się w treść komunikatów, po prostu lubiła ton jego głosu, wyciszający i kojący. Na pierwszej stronie „Beacon-Light” znalazła artykuł o swoim dzielnym skaucie Buddym Harringtonie. Wiedziała, co to znaczy: redakcja uznała temat za zbyt słaby na pierwszą stronę wydania niedzielnego. Artykuł był wyssany z palca – nie mówił nic nowego. Autor próbował sobie poradzić inaczej: przedstawił morderstwa w kontekście ogólnokrajowym i użył statystyk, żeby dowieść, jak rzadko dzieci zabijają rodziców. O tak, to na pewno poprawi humor wszystkim rodzinkom, które zasiadają właśnie do śniadania. Statystycznie ojcobójstwo i matkobójstwo jest rzadkością. Wspaniale, chodźmy do hipermarketu i kupmy coś, żeby to uczcić, a w drodze do domu zajrzemy do McDonalda.

A szanse, że dziecko zostanie zamordowane przez rodziców? Tak, te były znacznie większe. Gloria zrobiła rozeznanie w tych sprawach, na wypadek gdyby musiała bronić



swojego dzielnego skauta a la Menendez<sup>10</sup>. Rodzice zabijali dzieci o wiele częściej niż dzieci rodziców, choć tylko sporadycznie wybierali na cel nastolatka. Zazwyczaj z ich rąk ginęły małe dzieci. Niemowlę niemal zawsze morduje matka, zwykle uboga i prawdopodobnie chora psychicznie.

Jak Calliope Jenkins. Która – Gloria z chęcią przypominałaby o tym reporterowi, choć oczywiście nigdy nie rozmawiała o Callie, zwłaszcza z dziennikarzami – oficjalnie nie została uznana za winną. Nie stwierdzono też u niej choroby psychicznej. Spędziła w więzieniu siedem lat, nie można jej nazwać morderczynią.

Kiedy ta sprawa trafiła do kancelarii Howard & Howard, Gloria była współniczką. Pracowała *pro bono*, co prawnicy z kancelarii robili od czasu do czasu. Andre Howard nie zajmował się jednak morderstwami, a jego brat Julius miał jeszcze nadzieję – on jeden – że kiedyś zostanie burmistrzem. Rzucili więc tę sprawę jak kość swojej wiecznie głodnej współniczce.

A Gloria, tym ambitniejsza, że późno zaczęła robić prawniczą karierę, naiwnie uznała, że to nagroda – albo, w najgorszym przypadku, próba jej umiejętności.

Przekroczyła już wtedy trzydziestkę. Jako dwudziestolatka marnowała swoje siły w systemie szkolnictwa publicznego Baltimore. Uczyła angielskiego w liceum i już to wydawało się niezwykłym osiągnięciem, jak na nieślubną córkę woźnej. Plotka głosiła, że ojcem Glorii był eksburmistrz albo członek rady miejskiej. Ten mit powstał po latach, żeby wyjaśnić jej prawnicze talenty. Gloria nie знаła swojego ojca, ale wiedziała jedno: swojego sukcesu nie zawdzięczała genom. Po prostu zapragnęła odnieść sukces, kiedy zdała sobie sprawę, że nikt nie wierzy, że się jej powiedzie.

Wciąż pamiętała pierwsze spotkanie z Calliope Jenkins nie została aresztowana – jeszcze nie – ale, choć była dość głupia, żeby zgodzić się na przesłuchanie bez prawnika, okazała się dość mądra, żeby nic nie powiedzieć. Według informacji Glorii policja zażądała nakazu przeszukania domu podejrzanego, a sędzia przekazał sprawę braciom Howard. Przyjęła zadanie z radością. Rezygnując z wynagrodzenia na obronę, przestawała co prawda zaliczać się do najlepiej zarabiających współników, lecz sprawa najwyraźniej była ważna dla

---

<sup>10</sup> Bracia Lyle i Eric Menendezowie w 1989 roku bestialsko zamordowali swoich rodziców. Ich sprawa była bardzo głośna. Pierwszy proces zakończył się unieważnieniem, ponieważ ława przysięgłych nie była zgodna, czy są winni morderstwa czy nieumyślnego spowodowania śmierci. Bracia przyznali się do zabicia rodziców, twierdzili jednak, że zrobili to w samoobronie, po latach psychicznej, fizycznej i seksualnej przemocy z ich strony. Prokuratorzy dowodzili, że Lyle i Eric czekali na spadek i dlatego przyspieszyli śmierć rodziców. Ostatecznie w 1996 roku Mendezowie zostali skazani na dożywotnie więzienie bez prawa zwolnienia warunkowego (przyp. tłum.).

Howardów. Czyżby miała zostać współpracowniczką w kancelarii? Nie udało się to w tamtym czasie żadnej białej kobiecie – ani nawet mężczyźnie.

Pojechała na Amity Street i zaparkowała przed szeregowcem kilka godzin po tym, kiedy wyszła stamtąd policja. Calliope obejrzała ją od góry do dołu – bez podejrzliwości, choć nieufnie. Miała niepokojący wyraz oczu. Czy była szalona? Możliwe. Gloria zawsze czuła, że Calliope widzi zarazem więcej i mniej niż inni.

– Nie mam nic do powiedzenia – oznajmiła.

– Jestem twoją prawniczką. Z kancelarii Howard & Howard. Będziemy cię reprezentować *pro bono*.

– Wiem. – Calliope uśmiechnęła się ściągniętymi ustami.

Gloria nie była pewna, czy jej klientka wie, co znaczy *pro bono*, czy może zakładała, że dostanie prawnika za darmo.

– Jako twój obrońca, chcę, żebyś dobrze zrozumiała swoją sytuację. Powołałaś się na konstytucyjne prawo odmowy zeznań, które mogą cię obciążyć. – Skąd tyle nadętych słów? W Calliope Jenkins było coś denerwującego. Niekoniecznie czyste zło, jak w dzielnym skaucie, lecz coś, co sprawiało, że Gloria pragnęła wypaść w jej oczach jak najlepiej. – Sędzia może jednak skazać cię za obrazę sądu i przetrzymać w więzieniu, póki nie ujawnisz miejsca pobytu dziecka. Jeśli potrafisz dowieść, że syn jest bezpieczny, powinnaś rozważyć tę możliwość.

– Sędzia odebrał mi pierwszego syna – powiedziała Calliope słabym głosem. – Donntay'a też by zabrali.

– Owszem, to uzasadniona obawa – zgodziła się Gloria, próbując nie okazać zaskoczenia. Wiedziała tylko o jednym dziecku, tym, którego zaginięcie zgłosiła opieka społeczna. Calliope straciła pierwsze dziecko? Ciekawe, czy uda się to utrzymać w tajemnicy. Nie, będzie przeciek, ktoś z opieki społecznej się wygada. A może nie? Przez trzy miesiące zaniedbali wizyty u matki z problemami, teraz na pewno ziemia paliła im się pod nogami. Prawo jasno zakazywało zapobiegawczego odbierania dzieci rodzinom, w których wcześniej występowały przemoc i zaniedbania, ale opinia publiczna zażąda krwi i nawet najwyższej postawieni urzędnicy mogą nie czuć się bezpieczni.

– Nie muszę nic mówić. – To była jej mantra.

– Jasne. Ale pamiętaj, że sędzia nie daruje ci milczenia. On jakby... reprezentował twój syna. Zrobi wszystko, co uzna za niezbędne dla jego dobra.

– Mój syn, mój syn... – Twarz Calliope skurczyła się, głos przeszedł w cichy jęk.

Wyglądała, jakby nie spała ani nie jadła od wielu dni. Na pewno się nie myła. Pachniała pleśnią i chyba też moczem. Później przysięgała, że nie jest narkomanką, ale w to Gloria nigdy do końca nie uwierzyła. Calliope po prostu wyszła z nałogu. Siedem lat w więzieniu – musiała przestać brać.

– Jeśli możesz, spróbuj dowieść, że twojemu synowi nic nie jest. – Gloria uważała na każde słowo, omijała te, które skłaniałyby Callie do wyznań. Nikt nie powiedział tego otwarcie, lecz Gloria wyczuwała, że w tej sprawie braci Howard interesuje tylko fakt, że podejrzana odwołuje się do piątej poprawki. Andre Howard chciał, żeby Gloria kontynuowała tę taktykę, żeby jego firma wyszła na tym jak najlepiej. – Jeśli jest bezpieczny, powinnaś to udowodnić.

– Aha, aha. – Calliope wydawała się całkowicie rozbita psychicznie, wytrącona z równowagi. Jak zdołała przetrzymać pięć godzin przesłuchania i nic nie ujawnić? – Nie, nic nie powiem. Chcę się powo... powo... Powołać. Nie martw się o terminologię. Będę tam z tobą, na przesłuchaniu przed sądem. Możliwe, że po nim trafisz do więzienia, ale ja będę przy tobie.

– Będziesz przy mnie? – zapytała z niedowierzaniem, nadzieją i zaskoczeniem.

– Tak.

– Cały czas?

– Cały czas. – Nigdy nie mówiła bardziej szczerze. I, jak się miało okazać, nigdy się bardziej nie pomyliła.

Calliope Jenkins została zamknięta na siedem lat, a Gloria występowała w jej obronie przez pięć lat. Potem odeszła z Howard & Howard, żeby założyć własną kancelarię, i przekazała sprawę Reggiemu Barrowi, swojemu najlepszemu przyjacielowi w pracy, powiernikowi i – rywalowi. Zdradziła Calliope, a co najgorsze, Calliope nie wydawała się tym zaskoczona ani zła. Zdrada była w jej świecie naturalną kolejną rzeczą.

Jedynym pocieszeniem okazało się to, że Calliope należała do tych nielicznych kobiet, na które nie działał urok Rega.

– Nie lubię jego wody kolońskiej – stwierdziła, kiedy Gloria wypytywała, dlaczego nie podoba się jej nowy obrońca. – Za słodka.

Za słodka. To ostatnie słowa Calliope Jenkins. Za słodka. Później Gloria nieraz słuchała wyzwisk od swoich klientów, którzy oskarżali ją o straszne rzeczy i prosili, żeby robiła straszne rzeczy – a zdawało się nawet, że dostała w twarz. Jednak nic nie bolało tak bardzo, jak pozbawiona emocji rezygnacja Calliope Jenkins, obojętność, z jaką przyjęła

wiadomość o zdradzie. Na koniec Gloria dbała jeszcze o jej uczucia, zapewniając, że nowy prawnik jest świetny. Poza tą wodą kolońską.

Białe poranne niebo przeciął samolot lecący na południe, w stronę lotniska. Ten widok zawsze poprawiał jej nastrój. Podróżowała tylko dla przyjemności, zawsze w klasie biznesowej, i nie wyobrażała sobie, jak można się czuć nieszczęśliwym podczas lotu. Wszystkie podróże były radosne, a na każdego pasażera czekał ktoś wspaniały albo jakieś cudowne miejsce. Ciekawe, że mieszkając w Highfield House od połowy lat dziewięćdziesiątych, Gloria przez długi czas nie zauważała, jak częstymi gośćmi są samoloty na niebie nad jej domem. Dopiero po jedenastym września 2001 roku, kiedy wstrzymano loty, zdała sobie sprawę, że czegoś brak, coś się zmieniło, a i też nie od razu. To jak zimny prysznic – zrozumieć, że coś może stać się obecne dopiero przez nieobecność. W roku zaginięcia Donntay'a Jenkinsa wydział opieki społecznej stanu Maryland rozpoczął sześćset dochodzeń w sprawie przemocy wobec dzieci lub zaniedbań ze strony opiekunów.

Tylko, że Donntay Jenkins, chłopiec, którego nikt nie widział – nie doczekał się nawet żadnego zdjęcia poza tym ze szpitala, zrobionym tuż po narodzinach; wyglądał na nich jak wykrzywiony, włochaty Marsjanin – stał się jedynym dzieckiem, o jakie wszyscy się martwili. Póki nie pojawiła się kolejna podobna sprawa. Dziewczynka umarła z głodu; niemowlak był karmiony metadonem. I jeszcze jedno, i jeszcze. Takie przypadki zdarzały się mniej więcej co dwa lata, każdy zastępował poprzedni w świadomości mieszkańców Baltimore, a dziecko Jenkins zapadało w niepamięć. Do dnia, kiedy dziennikarze wywołali jego nazwisko przy okazji incydentu z Nowego Orleanu, przez wiele lat nikt nie myślał o Donntay'u Jenkinsie. Okazało się nawet, że nie był tak zwanym krakowym dzieckiem – media wymyśliły tę historyjkę. Czasami Gloria zaczynała wątpić, czy Donntay w ogóle istniał; może przyczyną jej wszystkich starań jest dziecko widmo, zrodzone wyłącznie w chorej głowie Calliope Jenkins.

Ale potem przypominała sobie ten żalony szloch: „Mój syn, mój syn”. Calliope mogła być ćpunką, wariatką, morderczynią bez serca – ale na pewno była matką. Wszystko inne, dzięki poradom prawnym jednej z najlepszych kancelarii w mieście, pozostało tajemnicą.

## Rozdział 10

Chociaż nikt nie zabronił jej powrotu do Baltimore – ich umowa nie była oficjalna – wiedziała, że powinna trzymać się z daleka, że lepiej nie zapuszczać się na zachód poza drogę numer 50 i ciąg sklepów z końcówkami serii. Woleliby pewnie, żeby w ogóle omijała Maryland, lecz rozumieli, że musi odwiedzać matkę w domu opieki w Denton. Na pewno nie wolno jej przekroczyć zatoki. Ale dlaczego miałyby to robić? Matka była jej całą rodziną. A z czyjej winy? Jej, oczywiście.

Tylko głupi ryzykowałby wyprawę do Baltimore. No cóż, głupi ten, kto nie rozumie, że Callie jest głupia i że nie może przestać być głupia jedynie dlatego, że wszystkim byłoby przyjemniej.

Gdyby tylko... nie, nie może pozwolić, żeby myśli popłynęły w tę stronę – chociaż samochód już pędził w niedozwolonym kierunku. Wiedziała, jak krucha jest jej wewnętrzna równowaga. Nie miała nikogo, kto by ją kochał i o nią dbał, nauczyła się więc troszczyć sama o siebie. Po prostu nie wolno jej myśleć o pewnych rzeczach, inaczej znów się załamie, jak wtedy, kiedy urodził się pierwszy syn. Nie chce wracać do szpitala, nawet na jeden dzień. Tak, tak, medycyna się zmienia: gdyby teraz dostała ataku takiego jak te, które miewała po dwudziestce, lekarze dawaliby raczej pigułki – a nie gadali z nią godzinami i kazali wypełniać testy na inteligencję. Może takie pigułki – myślała czasem – by pomogły. Tylko właściwie po co? Co by zyskała? A co straciła?

Dorastając w domu matki, Callie zrozumiała, że zawsze, we wszystkim jest jakiś haczyk. Miała ze trzy czy cztery lata, kiedy mama zaczęła ją oprowadzać po okolicy, pokazując ćpunów i włóczęgów, przez których cała dzielnica schodziła na psy.

– Zdaje im się, że są szczęśliwi – syczała w ucho córki, ściskając ją za rękę. – Ale jak cuchną.

Odór był rzeczywiście straszliwy – to on zdradzał prawdę. Tylko zapach odróżniał Callie i jej matkę od biedoty. „Nie wolno ci niczym pachnieć. Niczym”.

– Czy Myra Tippet ma ci pokazać, jak się myć? – pytała matka, kiedy wyczuła od Callie najślabszy cień zapachu. Nigdy nie przyjęła nazwiska ojca Callie i nie udawała, że wzięli ślub. Callie nie przeszkadzało, że inaczej się nazywają. Czasem pomagało, kiedy myślała o matce „Myra Tippet” – jakby była kimś innym. To Myra Tippet, a nie matka, szorowała ją każdego wieczoru, aż skóra piekła, wachała jej pachy, od kiedy Callie skończyła

dwanaście lat, a później twierdziła, że czuje zapach jej miesiączki – i może naprawdę czuła. To Myra Tippet uważała, że liczą się tylko pozory i powierzchowność.

„Niczego ani nikogo nie potrzebujemy – mówiła – a już najmniej twojego ojca”. A co z jego rodziną? Callie chciałyby mieć chociaż jednego dziadka lub babcię, może ciocię. „Nikogo nie potrzebujemy”, powtarzała Myra. To wyrażenie przywodziło na myśl szkolne zadania drukowane na starej kopiarce, które plamiły ręce na fioletowo i na wszystkim zostawiały świdrujący w nosie zapach. Kiedy rozchodził się w powietrzu, Callie zaczynała się trząść ze strachu: wiedziała, że jeśli odrobi zadania, przesiąknie tym odorem, więc kiedy wróci do domu, matka dobierze się jej do skóry. Oczywiście byłaby tak samo wściekła, gdyby córka przyniosła ze szkoły złe oceny. Callie nigdy nie umiała przewidzieć, co wyprowadzi matkę z równowagi. „Czy Myra Tippet będzie musiała dać dziewczynce nauczkę?”, pytała wtedy, jakby za nic na świecie nie miała ochoty skrzywdzić swojej córki, ale ta nie dawała jej wyboru. Stopień gorszy niż czwórka? Do kąta na godzinę. Zostawiłaś mleko? Wypijesz skwaszone. Podeszłaś za blisko do kuchenki? Proszę, podejdź jeszcze bliżej, przytrzymam ci rękę nad palnikiem, żebyś poczuła, jaki jest gorący – jeszcze bliżej – aż dłoń dotykała płomienia. „Czy Myra Tippet będzie musiała dać dziewczynce nauczkę?”

Dziwnie było patrzeć na nią teraz, skurczoną, zależną od Callie bardziej niż przypuszczała czy chciała przyznać. Jej siła tkwiła w skargach i narzekaniach. Ledwie dwa dni wcześniej, słuchając zwykłych żalów matki, Callie poczuła, że coś ciągnie ją na zachód, usłyszała wołanie odległego mostu i przemknęło jej przez głowę, żeby po wyjściu z domu opieki nie wracać do siebie, tylko pojechać dalej. Przecież już przekroczyła granicę Marylandu – tylko odrobinę, ale jednak. Co ją zatrzymuje? Tamtego popołudnia zdołała zagłuszyć ten głos. Dzisiaj – o czwartej po południu, w niedzielę – jechała wzdłuż brzegu zatoki Chesapeake.

Co ją skłoniło do tej wyprawy? Kłopoty ze snem, na pewno. Może też to, że w zeszłym miesiącu jej nazwisko pojawiło się na moment w wiadomościach, żeby zaraz znowu przepaść. Ciężko patrzyło jej się na własną twarz, która mignęła na ułamek minuty i znikła – bolesne przypomnienie, że Callie nic nie znaczy, że jest tylko przypisem. Mówiono jej o tym nieraz: że umie pociągnąć kogoś na dół, ale sama nie potrafi wdrapać się wyżej. Zła, kłamliwa, głupia dziewczyna. Przynajmniej to ostatnie było niewątpliwą prawdą.

A może wybrała się w podróż wyłącznie dlatego, że kończyła się zima? Każda zmiana pór roku wywoływała w niej niepokój, gorączkową potrzebę ruchu. Zdziwiająca, że dziesięciokilometrowa przejażdżka przenosi ją dwadzieścia, trzydzieści lat w przeszłość. Kiedy znalazła się już na miejscu, nie dzwoniła nigdzie. Nie miała do kogo. Pilnowała, żeby

jej nie widziano, choć zwykle udawało się jej z daleka zobaczyć jego. Siła, jaka ją do niego przyciągała, powinna słabnąć z każdym rokiem, ale wcale nie słabła. Ciągle pragnęła go tak samo.

Cóż, ona też skorzystała na umowie. Miała swój mały domek, mały samochodzik, swoje małe życie. Jej matce zapewniono opiekę. I to wszystko mogło się skończyć, gdyby rozgniewała niewłaściwych ludzi. A mimo to co jakiś czas zostawiała swój mały domek i wypuszczała się na wyprawę małym samochodzikiem. Małe życie – cóż, zawsze szło tam, gdzie ona.

Widziała, że i on się postarzał. To działało jakoś uspokajająco. Nie stracił nic ze swojego magnetycznego uroku, ale i tak lepiej się czuła, myśląc, że nie tylko dla niej czas był niełaskawy. Oto koszt siedmiu lat w więzieniu. Umysł musiał czerpać siłę z ciała i je osłabił. Wychodząc na wolność w wieku trzydziestu sześciu lat, wyglądała jak staruszka – ciało chude, ale jeszcze prężne, twarz szorstka i zwiotczała, ale jednocześnie jędrna. Na wybrzeżu często widziała samochody nadgryzione słonym wiatrem znad oceanu – zardzewiałe wraki z wciąż mocnymi silnikami. Takie jak ona.

A kiedyś, kiedyś była taka ładna! Wyładniała ni stąd, ni zowąd, jako osiemnasto – czy dziewiętnastolatka. Jeszcze wczoraj brzydactwo – płaska jak deska, z patykowatymi kończynami modliszki i skołtunionymi włosami – i nagle... co za przemiana! Ta gwałtowna transformacja dodała jej śmiałości. Może nawet zbyt wiele. Wzleciała za wysoko, zapomniała, skąd pochodzi, uwierzyła w piękne słówka. Okazja, przyszłość. Marzenia. A kiedy spadła – rozbiła się na kawałki.

Wciąż pamiętała dzień, w którym do jej drzwi zapukał pierwszy pracownik opieki społecznej. Rennay był jeszcze malutki. Na początku myślała, że chcą odebrać jej zasilek, bo mieszka z mężczyzną. Opieka społeczna zawsze szukała śladów męskiej obecności: butów, przyborów do golenia. Callie знаła to jeszcze z czasów, gdy mieszkała z matką. Nieźle im się powodziło, więc sąsiedzi czasami donosili na Myrę, przekonani, że sphywają jej jakieś pieniądze. Owszem, sphywały, ale ze sprzątanania na czarno, nie od mężczyzn.

– Tu nie ma mężczyzny – powiedziała Calliope do opiekuna społecznego, śmiejąc się nerwowo. – W tym problem. Nie było i nie będzie. Jestem sama, dziecko wciąż ryczy, a ja zaraz oszaleję.

Nie chodziło o to, że naprawdę oszaleje – po prostu tak się mówi, prawda? Ale później wykorzystali te słowa przeciwko niej.

Czy oszalała? Nie zdawała sobie sprawy, że w zlewie leży stos brudnych naczyń, nie czuła smrodu brudnej pieluszki ani kwaśnego zapachu własnego niemytego ciała. Ale dbała o

Rennay'a najlepiej, jak umiała. Do dziś nie wierzyła, że z ucha jej synka wyszedł karaluch. To kłamstwo. Może Rennay siedział w łóżeczku, a robal wylazł zza głowy, co oczywiście nie było w porządku, ale wszystko przez gospodarza, to on nie tępił robactwa w budynku. I – tak, zgoda – nie wyrzucała śmieci od wielu dni, a na wierzchu wałało się jedzenie. Ale jej dzidzius nie miał w uchu karalucha! To by chyba zabiło dziecko? Rzeczywiście, przez kilka dni nie jadła i pewnie wyglądała na strasznie naćpaną – tylko że wtedy nic nie brała, po prostu chorowała z rozpacy. Rennay był jednak zdrowy, nie skrzywdziłaby go, nawet w tym żalonym stanie.

I nie miał karalucha w uchu.

Wtedy, tak samo jak teraz, wciąż wracała do tej jednej sprawy. obrońca z urzędu stale powtarzał, że to nieważne. „Proszę, Callie, skup się. Chcą odebrać ci prawa rodzicielskie. Karaluch to najmniejszy problem”. Ten obrońca był prawie w jej wieku i, jak mawiała Myra Tippet, głupi jak but. Później – za drugim razem – zgodziła się na prywatnego adwokata z nadzieją, że lepiej o nią zadba. Wiele razy rozmyślała nad tą decyzją, tak jak nad wszystkimi swoimi decyzjami. Niektórzy mówili, że nieźle na tym wyszła. Na przykład matka sądziła, że Callie zrobiła świetny interes. Nigdy tego nie powiedziała, ale wyczuwało się to przekonanie pod słowami krytyki, których nie szczędziła córce. Narzekanie było przywilejem. Przez lata Myra Tippet miała tylko jednego odbiorcę – Calliope. Dzisiaj jej żalów i pretensji słuchał cały personel domu opieki. Żywcem trafiła do raju: mogła do woli zrzędzić, że do prania używano złego proszku, że ciasto smakowało jak wiór, że jej mały telewizor nie odbiera najlepszych kanałów. Naprawdę była w siódmym niebie – otoczona samymi winowajcami.

Callie dotarła do miasta przed świtem. Na wschodzie jaśniał tylko skrawek światła. Miała wrażenie, że ściga się ze słońcem, zbliżając się do okolicy, w której mieszkał, albo z samym czasem. Z każdą przecznicą zegar cofał się o kilka lat. Cieszyła się, że on nigdy się nie wyprowadził, nie tylko dlatego, że łatwiej mogła go znaleźć. Żona na pewno wierciła mu dziurę w brzuchu, ale wołał zostać.

To sztuka śledzić go niepostrzeżenie. W dodatku była niedziela, a w wolne dni ludzie zachowują się mniej przewidywalnie. Ale on wstał wcześniej, jak zwykle. Nie minęła godzina od jej przyjazdu, kiedy wyszedł po gazetę. Och, taki szykowny w szlafroku i kapciach, istny doktor Huxtable<sup>11</sup>. Nawet skulona na przednim siedzeniu potrafiła wypatrzyć wszystkie jego śmieszności i słabości. Wiele lat wcześniej przed snem wyliczała sobie jego wady. Było to jej magiczne zaklęcie, dzięki któremu miała się w nim nie zakochać. Wtedy nie podziałało.

---

<sup>11</sup> Postać ceniącego spokój i domową atmosferę ginekologa, granego przez Billa Cosby'ego w serialu *Bill Cosby Show* (przyp. tłum.).



Teraz też nie. Zauważyła, że w chłodnym zimowym świetle dom wygląda na bardziej zniszczony niż poprzednio. A on? Był komiczny, okropny, zdradził ją, potwór.

Kochała go.

Przekreśliła kluczyk w stacyjce o sekundę za wcześnie. Chyba wzdrygnął się, słysząc warkot silnika w cichej uliczce. Ale nie obejrzał się, nie odwrócił. Czasem zastanawiała się, czy kiedykolwiek ją widział – nawet wtedy, kiedy opisywał każdy szczegół jej ciała: oczy, usta, skórę, kształty. Wychwalał je skrupulatnie, jakby była ślepa i nigdy się nie przeglądała w lustrze. W tamtych czasach, kiedy telefony komórkowe wyglądały jak z futurystycznego filmu, znacznie trudniej prowadziło się tajne rozmowy i wciąż groziła dekonspiracja. Dzwonił do Callie z budek telefonicznych w całym mieście albo – co jeszcze bardziej przyprawiało o dreszczyk – z własnego biura czy nawet z dobudówki w domu. Spieszył się, żeby w krótkim czasie zmieścić wszystkie słowa, hołdy. Wtedy wystarczyło, że spojrzała na telefon, a już serce jej podskakiwało. Później, kiedy ludzie radzili jej, żeby z nimi zerwała, znalazła kogoś innego, to właśnie wspomnienie cudownego okresu najpiękniejszych słów sprawiało, że nie mogła. Jakby istniał w dwóch postaciach i tylko ona decydowała, która jest prawdziwa. Wierzyła w istnienie człowieka, który ją kochał, nie tego, który zdradził.

Westchnęła, żałując, że nie może jednak gdzieś pojechać, żeby obudzić inne wspomnienia. Rodzinne miasto wydawało jej się blade, niewyraźne jak pośpieszny szkic albo obrazek dziecka. Zielony pasek – trawa, niebieskie mazaje – niebo, żółty krążek jako słońce. W podstawówce, kiedy wszystkie dziewczynki na rysunkach zawzięcie odwzorowywały rzeczywistość, Callie malowała bajeczne czteroosobowe rodziny, tak różne od smutnego zestawu: jedna matka i jedna córka. Mamusia, tatuś, chłopiec i dziewczynka. Najwięcej uwagi poświęcała kobietom, ich sukienkom, biżuterii i fryzynom. Ubierała je, stroiła w dodatki i szczegółliki. A mężczyźni? Ich twarze były pustymi kołami nad niebieskim garniturem i czerwonym krawatem. Zupełnie jakby próbowała narysować Boga.

## Cienki lód

Matka nauczyła mnie jeździć na łyżwach. Choć w wielu przypadkach tak nerwowa, jako jedyna matka w sąsiedztwie nie przejmowała się bezpieczeństwem, jeśli chodzi o ślizganie się na stawie ponad tamą. Nalegała też, żebym uczyła się jeździć na normalnych łyżwach, nie tych podwójnych, dziecięcych, które kupowały większości moich koleżanek ich mamy. Czasem odrywała się ode mnie i robiła olśniewający piruet albo nawet skok, lecz

przeważnie, zamiast sama jeździć, szkolili mnie. Dziś rozumiem, że wykazywała wielką bezinteresowność. Zapominając o własnej przyjemności, brała mnie za rękę i dopasowywała się do moich niezgrabnych ruchów na lodzie. Ojciec, bez czapki i rękawiczek, jak nastolatek, siadywał na betonowym bloku i zachęcał mnie okrzykami.

Miał wtedy zaledwie trzydzieści siedem lat – mniej niż ja teraz. Oczywiście rodzice zawsze wydają się dzieciom bardzo starzy, ale w moich oczach matka i ojciec byli niczym mityczne postacie. Zeus i Hera. Dopiero po latach zrozumiałam, jak dobrze pasowało to porównanie. Mój ojciec, jak Zeus, zdręczał żonę zdradami. Niestety matka, inaczej niż Hera, nie potrafiła wybuchnąć boskim gniewem i stawić czoło wiarołomcy. Z drugiej strony – Hera karała jedynie kochanki Zeusa. On sam wychodził z tarapatów cały i zdrowy.

Pomimo wszystkich ekstrawaganckich wyjaśnień na temat swojego związku z Annie ojciec nie ożeniłby się po raz drugi, gdyby kilka lat wcześniej nie przestał kochać mojej matki. Jak to się stało? Mając za sobą jedno nieudane małżeństwo, bardzo chcę to zrozumieć – inaczej niedługo będę lizać rany po kolejnej klęsce. Kiedy patrzę na Lenorę Fallows nie jak na matkę, widzę... naprawdę atrakcyjną kobietę. Nie, nie piękną. Miała okrągłą twarz i szerokie brwi, a figurę trochę przyciężką, jeszcze zanim przyczyniłam się do jej zniekształcenia: cesarskie cięcie pozostawiło na brzuchu bliznę i fałd obwisłej skóry. Była za to bystra, co mój ojciec cenił ponad wszystko. Komuś bystremu wybaczał każdy błąd. Oczywiście, spodziewał się też, że sam zawsze zostanie rozgrzeszony – bo jest bystry.

Lenora Baker Fallows wyróżniała się nie tylko inteligencją, choć najbardziej zadziwiające jej talenty ujawniły się dopiero po rozwodzie. Dlaczego ktokolwiek miał przestać ją kochać? Ojciec nie mówił, że przestał – twierdził, że kochał ją zawsze, lecz pewnego dnia okazało się, że nie jest już w niej zakochany. Taki zabieg retoryczny podkreśliliby w pracy każdego studenta, jako prostacki i banalny.

Mogłabym przez resztę życia zastanawiać się, jak i dlaczego ojciec przestał kochać matkę. Wiem za to na pewno, kiedy to się stało: w dniu, w którym zamiast, jak dotąd, nazywać ją Lenorą, powiedział jak wszyscy „Lennie”. Ojciec nienawidził tego zdrobnienia, pospolitego i odpowiedniejszego dla mężczyzny.

– Skoro ty jesteś Lennie, to ja chyba George – mówił. – „Mam ci opowiedzieć o królikach, Lennie”?<sup>12</sup>

Matka śmiała się zachwycona, że zdaniem ojca zasługuje, żeby nosić pełne, kobiece imię.

---

<sup>12</sup> Aluzja do ograniczonego umysłowo bohatera powieści Johna Steinbecka *Myszy i ludzie*, który nosił imię Lennie (przyp. tłum.).

I nagle, ni stąd, ni zowąd, ojciec zmienił zdanie.

– Lennie – zwrócił się do matki przy kuchennym stole. – Widziałas ten kawałek w „New York Review of Books”?

Mama zabiegana – jak zwykle gospodynie o poranku – upuściła na podłogę tosty z dżemem. Zaraz go zresztą posprzątała i zaczęła od nowa szykować śniadanie, co i raz zerkając na zegar. Chodziłam do pierwszej klasy w szkole Thomasa Jeffersona i musiałam złapać autobus. Matka poganiała mnie całą drogę w dół wzgórza, czekała na przystanku, aż wsiądę, potem sama ruszała do pracy w Gordon School.

– Nie – odpowiedziała. – Nie miałam czasu.

Nawet zamknięta w swoim świecie sześciolatka, udająca, że czyta w porannej gazecie komiks o panu Tweedym, wyczuła groźną nutkę w jej głosie. Ojciec nie wyczuł – albo się tym nie przejął.

– No to koniecznie przeczytaj, Lennie – wymówił imię z naciskiem, żeby na pewno usłyszała.

Powietrze w kuchni zastygło – cisza przed burzą. Mogę sobie wyobrazić, że ojciec pisze przy tym wyrażeniu: „Banał, banał, banał! Nie idź na łatwiznę, Cassandro. Porównujesz małżeńską sprzeczkę do burzy? Stać cię na więcej”. Ojciec przeglądał moje szkolne prace i stawiał własne stopnie, nierzadko degradując piątki do czwórek, a nawet trójek.

Matka zatrzymała się, obmyślając odpowiedź.

– Pieprzyć „New York Review of Books” – wypaliła w końcu. – Nie mam czasu na te bzdury.

Słowa matki wyraźnie wprawiły ojca w osłupienie. Taki tekst mógł wstrząsnąć ziemią. „Daruś sobie wreszcie te oklepane metafory, Cassandro”, napisałby w tym miejscu.

– Joan Didion... – zaczął po chwili, ponieważ matka milczała.

– Pieprzyć ją. I jej pieska też.

Wreszcie coś do mnie dotarło. Z głębin mózgu wyłonił się straszliwy obraz pasiastych skarpet pod siedzibą Czarnoksiężnika z Oz, okropny widok, kiedy skręcają się i znikają jak tanie fajerwerki.

Dopiero dzisiaj, opisując tę scenę, rozumiem, co się zdarzyło w kuchni tamtego dnia, kiedy ojciec przestał nazywać matkę Lenorą. Powiedział jej: „Widzę cię teraz taką, jak widzą inni. Jesteś bystra. Odpowiedzialna. Dobra z ciebie matka. Nawet niezły kumpel. Ale nie budzisz już we mnie romantycznych uczuć, ty śniadaniowa mamuśko ze szmatą do podłogi. Już mnie nie podniecasz”.

A matka na to: „Ja też cię widzę. Szukasz usprawiedliwienia dla swojej niewierności, masz kogoś na boku albo właśnie to sobie załatwiasz i potrzebujesz jakiegokolwiek, nawet najbardziej koślawej wymówki. Pewnie sypiasz z kobietą, która czyta »New York Review of Books«, a ja nie mam na to czasu, bo pracuję, opiekuję się dzieckiem i zajmuję tym ohydny domem, przy którym się uparłeś, chociaż ciągle tyle przy nim roboty. I stoi na odludziu. Jestem tu całkiem sama. Nawet kiedy przychodzisz”.

# **Krzaki dzikich róż**

3-5 marca

## Rozdział 11

W jednym z lśniących holów budynku, gdzie mieściły się biura kancelarii Howard, Howard & Barr, znajdowała się staroświecka kawiarnia. Cassandra kupiła kawę o smaku przypalonej gumy i usiadła przy stoliku, z którego miała widok na ulicę i hol. Rozłożyła gazetę, ale nawet na nią nie spojrzała. Czuła się trochę głupio, a trochę fajnie, gdzieś między Nancy Drew<sup>13</sup> a Matą Hari. Uważała się za uczciwą i szczerą osobę, nie licząc epizodów niewierności – większość z nich była odwetem. Zdradzała drugiego męża, bo on ją zdradzał. Widząc drugi związek jako doskonały przykład heglowskiej syntezy, jednoczący tezę i antytezę, musiała w końcu sobie uświadomić, że – mimo problemów – powinna walczyć o przetrwanie pierwszego małżeństwa. Boże, byli jak dzieciaki, które sypią sobie piasek do oczu, ale przecież się kochali... najlepiej jak umieli. Z perspektywy czasu i doświadczenia Cassandra uznała, że małżeństwo zawarte w wieku dwudziestu dwóch lat mogło albo okazać się sukcesem, albo skończyć wielką katastrofą: nic pośredniego. Zupełnie jak w maratonie: docierasz do mety – nieważne, w jakim tempie – i cieszysz się z osiągnięcia lub odpadasz po drodze. Oni nie pokonali połowy dystansu.

A drugi związek? Nie umiała podsumować go sportową metaforą. Może bieg na trzech nogach? Utykali niezgrabnie, przywiązani do osób, które naprawdę kochali, ale nie mogli z nimi być. Nawet zbytnio nie udawali: sprawdzali tylko przeciwnika, żeby się przekonać, kto znudzi się pierwszy. Za drugim razem przypadła jej kolej, żeby odejść, i nie okazało się to wiele lepsze od bycia porzuconą. Cassandra dowiedziała się przy tej okazji, że koniec nawet najgorszego małżeństwa jest bardziej bolesny, niż można sobie wyobrazić.

Ach, da sobie radę. W ciągu ostatnich dziesięciu lat była osobą publiczną, dlatego wyrobiła w sobie umiejętność tworzenia gładkiej fasady kłamcy. Była to przede wszystkim strategia obronna – pewna doza zręcznego łgarstwa stawała się niezbędną w momencie, kiedy ludzie zaczęli sądzić, że masz coś, czego potrzebują. Szybko nauczyła się sztuki uników i lawirowania, aby – miała nadzieję, że z wdziękiem – poruszać się między niekończącymi się prośbami o jej pieniądze i uwagę, a także o wiele bardziej agresywnymi żądaniem przyjaźni. Pisała szczerze, dlatego ludzie sądzili, że ją znają.

Znali ją i nie znali jej jednocześnie. W dwóch tomach wspomnień pokazała im swoje życie przez maskującą osłonę. Bardzo przezroczystą, lecz jednak osłonę. Trzymała się

---

<sup>13</sup> Nancy Drew – nastoletni szpieg z amerykańskiego filmu rodzinnego (przyp. red.).

prawdy, ale nie ujawniła wszystkiego. Przykład: nigdy nie wspomniałaby o swoim obecnym kochanku, nawet ukrywając jego tożsamość. Czytelnicy wybaczyli jej pomyłki, z których wyciągnęła naukę, błędy młodości, a nawet wieku średniego. Pakując się w drugie małżeństwo, które z mężem tak spaprali, miała czterdzieści lat, owszem, ale potraktowała je jako lekcję pokory. Czytelnicy nie pochwaliliby romansu z Bernardem. Ona sama go nie pochwałała. Musi niedługo wymyślić sposób, żeby mógł odejść z godnością, przekonany, że to jego pomysł. W końcu wierzył, że zainicjował ich romans, chociaż to wszystko nagrała Cassandra.

Ale czy miała w sobie dość obłudy, żeby wyreżyserować „przypadkowe” spotkanie z Reggie Barrem? Jeśli za wcześnie wspomni o Calliope, czy Reg nie zwęszy podstępów? Trudno. Facet jest prawnikiem. Zna różne sztuczki. Możliwe, że ujmie go właśnie przejrzyście jej intencji.

O ile w ogóle się pojawi. W miarę jak stygła kawa, Cassandra czuła się coraz bardziej śmiesznie. Nie mówiąc o tym, że było jej gorąco. Ubrała się – zbyt wystawnie, jak na baltimorskie standardy – w sztuczne futro i kapelusz z wielkim rondem. Wyglądała za to ładnie – oby nie „ładnie jak na swój wiek”... Ciekawe, czemu tyle myśli o swoim wyglądzie? Przecież Reginald Barr jest tylko młodszym bratem Tishy, Słodziakiem, którego pamiętała, jak próbował wkręcić się do ich towarzystwa, psuł imprezy i wciąż odstawiał ten swój głupi taniec.

A teraz właśnie wyszedł z windy i ruszył z zaaferowaną miną prosto w zimne, ostre światło dnia.

Zebrała rzeczy i opuściła kawiarnię, modląc się, żeby skręcił na wschód, nie na zachód – ich przypadkowe zderzenie wypadnie wtedy bardziej wiarygodnie. Skręcił na wschód. Na ułamek sekundy ich spojrzenia się spotkały. Cassandra poczuła, jak ulatuje jej zdecydowanie i determinacja. Co ona właściwie robi? Przecież nie tak zwykła pracować. Najczęściej siedziała sama w pokoju, zagłębiając się w labirynt własnej pamięci. To wahanie i niepewność sprawiły, że jej słowa zabrzmiały prawdziwiej.

– „Słodziak” Barr? Wszędzie bym cię poznała.

– Przepraszam bardzo? – odezwał się zaskoczony, z oficjalnym uśmiechem, ciepłym, ale bezosobowym.

Ona też taki miała.

– Oczywiście, że mnie nie pamiętasz. Jestem Cassandra Fallows. Chodziłam do szkoły z twoją starszą siostrą.

– Do liceum Western?

– Tak. – Wołała nie komplikować sprawy wyjaśnieniami, że w Western uczyła się tylko rok. – A wcześniej do podstawówki Dickey Hill, do starej dwieściejedynek. Tisha i ja poznałyśmy się w trzeciej klasie, zaraz po otwarciu szkoły. Ty byłeś chyba w pierwszakach.

Wzmianka o Dickey Hill zrobiła swoje.

– Trudno uwierzyć, że chodziłaś do klasy z moją starszą siostrą. – Uśmiechnął się tym razem naprawdę. – Ale... tak, naturalnie. Jesteś pisarką. Tisha dużo mówiła o twojej książce.

Zmusiła się, żeby go nie poprawić. Wszyscy robili ten błąd, nawet w stosunku do jej przyjaciół, którzy mieli na koncie po pięć, dziesięć, piętnaście książek. Zawsze pytano ich o książkę, jakby wydali tylko jedną. Jak tam książka? Co z twoją książką? Ot, towarzyska uprzejmość, nieco bardziej spersonalizowane „jak się masz?” Człowiek jest tym, co robi, a więc matki muszą opowiadać o dzieciach, ojcowie o pracy, a pisarki o książce. Chociaż... Cassandra uznała za słuszną sugestię, że napisała tylko jedną książkę. W pewnym sensie właśnie tak było.

– Jest tam o Tishy. O tobie zresztą też. Tańczyłeś na przyjęciu z okazji zakończenia szkoły, pamiętasz? Taki głupawy taniec. Chciałeś zwrócić na siebie uwagę.

– I dostać kawałek tortu.

Ku jej zaskoczeniu i zachwytowi Reggie „Słodziak” Barr zaczął kołysać biodrami, spazmatycznie wyrzucając ramiona. Cassandra wybuchła śmiechem. Nie mogła się powstrzymać. Dziecięce płasy wyglądały jeszcze bardziej absurdalnie w wykonaniu przystojnego mężczyzny z teczką, w płaszczu z wielbłądziej wełny.

– Muszę bieć, bo się spóźnię – powiedział. – Wspomnę Tishy, że cię widziałem i że chcesz się z nią skontaktować. Masz wizytówkę?

Jasne, już przygotowała. Zdziwiająco, jak gładko poszło, zupełnie jakby Reg znał jej tajny scenariusz: przypadkowe spotkanie, żadnych wątpliwości, propozycja, że skontaktuje ją z Tishą, prośba o wizytówkę, wręczenie własnej.

To, co nastąpiło potem, nie należało już do planu.

– Jestem teraz w mieście przez kilka miesięcy, pracuję nad kolejnym projektem. – Wolno wyjmowała wizytówkę, żeby na pewno zobaczył wszystkie luksusowe dodatki: torebkę od Prady, portfel Chanel, skórzane rękawiczki, srebrny wizytownik, duży pierścionek na prawej dłoni, brak ozdób na lewej. – Na wizytówce jest numer domowy, ale dopiszę ci tutejszy. Może dla siebie też weźmiesz? Prawo nie zabrania umawiać się na kolację z młodszym bratem dawnej przyjaciółki? Możliwe, że będziesz w stanie pomóc mi w pracy nad nową książką.

Spojrzała na niego spod rzęs i futrzanego obszycia kapelusza.



Przełożył kartonik z prawej do lewej ręki. Dostrzegł, że zauważyła obrączkę na jego palcu. Potem ich spojrzenia się spotkały.

– Naprawdę? Chętnie dowiem się więcej.

– Mam nadzieję, że nadarzy się okazja. A na razie przekaz Tishy, żeby do mnie koniecznie zadzwoniła.

Odeszła z płonącymi policzkami. Nie powinna mówić, że może jej pomóc w pracy nad książką. Prawie na pewno się zdradziła. Chciała, żeby skontaktował ją z Tishą, a potem, w rozmowie o dawnych koleżankach, niby to dowiedzieć się od niej, że brat miał coś wspólnego z Calliope. Teraz Reg ją przejrzy, o ile już się to nie stało. Dlaczego storpedowała własne plany?

Ponieważ kiedy „Słodziak” Barr tańczył dla niej na Baltimore Street, poczuła falę gorąca w brzuchu, takie pożądanie, które – jak sądziła – dawno już w niej wygasło. Nie miało to nic wspólnego z biologią czy upływem czasu: po prostu za dobrze już wiedziała, jak funkcjonuje mózg. Ślepa miłość, miłość bez pamięci zdarza się tylko ludziom pozbawionym rozsądku. Bernard – cóż, jeszcze jeden sposób zachowania młodości, tak jak spa czy siłownia, choć tam bywała znacznie częściej niż u kochanka. Ale Bernard znał tylko terazniejszą Cassandrze, nie miał pojęcia o jej przeszłości. Reggie Barr wiedział, skąd się wzięła – w każdym sensie – a ją poraził widok przystojnego mężczyzny będącego w środku małym chłopcem.

Czy jest żonaty? Tak, nosi obrączkę. Tacy faceci niemal zawsze są żonaci. I dobrze. Mniej komplikacji. O wiele lepiej dla książki.

Reginald Barr szedł dalej na wschód, w stronę sądu, z nieodpartym wrażeniem, że wsunięta do teczki wizytówka pika co kilka sekund, jak komórka, w której rozładowuje się bateria. Tylko, że ten alarm ostrzegał, że coś ożyło. Reg nie dał się zwieść grze Cassandry, choć miała aktorski talent. Zainscenizowała przypadkowe spotkanie. Dlaczego? Fakt, Tisha przyjęła nazwisko męża, więc trudniej było ją odszukać. Ale gdyby Cassandra tylko chciała skontaktować się z koleżanką, dlaczego nie zadzwoniła do biura i nie wyjaśniła wszystkiego sekretarce? Czy obmyśliła ten podstęp, żeby spotkać jego? Jeśli tak, to nie ona pierwsza.

Reg wiedział, że jest próżny, choć uważał, że to życie dostarczyło mu powodów. Kobiety ciągle próbowały go zdobyć. Był dobrym mężem, żonę szanował i uwielbiał ponad wszystko, otaczając ją największą dbałością i troską. W praktyce oznaczało to bezwzględne oddzielenie okazjonalnych romansów od życia małżeńskiego. Zgodnie z tym systemem, który sam stworzył i wprowadził w życie, przyjaciółka siostry należała do najbardziej zakazanych owoców. Znała Tishę i znała jego żonę Donnę. Donna też czytała jej książkę, chociaż tam,

gdzie Tisha wybuchala złością, ona tylko zamyślala się głęboko. Pamiętał, jak rozmawialy w kuchni przy winie: Tisha podniesionym głosem wyliczala błędy i braki, Donna powtarzala, że to nieważne, że nigdy nie bylo ważne. Dawna koleżanka z klasy siostry i żony. Zakazana przez duze „z”.

Do tego biala. Jeszcze gorzej. I starsza. Komu potrzebna starsza kochanka? Mial w domu pięćdziesięcioletnią żonę, która trzymala się równie dobrze, jak Cassandra Fallows, nie – nawet lepiej. Kupowal jej rzeczy tak samo kosztowne jak te, którymi przed chwila Cassandra świečila mu w oczy. Tak, mial to wszystko. Niczego więcej nie potrzebował.

Ale z drugiej strony... stać ją na takie luksusy. Wyczuł w niej pewnośc siebie, jaką daje tylko wiek. I ta powieść. To go zainteresowalo. Młode kobiety, z którymi od czasu do czasu się spotykala, nie byly jeszcze dojrzałe, w pełni ukształtowane. Przykladaly zbyt dużą wage do tego, że spiają z Reginaldem Barrem, a kiedy wszystko się konczylo, czasem zachowywaly się... troche kapryśnie. Mimo to aż dotad udawalo mu się bez większego zachodu zarzadzac romansami. Wybieral kobiety honorowe. A jeśli grozily, że go wydadzą: zadzwonia do żony, do gazet – mimo że „Beacon-Light” nie interesowal się zyciem prywatnych obywateli, a Reg nie mial żadnych ambicji politycznych – przypominal im, że od poczatku byl z nimi szczery. Nigdy nie obiecywal miłości, tylko dobra zabawę. I na koniec kupowal jakis drogi prezent. Kobieta pokroju Cassandry Fallows z pewnością jest bardziej obyta, mniej spięta. Nawet nie próbowalaby odcignac go od żony. Ale też – kiedy romans dobiegnie konca – nie dalaby się tak latwo przekupic.

Czego naprawde chciala? Skontaktowac się z Tisha, owszem. Ale wspomniala też o pomocy przy nowej ksiazce. Klamala? Pretekst dobry jak kazdy inny, jeśli chcesz kogos poderwac. Sam uzywal podobnych. Nie, chyba niechcacy powiedziala prawde, wymknęlo jej się cos, co zamierzala ukryc. Co ona wlasciwie robi? Zdaje się, że pisze o swoim zyciu – choć, oczywiscie, nie znal żadnej z jej ksiazek. W wolnym czasie wolał czytac o historii, nie obchodzily go losy jednostek. Pewnie rozmawiala o swoim oslawionym ojcu. Co jeszcze? Przypomnial sobie glówny zarzut Tishy: „Wedlug Cassandry wszystko kręci się wokół niej. Nie potrafi niczego opowiedziec tak, żeby nie postawic siebie na pierwszym planie”. Donna stwierdzila, że to tylko czyni Cassandre bardziej ludzka.

Pewnie znów grzebie w przeszłości, szukajac kolejnej żyly złota. Ile stron można wydusic z zycia osoby, która nie jest głowa państwa ani dowódcą armii? Przewalkowala juz temat ojca i... mężów – tak, o to chodzi, o przedluzenie problemow z tatusiem – choć może tylko tak mu się zdaje. Kompleks Edypa. Nie, to dotyczy matek i synów. A trudne relacje

między ojcem a córką nazywa się jakoś inaczej... Inne greckie imię. Elektra? Tak, prawie na pewno Elektra. A może jednak nie...

Kolejne greckie imię rozbłysło mu w głowie. Calliope. Skoro Cassandra chodziła do szkoły z Tishą i Donna, znalazła też Callie Jenkins. Po co ktokolwiek miałby teraz rozmawiać z Calliope? Po tylu latach? Nie miał pojęcia. Owszem, nazwisko Jenkins padło w związku ze sprawą z Nowego Orleanu, ale było tylko dodatkiem do tragedii związanej z huraganem Katrina. Po przejściu żywiołu przez miasto dziecko pewnej kobiety zaginęło w systemie opieki społecznej niemal na cztery lata. Prawdziwa sensacja, wszyscy o tym mówili. Callie nikogo już nie obchodzi.

Zatrzymał się i wyciągnął z teczki komórkę. Nie miał w kontaktach zapisanego numeru Glorii Bustamante, ale usłużna pamięć natychmiast go podsunęła – jakby mózg specjalnie przechowywał tę informację, bo kiedyś się przyda. Reg musiał najpierw przedrzeć się przez zasieki w postaci tępej sekretarki, ale kiedy Gloria wreszcie podniosła słuchawkę, zaczął bez wstępów:

– Co wiesz o Cassandrze Fallows?

– Dość, żeby ją omijać.

– Łatwo ci mówić. To przyjaciółka mojej siostry, jeszcze ze szkoły. Właśnie zdybała mnie przed biurem.

– Zapytaj teścia. Albo jego brata. Oni zawsze mają mnóstwo odpowiedzi.

W jej głosie zabrzmiała groźna nuta – wyzwanie, które postanowił zignorować.

– Andre w zeszłym roku przeszedł na emeryturę. Julius praktycznie też już nie pracuje.

– Wiem, czytałam w „Daily Record”. Więc zostałeś współnikiem, a kancelaria nazywa się teraz Howard, Howard & Barr. Brawo, Reggie.

Trudno stwierdzić, kto rozłączył się pierwszy, on czy Gloria. Czy to możliwe, że kiedyś była jego najlepszą przyjaciółką? Biurową żoną, jak mówili młodzi pracownicy. Dziwne określenie. Kto chciałby mieć drugą żonę? W pracy zwrócił kiedyś uwagę na dwójkę takich młodych – wciąż się śmiali ze wspólnych żartów i zawsze chodzili razem na lunch. W rozmowie zaryzykował aluzję, że dziewczyna ma romans. „Och, to tylko mój biurowy mąż – powiedziała obronnie. Mam chłopaka, a Dwayne mieszka z narzeczoną”. Biurowa żona, biurowy mąż. A więc tym dla siebie byli całe lata temu. Tworzyli całkiem niezły zespół: pospolita, nadambitna Gloria i brawurowy Reggie, mistrz lawirowania i zaskakujących triumfów. „Nie strzeliłem ci w plecy w tej sprawie z Callie Jenkins – chciał powiedzieć Glorii. Ja też nie wiedziałem, bardzo długo, a potem bazowałem tylko na domysłach, tak jak ty. Tylko, że ty zawsze byłaś bystrzejsza”.

## Rozdział 12

Teena dzieliła ze swoimi sąsiadami ścianę – i niewiele więcej. Albo byli wyjątkowo cichą rodziną, albo szeregowce – szerokie i obszerne, jak na Baltimore, i różnorodne, dzięki czemu nie wyglądały jak babki z jednej foremki – zostały wyjątkowo dobrze wyciszone. Ani z prawa, ani z lewa niemal nigdy nie dochodziły dźwięki: kroki, muzyka, podniesione głosy. Przed pięciu laty, kiedy do domu po zachodniej stronie wprowadzili się Morganowie – „ci nowi”, jak wciąż o nich myślała – zdawało jej się w nocy, że słyszy płacz dziecka. Kilka tygodni później, gdy urządzili na ganku świąteczną sesję fotograficzną, podeszła z miłym towarzyskim uśmiechem i w ramach dobrosąsiedzkiej uprzejmości zapytała o najmłodszą pociechę.

– A dzidziusia nie będzie na zdjęciu?

– Jakiego dzidziusia? – Pani Morgan była zdumiona i zakłopotana. – Mamy tylko bliźniaki.

Wskazała na parkę malców, chłopca i dziewczynkę. Rodzice obarczyli ich milusińskimi imionami, a w Wielkanocną Niedzielę wystroili we wstrętne przesłodzone ubranka. Paul i Polly? Jack i Jill? Coś w tym rodzaju.

– Zdawało mi się... Nie, już nic. – Teena nie chciała się zastanawiać, a tym bardziej wyjaśniać, jak to się stało, że wyobraziła sobie szlochające w nocy dziecko. Zresztą już nigdy więcej nie słyszała płaczu zza ściany.

Życie rodzinne Morganów – jak większości rodzin z dziećmi – obracało się wokół bliźniaków i ich zajęć. Nic dziwnego, że tak rzadko przecinało się z codziennością starszej, samotnej kobiety. Od czasu do czasu sąsiedzi z litości – tak to odczuwała Teena – zapraszali ją na barbecue z okazji święta Czwartego Lipca czy na weekendowy piknik w ogródku. Trudno było się wykręcić: musiałyby wyjść z domu na czas zabawy. Zmuszała się więc, żeby wpaść na godzinę czy dwie, lecz gospodarze na pewno widzieli, ile wysiłku ją to kosztuje, i wreszcie przestali zapraszać. Szkoda, że nie ma sposobu, żeby powiedzieć Morganom, że ich lubi czy raczej – że w normalnych okolicznościach na pewno by lubiła. Być może zaczęłyby się im nawet narzucać jako samozwańcza ciocia Teenie Paula i Polly, Jacka i Jill, czy jak się tam nazywają te dzieciaki.

Szkoda też, że nie może ich przekonać, że nie jest alkoholiczką – w każdym razie nie całkiem. Nigdy nie zapomni wyrazu twarzy sąsiadki – a dokładniej braku wyrazu – kiedy pewnego letniego poranka rozdarła się jej torba z pustymi butelkami. Było to jeszcze przed

tym, zanim odkryła wino w kartonie, a władze hrabstwa wprowadziły system recyklingu na wysypisku. Wielkie, plastikowe pojemniki dyskretnie połykały wszystkie odpadki – koniec z segregacją śmieci. Koniec zmartwień. „To tylko kilka starych butelek!”, zaćwierkała wtedy do mamy Morganowej.

Sąsiad od wschodu był męskim odpowiednikiem Teeny: wycofany, pełny rezerwy samotnik. Jediną różnicę stanowił wiek, bo pan Salvati, od wielu lat wdowiec, przekroczył już osiemdziesiątkę. Latem często siadywał na tylnym ganku i słuchał transmisji z meczów Orioles, które nadawała lokalna stacja radiowa. Teena uważała, że to uroczy zwyczaj. Staruszek na pewno miał telewizor i klimatyzację – przy betonowym podjeździe monotonnie buczał kompresor. Mimo to wychodził na dwór nawet w upalne wieczory, zgodnie z tradycją, którą wyniósł pewnie z Małej Italii czy Pigtown, jednej z tych dzielnic, z jakich ludzie uciekają. I niezależnie od pogody, zawsze wkładał koszulę z krótkim rękawem na podkoszulek, a śnieżnobiałe włosy przykrywał słomkowym kapeluszem. Teena nieraz słyszała – i widziała na przykładzie własnego ojca – że mężczyźni gorzej dają sobie radę z wdowieństwem niż kobiety i zazwyczaj szybko odchodzą śladem żony. Jednak dom pana Salvatiego każdym szczegółem dowodził samowystarczalności zadowolonego właściciela, zaczynając od wypucowanego samochodu na podjeździe, kończąc na perfekcyjnym ogródku, gdzie winylowe pokrowce chroniły meble i staroświecki grill węglowy. Zimą Teena całymi tygodniami nie widywała ani nie słyszała sąsiada, dlatego cieszyła się, kiedy wraz z nadejściem lata zaczynał swoje regularne warty przy radioodbiorniku. Martwiła się o niego w ciągu długich zimowych miesięcy – nie do tego stopnia, oczywiście, żeby cokolwiek zrobić, ale jednak się martwiła.

W poniedziałkowy wieczór na szczęście widziała go przez moment. Wyrzucał śmieci; tylko on używał metalowych, nieskazitelnie lśniących kubłów, pozostali mieszkańcy uliczki wystawiali praktyczne plastikowe pojemniki. Wymienili z Teeną zwyczajowe pozdrowienia: on wysunął brodę i mruknął pół słowa, ona posłała mu uśmiech i wzruszyła ramieniem. Była już w połowie drogi do drzwi, kiedy zawołał:

– Znalazła panią tą kobietka?

Odwróciła się szybko; omal nie skręciła kostki.

– Jaka kobietka?

– Kręciła się tu wczoraj taka jedna. Mówiła, że pani szuka. Pytała, gdzie pani pracuje. Powiedziałem, że gdyby była pani przyjaciółką, toby wiedziała. Chyba zostawiła coś w skrzynce.

Dzień był chłodniejszy, niż zapowiadano. Ręce bolały nie do wytrzymania. Musiała wejść do domu.

– Mówiła, że jest moją przyjaciółką?

– Nie, bardzo to sprytnie rozegrała. Chciała, żebym tak pomyślał, ale w oczy mi nie skłamała.

– Jak wyglądała?

– Mniej więcej w pani wieku. Duży futrzany kapelusz. Kiedy ją zobaczyłem na ganku, myślałem, że to pewnie pani znajoma, bo raczej nie akwizytorka. Ale kiedy zaczęła zaglądać do środka przez okienko nad drzwiami, wyszedłem i spytałem, o co chodzi.

– Czy była... – Nie, takiego pytania nie da się zadać grzecznie, chociaż panu Salvatiemu pewnie wszystko jedno. – Była biała czy czarna?

– Oczywiście, że biała.

„Oczywiście”? Zapewne nie wyobrażał sobie, że biali i czarnoskórzy mogą się przyjaźnić. Nietolerancja i bigoteria należały do zestawu wraz z porządnym ubraniem, kapeluszem i dobrze utrzymanym trawnikiem. Ludzie ze starszego pokolenia krzywo patrzyli na każdego, kto czymkolwiek się od nich różnił. Gdyby pan Salvati zobaczył na ganku Teeny czarną kobietę – w futrzanym kapeluszu czy bez kapelusza – po prostu zadzwoniłby na policję.

Dlaczego poczuła zawód? Dlaczego przez chwilę miała nadzieję, że to Calliope Jenkins podkraǳła się do jej domu i usiłowała zajrzeć do środka przez okienko nad drzwiami? Czy dlatego, że chciałyby, żeby Callie myślała o niej tak dużo i często, jak Teena o Callie, żeby ta dziwna relacja nie była jednostronna? Żeby Callie także słyszała płacz widmowego dziecka za ścianą?

– Dziękuję za czujność, panie Salvati. Bardzo to doceniam.

– Od tego są sąsiedzi – odparł, podchodząc do wymuskanego buicka.

Patrzyła zafascynowana, jak staruszek wykręca w wąskiej uliczce: pięć czy sześć zwrotów kierownicy, kilka centymetrów do przodu, kilka do tyłu. Istny cud, że w końcu wóz stanął wzdłuż ogrodzenia, gotów ruszyć na wschód, w kierunku York Road. Po raz pierwszy, odkąd tu mieszkała, zastanowiła się, dokąd też pan Salvati się wybiera w poniedziałek o szóstej po południu. Do przyjaciół? Rodziny? Dokąd mogłaby pojechać ona, również samotna i na emeryturze? Boże, zawsze miała nadzieję, że przejdzie na emeryturę o wiele, wiele później, dziesiątki lat później, tak jak on. A ile czasu jej zajęłoby wykręcenie z bramy na jezdnię?

Zajęta myślami o przyszłości, Teeny Murphy zapomniała sprawdzić skrzynkę pocztową. Dopiero po dwudziestu minutach do niej zajrzała. W środku, obok innych listów – tym razem samych śmieci – leżała koperta bez stempla, zaadresowana do Sistiny Murphy. Wykaligrafowane zielonym atramentem imię wyglądało jeszcze dziwniej i bardziej obco niż zazwyczaj. Nikt nie nazywał jej Sistiną, nie spotkała nawet innej kobiety o takim imieniu. Było ono pomysłem matki, która w ten sposób chciała przekazać córce swoje włoskie dziedzictwo. Cierpiała, kiedy Teena skróciła imię i zmieniła pisownię, żeby jak najmniej przypominało oryginał. Teena otworzyła kopertę i niemal natychmiast zauważyła w treści listu kolejne imię, Calliope. Jej wzrok skoczył do podpisu, który również zaczynał się na „Ca”... ale nie, autorką była Cassandra Fallows. To ona dzwoniła do Lenhardta. Próbował ostrzec Teenę, że zbyt łatwo ją znaleźć.

Nalała sobie pełny kieliszek shiraz z Banrock Station – w tak zimny wieczór potrzebowała czerwonego wina – i usiadła przed laptopem w małej jadalni we wnęce. Nieczęsto korzystała z komputera, choć nauczyła się płacić rachunki przez Internet. Każda czynność, w której używała rąk, wymagała wcześniejszych negocjacji z ciałem, ustalenia kompromisu między mniej a bardziej bolesnym rozwiązaniem. Wypełnianie rubryczek długopisem bolało bardziej niż klikanie w klawisze, za to układanie pasjansa lepiej wychodziło na stole, prawdziwymi kartami, nie w komputerze. Surfowanie po sieci, czytanie blogów? Na samą myśl rwały ją dłonie. Czasem kupowała coś przez Internet, wiedząc, gdzie szukać okazji, i zawsze wcześniej łykała dużą dawkę Advilu.

Wpisała w Google „Cassandra Fallows”: całe strony wyników. Nie wiedziała, co robić, żeby zawęzić poszukiwania. Jakim cudem ktoś zdołał wyprodukować tyle... obecności? Zupełnie jakby znów patrzyła, jak z rozerwanych worków wysypują się z brzękiem puste butelki, a pani Morgan usilnie udaje, że tego nie widzi. Teena z ciekawości wstukała własne imię i nazwisko. Tylko jedna pozycja, adres strony, na której ludzie mogą znajdować kolegów z liceum. Potem połączyła nazwisko Fallows z – samo wpisywanie bolało jak diabli – Calliope Jenkins. Nic, zero. Zestawiła siebie z Calliope. Bez sensu, przecież jej nazwisko występowało tylko w jednym miejscu. W jaki sposób znalazła ją Cassandra Fallows?

W sprawie Jenkins z mediami rozmawiali pracownicy policyjnego Biura Informacji. Poza tym wszystkich interesowało nie tyle samo śledztwo w sprawie morderstwa, ile to, że w ogóle zdarzył się taki tragiczny przypadek. Dziennikarze ciągle gadali o zaniedbaniach opiekunki społecznej. Rzeczniczka wydziału opieki społecznej była co prawda mistrzynią budowania muru ochronnego przez nieudzielanie komentarzy, lecz pracownica, wbrew radom, udzieliła wywiadu w telewizji. I to ogólnokrajowej. Wywiad wypadł jak wiwisekcja,

jak obdzieranie ze skóry tępym scyzorykiem. Opiekunka sądziła, że potrafi się wytłumaczyć, że jeśli ludzie usłyszą, co ma do powiedzenia, staną po jej stronie, zrozumieją, że to nie ona zawiniła. Nie dostrzegła, niestety, że ta historia czeka na swój czarny charakter; Calliope uniknęła tej roli dzięki upartemu milczeniu.

Biedna kobieta nie żyła. Wjechała w drzewo przy drodze numer 140, w hrabstwie Carroll. Pogoda była wtedy doskonała, a sama opiekunka trzeźwa jak dziecko. I proszę, ktoś by się spodziewał: w wiadomościach znalazła się wzmianka o jej śmierci – przedstawionej tak, jakby wypadek z udziałem jednego samochodu mógł być prostą ilustracją ciągu przyczynowo-skutkowego. Tak zresztą widziała go Teena. Calliope Jenkins zabiła nieszczęsną opiekunkę społeczną, tak samo jak swojego syna. I tym razem też nie poniosła konsekwencji.

Czując bolesne pulsowanie w prawej ręce, Teena niechętnie wyłączyła laptop i znów przeczytała list. Pani Fallows umiała ładnie układać słowa, ale gładkie wypowiedzi na papierze nie robiły na Teenie wielkiego wrażenia. Usłyszała, jak pan Salvati wprowadza wóz pod dom – operacja znacznie łatwiejsza niż wyjazd na ulicę, choć minęło trochę czasu, zanim samochód stanął dokładnie pośrodku podjazdu. Potem zapadła cisza, jak zwykle późnym wieczorem. Mącił ją jedynie szmer telewizora. Na ekranie superniania magicznym sposobem naprawiała kolejne dysfunkcyjne rodziny. Dysfunkcyjne rodziny... które – Teena nie mogła tego nie zauważyć – mieszkały zwykle pod miastem, w pięknych domach z wielkimi ogrodami, za to bez finansowych trosk. Tym razem jakaś dziewczynka wiła się i wrzeszczała w ataku wściekłości, a superniania trzymała ją za ramiona, przyjaźnie, choć twardo pouczając małą, żeby zaczęła mówić jak człowiek.

„Hej, supernianiu – miała ochotę odezwać się Teena. Wybierz się ze mną do szeregowca w południowo-zachodnim Baltimore. Trzeba się cofnąć w czasie, ale ty to potrafisz, w końcu jesteś niezwykłą nianią. Chodźmy do domu, gdzie cuchnie gównem, moczem i spleśniałym jedzeniem, gdzie odłączono prąd i gaz. Musisz tylko znaleźć dziecko. Znajdź to cholerne dziecko, supernianiu, a potem spróbuj naprawić Calliope Jenkins. Zrób plan zajęć, obsyp ją nagrodami, poproś, żeby zaczęła mówić jak człowiek i wreszcie wydusiła z siebie, gdzie jest dziecko. Teena raz czy dwa złapała ją za ramiona, co prawda nie tak delikatnie, ale to też nic nie dało. – Zaczynij mówić”.



## Rozdział 13

Żeby zjeść lancz z Tishą, Cassandra musiała wybrać się na przedmieście Columbii. Była zaskoczona. Tisha bardzo jasno deklarowała, że zamierza mieszkać w wielkim mieście, większym niż Baltimore, w apartamencie na szczycie luksusowego wieżowca, z mężem architektem oraz trójką dzieci: dziewczynką, chłopcem i jeszcze jedną dziewczynką.

Cóż, trzeba pamiętać, że ten plan stworzyła w wieku dwunastu lat. Cassandra sama nie chciałyby być rozliczana z planów na przyszłość, jakie snuła w szóstej klasie – miała być reporterką, wykrywającą skandale i afery, żoną lekarza i matką trójki dzieci, właścicielką nowoczesnego domu w jakimś lesistym zakątku Nowej Anglii.

Ale... Columbia? W 1967 roku – Cassandra dobrze pamiętała datę, bo działo się to na rok przed odejściem ojca – jeździli całą rodziną do tych odległych osiedli, jakby składali wizytę w innym świecie. Ojca intrygowała koncepcja Jamesa Rouse'a, który postanowił wznieść egalitarne „nowe miasto”. Matka, uwięziona w pułapce wiecznej walki z niszczącym wiekowym budynkiem, fantazjowała, jak wspaniale byłoby zacząć wszystko od początku, w domu bez historii.

– Niezły ten Rouse, ale nie odrobił lekcji – skwitował ojciec, podczas gdy matka wdychała nad ergonomicznymi kuchniami ze śniadaniowym blatem. – Widać, że nie zna Toynbee'ego. Dekadencji nie da się powstrzymać.

I się nie mylił – choć jak zwykle przemawiał swoim irytującym tonem. Sielskie hrabstwo, które Cassandra zapamiętała z niedzielnych wypadów sprzed lat, zmieniło się w zwykłe przedmieście rozpełzające się jak ameba. Wymarzone przez Rouse'a osiedla, gdzie miały zapanować równość i integracja – niezależnie od wysokości dochodu i rasy mieszkańców – znikły w cieniu McDomiszcz. Tisha mieszka w takiej okolicy? Naprawdę? Cóż, przynajmniej lokal, który wybrała, na pierwszy rzut oka wydawał się przyjemny. Stary kamienny dom, przerobiony na winiarnię i restaurację, stał naprzeciwko jednej z niewielu niezabudowanych rozległych przestrzeni przy dwupasmowej autostradzie.

Cassandra usiadła na ławie – nie za blisko drzwi, ale dobrze widziała wejście. Nie chciała, żeby wyglądało na to, że nie może się już doczekać spotkania.

Prawdę mówiąc, nawiązanie kontaktu z Tishą było łatwizną w porównaniu z aranżowaniem spotkania z Reggie'em czy wyszukiwaniem Sistiny Murphy w internetowej bazie właścicieli nieruchomości. Po tej początkowej serii doświadczyła wreszcie czegoś... zwyczajnego. Odsłuchiwała pozostawioną na automatycznej sekretarce wiadomość Tishy,

zadzwoiła z prosbą o wyznaczenie daty lanczu i nie minęły dwadzieścia cztery godziny, a już jechała na spotkanie. Tisha nie wydawała się zaskoczona, że Cassandra chce się z nią zobaczyć – raczej... sceptyczna. Co prawda lekka rezerwa była jedną z głównych cech jej charakteru. Już jako dziewczynka sprawiała wrażenie, jakby nieustannie oceniała rozmówcę. Długo się namyślała przed odpowiedzią, a zgodę na propozycję lanczu z Cassandra poprzedziła szczególnie długa pauza.

– Pracuję na własny rachunek – odezwała się wreszcie. – Lancz w środku dnia to dla mnie strata dwóch godzin, jeśli doliczyć dojazd w obie strony.

– Ja też pracuję na własny rachunek.

– Ale ty będziesz wtedy pracować, prawda? – Tisha zawsze mówiła prosto z mostu. – Reg wspominał, że coś przygotowujesz. Pewnie kolejną historię. – Ostatnie słowo wypowiedziała ze szczególnym naciskiem.

– Tak, piszę książkę. Ale mniej zależy mi na twoich wspomnieniach niż na odnowieniu kontaktu.

– Hm – mruknęła Tisha, po czym podała nazwę lokalu i datę spotkania. Jeśli Cassandra chce się z nią spotkać, musi przyjąć narzucone warunki.

Jest piękna, pomyślała Cassandra na widok Tishy, która punkt dwunasta weszła do restauracji. Oczywiście zawsze była ładna, ale upływ lat zdecydowanie jej służył. Jako szykowna, krótko ostrzyżona pięćdziesięciolatka robiła znacznie lepsze wrażenie niż dawniej jako piętnastolatka. Na tle jej czarnego golfu pięknie prezentował się imponujący naszyjnik ze skręconych srebrnych włókien i asymetrycznych kamieni półszlachetnych. Wiedziała też, że tak przyciągający wzrok dodatek wyklucza duże kolczyki, i ograniczyła się do małych kawałków kwarcu w odcieniu jej oczu. Kości policzkowe rysowały się wyraźniej niż kiedykolwiek, a wargi wciąż były wydatne. Inaczej niż u Cassandry, której usta – ku jej żalowi – z biegiem lat stawały się coraz węższe.

– Tisha – powiedziała, wstając. Była zadowolona, że dzieli je stół. Nie musiała się zastanawiać, co zrobić na powitanie: przytulić się, ucałować w policzek, ucisnąć dłoń? Wszystko wydawało się nie na miejscu.

– Cassandra. Wciąż Cassandra, prawda?

– Oczywiście. A jak inaczej?

– Zawsze sądziłam – Tisha zajęła miejsce na krześle – że kiedyś się poddasz i skrócisz imię do Cassie, żeby nie ciągnąć za sobą bagażu.

– Pamiętasz chyba, że w kwestii imion mój ojciec był nieugięty.

– Pamiętam mnóstwo rzeczy – powiedziała idealnie przyjaznym tonem. – Niezupełnie tak jak ty, ale pamiętam na pewno.

Och. A więc to będzie jedna z tych rozmów. Tisha nie pierwsza chciała za wszelką cenę wyrównać rachunki. Zabawne, im mniejszą ktoś odgrywał rolę we wspomnieniach Cassandry, tym uparciej nalegał, żeby powiedzieć, jak było naprawdę. Ojciec, matka, Annie – choć ich życie zostało niemal całkowicie obnażone i wystawione na pokaz – nigdy nie wnosili większych zastrzeżeń. Nawet eksmężowie Cassandry okazali sporo dobrej woli. Wyklócał się zawsze ktoś, kto pojawiał się na dalekich obrzeżach historii. Nie, Tisha nie była dla Cassandry nieważna. Po prostu w jej książkach nie wyróżniała się szczególnie.

Cassandra postanowiła wykorzystać wyzwanie jako pretekst, żeby przejść do meritum.

– Pamiętasz Calliope Jenkins?

Tisha uśmiechnęła się, jakby od początku wiedziała, o co tu chodzi.

– Trochę. Nigdy się nie przyjaźniłyśmy. A do gimnazjum chodziła z tobą, nie z nami. I nie dostała się na kurs A.

– Ale w dziesiątej klasie przeszła do Western, zgadza się?

W ówczesnym skomplikowanym systemie edukacji uczniowie z kursu A zaczynali naukę licealną w dziesiątej klasie, a pozostali rok później.

– Owszem, tylko wtedy mało już miałyśmy wspólnego. Nie widziałyśmy się przedtem przez trzy lata. Byłyśmy tylko koleżankami.

– Ale jakoś tak się stało, że twój brat bronił jej w sądzie.

– Jakoś tak się stało, że mój brat ożenił się też z moją najlepszą przyjaciółką. Pod tym względem Baltimore jest naprawdę małe. Zwłaszcza to nasze Baltimore.

– „Słodziak” Reggie... ożenił się z Donna? – Bardzo ją to poruszyło.

– Woli, żeby nazywać go Reg. Tak się podoba Donnie, więc jemu też. Kochał się w niej, odkąd skończył siedem lat – powiedziała Tisha ze śmiechem. – Ale musiał poczekać na swoją kolej, aż Donna wyjdzie za chłopaka z college’u i całkiem to spaprze. Rok temu w lecie obchodzili piętnastą rocznicę ślubu.

Cassandra miała wrażenie, że Tisha się z nią drażni – ale na pewno tylko sobie to wyobraziła. Sama ledwie dopuszczała do świadomości, że pociąga ją Reggie – Reg – Barr. Niemożliwe, żeby jego siostra to wyczuła. A może to on powiedział coś, z czego Tisha wywnioskowała, że Cassandra mu się podoba? Odrzuciła ten pomysł jako nieprawdopodobny, choć jej serce skakało jak szalone po całej klatce piersiowej.

Pojawiła się kelnerka. Cassandra, próbując narzucić ton, poprosiła o przystawkę, sałatkę i kieliszek wina. Tisha, która zamówiła kanapkę z sałatką z kurczaka i mrożoną herbatę, prowokacyjnie zerknęła na zegarek.

– Mówiłaś, że pracujesz na własny rachunek. A konkretnie co robisz?

– Jestem graficzką. – Tisha zawiesiła głos, jakby czekała na reakcję. – Chciałam zostać malarką, ale cóż, najwyraźniej nie było mi pisane. Wzięłam sobie wolne na odchowianie dzieci, wróciłam do pracy, kiedy poszły do szkoły.

– Pamiętam twoje rysunki. Portrety przyszłej rodziny. Pamiętasz, jak w piątej klasie wszystkie rysowałyśmy dziewczyny szykujące się na randkę?

– Napisałaś, że to Donna była artystką.

– Co takiego?

– W książce. Napisałaś, że wszystkie ją naśladowałyśmy. Ale to ode mnie się zaczęło.

Więc o to chodzi? Dlatego Tisha jest taka wściekła? Bo jej dziecięca twórczość nie została doceniona? Cassandra opowiedziała dwóm milionom czytelników w dwudziestu ośmiu krajach, że jej drugi mąż był impotentem, jeśli nie płacił za seks, a Tisha nie mogła przeboleć takiego drobiazgu? Jak tu się nie śmiać?

– Naprawdę? Przepraszam. Nie chciałam tego przeinaczyć. Z jakiegoś powodu zapamiętałam rysunki Donny. Pamiętasz, że te jej dziewczyny miały psi profil? Rysowała im pyski, nie nosy.

Tisha nie dała się ugłaskać.

– Zawsze przypisywałaś Donnie moje rzeczy – stwierdziła, mieszając cukier w herbacie; a używała prawdziwego cukru, nie słodzika z kolorowej torebki. – Na przykład ta historia z imprezą z muzyką z płyt. To była moja impreza. Pomyliłaś ją z przyjęciem u Donny z okazji zakończenia szkoły.

– Jesteś pewna? – Cassandra posłużyła się pamiętnikiem z dzieciństwa, żeby odtworzyć niektóre okresy życia. Niemożliwe, żeby popełniła błąd w sprawie tak zasadniczej, jak pierwsza impreza z chłopakami.

– Sama opisałaś taniec Rega. Skąd on niby miał się wziąć w domu Donny? To było u mnie, a ty nie wiedziałaś o połowie rzeczy, które się wtedy zdarzyły.

– Na przykład?

– Że Fatima poszła na piętro z Karlem, tym, co w szóstej klasie miał wąsy, pewnie dlatego, że trzy razy powtarzał rok. A kiedy w sypialni zaproponował jej seks oralny, nie wiedziała, co to takiego, ale nie chciała wyjść na idiotkę, więc oczywiście się zgodziła. I zaczęła to robić zębami!

Cassandra wybuchła śmiechem.

– Szkoda, że o tym nie wiedziałam.

– Bo wtedy na pewno wstawiłabyś to do książki?

– Nie... A może i tak. Bo to cała Fatima. Zawsze szła na całość.

– Kiedyś. Teraz zrobiła się świętobliwa. – Tisha wyglądała na zaniepokojoną. – Nie pisz o tym. Chybaby umarła.

– Nie napiszę – obiecała Cassandra, czując ukłucie żalu. Nie dlatego, że straciła okazję do ubarwienia drugiego tomu wspomnień smaczną anegdotką. Słowa Tishy przypomniały jej, że niektóre sprawy trzymały przed nią w tajemnicy, że pewne tematy nigdy nie wyszły poza wewnętrzny krąg Tishy, Donny i Fatimy. „Moja najlepsza przyjaciółka”, powiedziała Tisha o Donnie. „Callie nie chodziła z nami do gimnazjum”: z nami, czyli z Tishą, Donną i Fatimą. Czy Tisha zawsze tak myślała? Nie uważała ich za zgrany kwartet? Przez cztery lata siedzieli razem przy zestawionych ławkach. Czyżby to nie uczyniło z nich przyjaciółek, przynajmniej w dzieciństwie?

– Masz kontakt z Fatimą? Zakładam, że z Donną sporo cię łączy, skoro wyszła za twojego brata.

– Fatima się od nas odcięła. Nie czuje się bezpiecznie przy ludziach, którzy znają ją z czasów, zanim poszła do Spelmana. O rany, ale wtedy zadzierała nosa.

Tisha wydawała się bardzo rozbawiona, a Cassandra miała wrażenie, że nie wychwytuje jakiejś subtelności. College Spelmana zaliczał się do lepszych. Dlaczego Fatima, która wychowała się w dość nieciekawej rodzinie, nie powinna być dumna, że zdołała się dostać do takiej szkoły?

– No wiesz, ja poszłam do Northwestern – ciągnęła Tisha – ale nie gadam o tym w kółko.

– To dobra szkoła.

– I komu to mówisz? Mój syn chciałby tam się uczyć, ale ma za słabe stopnie. A ty gdzie poszłaś?

Cassandra dałaby wszystko, żeby uniknąć odpowiedzi na to pytanie, ale było zbyt bezpośrednie, by mogła się jakoś wykręcić.

– Do Princeton. – Przykro mi, Tisho, sama zaczęłaś tę grę.

– Licencjat?

– Tak, i dyplom z literatury angielskiej. Nic dziwnego, że nie mogłam zdobyć normalnej pracy... hm, właściwie nigdy. Po studiach miałam różne zastępstwa, byłam krótko asystentką redaktora w dużym wydawnictwie, a potem dorywczo uczyłam i pisałam różne

teksty dla korporacji jako wolny strzelec. Naprawdę nie mogłam się odnaleźć, zanim zaczęłam pisać książkę, a wtedy miałam trzydzieści kilka lat. – Powiedziała to wszystko, żeby jakoś wyrównać rachunek.

– Ja zrobiłam MBA. Zaocznie, ale przydaje mi się w prowadzeniu firmy, chociaż to taki mały interes.

– A poza tym masz męża i dzieci.

– Chłopca i dziewczynkę.

– Chciałaś mieć troje.

– Boże, dwójka to dość! – Jej reakcja była tak prawdziwa, tak szczerą, jakby na moment pojawiła się dawna Tisha.

Cassandra trochę się odprężyła.

– Troje i męża architekta.

– Jest ortodontą. Praca w stałych godzinach, żadnych nagłych wezwań, a co roku do gabinetu przychodzi nowe stadko dzieciaków z krzywym zgryzem.

– Lubisz tutaj mieszkać?

– Uwielbiam. Oczywiście trzeba się sporo najeździć, po szkole robię za szofera, ale to doskonale miejsce dla dzieci. Syn jest w ostatniej klasie liceum, córka dwa lata niżej. Moglibyśmy zmienić dom na mniejszy, ale chyba zostaniemy tutaj, gdzie są klienci Michaela. A ty gdzie teraz mieszkasz?

– Na Brooklynie. Kupiłam mieszkanie dziesięć lat temu, kiedy było dużo taniej – dodała szybko.

– Jesteś bogata, co? – spytała bez ogródek Tisha.

– Nie muszę się martwić o pieniądze, o drobne wydatki. Ale chyba nie nazwałabym się bogatą.

– Twoje książki to bestsellery.

– Zdziwiłabyś się, jak to wygląda, jeśli chodzi o finanse. I mogę liczyć tylko na siebie. Nie mam nic innego. W tej chwili nie brakuje mi pieniędzy, ale muszę się przygotować na wypadek jakiejś poważnej choroby. Czas też myśleć o emeryturze. Prawie nic nie odłożyłam.

Tisha kiwała głową z nieobecny wyrazem twarzy, wydłubując widelcem pistacje z sałatki. Nie jadła, raczej rozkładała potrawę na części pierwsze.

– Dlaczego w ogóle wspominałaś o moich urodzinach? Nawet gdybyś napisała prawdę, to właściwie po co?

Znów to samo. Dlaczego Tisha już nie odpuści?

– Cóż, to nasza pierwsza impreza z chłopakami. A ja się czułam nie na miejscu. W tych sprawach zostawałam daleko w tyle. Ty, Donna i Fatima byłyście gotowe na chłopców. Ja jeszcze bawiłam się lalkami i misiami. Dałam ci wtedy w prezencie pluszowego kota. Wiem, co sobie pomyślałaś: że to już nie dla ciebie.

– Ale... – Tisha wyraźnie z czymś walczyła. Z emocjami? Z niemożnością znalezienia właściwych słów? – To była moja impreza. Co ona robi w twojej książce?

Cassandra wyczuła, że Tisha nie zadała pytania, które miała na końcu języka: „Jak to się stało, że napisałaś tę historię?”

– Jestem pisarką. Opisuję różne rzeczy.

– To moje życie.

– Losy zachodzą na siebie, przecinają się. Gdybym miała pisać tylko o swoim życiu, nie napisałabym nic.

– Może tak byłoby najlepiej – mruknęła Tisha.

– Jesteś zła, że chcę pisać o Calliope? Sama mówiłaś, że nawet się nie przyjaźniłyście.

– Po prostu nie chcę być w tej książce. Ale i tak będę, prawda? Wszystkie będziemy: Donna, Fatima, ja. Miałam nadzieję, że przynajmniej nas już odfajkowałaś.

Słowa ostre jak brzytwa. Cała Tisha.

– Nie wiem jeszcze, co napiszę, ale na pewno mocną historię. Calliope była kiedyś jedną z nas. Nie należała do paczki, chodziłyśmy jednak razem do klasy. Chcę ustalić, jak to się dzieje, że ktoś zbacza z drogi; dlaczego my jesteśmy szacownymi paniami w średnim wieku, a jej tak się wszystko poplątało. Dobra, ty miałaś fajną rodzinę, a starzy Donny byli baltimorską arystokracją. Ale Calliope nie różniła się tak bardzo od Fatimy, a ta, jak twierdzisz, wyszła na ludzi. Opowieść o Callie będzie mówiła o czymś więcej: o przeznaczeniu, o wyborach i pokusach, przed jakimi stanęłyśmy.

– Ale ja nie chcę być w tej opowieści. Musisz nas w to wciągać?

– Nie będziesz główną postacią. Na pewno nie. Najważniejsza jest historia Calliope. Oczywiście porozmawiam z twoim bratem...

– On ci nie pomoże.

– Bronił Callie.

– Sędzia wydał zakaz wypowiedzania się o sprawie.

– Podczas procesu, czytałam o tym. Ale zakaz nie może obowiązywać na wieki.

– Zorientował się, do czego zmierzasz, i powiedział mi, że nie może z tobą rozmawiać. Tak jak Calliope, nawet gdybyś ją znalazła, chociaż Reg nie wie, gdzie ona teraz jest.

– Nie może ze mną rozmawiać czy nie chce?

Tisha westchnęła i sprawdziła godzinę.

– Czy to ważne, Cassandro? Może wszyscy już skończyliśmy grę? Może byliśmy drugoplanowymi postaciami w wielkim show Cassandry Fallows w roli głównej?

– To niesprawiedliwe, Tisho. Bardzo niesprawiedliwe.

– Muszę już iść. – Położyła na stole dwadzieścia dolarów, o wiele za dużo, nawet jeśli doliczyć hojny napiwek. – O czternastej mam telekonferencję.

– Miło cię było zobaczyć, Tisho. – Chociaż złośliwa uwaga o wielkim show Cassandry zabolęła, postanowiła nie podejmować walki i nie palić za sobą mostów.

– Ciebie też, Cassandro. Bardzo chciałabym z tobą porozmawiać, tak naprawdę, kiedy nie będziesz pracować nad żadną książką. Aha, i nieważne, co ludzie mówią, moim zdaniem powieść najlepiej ci się udała. Powinnaś skupić się na fikcji. Chociaż i we wspomnieniach fikcji też jest całkiem sporo.



## Rozdział 14

Droga numer 108 przesuwała się monotonnym pasmem za oknami „auta mamy”, ośmioletniego minivana marki Dodge, który jak na złość sprawował się zbyt dobrze, żeby myśleć o jego sprzedaży. Tisha Barr-Holloway wciąż musiała odwozić i przywozić dzieciaki – chociaż jej córka zbliżała się do wieku, w którym mogła sama prowadzić. Wszystko przez te dzisiejsze przepisy: godzina policyjna dla młodzieży, nie więcej niż dwoje dzieci w samochodzie, jeśli za kierownicą siedzi nastolatek. Ależ się pozmieniało od jej szesnastych urodzin, kiedy po prostu pojechała z ojcem do Glen Bumie i wróciła trzy godziny później z prawem jazdy. Jedyne ograniczenie to to, że rodzina Barrów miała tylko jeden samochód.

Prawdę mówiąc, Tisha była zadowolona z tych utrudnień, chociaż przez nie pozostanie przykuta do kierownicy jeszcze przez kilka lat. W hrabstwie Howard nie brakowało krętych dróg – pamiątki po rolniczej przeszłości okolic. Droga numer 108 też wiała się jak wstążka. Tisha jechała zdecydowanie za szybko, tym bardziej że właśnie zaczął siąpić deszcz. Zabiłabym Michaela juniora, gdybym go przyłapała na takiej jeździe, pomyślała, wciąż nie zdejmując nogi z gazu. Przekraczała dozwoloną prędkość o dwadzieścia-trzydzieści kilometrów. Wcale nie musiała wracać do domu na określoną godzinę, nie miała też telekonferencji o czternastej. Po prostu chciała uwolnić się od Cassandry. Głodna jak wilk, odtworzyła w głowie mapę okolicy, próbując sobie przypomnieć, gdzie jest najbliższy bar. Aha, Pajacyk w Wilde Lake. Zaraz zawróci i kupi coś w okienku.

Czemu właściwie powiedziała o tej powieści? Nawet jej nie czytała, chociaż oba tomy wspomnień przestudiowała starannie, niż przyznawała sama przed sobą. Nie zwykła kłamać, lecz z jakiegoś powodu bezczelne kłamstwo samo jej się wymknęło z ust. Przejrzała recenzje powieści, kiedy Reg powiedział, żeby zadzwoniła do Cassandry, ale nawet nie przyszło jej do głowy, żeby sięgnąć po książkę. Była jednak pewna, że gdyby znalazła na to czas, na pewno wolałaby *Malowany ogród* od wspomnień Cassandry.

Tisha nie zwróciła szczególnej uwagi, kiedy *Córka swojego ojca* została wydana po raz pierwszy. Miała wtedy w domu dwójkę małych dzieci i w ogóle niewiele czytała. W końcu jednak książka – jeszcze w twardej oprawie – wpadła jej w ręce i dopiero wtedy Tisha zauważyła imię i nazwisko na okładce. Cassandra Fallows. To przecież koleżanka ze szkoły, ta, która znikła nagle w połowie liceum. Tisha sięgnęła po jej wspomnienia z nadzieją, że znajdzie odpowiedź na pytanie, dlaczego Cassandra nie wróciła do Western po zakończeniu dziewiątej klasy.

Niewiarygodne, czego się dowiedziała! Według książkowej wersji Cassandra odeszła ze szkoły po tym, jak została pobita przez trzy łobuziary ze Wschodniego Baltimore, z którymi walczyła przez cały rok. Tyle że Cassandra uczyniła z tego zdarzenia jakąś karmiczną odpłatę, karę za afront, który zrobiła Tishy trzy lata wcześniej. Sama Tisha nie takiego nie zapamiętała.

– Co za bzdury! – wybuchła podczas spotkania z Donną. – Pamiętasz coś takiego?

– Pamiętam, że ją pobiły, to znaczy słyszałam o tym po fakcie. Ale nie przypominam sobie, żebyśmy były wtedy w pobliżu. A nawet jeśli, to co? Wyobrażasz sobie, że ja wdałabym się w bójkę? Nie, dziękuję.

Ciekawe, że absolutnie nic nie mogło zachwiać jej poczuciem własnej wartości. Wyszła za niewłaściwego człowieka, lecz o tym katastrofalnym małżeństwie po prostu nigdy się nie mówiło. Później natomiast poślubiła młodszego brata Tishy, co jednak nie ujęło jej ani odrobiny wrodzonej wyniosłości. Nadal uważała się za lepszą od wszystkich innych. Ukochana córeczka Andre Howarda, bratanica senatora stanowego Juliusa Howarda. Małżeństwo z Regiem było dla niej ostatnim ratunkiem – a mimo to zdołała przekonać wszystkich, że to ona wyświadczyła mu wielką łaskę.

Domy Howardów i Barrów dzieliło zaledwie pięć przecznic – ale w praktyce odległość ta okazywała się znacznie większa. Howardowie należeli do elity, niemal jak Mitchellowie, których imię nosił budynek sądu. Nigdy nie byli rzeczywiście najlepsi i na czele, lecz zawsze dążyli do najwyższych szczytów. Swego czasu wszyscy wierzyli, że wuj Donny zostanie pierwszym w historii czarnoskórym przedstawicielem stanu Maryland w senacie krajowym lub też pierwszym czarnoskórym gubernatorem – zależy czego zapragnie. Każdy ze scenariuszy zakładał jednak, że z członka rady miejskiej Julius Howard wywinduje się na stanowisko przewodniczącego, a potem wyżej do godności burmistrza. Tu jednak szczęście go zawiodło. Po klęsce w wyborach na przewodniczącego rady miasta na zawsze utknął w senacie stanowym. Był postacią ważną, ale jednak nie tak ważną i wyjątkową, jak sobie wyobrażał.

Mimo to Howardowie cieszyli się poważaniem, które zawsze irytowało Tiszę. Zaprzyjaźniła się z Donną jeszcze w przedszkolu, instynktownie wcielając w życie starą zasadę, że wrogów należy trzymać jak najbliżej. Oczywiście dwie pięciolatki nie mogły być wrogami. Mogłyby za to – gdyby nie połączyła ich przyjaźń – zacząć ze sobą rywalizować. A poza tym Tisha naprawdę uwielbiała Donnę – nie była tylko tak zaślepiona na jej punkcie jak inni, z jej bratem na czele. Taka Cassandra uważała Donnę za artystkę, choć to Tiszę naśladowały wszystkie w ich grupie. To Tisha pierwsza zaczęła rysować szczegółowe

portrety dziewczyn szykujących się na randkę, a było to w piątej klasie, nie w czwartej. Niby drobiazg, lecz skoro Cassandra myliła się w drobiazgach, czy można jej ufać, że nie pomiesza naprawdę ważnych spraw? Co do niektórych szczegółów miała rację: dziewczyny na rysunkach Donny przypominały psy, słodkie panienki pieseczki, z nosem jak pysk i oczami po bokach głowy. Donna nigdy nie opanowała trudnej sztuki perspektywy. Oczywiście Cassandra – jak to ona – musiała zrobić z dziecięcego rysowania wielką sprawę, przedstawiając je na tle walki o równouprawnienie kobiet. Dlaczego były tak zafascynowane atmosferą randek, obrazami dziewczyn uchwyconych podczas przemiany? Czy to nie ciekawe, że interesowało je przygotowanie do randki, nie zaś samo spotkanie z chłopakiem? Uwielbiały myśleć i mówić o przebieraniu się, układaniu włosów, malowaniu ust. Po tym wszystkim randka byłaby rozczarowaniem i zawodem. „Jak u *Dziewczyn z mieszkania 3-G*”, stwierdziła Cassandra w książce, nie zauważając, że bohaterki tego komiksu różniły się jedynie kolorem włosów. Nigdy do niej nie dotarło, że Tisha musiała wypełnić puste miejsce, stworzyć własną opowieść, w której nie chodziło o to, czy jest się blondynką, brunetką czy rudzielcem, lecz o rodzaj włosów, o sposób ujarzmięcia kędzierzawej masy.

– To jest właśnie problem z białymi – narzekała Tisha przed Donna, kiedy nie udało jej się skłonić szwagierki, żeby zastanowiła się, w jaki sposób Cassandra połączyła w zakończeniu książki dwa całkowicie odrębne wydarzenia. – Nigdy nie pomyślą, że coś ma związek z rasą. Chyba, że to dotyka ich samych. Wtedy nagle wszystko ma związek z rasą. Spróbuj wyjaśnić komuś takiemu jak Cassandra, jak się czułaś, szukając w komiksach czy telewizji chociaż jednej osoby podobnej do siebie. Powie ci, że przesadzasz, załóżę się. Ale niech no jej samej przyłożą trzy białe dziewczyny! Okaże się, że to dlatego, że była jakąś... nie wiem, Harriet Tubman<sup>14</sup> i wiodła małe Murzyneczki ku jutrzence wolności!

Donna się zaśmiała.

– Raczej Harriet Beecher Stowe<sup>15</sup>. Chociaż trzeba Cassandrze przyznać, że styl ma trochę lepszy.

Boże, dlaczego Tisha nie może być taka jak Donna? Dlaczego nie należy do tych istot, które unoszą się lekko nad powierzchnią życia i nigdy nie dają się wciągnąć w bagno gniewu czy walki o własne racje? „Ja bym się ludziom na oczy nie pokazał”, szeptali niektórzy, kiedy

---

<sup>14</sup> Harriet Tubman (1820-1913) – afroamerykańska abolicjonistka, zbiegła niewolnica, zwiadowczym w armii Unii podczas wojny secesyjnej, pierwsza kobieta przywódczyni tej wojny, wyzwolicielka wielu setek niewolników (przyp. tłum.).

<sup>15</sup> Harriet Beecher Stowe (1811-1896) – amerykańska pisarka i działaczka społeczna, znana głównie z sentymentalnej powieści *Chata wuja Toma*. Brała udział w akcji ukrywania zbiegłych niewolników i przrzucania ich na Północ, walczyła o prawa wyborcze dla kobiet (przyp. tłum.).

Donna wróciła do Baltimore po klęsce pierwszego małżeństwa. Swojego przyszłego męża – który pochodził z Knoxville w Tennessee, z rodziny równie szanowanej i znaczącej, jak Howardowie w Baltimore – spotkała w college’u i przekonała, żeby podjął pracę w sztabie wyborczym jej wuja Juliusa. Ślub wzięli w rok po Dianie i Karolu, podczas ceremonii o iście książęcym rozmachu. Suknia drużny była jednym z najokropniejszych strojów, jakie Tisha kiedykolwiek włożyła, a to chyba mówi samo za siebie.

Sześć lat później z ich związku nie został nawet popiół i nikt nie wiedział dlaczego. Pewne było jedno: że Donna wyszła z tego małżeństwa bez centa i że musiało się zdarzyć coś strasznego. Na tak żyznym gruncie kwitły najbardziej szalone plotki. Mąż ją bił, ona biła męża, bili się nawzajem. Stracili wszystkie pieniądze w jakimś przekręcie, a Donna nie chciała żyć z biedakiem. On jest gejem – nie, to ona lesbijką. Były mąż wie o Donnie różne obrzydliwe rzeczy, dlatego ona musi go opłacać, żeby milczał, i sama nie dostała ani centa. Donna nie dała się jednak zastraszyć i nikomu się nie zwierzyła, nawet Tishy.

– Po prostu nam nie wyszło – powiedziała tylko. – Oddaliliśmy się od siebie, byliśmy za młodzi.

Tymczasem pojawił się Reg, który pracował w kancelarii ojca Donny. Chociaż młodszy od niej o dwa lata, nie przypominał już tego małego, głupiutkiego Słodziaka, który próbował oczarować Donnę swoim komicznym tańcem. Był przystojny, dobrze zbudowany, a po trudnych początkach w firmie pędził prostą drogą do sukcesu. Oczywiście ludzie plotkowali także na ten temat. Szeptali, że Reg awansował na partnera w kancelarii, ponieważ został zięciem szefa. Zdaniem Tishy, wyglądało to inaczej: Andre Howard przekonał się, że Reg jest doskonałym prawnikiem, i nagroził go ręką swojej jedynej córki. Za nic nie chciał, żeby ktoś po raz drugi skrzywdził jego skarb. Reg, zależny zawodowo od teścia, nigdy nie przyniesie Donnie wstydu.

Niesamowite, ile Reg ma teraz pieniędzy. Jak mawiał Michael: „Lekarz czy dentysta radzi sobie nieźle, ale facet, który pozywa lekarzy i dentystów – lepiej!” Co prawda Reg nie prowadził spraw o błędy w sztuce lekarskiej, ale Tisha rozumiała, co mąż ma na myśli. Żyło im się całkiem wygodnie, nie musieli się martwić o drobiazgi. Zawsze było ich stać na naprawę samochodu, wakacyjny wyjazd czy lekcje muzyki dla dzieci. Za to college... Boże drogi. Pierwszy dom, jaki kupili, kosztował mniej niż czesne za cztery lata studiów. Nie wyobrażała sobie tych dwóch lat, kiedy córka i syn będą równocześnie na studiach, a im, rodzicom, przyjdzie wtedy wyłożyć w sumie sto sześćdziesiąt tysięcy dolarów. Z drugiej strony, nie potrafiłaby odmówić czegokolwiek własnym dzieciom. Jako nastolatka usłyszała od rodziców, że może pójść do każdego college’u, do którego się dostanie, i zamierzała

obietcać dzieciom to samo. Z pewnością jednak jej rodzice – nawet jeśli uwzględnić inflację – nie wydali aż tyle na naukę Tishy i Rega, choć temu ostatniemu pomagali dodatkowo opłacić studia prawnicze na Uniwersytecie Baltimore. Pracowali na państwowych posiadach, a mimo to stać ich było na wykształcenie dzieci. Jak to możliwe?

Reg również bez trudu wykształcił swoją siedmioletnią córeczkę. Wydał już zresztą fortunę, żeby sprowadzić ją na świat: dokładnie rzecz biorąc, wynajął na zastępczą matkę jakąś kobietę z innego miasta, choć ten temat stanowił w ich rodzinie wielkie tabu. Dla małej Aubrey świat nie miał granic, a rodzice nauczyli ją, że może sięgać jeszcze wyżej, aż po gwiazdkę z nieba. Tisha sądziła, że problemy Donny z zajściem w ciążę wynikają z wieku, lecz pewnego dnia Reg napomknął, że została okaleczona i że to kolejna bolesna pamiątka po jej pierwszym małżeństwie.

– Wiesz oczywiście, o co chodzi – powiedział wtedy, a Tisha potwierdziła, choć nie wiedziała nic.

Dziwnie było sobie uświadomić, że Reg zna tajemnice Donny, których ta nie powierzyła nawet najlepszej przyjaciółce. Tisha tłumaczyła sobie, że to naturalne, w końcu są małżeństwem – ale wciąż niezbyt jej się to podobało. Nienawidziła też wizyt w ich domu, wielkiej, stylowej rezydencji na Bolton Hill, gdzie byle grat pochodził z epoki kolonialnej i miał długą, wspaniałą historię. „Czyją historię?” – chciała zawsze zapytać. W czasach, kiedy powstał ten kominek, tacy jak my mogli go najwyżej odkurzać. Tak, nawet wy, Howardowie”.

Przypomniała sobie, jak przepełniło ją poczucie wyższości, kiedy dostała się do Northwestern, a Donna, mniej zdolna uczennica, musiała się zadowolić Uniwersytetem Delaware’a. Ale zaraz potem pomyślała o tonie, jakim Cassandra podczas lanczu wspomniała o swoim sukcesie. Princeton. Zupełnie jakby mówiła o czymś zwyczajnym. Tisha też mogłaby iść do Princeton: miała wystarczająco dobre oceny. Nie pozwoliła jej własna wyobraźnia. Tam jest za białe, powiedziała sobie w duchu, kiedy doradca wspominał o szkołach z Ligi Bluszczowej<sup>16</sup>.

Tyle że w Northwestern było równie białe – w środku i na zewnątrz, zwłaszcza kiedy na parapetach zbierały się wysokie czapy śniegu. Tisha czuła wtedy, że oszaleje. Pewnego dnia – akurat kiedy stała na blacie biurka i wyglądała przez okno na zaśnieżony świat – ktoś przyniósł plotkę, że czarna dziewczyna, jedna z dwóch w ich akademiku, próbowała się zabić, bo nie mogła znieść samotności. I znów to samo: widzieli rasę tam, gdzie ona widziała tylko

---

<sup>16</sup> Ivy League – stowarzyszenie ośmiu elitarnych uniwersytetów amerykańskich w północno-wschodniej części USA (nazwa pochodzi od bluszczu, obrastającego stare budynki) (przyp. tłum.).

kolor, nieskończone szeregi białych zasp. Zimą 1979 roku spadło niemal osiemdziesiąt centymetrów śniegu. Co ja sobie właściwie myślałam? – zastanawiała się Tisha, wbijając wzrok w cicho przyrastające śnieżne pagórki. Powinna pójść do Tulane albo Vanderbilt.

Mimo wszystko w Northwestern czuła się całkiem dobrze, zwłaszcza na zajęciach u pana Sterlinga Stuckeya – on naprawdę wysoko cenił jej zdolności intelektualne. Wspomnienie wykładowcy przywołało myśl o Braciszku Króliku, a ta zawiodła ją z powrotem do Cassandry, do której nigdy nic nie docierało.

To się wydarzyło w czwartej klasie, na wiosnę. Tisha chciałaby wierzyć, że tydzień wcześniej zamordowano doktora Kinga, ale wiedziała, że pamięć płata jej figle, żeby upiększyć tę historię. O właśnie – to różniło ją i Cassandrę. Tisha miała świadomość, jak działa ludzka pamięć, jak próbuje nas oszukać, jak my sami staramy się zmienić wspomnienia. W rzeczywistości nawet dyrekcja miejskiej szkoły w Baltimore nie okazałaby się tak bezmyślna, żeby tydzień po zamachu na Martina Luthera Kinga pokazać uczniom film *Pieśń Południa*<sup>17</sup>.

Coś jednak musiało się wtedy zdarzyć, skoro postanowiono zebrać dzieciaki w audytorium i uraczyć je filmem – doprawdy wyjątkową nagrodą. Oczywiście nie puszczono *Pieśni Południa*, choć zaraz potem omawiali na lekcji *Opowiadki wuja Remusa* Joela Chandlera Harrisa. Zakłopotana Tisha wpatrywała się w książkę. Nie знаła nikogo, kto tak by mówił. No, może daleki krewny ojca, ten z wybrzeża... który nawet nie skończył szkoły. I mama Fatimy: używała gwarowych wyrażeń. Ale nawet ona nie wymawiała „szczyńś Boże” ani „pikne dzisia słuńce”! Nikt nigdy nie powiedział przy Tishy, że coś się dzieje „na dworzu” – tak jak Braciszek Lis, kiedy opisywał przygodę Braciszka Królika ze Smołowym Malcem<sup>18</sup>. Jej matka była prawdziwym demonem językowej poprawności. Biada członkowi rodziny Barrów, któremu nieopatrnie wymknęłoby się „na dworzu” czy „ubrać swetr”!

Wszystko to powiedziała nauczycielowi.

– Ależ to jest gwara, Tisho. Tak kiedyś mówili ludzie na Południu. Joel Chandler Harris chciał utrwalić ustną tradycję, bo inaczej opowieści przepadłyby na zawsze.

Przemądrzała Cassandra oczywiście musiała wtrącić swoje trzy grosze:

– To nie są zwykłe historyjki. To historia, Tisho.

---

<sup>17</sup> Wyprodukowany w 1946 roku przez Walta Disneya film dla dzieci, wykorzystujący wątki z książek Joela Chandlera Harrisa (1845-1908), amerykańskiego folklorysty, który spisał ludowe opowieści, krążące wśród czarnoskórych niewolników. Zarówno filmowi, jak i *Opowiadkom wuja Remusa* zarzucano rasizm (przyp. tłum.).

<sup>18</sup> W oryginale *tar baby* – figurka dziecka wykonana ze smoły, która w jednej z bajek z folkloru czarnoskórych niewolników służyła jako przynęta i zarazem pułapka na Braciszka Królika (przyp. tłum.).

Nie moja, miała na końcu języka.

Dojechała do baru Pajacyk – który zresztą zdążył już stać się Burger Kingiem – i zamówiła koktajl mleczny i krążki cebulowe. Sałatka z kurczaka z pistacjami, też coś. Nie znosiła takiego jedzenia. Dlaczego więc wybrała tamtą restaurację? Bo – cóż, trzeba się przyznać – chciała zaimponować Cassandrze. Tej samej, która była największym dziwadłem w klasie, tej kościstej dziewczynie z włosami jak stóg siana, potykającej się o własnej nogi. Swego czasu to Cassandra zabiegała o uznanie Tishy. Działał wtedy istny łańcuch dowodzenia: Tisha czekała, co powie Donna, Fatima i Cassandra słuchały Tishy, a za Fatimą płała się jak cień mała Callie, której wystarczyło, że mogła stać za linią autu. „Gracie w zbijaka? – pytała na boisku. Gracie w piłka parzy?” Ale sama nie grała, chyba że zachęciły ją Donna lub Tisha. Zaproszenie Fatimy, a tym bardziej Cassandry już się nie liczyło. Oczywiście Cassandrze nigdy nie przyszło do głowy, żeby wciągnąć koleżankę do zabawy. Dzisiaj zapomniała najwyraźniej, że Callie starała się do nich zbliżyć. Gdyby pamiętała, na pewno opisałyby to w osobnym rozdziale albo nawet w kilku. A może zrobiłaby z tego całą książkę?

To dopiero – Tisha zgubiła się na przedmieściu, na którym mieszkała od siedemnastu lat. Jak to możliwe? Owszem, oddaliła się od swoich okolic, ale żeby aż tak zboczyć z drogi? Zawsze sądziła, że jeśli chce się szybko i pewnie poruszać po Columbii, trzeba wyłączyć rozum. Skręciła w prawo, zamiast w lewo, zjechała w Faulkner Street. Wszystko dlatego, że myślała o Faulknerze.

Z Braciszkiem Królikiem zetknęła się ponownie w college’u, na seminarium z czarnego folkloru – tak wtedy nazywano te zajęcia, które prowadził Sterling Stuckey. Z początku była dość sceptycznie nastawiona, a przy tym zmieszana, że autorem jednej z lektur jest William Faulkner. Dlaczego Faulkner pisał o Braciszku Króliku? Wykładowca wyjaśnił jednak, że chodzi o Williama J. Faulknera, byłego niewolnika, który przedstawił opowieści zebrane przez Harrisa prostym językiem, co dodało im siły. Potem Stuckey wskazał na podobieństwa między Braciszkiem Królikiem a zającem oszustem z ludowych podań z Zachodniej Afryki i nawiązał do procesu pan afrykanizacji, w ramach którego dawne podziały etniczne stopiły się i wymieszały w tyglu niewolnictwa. Zwrócił w ten sposób Tishy Braciszka Królika, pozwolił dostrzec jego spryt i śmiałość. Królik był oszustem z konieczności: bo jak inaczej przeżyłby w tym dzikim, okrutnym świecie?

Kilka tygodni później, gdy czytali biografię Jelly’ego Rolla Mortona, pewna biała dziewczyna z Oklahomy skomentowała upodobanie autora do eleganckich rzeczy: „Zawsze się zastanawiałam, dlaczego wszyscy czarni mają drogie samochody, choć ich nie stać”.

Zapadła głęboka, straszna cisza, nie tyle niewygodna, ile paraliżująca. Stuckey delikatnie naprowadził grupę na dyskusję o stereotypach i uogólnieniach. Dziewczyna z Oklahomy siedziała spokojna i niewzruszona w swej głupocie. „Zgadza się – stwierdziła, kiedy wykładowca skończył. To naprawdę dziecinne: kupować drogie rzeczy, kiedy się nie ma na jedzenie”.

Cassandra nigdy nie była aż tak tępa, zadufana w sobie czy krótkowzroczna. Drugą żonę ojca potraktowała znacznie lepiej niż własna rodzina Annie. Watersowie wyrzekli się córki w dniu jej ślubu z Cedrikiem Fallowsem. Plotki towarzyszące temu związkowi krążyły wysoko, o wiele za wysoko nad głową małej Tishy Barr, ale nawet do niej to wreszcie dotarło. Dotarło do wszystkich – prócz Cassandry. Zabawne, bo nikogo poza nią tak naprawdę ta cała sprawa nie obchodziła. Póki Cassandra nie napisała książki, w której wydarzenia wokół zamachu na Martina Luthera Kinga przedstawiła przez pryzmat... wybaczone, Cassandro, pomyślała Tisha, wciągając resztkę koktajlu z taką złością, aż zabulgotało, tak trywialnej historii. Nie dało się spokojnie czytać, jak Cassandra beztrudnie wykorzystuje te trzy wstrząsające dni, żeby opowiedzieć o swojej osobistej tragedii. Nie wiedziała – nie mogła wiedzieć – co działo się w ten straszny weekend w domach czarnoskórych rodzin, nie zdawała sobie sprawy z ich strachu, przerażenia. Ale – jak powiedziała Donna – nie miała złych zamiarów, nie chciała nikogo skrzywdzić.

Tisha sądziła, że ludzie, którzy nie mają złych zamiarów i nie chcą nikogo skrzywdzić, są najgorsi. Jak Smołowy Malec, od którego nie można się odkleić. Reg i Donna chyba zwariowali, skoro myślały, że mogą kontrolować Cassandrę, że uda im się ją opanować, jeśli otworzą przed nią drzwi, a potem spróbują przekonać, żeby nie wciągała ich w polowanie na Callie Jenkins. Biedna, smutna kobieta, zawsze za linią autu, zawsze czekająca, żeby ktoś ją zaprosił do zabawy. Cokolwiek zrobiła – a wszyscy uważają, że zabiła własne dziecko – zostaw ją w spokoju, Cassandro. Daj jej żyć.

Reg i Donna mogą zaprosić Cassandrę do domu i się z nią użerać, skoro tego właśnie chcą. Tisha... cóż, woli być w tym czasie „na dworze”.

## Zaklęta

Jako dziecko byłam uzależniona od telewizora. Oficjalnie pozwalano mi tylko na godzinę telewizji dziennie. Zasadę tę ustalił jednak mój ojciec, a matka rzadko ją stosowała. Później, kiedy się wyprowadził, oglądając wspólnie telewizję, zyskiwałyśmy poczucie biernej



bliskości i wszystkie restrykcje upadły. Póki mieszkaliśmy pod jednym dachem, ojciec przeklinał telewizję, obrzucał ją obelgami i zohydzał w każdy możliwy sposób. Przez co – oczywiście – nabierała nieodpartego uroku.

W dni powszednie biegłam ze szkoły do domu, dosłownie trzęsąc się z niecierpliwości. Najpierw włączałam *Tylko jedno życie*, żeby zabić czas, zanim zaczęły się *Mroczne cienie*. Wkrótce jednak zaczęłam przedkładać seriale nad opowieści o nadnaturalnych zjawiskach. Pod koniec lat sześćdziesiątych oglądanie serialu było najbardziej nieprzyzwoitą rozrywką: w kółko tylko zakazany seks i nieplanowane ciąży z konsekwencją w postaci nieszczęśliwych małżeństw. Patrzyłam tępo w ekran aż do wiadomości, a potem szybko zabierałam się do lekcji, żeby były odrobione, kiedy ojciec przyjdzie z pracy.

Najbardziej lubiłam *Zaklętą* – serial nadawano wieczorem, więc znacznie trudniej było ukryć, że go oglądam. Upierałam się, że mi wolno, w ramach dozwolonej godziny, lecz ojciec z zasady nie znosił tej opowieści. Złościło go, że Darren – którego grał Dick York, a potem Dick Sargent – usidlił piękną młodą czarownicę Samanthę. Podobnie jak matka dziewczyny uważał, że Darren nie jest Samanthy wart, niejako śmiertelnik, ale dlatego, że nie pozwolił jej użyć magicznych mocy, by ich udoskonalili. Choć ukochane mity ojca na różne sposoby pokazywały niebezpieczeństwa, jakie niesie miłość do bogów i bogiń, on sam nie zawahał się sięgnąć po serce bóstwa. W ciągu mniej niż czterdziestu ośmiu godzin od wieczoru, który opisuję, na jego oczach z morza wijących się ciał, niczym Afrodyta z morskiej piany, wyłoniła się Annie. I zaraz potem omal dla niej nie zginął.

Zanim jednak do tego doszło, w czwartkowe popołudnie zasiadłam przed telewizorem, zastanawiając się, dlaczego czarownice są brzydkie albo przepiękne, nigdy przeciętne. Miałam nadzieję, że ja będę zachwycać urodą, choć na razie niewiele na to wskazywało. Matka twierdziła, że jestem najładniejszą dziewczynką pod słońcem, ale ojciec podejrzanie omijał ten temat. Ponieważ w wakacje między trzecią a czwartą klasą przestał rozczesywać mi włosy, szybko zmieniły się w rozwichrzoną masę zupełnie niepasującą do mojej małej buzi. Mimo to lubiłam tę zasłonę, pod którą, w szkole czy w domu, zawsze mogłam się ukryć, kiedy zdarzyło się coś okropnego. Albo – miało się zdarzyć.

„Przerywamy program, żeby nadać specjalny komunikat”. Pamiętacie te słowa? Dzisiaj nie słyszy się ich tak często, odkąd pojawiły się newsy CNN z ostatniej sekundy. Wiadomości specjalne przesuwają się dołem ekranu, usiłując w pokorze nie zakłócać programu. Doktor Martin Luther King został zastrzelony w Memphis o szóstej po południu czasu środkowego, godzinę przed tym, zanim włączyłam telewizor, a do mnie dopiero dotarła ta informacja. Miał trzydzieści dziewięć lat. Dziewczynce dziesięcioletniej – za dwa dni –

wydawał się stary jak świat. W rzeczywistości był w wieku mojego ojca, pięć lat starszy od mojej matki.

Zawołałam mamę, która krzątała się w kuchni. Nie uwierzyła mi. Czy dziecko może być posłańcem takich wieści? Kiedy wreszcie zrozumiała prawdę, krzyknęła – nie, pomyliłam dwa wydarzenia. Krzyknie dopiero za dwa miesiące, wczesnym rankiem szóstego czerwca, kiedy się dowie, że zastrzelono Roberta F. Kennedy’ego. Usłyszę, jak biegnie z płaczem do sypialni, i będę się zastanawiać, dlaczego tak rozpacza z powodu śmierci obcego człowieka. Dopiero kilka minut potem zapytam: „Gdzie tatuś?” A ona zacznie płakać jeszcze bardziej. Tak wiele zdarzy się w ciągu dwóch miesięcy.

Kilka godzin po zamachu na Kinga w Waszyngtonie i Detroit wybuchły zamieszki, lecz w Baltimore panował zwodniczy spokój.

– To miasto jest takie zapóźnione, że nawet nie zbuntuje się na czas – mawiał potem ojciec.

– Ale gdyby od razu zaczęły się zamieszki, nie wyszlibyśmy w sobotę – wytknęłam mu wiele lat później. – Nie natknąłbyś się na Annie. Spotkałeś ją dlatego, że zabili Kinga.

– Nie bądź ckliwa, Cassandro. Owszem, poznałem Annie w okolicznościach, które wynikały z zamordowania Kinga. Natomiast błędem jest stwierdzenie, że inaczej bym jej nie spotkał. W końcu pracowała w piekarni w Westview Mall, pięć kilometrów od naszego domu.

– Tylko czy zakochałbyś się w niej w mniej dramatycznych okolicznościach? – upierałam się. – Czy urzekłaby cię dziewczyna, która sprzedaje bułki? Albo wsiada do autobusu na tym samym przystanku?

– Och, tak – powtarzał ojciec. – Annie była moim przeznaczeniem. Po czym, widząc wyraz mojej twarzy, dodawał: – Przykro mi, Cassandro, sama zapytałaś. Nigdy nie pytaj, jeśli nie chcesz znać odpowiedzi.

# **Kolekcje specjalne**

10-12 marca

## Rozdział 15

Kiedy Teena zauważyła klientkę w obszernej pelerynie, omal nie krzyknęła: „Moooja!”, jak piłkarz na boisku. Na pierwszy rzut oka było widać, że ta kobieta wydaje pieniądze lekką ręką – ale to nie wszystko. Miała też gust i stosunkowo niezłą – jak na swoje lata – figurę: szczupłą, z niezbyt dużymi biodrami, choć trochę za niska, żeby pozwolić sobie na stroje najwyższej klasy projektantów. Miała też dość rozsądku, żeby ubierać się odpowiednio do wieku, który Teena oceniła na czterdzieści dwa, czterdzieści pięć lat. Czyli będzie omijać ostatnie nowinki, doceni za to najlepsze modele z wiosennych kolekcji, dzięki którym pokaże, że nadaża za modą, ale nie jest jej niewolnicą.

– Teena – przedstawiła się, unikając ponurego wzroku Lavonne, sprzedawczyni. – Proszę mi dać znać, jeśli będzie mnie pani potrzebowała.

Lavonne nie dogadałaby się z tą klientką, tłumaczyła sobie. Za mocno naciska, za bardzo upiera się przy swoim. Lepiej daje sobie radę z niezdecydowanymi kobietami. Tutaj trzeba zaproponować pomoc, wycofać się i pilnować momentu, aby wkroczyć z radą czy podpowiedzią. Teena patrzyła, jak kobieta w pelerynie rozgląda się po dziale najlepszych projektantów w specjalnych kolekcjach Nordstroma. Wyglądała na mieszkankę Nowego Jorku, przyzwyczajoną do większego wyboru i lepszej oferty, na kogoś, kto kupuje zwykle u Bergdorfa Goodmana albo u Saksa przy Piątej Alei. Czasem w wolny dzień Teena kupowała bilet na autobus do Nowego Jorku i z powrotem, wycieczkowy, taki za trzydzieści pięć dolarów, do którego przewoźnik dorzucał kanapkę. Gdy współpasażerowie ruszali na poranne przedstawienia i do muzeów, ona wędrowała po centrach handlowych, popijając w barkach. Niczego nie mierzyła – z zawodowej grzeczności, żeby nie marnować czasu koleżanek po fachu – przypatrywała się za to wywieszonym ubraniom i klienteli. Towary wzbudzały zazdrość, za to po krótkiej obserwacji klientek wzdychała z ulgą, że mieszka i pracuje w Baltimore. Owszem, wiele sprawiało miłe wrażenie, był jednak pewien typ, którego nie mogła ścierpieć: hałaśliwe, marudne babsztyle, którym nigdy nic się nie podoba. Och, widywała takie i w Nordstromie, zwłaszcza w okresie promocji, lecz jędze z Baltimore należały jednak do zupełnie innej kategorii. Może sądziła tak dlatego, że zdążyła je już dobrze poznać albo że w młodości sama była podobna. Wtedy powiedziałyby, że jest pewna siebie lub ma mocną osobowość. Mała różnica. W wieku dwudziestu kilku lat młoda, ambitna Teena nie liczyła się z uczuciami innych. W skrytości ducha nawet gardziła przegranymi

nieszczęśliwymi, przekonana, że sami odpowiadają za swój marny los. Bez skrupułów odpędzała ich jak najdalej od siebie, jakby bała się zarazić pechem.

A później sama do nich dołączyła.

Kobieta stanęła przed modelem Tory Burch, minisukienką w jasnozielono-różowe wzory. Teena sprzedała już mnóstwo takich sukienek – w Baltimore te dwa kolory, podobnie jak styl panienki z dobrego domu, nigdy nie wychodziły z mody – lecz jej klientce ten strój na pewno by nie pasował.

– Ładna – zaryzykowała mimo to. – I bardzo popularna.

Kobieta skrzywiła się lekko. Dobry znak.

– Wyczuwam, że raczej nie jest w pani stylu.

– Zwykle noszę proste fasony – przyznała klientka ze śmiechem. – Może powinnam coś zmienić. Ta sukienka kojarzy się wiosennie, a przecież i w Baltimore doczekamy się wiosny. Choć dopiero pod koniec kwietnia.

– Jest pani stąd?

– Stąd pochodzę. – Odsunęła sukienkę Tory Burch i sięgnęła po następną na wieszaku, falbaniastą, z kolekcji Alice + Olivia.

Najwyraźniej była w romantycznym nastroju: wybierała ładniutkie modele, zupełnie różne od poważnych ubrań, w których przyszła. Ma ochotę na zmiany. Może ostatnio schudła? Nie, nie poruszała się jak ktoś, kto nie przywykł jeszcze do swojego ciała i nie do końca je opanował. Przeciwnie. Wyglądało na to, że zawsze była atrakcyjna, nawet trochę przeceniała swoją urodę i nie zauważyła, że czas już zaczął robić swoje. Patrzyła na sukienki rozmarzonym wzrokiem, jakby sprawdzała, czy będą się podobać... komuś. Teena знаła ten wyraz oczu, widywała go u kobiet niezależnie od wieku. Ciekawe, czy z biegiem lat człowiek staje się bardziej skłonny do popełniania głupstw z miłości. Może mniej? Część jej serca, odpowiedzialna za takie uczucia, była już martwa, jak nerwy prawej dłoni.

– A ta? Myślę, że to pani odcień. – Zdjęła z wieszaka sukienkę z dzianiny w kolorze raczej różanym niż różowym. Model Dolce & Gabbany, dwa razy droższy niż wszystkie sukienki, które klientka przewiesiła przez ramię, lecz tysiąc razy bardziej odpowiedni. Owszem, z jej figurą mogła sobie pozwolić na bufiaste, zwiewne fasony, ale mając srebrny odcień włosów, wyglądałaby w takich dziewczęcych sukieneczkach po prostu śmiesznie. Kobieta bez zmrżenia oka spojrzała na metkę z ceną. – Chciałaby pani do tego pantofle? – zapytała Teena, zerkając na zamszowe botki, wspaniałe, na wysokim obcasie, ale zupełnie niepasujące do lekkich ubrań. Szkoda byłoby stracić klientkę tylko dlatego, że zimowe buty zepsuły wrażenie. – Siódemka?

– Ósemka – poprawiła kobieta z uśmiechem. Wiedziała, że Teena celowo zaniżyła rozmiar. Punkt dla niej.

Teena nigdy nie rozgryzła, czemu wszystkim tak zależy na małych stopach. Oczywiście jej ten problem nie dotyczył: nosiła szóstkę. Ale w końcu stopa to stopa, nie sposób jej zmienić żadną dietą ani ćwiczeniami. Chociaż zawsze zaliczała się do dziewczęcych kobietek, z upodobaniem do strojenia się i makijażu, niektórych aspektów kobiecości nie pojmowała. Czasami, siedząc w sali przesłuchań z Calliope Jenkins, zaczynała sądzić, że właśnie na tym polega jej podstawowy problem. Nie rozumiała kobiet, a zwłaszcza matek. Nie zdołała złamać Calliope, bo była za mało kobieca. Co za ironia – przecież starając się o przydział, powoływała się na swoją płęć i ze względu na nią go otrzymała. Kiedy Calliope Jenkins patrzyła na mężczyzn sennymi, zamglonymi oczami, przestawali widzieć w niej morderczynię. Nadal uważali ją za szaloną – wszyscy koledzy z ekipy zgadzali się, że Calliope nie jest normalna. Zaburzona kobieta z problemami, która pakuje się w problemy – owszem. Ale zabójczym? Logika wskazywała, że musi nią być, lecz nawet logika zaczynała się chwiać w obliczu mantry, którą Calliope powtarzała spokojnym, równym głosem: „Powołuję się na piątą poprawkę”, „Nie mam nic do powiedzenia”.

– Zaraz zdobędę parę jasnych pantofli – obiecała Teena. A przy okazji przyniesie kilka innych rzeczy. Na przykład tę torebkę od Roberta Cavallego, która nie pasowała do stylu żadnej dotychczasowej klientki, nie wspominając o cenie.

Cassandra usiadła na pufie w samym staniku i majtkach. Takie ostre światło w przebieralni – co za głupota. Jej twarz w lustrze wyglądała jak postać z rysunku Tishy, tylko starsza o trzydzieści lat. Przyszła tu, żeby poznać Teenę, przedstawić się, poprosić o spotkanie, ale zawiodły ją nerwy. Teraz czuła się jak oszustka. Jak to robią reporterzy? Pisząc wcześniejsze książki, polegała na własnych wspomnieniach i pamiętnikach, czasem dzwoniła do kogoś z rodziny lub przyjaciół. Jak rozmawiać z kimś całkiem obcym? Z tą smutną, drobną kobietą, w ładnym, dobrze dopasowanym stroju? Jak zacząć? „Od początku”, mawiał zawsze ojciec, kiedy panikowała, że nie umie poradzić sobie z wypracowaniem.

Teraz wydawało się dziwne, że kiedyś wypracowania z angielskiego sprawiały jej problemy, przynajmniej kiedy chodziła do publicznej szkoły; szkoła Gordona okazała się dużo bardziej otwarta na jej nowoczesne podejście do pisania. W dziewiątej klasie, jeszcze w szkole publicznej, Cassandra nie zaliczyła wypracowania o Faulknerze, ponieważ napisała je z punktu widzenia Benjy’ego. Nauczyciel odliczał punkty za każdą literówkę i źle sformułowane zdanie. „Mam przeczucie – powiedział jej ojciec – którego nie ma twój nauczyciel. Przeczytaj *Wściekłość i wrzask*”. Bez względu na to, jaką dostała ocenę, ojciec

czytał jej prace i oceniał je według innych niż szkolne standardów. Krytykował jej metafory, podkreślał na czerwono językowe klisze, upierał się, że córka potrafi zrobić to lepiej. „Zbyt ułożone, zbyt grzeczne – mawiał. – Nie wychowałem cię na papugę powtarzającą banały, którymi karmią cię nauczyciele”.

Spojrzała w oczy własnemu odbiciu w potrójnym lustrze i bezgłośnie przećwiczyła swoją kwestię. „Dzień dobry, jestem Cassandra Fallows. Zbieram materiały do książki o Calliope Jenkins”. Nie, źle. „Dzień dobry, jestem Cassandra Fallows i pracuję nad kolejnym tomem wspomnień, w którym ma się również znaleźć historia Calliope Jenkins”. Boże, jak zaczynają ci dziennikarze? Wiele razy nawiązywali z nią kontakt, przez wydawcę albo przez e-mail, niekiedy podczas publicznych imprez. Tę ostatnią praktykę uważała za niezbyt taktowną. Ale skoro to było nietaktowne, co powiedzieć o nachodzeniu kogoś w pracy? Triumfowała, kiedy udało jej się zdobyć adres i znaleźć dom, lecz list pozostał bez odpowiedzi. Na szczęście sąsiadka – młoda matka, w pośpiechu wypakowująca zakupy z samochodu, nie tamten podejrzliwy staruszek – wygadała niechcący, gdzie pracuje Teena. Przy okazji Cassandra dowiedziała się, że nikt nie nazywa Teeny Sistiną. Przez to skrócone imię spodziewała się kogoś znacznie młodszego. Dopiero teraz zdała sobie sprawę z własnej głupoty: minęło dwadzieścia lat. Teena Murphy musiała już przekroczyć czterdziestkę, a wyglądała na pięćdziesięciokilkulatkę.

Cassandra włożyła sukienkę w różnym odcieniu, którą wybrała dla niej niczego niepodejrzewająca Teena. Była policjantka znała się na ubraniach: strój wyglądał niepozornie na wieszaku, za to na Cassandrze doskonale, a kolor sprawiał, że jej skóra aż lśniła. Brzydziła się włożyć pantofle wcześniej mierzone przez kogoś, więc stanęła na palcach, z rękami na biodrach, i obejrzała się od stóp do głów. Gdzie, na Boga, tak się ubierze?

Przy kasie, kiedy płaciła za sukienkę i lekki płaszczyk – który pozwoliła sobie wcisnąć, przez co rachunek wzrósł ponad dwukrotnie – wciąż nie wiedziała, jak zacząć. Miała jeszcze słabą nadzieję, że widok karty kredytowej przełamie lody: inni sprzedawcy, w innych sklepach – nie tylko w księgarniach – czasem kojarzyli jej nazwisko i zagadywali. Jednak Teena, choć jej oczy przez chwilę zatrzymały się na podpisie, nic nie powiedziała. Wyszła zza kontuaru i podała papierową torbę z zakupami; Cassandrę zawsze bawił ten element protokołu przestrzegane w Nordstromie.

- Prawdę mówiąc, nie wybierałam się dziś na zakupy – odezwała się wreszcie.
- Czasem właśnie wtedy znajduje się najlepsze rzeczy. – Teena się uśmiechnęła.

Wyraźnie chciała się już żegnać. Transakcja zakończona. Choć pewnie należała do tych sprzedawczyń, które przysyłają klientkom ręcznie pisane kartki z podziękowaniami.

– Nie, chodzi o to, że... przysłałam tutaj, żeby panią poznać.

Teena zastygła.

„Nie, nie, nie. – W głowie Cassandry rozległ się karcący głos ojca. To było słabe, zupełnie nie na miejscu”. Wyraz twarzy Teeny zmienił się lekko: założyła nową maskę, a więc poprzednio pokazała inną. Nosila chyba wiele warstw masek, jedne na drugich.

– Dlaczego? – wymamrotała.

– Piszę o Calliope Jenkins...

Teena podniosła rękę, jakby chciała się zasłonić przed ciosem.

– Chyba nie mogę pani pomóc.

– Proszę wziąć moją wizytówkę.

Teena przyjęła wizytówkę, upuściła ją i przez dłuższy czas nie mogła podnieść z ziemi. Miała jakiś problem z rękami.

– Piszę książkę – ciągnęła Cassandra. – Znałam Calliope Jenkins w dzieciństwie i myślę, że to ciekawe, że nasze drogi tak się rozeszły...

– Jaka była? – Szorstkie, pośpieszne pytanie jakby niechcący wymknęło się Teenie.

Zaskoczona Cassandra nie wiedziała, co odpowiedzieć. Czy to nie podstawowa sprawa? Jaka była Calliope Jenkins jako dziecko, a jaka, kiedy dorosła? Czy w dziecku można zobaczyć przyszłego dojrzałego człowieka? Cassandra powinna znać odpowiedź. Przecież to najważniejszy temat jej książki.

Jeszcze bardziej zaskoczyły ją następne słowa Teeny:

– Niech pani kupi ubrań za pięć tysięcy, to porozmawiamy w przerwie na obiad.



## Rozdział 16

Gloria postanowiła wyzwać los w sprawie swojego dzielnego skauta. Właśnie rozmawiał z psychiatrami, mieli ocenić jego stan, zanim Gloria złoży prośbę o przeniesienie procesu do sądu dla nieletnich. Opracowała już strategię dla swojego klienta i jego prawnego opiekuna, którym – co trochę komplikowało sytuację – został stryj chłopaka, brat zamordowanego ojca, zamożny inżynier. Ledwo wytrzymywał w tym samym pokoju z bratankiem i – choć najwyraźniej postanowił być przy Buddym, żeby zachować pozory – z trudem ukrywał wściekłość, nie mówiąc już o strachu.

Teraz siedział obok Glorii, czekając w holu sądu stanowego, aż Buddy skończy sesję z psychiatrami.

– On musiał oszaleć, prawda?

– Pewnie okaże się, że potrzebuje długotrwałej pomocy psychiatrycznej. – Gloria wiedziała, że nie takiej odpowiedzi oczekiwał. – Nie potrzebujemy tej diagnozy, żeby trafił do sądu dla nieletnich, ale może się przydać.

– A jeśli stwierdzą, że jest zdrowy?

„Nie stwierdzą – miała powiedzieć. – Zabił rodziców i siostry bez wyraźnego powodu i nie chce się przyznać, chociaż kiepsko kłamie”.

– I tak złożyłabym wniosek o sądenie go jako nieletniego. Tylko że jest na górnej granicy wieku, więc gdyby uznali go za zdrowego, sprawa byłaby trudniejsza.

– Ma szesnaście lat, wyszedłby...

– W wieku dwudziestu jeden.

– Dostałby pięć lat. Rok i parę miesięcy za jedno zabójstwo.

– Zdarza się, że nawet dorosły przestępca za pierwszym razem odsiaduje kilka wyroków równolegle, niejeden po drugim.

– Ale nie dostaje pięciu lat.

– Zdziwiłby się pan. Nie, oczywiście nie wyobrażam sobie, że sędzia skazałby go na pięć lat, ale wcale by mnie nie zaskoczył wyrok poniżej dziesięciu.

– Wtedy Buddy miałby dwadzieścia sześć lat. Byłby jeszcze młody.

– Owszem, ale odsiedziałby dziesięć lat w więzieniu stanowym Maryland. Po takim doświadczeniu trudno zacząć życie od nowa. Proszę posłuchać. To nie jest żaden przekręt, nie wykorzystujemy luki w prawie: Buddy może stanąć przed sądem dla nieletnich. Nie skończył osiemnastu lat. Dziesięć lat temu nie byłoby w ogóle alternatywy. Czytał pan, co piszą

naukowcy o mózгах nastolatków? Moim zdaniem te dzieciaki nie powinny nawet prowadzić samochodu. Wiem, że to straszne, ale jeśli pański bratanek popełnił zabójstwo... a proszę pamiętać, że się do niczego nie przyznał, nie był w stanie pełnej świadomości, czy jak oni to nazywają. – Kiwnęła głową w stronę zamkniętych drzwi.

– Ale jako obywatelka chciałaby pani, żeby wypuścili go z więzienia w wieku dwudziestu jeden lat? Żeby chodził sobie po ulicach?

– Jestem obrońcą Buddy'ego i dbam o jego interesy. O innych obywateli troszczą się władze. I to całkiem niezły system.

Stryjowi chyba zbierało się na wymioty, przeprosił ją i odszedł. Omal nie zderzył się z Haroldem Lenhardtem. Gloria ucieszyła na widok starego gliniarza, choć wiedziała, że w tej rozgrywce jest po przeciwnej stronie i będzie próbował odebrać jej zwycięstwo. Lubiała Lenhardta. Niemal wszyscy go lubili. Nawet spora część ludzi, których posadził.

– Sprytna strategia – powiedział na powitanie.

– Nie zastanawiałaś się, że dla rodziny może byłoby lepiej, gdyby nie wywlekać całego brudu w sądzie?

– Niech zgadnę. Chłopak zacznie opowiadać bajki o tym, jak rodzice się nad nimi znęcali, jakie straszne rzeczy robili mamusia i tatuś. Zabił ich, żeby to się wreszcie skończyło, potem zamordował siostrzyczki, bo wiedział, że nigdy już nie będą takie jak kiedyś. Sam też chciał się rozstać z życiem, ale wcale nie tak łatwo wsadzić sobie lufę w usta. Moim zdaniem nie ma w tym krzty prawdy, ale zaserwuje nam te bzdury, zanim wymyśli, że ktoś pewnie włamał się do domu.

Gloria wiedziała, że jej klient nie zdoła wywieść w pole żadnego dobrego oficera śledczego, a Lenhardt był w swoim fachu jednym z najlepszych. Wzruszyła ramionami. Miała nadzieję, że nie dała nic po sobie poznać.

– Dzwoniła do ciebie jakaś kobieta, która pisze?

– Z „Beacon-Light”? Oczywiście.

– Nie, nie o to chodzi. W tamtej dawnej sprawie. Wytropiła mnie i próbowała dotrzeć do Teeny. Pomyślałem, że z tobą też pewnie zechce rozmawiać.

Ach, więc Cassandra Fallows próbowała znaleźć Teenę Murphy. Oczywiście Teena nic jej nie powie, ale to i tak ciekawe. Teena, Reg, Gloria – czy pani Fallows uda się odszukać Calliope?

– A, ona. Zostawiła mi kilka wiadomości. Nie oddzwoniłam.

– Gloria Bustamante unika reklamy. To jakby diabeł unikał smoły.

Uśmiechnęła się. Uwielbiała być źle rozumiana. Niech ludzie sądzą, że goni za rozgłosem, niech ją mają za lesbę i pijaczkę. Wolą, żeby ktoś milion razy niewłaściwie ją ocenił, niż żeby dowiedział się, jaka jest naprawdę.

– Wpadłem przypadkiem na Teenę. Bardzo źle wygląda. – Zauważył, że Gloria ledwie przypomina sobie policjantkę. – Chyba nie była zainteresowana ani tą kobietą, ani jej książką. Ale chciałaby wreszcie się pozbyć poczucia winy.

– Jak każdy, prawda?

– Zgadza się. Jak twój dzielny skaut, który właśnie gada z psychiatrami. Jego zdaniem postąpił właściwie. Kieruje się inną logiką niż my, ale umie jakoś uzasadnić to, co zrobił. Pytanie, czy to znaczy, że jest szalony? Czy tylko zły?

– Bardzo filozoficzne, zwłaszcza we czwartek, Lenhardt.

– Ano. Czy zło to szaleństwo? Czy jedynie bardzo niemiły rodzaj normalności? Jakaś część we mnie myśli, że dzieciak, który zabija... a jestem przekonany, że to zrobił, bo idzie w zaparte, musi być szalony. A może zgodnie z prawem wcale nie jest?

– Śledziłeś tę sprawę z Nowego Jorku? – Gloria starała się mówić jak najzwyczajszym tonem. – Mają wypuścić gościa, który jako nastolatek nie zabił rodziców, ale jacyś nadgorliwi gliniarze wycisnęli z niego ćwierćznanie. Odsiedział dwadzieścia lat.

Lenhardt machnął ręką, jakby odtrącał zmianę tematu.

– Tak czy inaczej, kiedy siedzę w pokoju z takim dzieciakiem, obok stawiam kogoś z bronią. Nie wiem, jak ty to robisz.

Gloria nie zamierzała mu mówić. W pewnym sensie wołała pracować z oczywistymi winowajcami. Było to o wiele łatwiejsze, niż szukać drogi wśród niejasności i mielizn, jak w sprawie Calliope Jenkins. Każdy wierzył, że zabiła dziecko. Gloria też, choć jej zdaniem Callie powinna wyznać prawdę. Wszyscy inni upierali się, żeby nie zmieniała swojej konstytucyjnej taktyki. Przez długi czas Gloria nie rozumiała dlaczego. A kiedy już ją olśniło... odeszła z firmy. Może powinna jednak porozmawiać z tą pisarką? Nie, wykluczone. Miała tylko przypuszczenia, podejrzenia, a kiedy stanęła pod drzwiami do prawdy, zamiast je otworzyć, odwróciła się i wyszła innymi drzwiami.

– Uważasz, że Teena wciąż obwinia Calliope Jenkins o wszystkie swoje życiowe niepowodzenia?

– Kogoś musi – stwierdził Lenhardt. Kiedy mówił o rannej koleżance, zniknęła chłód i dystans. – Ta sprawa przypomina kłótnię. Najpierw ofiarą padła Teena, potem opiekunka społeczna...

– Ja też bym się zabiła, gdyby taka afera wybuchła w moich godzinach pracy.

- Oficjalnie to był wypadek. Wjechała w drzewo.
- Freud mówi, że nie ma wypadków.
- Bobby Freud? Niezły glina, ale chyba nigdy nie robił w drogówce.

Gloria musiała się roześmiać. Wiedziała lepiej niż ktokolwiek, że życie jest pełne wypadków i przypadków.

Drzwi do pokoju przesłuchań otworzyły się i wyszedł z nich Buddy. Uśmiechnął się szeroko na widok Glorii. Ale zaraz zmienił wyraz twarzy na poważny i zamyślony – pewnie sądził, że tego się Gloria spodziewa. Sądził, że ją obchodzi, jak on, Buddy Harrington, wypadnie. Mylił się. Możliwe, że był zły naprawdę, cokolwiek to znaczy. Tego tak do końca nie wiedziała. I szczerze mówiąc, miała to gdzieś.

## Rozdział 17

Cassandra wydała pięć tysięcy na ubrania i zabrała Teenę do pobliskiej restauracji sushi, polecanej przez innego klienta, który przypadkiem usłyszał, jak Cassandra mówi, że w połowie dnia jej organizm potrzebuje protein. Choć Teena pracowała od dawna w tym centrum handlowym i mieszkała niedaleko, nie miała pojęcia, gdzie w okolicy można coś zjeść. Teraz, kiedy już usiadły w Sushi/Thai One On – Cassandra nie mogła przestać myśleć o tym, jak ojciec skrzywiłby się na taki pomysł – stało się jasne, że Teena należy do osób, którym jedzenie jest w zasadzie obojętne. Wydawała się za to aż za bardzo zainteresowana białym winem. Nie piła łączywie – wręcz przeciwnie. Upijała łyczek, odwracała wzrok. Kiedy jednak miała wrażenie, że Cassandra na nianie patrzy, rzucała ukradkowe spojrzenia na kieliszek. Obserwowała też uważnie małą szklanekę schłodzonej sake Cassandry.

Choć Cassandra zdołała skłonić ją do współpracy, czuła, że nie może od razu przejść do rzeczy. Cała ta ustawiona sytuacja wciąż wydawała jej się trochę nieetyczna. Czy właśnie przekupiła rozmówczynię? Czy musi opisać, jak udało jej się przeprowadzić ten wywiad? Pracując nad drugim tomem wspomnień, nauczyła się nie rozwodzić nad swoim wygodnym trybem życia, żeby nie wzbudzać zazdrości czytelnika. Czy Teena wypadnie na osobę przebiegłą lub chciwą? I czy Cassandra skrzywdzi ją, wspominając o zaskakującej fascynacji kieliszkiem wina?

– Z zasady nie piję podczas lanczu – odezwała się niespodziewanie Teena, jakby potrafiła czytać w myślach. A może śledziła tylko wzrok Cassandry, który podążał za jej spojrzeniem.

– Ejże, ja wzięłam sake, które jest mocniejsze od wina. Często zamawiam drinka do lanczu. Amerykanie miewają przesadną skłonność do ascezy.

– Nie znam tego słowa – powiedziała Teena.

Takie szczere wyznanie było rzadkością w świecie Cassandry. Niestety, zmuszona do wyjaśnienia własnej wypowiedzi, poczuła się niepewnie.

– Chodzi o... zbytnią cnotliwość – stwierdziła wreszcie.

– O to nikt by mnie nie posądził. Lubię pić. Ale nie jestem alkoholiczką. Znalazłam w Internecie taki test. Owszem, pijam samotnie, ale w końcu mieszkam sama. Nie pamiętam, kiedy ostatnio zamówiłam drinka do lanczu, i nie wzięłabym teraz wina, gdybym nie kończyła już zmiany. No i na pewno usiądę za kierownicą dopiero po godzinie. Przy mojej

postawie mogłabym przekroczyć limit, a nawet nie byłabym wstawiona. Nigdy się nie upijam, ale wiesz: to, co we krwi, nie zawsze zgadza się z tym, co w głowie.

Biedactwo. Czy zmagala się z nałogiem, zanim odeszła z policji? Cassandra uznała, że czas skierować rozmowę na główny temat.

– Myślałam, że byli policjanci z wydziału śledczego zajmują się ochroną. Albo zostają prywatnymi detektywami. Nie przyszło mi do głowy, że znajdę cię w dziale Kolekcji Specjalnych Nordstroma.

– Długo mnie szukałaś? – W głosie Teeny zabrzmiała tęsknota za pochlebstwem; jakby nie mogła się powstrzymać, żeby nie wydobyć z Cassandry całej opowieści o jej poszukiwaniach.

– Około tygodnia. Znalazłam twoje nazwisko w gazetach z czasu... kiedy to się stało. Archiwum w sieci zawiera teksty od 1991 roku. Znalazłam krótki artykuł na twój temat. Coś o wypadku, o odszkodowaniu.

– Zostałam ranna na służbie, chociaż to nie była żadna bohaterska akcja. Szczęście, że w ogóle cokolwiek dostałam. W takich sprawach jest mnóstwo ograniczeń. Zaproponowali mi układ: pokrycie kosztów leczenia do końca życia i rentę, chociaż miałam dopiero dwadzieścia lat. Ja chciałam wysokiego odszkodowania. Udałoby mi się, gdyby nie producent samochodu. I tak miałam farta. Koledzy uważali, że jestem chciwa, że chcę dostać pieniądze za wypadek, za który jestem odpowiedzialna.

– A byłaś?

– Nie. Kiedy próbowałam obezwładnić podejrzaną, wytrąciła mi broń z ręki i kopnęła pod samochód. Próbowałam po nią sięgnąć i nagle puścił hamulec ręczny. Dobrze, że w ogóle mogę ruszać dłońią. W Union Memorial są świetni chirurdzy. Gdybyś chciała robić sobie operację w Baltimore, to tylko tam.

Na pierwszy rzut oka ręka Teeny wyglądała normalnie. Ale w sklepie Teena z trudem podniosła z ziemi wizytówkę.

– Zdziwiłam się, że w artykule nie ma wzmianki o Calliope Jenkins – podjęła Cassandra.

– A to czemu? – Teena się najeżyła.

– Cóż, to była duża sprawa. Gdybym ja, na przykład, uratowała tonące dziecko, dziennikarz na pewno wspomniałby, że napisałam *Córkę swojego ojca*.

– Ciekawe.

– Tak, wydałam potem jeszcze dwie książki, ale...

– Nie. Chodzi mi o to, że użyłaś ciekawego przykładu: ratowanie tonącego dziecka. Myślisz, że mi nie udało się uratować dziecka.

– Nie, nie, nie...

– Ale taka jest prawda. Nie zdołałam zmusić socjopatki, żeby się przyznała do zabicia własnego dziecka. Jest jednak różnica. Syn Calliope Jenkins nie żył na długo przed tym, zanim mój wydział zajął się tą sprawą. Odpowiedzialność spada na innych: na wydział opieki społecznej, na personel szpitala, który pozwolił narkomance wziąć do domu niemowlę, mimo że już raz została pozbawiona praw rodzicielskich. Udało ci się znaleźć nazwiska tych ludzi?

– Kobiety, która zginęła w wypadku samochodowym. I jeszcze jakiejś pracownicy wydziału. Powołano ją przed komisję stanową, żeby zeznała, dlaczego nie składano obowiązkowych wizyt u Calliope...

– To była przełożona. Chroniła tyłki podwładnych i własny też. Powoływała się na konstytucyjne prawa, jakby była Gandhim czy cholernym Martinem Lutherem Kingiem.

– Nie chcę się bawić w adwokata diabła, ale sprawa Calliope nie wzbudziła aż tak wielkiej uwagi. Callie nie stała się symbolem. Interesujące, że jej historia rozegrała się mniej więcej w tym samym czasie, co sprawa Elizabeth Morgan. Pamiętasz?

Teena wzruszyła ramionami. Była podniecona i rozdrażniona, ale najwyraźniej próbowała się opanować.

– Oczywiście Morgan jest biała i wykształcona, a oskarżyła swojego byłego męża o molestowanie ich córki. Wolą trafić do więzienia, niż ujawnić miejsce pobytu dziecka. O Elizabeth Morgan wiedziałam wszystko, ale o Calliope Jenkins usłyszałam dopiero w zeszłym miesiącu. I myślę, że to także część mojej opowieści.

– A co właściwie piszesz? – Teena zmrużyła oczy, jakby na ułamek sekundy obudziła się w niej dawna policjantka z wydziału śledczego.

– W tym momencie łatwiej powiedzieć, czego nie piszę. To nie będzie reportaż o zbrodni oparty na faktach. I nie historia samej tylko Calliope. Sądzę, że opowiem o tym, gdzie zaczęliśmy, a dokąd dotarliśmy. Callie, ja i inne dziewczyny z paczki. Jedna z nich jest żoną prawnika, który bronił Calliope...

– Reg Barr, ten pies na baby. Żał mi kobiety, która za niego wyszła. Dostał córkę szefa, prawda? Słyszałam, że tylko tak mógł utrzymać się w pracy.

Cassandra się zaczerwieniła.

– Rzeczywiście, ożenił się z Donna Howard, też z naszej klasy. A sam jest młodszym bratem innej naszej przyjaciółki, Tishy. Była jeszcze czwarta dziewczyna. W młodości nieźle

się zabawiała, teraz jest dewotką. Myślę, że połączone historie znaczą więcej niż każda z osobna.

– Tak dobrze znałaś Calliope? Dałabym wszystko, żeby dotrzeć do jej wnętrza. Przesiedziałam z nią mnóstwo godzin w pokoju przesłuchań. Byłam młoda, jeszcze trochę zielona, ale dobra w swoim fachu. I nie udało mi się jej złamać. Czy jako dziecko miała już taką silną wolę?

Cassandra nie знаła odpowiedzi na to pytanie. Poczwała, że w jej planie, w sercu projektu pojawia się wielka dziura. Napisała książkę o swoim ojcu, który jest dla niej jak otwarta księga. Podobnie było z oboma mężami, niezależnie od ich pretensji wobec sposobu, w jaki zostali przedstawieni. Calliope jednak – cicha, niepozorna dziewczyna – stanowiła dla niej zagadkę. Cassandra musiała odmalować życie Calliope w szkole podstawowej i potem. A do tego potrzebowała jej samej.

– Była... zamknięta w sobie. Wiesz może, gdzie teraz mieszka?

Teena pokręciła głową.

– Nie w Marylandzie, na pewno. Słuchaj, to nielegalne, nie możesz tego powtarzać ani wykorzystać w książce. Szukałam jej kiedyś przez wydział kredytowy. Wciąż mi się wydaje, że pewnego dnia ktoś zadzwoni albo otworzę gazetę i dowiem się, że ona nie żyje. I będę zadowolona. A może też wściekła, bo tylko ona wie.

– Co wie?

Teena spojrzała na nią jak na idiotkę.

– Co zrobiła dziecku i gdzie jest ciało. Tak naprawdę nietrudno ukryć zwłoki. Zdziwiłabyś się, ilu ludzi nigdy nie zostało odnalezionych. A poza tym wbrew powszechnej opinii brak ciała to wcale nie przeszkoda, żeby sądzić kogoś za morderstwo. Nie wiem, na ile znasz pracę w wydziale zabójstw. Prawda jest taka: oczywista odpowiedź to oczywista odpowiedź. Znika dziecko. Jego matka, zaburzona psychicznie, już raz pozbawiona praw rodzicielskich, milczy jak zaklęta. To ona je zabiła. Chcę, żeby powiedziała to głośno tylko raz. Na łożu śmierci, w liście. Chcę... – Machnęła niezgrabnie chorą ręką.

– Czego?

– Właściwie nie wiem. W tym problem. Calliope Jenkins nie jest człowiekiem. To czarna dziura. Wciąga ludzi; starasz się dotrzeć do jej wnętrza i okazuje się, że tam nic nie ma. Prócz śmierci Jenkins zniszczy każdego, kto się do niej zbliży. Jeden dzieciak przepadł gdzieś w systemie adopcyjnym. Drugi nie żyje. Opiekunka społeczna, która schrzaniła robotę, wjechała samochodem w drzewo. No i ja. Przez siedem lat Calliope spijała całą uwagę jak



wodę albo powietrze. Uwielbiała to, cholera. Uwielbiała. Ona kwitła, a wszystko inne się rozpadało.

Teena nie tknęła zamówionego teryaki. Przesuwała je po talerzu, dopijając wino małymi łykami.

– A twoim zdaniem co się wtedy stało?

– Myślę, że była naćpana i za mocno potrząsnęła dzieciakiem.

– Nie ma pewności, że ćpała. Brała, ale niekoniecznie się uzależniła.

– Jeśli tak, to była wariatką.

– Narkotyki, szaleństwo... To raczej wykluczają oskarżenie o morderstwo pierwszego stopnia, prawda?

– Jasne. Tak, naturalnie. – Teena przeskakiwała pomiędzy dawną rolą policjantki a jej obecnym wcieleniem sprzedawczyni u Nordstroma.

– Siedem lat, chyba tyle by dostała za nieumyślne spowodowanie śmierci? Ostatecznie więc odsiedziała swoje, może nawet więcej niż musiała.

Teena spojrzała na Cassandrę, potem znów na sake. Sięgnęła po butelkę i obróciła w dłoni.

– Hatsumago – przeczytała. – Czy to wino?

– Raczej rodzaj piwa.

– Nigdy nie pijam piwa. Widzisz, kolejny dowód na to, że nie mam problemów z alkoholem. Prawie rok trzymam w lodówce sześciopak Sierry-Nevady. Kupiłam go na grilla, ale w końcu nie poszłam. Za nic bym tego nie wypila, nawet gdybym nie miała w domu żadnego innego alkoholu. – Uśmiechnęła się krzywo. – Chociaż chyba zawsze mam...

Cassandra poczuła przypływ sympatii do Teeny Murphy. Nie spodziewała się czegoś takiego. Dzięki ojcu w większości spraw miała otwarty umysł, lecz z drugiej strony – nie da się ukryć – wpoił w nią również snobizm. Patrzył z góry na ludzi należących do niższej, jego zdaniem, klasy, a szczególnie gardził policjantami. Pamiętała, jak rzucał się przed telewizorem, kiedy w 1968 roku oglądali transmisję ze zjazdu demokratów w Chicago. Jego wściekłość była nieproporcjonalna do skali – bulwersujących oczywiście – wydarzeń. Nigdy nie wyzywałyby kogokolwiek od psów czy świń – istniało przecież francuskie słowo *cochon*, do którego zawsze dorzucał żart o Kirke<sup>19</sup>. Prawda, że był to czas ostatecznego rozpadu jego małżeństwa. Odszedł już od żony. Cassandra wiedziała z własnego doświadczenia, że rozwód

---

<sup>19</sup> W mitologii greckiej córka Heliosa i jednej z nimf, wróżbitka, która gościła wracającego spod Troi Odyseusza i zamieniła jego towarzyszy w świnie (przyp. tłum.).

potrafi najspokojniejszego człowieka doprowadzić do szału. Jej zdaniem porzucający często czuje nawet większą złość niż porzucony.

– Jak mówiłam, odsiedziała siedem lat. To chyba jest jakaś sprawiedliwość?

– Sprawiedliwość – powtórzyła z namysłem Teena. – Prawdę mówiąc, nigdy mnie za bardzo nie interesowała. To nie problem policji. Prokurator stanowy spapał mnóstwo zupełnie jasnych spraw, które mu przekazaliśmy. Przysięgli głosowali za uniewinnieniem, bo nie lubią glin. Nie miałam wpływu na wymiar sprawiedliwości. Dla mnie liczyło się co innego. Byłam trzecią kobietą wśród śledczych w wydziale zabójstw. Powiedziałam: dajcie mi Calliope Jenkins, złamię ją. A to ona złamała mnie. Tego dnia, kiedy zostałam ranna... tamta kobieta miała oczy takie jak Jenkins. Spojrzałam w nie, a potem już tylko usłyszałam trzask kości, kiedy koło przejechało mi po ręce. Nie wyobrażasz sobie, ile razy siedziałam naprzeciwko i gapiłam się na Calliope. Prawdziwe zawody, kto da radę dłużej. I za każdym razem to ja przegrywałam. Ona umiała wytrzymać czyjś wzrok, mogła tak tkwić całe wieki i powtarzać w kółko to samo. „Powołuję się na piątą poprawkę”. „Nie mam nic do powiedzenia”. Nawet jej adwokaci uważali, że ma źle w głowie. Zwłaszcza Barr. Moim zdaniem on się jej bał.

– Bał się?

– Kiedy szliśmy do Jenkins do więzienia, zawsze wyglądał na zdenerwowanego. Ale ona się nie przejmowała, że ma z nami rozmawiać. To znaczy, nie rozmawiać. Mogła nam dać znać, że nic nie powie. Ale nie, ona to lubiła. Rozumiesz? Siedzieć przede mną i się droczyć. Kochała to. Ona... popisywała się.

– Ale przed kim? Przed tobą, przed swoimi obrońcami?

– Tak, wiem, to brzmi głupio. Ale sama pytałaś. Jak to wszystko się zaczęło, byłam taka ładna... – Teenę zaskoczył tok własnych myśli. – Mhm. Śliczna jak obrazek. Szykowała mi się wielka kariera. Każdy w końcu zaczynał ze mną gadać. Czemu więc z Calliope miałyby być inaczej? A jednak... – Zgniotła serwetkę i rzuciła ją na talerz z nietkniętym daniem. – Chyba nie wiem nic, co przydałoby ci się do książki. Ale nie mogę się doczekać, żeby ją przeczytać.

## Rozdział 18

Calliope myślała, że już nic jej nie zaskoczy. Oczywiście nie nazwałaby siebie prorokiem. Skąd. Po prostu nauczyła się spodziewać najgorszego, a pod tym względem życie rzadko sprawiało jej niespodzianki. Drżała, idąc do skrzynki na listy, wzdrygała się za każdym razem, kiedy dzwonił telefon. Brak wiadomości to dobre wiadomości. Teraz, trzymając przy piersi torbę z zakupami, wpatrywała się w wyświetlacz aparatu i zastanawiała, co gorsze: odebrać połączenie czy odsłuchać potem nagranie na sekretarce. Weź się w garść, powiedziała sobie. Załatw to od razu, i z głowy.

– Callie! – powiedział Reg Barr ciepłym, fałszywym barytonem.

Bogu dzięki, że nie wynaleźli jeszcze telefonu, przez który czułoby się zapach. Ten człowiek był uzależniony od wody kolońskiej. Zrozpaczona Callie zaczęła wreszcie twierdzić, że jest uczulona, ale Reg i tak nie przestał oblewać się tym świństwem. Paco Rabanne, Aramis czy co tam innego. Dzisiaj pewnie używa czegoś nie tylko droższego, lecz także trudniej dostępnego, jakiegoś zapachu, który wyszukała dla niego ta milusia, ładnusia żonka. I czuć go na kilometr, jak skunksa.

– Co jest, Reggie?

– Dzwonię kontrolnie. Tak sobie.

– Bo co, Reggie? – Uwielbiała tak go nazywać, bo on nienawidził tego zdrobnienia. Może nawet ośmieliłaby się powiedzieć „Słodziaku”, tylko nie miała pewności, na ile może sobie pozwolić.

– Daj spokój, dziewczyno. Wiesz, że zawsze chciałem dla ciebie dobrze.

Mężczyźni kłamią tak naturalnie, jak oddychają. Chociaż – co dość przerażające – Reg prawdopodobnie wierzy w większość swoich łgarstw. Uważa, że był wobec niej w porządku. Boże, ale tuman. Nie, w sądzie nieźle dawał sobie radę. Poza sądem zachowywał się – jakby powiedziała jej matka – jak glista ludzka, śliski, obłudny, ohydny do wyrzycania.

– Wszystko gra – powiedziała. Częściowo miała rację: nie działo się nic złego. To znaczy nic nowego. Tylko to, co zawsze, a z tym żyła od tak dawna, że już się przyzwyczyła. Więc prawie jakby grało, prawda?

– Żadnych nowin?

O cholera, może ktoś ją widział w Baltimore? Nie, gdyby Reggie coś na nią miał, wyskoczyłby z tym od razu.

– Raczej nie. Znalazłam sobie zajęcie jako wolontariuszka, jak radziłeś, więc nie siedzę beczynnie całymi dniami. Pracuję w sklepie z używaną odzieżą przy kościele.

– Aha, zawsze możesz wylapać okazje, co?

Chciała zauważyć, że nigdy nie nadużywałaby w ten sposób swojej pozycji – a poza tym w lumpeksie w Bridgeville rzadko pojawiają się ciuchy od Gucciego. Ale Reg cały czas nawijał. Ot tak, gadał, aby gadać i pewnie robił w tym samym czasie jeszcze trzy inne rzeczy: sprawdzał e-maile, przeglądał papiery na biurku, machał do sekretarki, żeby przyniosła mu coś zimnego do picia. Dawno już minęły czasy, kiedy Callie Jenkins była aż tak ważna, żeby Reggie Barr poświęcał jej całą uwagę.

– O co ci chodzi, Reggie?

– O nic, zupełnie o nic. Niedługo dostanę trochę papierkowej roboty. Wszystko po staremu. W porządku, tak?

– Ja zawsze robię co trzeba – przypomniała.

– Dobra dziewczynka.

Serce Callie skurczyło się boleśnie. Tak samo mówił do niej ktoś inny, w innych okolicznościach, i wiedziała, że nigdy już nie usłyszy tamtych czułych słów. Nie będzie dobrą, kochaną, śliczną dziewczynką.

– Gdyby coś się działo, zadzwoń do mnie... – Zawiesił głos. – Zadzwonisz, Calliope, prawda? Nie daj się nikomu na nic namówić, nie rób niczego, co nie będzie w twoim interesie. Gdyby ktokolwiek próbował z tobą rozmawiać, po prostu nie słuchaj, dobrze?

Wiedziała, że powinna go uspokoić. Przecież nie zaszkodzi swojej matce. Dobrze o tym wiedział. Ale nie mogła się powstrzymać, żeby trochę się nie zabawić z Reggie Barrem. Tylko troszeczkę.

– Sama nie wiem, Reggie, czy wszystko, co zrobiłam, było w moim interesie.

Niestety, już kiedyś popełniła ten błąd – potraktowała go jak chłopca, kogoś, kto był jeszcze bardziej na marginesie niż ona sama, kto tak jak ona pragnął rzeczy, której nie mógł dostać. Tylko że Słodziak – nie, Reggie, nie: Reg – ostatecznie znalazł się w samym sercu wydarzeń, bardzo daleko od marginesu, tak daleko, że niemal już go nie widział, i nigdy nie przepuścił okazji, żeby wszystkim o tym przypomnieć. Nie był taki jak ona. I nie pozwoliłby, żeby choć przez moment tak myślała.

– Posłuchaj, Callie. Mówię poważnie. Jeśli zajdzie trzeba, przyjadę i ci pomogę. Przepisy o przedawnieniu...

– Wiem – mruknęła ze znużeniem.

– Cóż, to może znaczyć różne rzeczy.

– Zgoda.

– Pamiętaj, to wszystko było dla twojego dobra.

Powstrzymała śmiech, udając, że kaszle.

– W porządku, możesz się nad sobą użalać, a nawet udawać przed sobą męczennicę. Ale nie zapominaj o jednym drobiazgu. O czymś, co wiem, chociaż nigdy nie zechciałaś mi powiedzieć.

Czekała w milczeniu. Niech już poczuje, że wygrał.

– Ty to zrobiłaś, Callie. Na pewno. Nie udowodnię tego przed sądem, ale mnie nie oszukasz.

– Nie mam ci nic więcej do powiedzenia.

Rozłączyła się. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że cały czas kurczowo przyciskała do brzucha paczkę mrożonego groszku. Lodowata, mokra bluzka lepiała się do skóry, palce zeszywniały z zimna jak kamień.

## Syreny

Tydzień przed przyjęciem z okazji moich dziesiątych urodzin ojciec nagle uparł się, że muszę dostać specjalny, wyjątkowy tort. Próbowałam wcześniej przekonać rodziców, że to będą bardzo ważne urodziny – dwucyfrowe – ale nie sądziłam, że udało mi się coś wskórać, póki ojciec nie oznajmił, że zasługuję na naprawdę wspaniałe urodzinowe ciasto.

– Jaki tort sobie wymarzyłaś, Cassandro?

– Żółty – odparłam. – Do tortu czekolada nie pasuje.

– Chodziło mi o dekorację.

– Urodziny będą syrenkowe, więc na torcie powinna być syrenka.

– Ach, zatem Lorelei.

Zaniepokoiłam się.

– Nie, syrenka. Nie syreny. Syreny były złe. Miła syrenka, taka jak u Andersena.

– Ale wiesz, że syrence Andersena marnie się wiodło, prawda? Kiedy wyrosły jej nogi zamiast ogona, każdy krok bolał, jakby chodziła po ostrzach mieczy, a książkę i tak się z nią nie ożenił.

– W mojej książce jest inaczej.

– Bajki zawsze są osłodzone, Pączuszk. Bez wyjątku, wierz mi. Ale niech będzie, śliczne, radosne syrenki, igrające w lukrowym oceanie. Dla ciebie wszystko. Jutro zamówię tort.

Wieczorem następnego dnia wrócił do domu bardzo ożywiony i bez końca opowiadał, jakie cudowne, jedyne w swoim rodzaju dostanę ciasto.

– Obsługa uważnie mnie słuchała. Nie rzucili mi książki z gotowymi wzorami. Nigdy nie robili tortu z syrenkami, ale przygotowują go specjalnie dla Cassandry.

– Nie rozumiem, czemu nie mogłeś iść do Woodlawn, do Bauhofa – wtrąciła się matka.

Ojciec powiedział jednak, że nowa cukiernia jest znacznie lepsza. W sobotę, w dzień przyjęcia, zrobił kolejne wielkie przedstawienie.

– Jestem Posejdon, władca mórz, i wyruszę, by pojmać syrenę i doprowadzić ją z powrotem na rozkaz księżniczki.

– To jest szczęśliwa syrenka. Nie będzie siedzieć w niewoli ani chodzić po mieczach!  
– zawołałam za nim.

– Zrobi wszystko, czego tylko zapragniesz – obiecał ojciec zza furtki.

Niemal cztery godziny później, kiedy starannie przygotowane przez matkę przyjęcie dobiegało już końca, ojca wciąż nie było. Gdy zaczęli się pojawiać pierwsi rodzice, matka podała lody, ścisłym, pełnym napięcia głosem wyjaśniając sytuację. Zjedliśmy lody, żeby się nie roztopiły. Fatima narzekała głośno, że dostała je osobno.

– To najważniejsza rzecz w urodzinach, żeby lody i tort były razem – stwierdziła, a niektóre dziewczynki przyznały jej rację. – A lody muszą być we wszystkich trzech smakach: różowe, brązowe i białe.

– Truskawkowe, czekoladowe i waniliowe – poprawiłam, zakłopotana z powodu nieobecności ojca, wściekła, że Fatima marudzi. Matka zawsze krytykowała jej maniery. Może i słusznie.

– Sama jesteś waniliowa – odparła Fatima. – I nikt cię nie lubi.

– Powinnyśmy zaśpiewać *Sto lat* i zapalić świece, skoro nie ma tortu – odezwała się Tisha, jak zawsze pojednawczo.

Tak też zrobiliśmy: zdmuchnęłam świece ustawione w starych kandelabrach, które rodzice dostali w prezencie ślubnym. Miały dekorować stół podczas romantycznych kolacji, lecz od dawna nieużywane zdążyły zaśnieść. Matka nie zdążyła ich wyczyścić. Zdmuchnęłam świece – tylko cztery, nie dziesięć – i pomyślałam życzenie: Chcę dostać tort. Z syrenkami. Byłam zła i upokorzona.

Nie czułam za to najmniejszego niepokoju, chociaż, jak dowiedziałam się później, matka omal nie oszalała ze strachu o ojca, bo w wiadomościach mówiono już o rozmaitych zamieszkach w mieście. Skończyłam dziesięć lat i wiedziałam jedno: nie doczekałam się tortu. Nie mogłam sobie wyobrazić większej tragedii.

Matka wkładała nakrycia do zmywarki, kiedy zadzwonił telefon. Fatima – jej mama jak zwykle się spóźniała – przeglądała moje prezenty i ustawiała je według wartości. „Książki? – prychała. – Po co komu książki?” Callie miała spać u niej w domu, bo matka pracowała. W milczeniu siedziała na wysokim stołku, machając nogami do taktu jakiejś bezgłośnie nuconej melodii. Rozmowa przez telefon nie wydała mi się warta szczególnej uwagi, ponieważ Lennie odzywała się monosylabami i nie okazywała śladu emocji. Nie pamiętam, jak zakończyła tę konwersację, ale kiedy odwiesiła słuchawkę, przypominała zwierzę złapane na drodze w światła samochodu. Skoczyła do drzwi wejściowych, zawróciła do kuchni. Chwyciła torebkę i rzuciła ją na blat. Kilka razy obiegała stół. Wbiła zęby w zaciśniętą pięść.

– Twój ojciec – wymamrotała wreszcie – został.. ranny, jest w szpitalu. Mówią, że dzisiaj nie powinnam go odwiedzać, bo... nieważne. No i musimy poczekać na mamę Fatimy.

– Okropnie się spóźnia – stwierdziła Fatima beztrąsco, nie odrywając się od inwentaryzacji moich prezentów.

– Miał wypadek? Samochodem? – zapytałam; nic innego nie przychodziło mi do głowy.

– Nie, został uderzony... czymś. Jechał samochodem, ale wysiadł. Nic więcej nie wiem. Mówią, że wszystko będzie dobrze. Ale nie możemy go dzisiaj zobaczyć.

– Czy w samochodzie był mój tort? – Nie mogłam się powstrzymać, żeby o to nie zapytać. Wciąż myślałam tylko o torcie.

Matka poderwała głowę i wbiła we mnie wzrok, potem podeszła i dwa razy mocno uderzyła mnie w twarz. Fatima patrzyła na to wielkimi oczami. Zaskakujące, miała dość rozsądku, żeby nie zagwizdać, jak w szkole. Callie jakby nic nie zauważyła.

**Niziny**

16-21 marca



## Rozdział 19

Oslupiała Cassandra wpatrywała się w kartkę. Oto i Callie – czekała w jej książce! Siedziała na wysokim drewnianym stołku w kuchni, machając nogami i nucąc bezgłośnie. Tylko jedna krótką wzmianka w całym tomie. Jak imię bez twarzy, niemy przechodzień, pozbawiona żywotności, którą Cassandra starała się nadać portretom Tishy, Fatimy i Donny. Z czyjej winy? Callie czy Cassandry?

Cassandra, choć zwykle rzadko wracała do swoich książek, przeglądała teraz *Córkę swojego ojca*. Nie mogła zapomnieć o pretensjach Tishy, mimo że od wspólnego lanczu minęło już sporo dni. Czy potraktowała koleżanki nieżyczliwie? Czy opisała coś niezgodnie z prawdą? Zupełnie szczerze nie potrafiła zrozumieć reakcji Tishy. Nawet w tym niedługim fragmencie o urodzinach Tisha została przedstawiona jako przywódczyni ich grupki i ktoś, kto stara się zawsze łagodzić zadrażnienia.

Tak czy inaczej, Cassandra była zadowolona, że zajrzała do wspomnień – nie tylko dlatego, że znalazła tam Callie. Przypomniała sobie też o bliższym związku Fatimy i Callie. Może wciąż utrzymywały kontakt? Tisha wspomniała, że Fatima stała się teraz świątobliwa i unika dawnych przyjaciółek. Dobrze: przynajmniej nie nastawią jej przeciwko Cassandrze. Tylko jak ją znaleźć? Cassandra otworzyła moleskinowy notatnik, w którym zapisywała pomysły, zanim przeniosła je na komputer. „Fatima/Spelman”. W restauracji Tisha mówiła, do jakiego college’u dostała się Fatima. Jest od czego zacząć.

Cassandra weszła do kościoła tak, jak starsze kobiety zanurzają się w basenie: powoli, ostrożnie, kontrolując każdy ruch. Nie chodziło tylko o kolor skóry, choć rzeczywiście: była tu jedyną białą. Czuła się niezręcznie w każdej świątyni. Nie zaglądała do nich od wielu lat – od kiedy, jako dwudziestoparolatka, bywała zapraszana na śluby znajomych. Ceremonie pierwszego wysypu odbywały się w kościele. Dopiero kolejne – drugie i trzecie – związki zawierano przed urzędnikiem w restauracjach, ratuszach czy pod gołym niebem. Sama Cassandra nie brała ślubu w kościele. Pierwszy odbył się w atmosferze wesołego szaleństwa, na polu pod Nowym Jorkiem. Nie uczestniczyło w nim żadne z rodziców. Matka oznajmiła, że nie przyjdzie, jeśli będą tam ojciec z Annie, ale ostatecznie ojciec, jak zwykle, złamał obietnicę i także się nie pojawił. Za drugim razem Cassandra poszła z narzeczoną do ratusza. Gości, zaproszonych na małe przyjęcie tego wieczoru, chcieli zaskoczyć

wiadomością o swoim związku – jednak nowina rzuciła cień na całe zgromadzenie. Cóż, większość zebranych pewnie wiedziała, że nowy mąż, którego w zakończeniu pierwszego tomu wspomnień obwołała swoim zbawicielem, już zaczął ją zdradzać.

Co prawda ona też zaliczyła skok w bok – dwa dni przed ślubem, a kochanek znajdował się wśród gości na przyjęciu. Tej samej nocy nalegał, żeby towarzyszyć jej w wyprawie po kolejną partię szampana, wciągnął ją w ciemną uliczkę i kochali się jak szaleni. Zaskakujące nie było to, że małżeństwo się rozpadło, lecz że przetrwało niemal trzy lata. Na szczęście kochanek Cassandra, prawnik, przekonał ją do zawarcia intercyzy. Oczywiście kiedy związek runął pod ciężarem tylu zdrad – głównie ze strony męża, z niewielkim wkładem Cassandra – prawnika już w pobliżu nie było.

Działo się to dziesięć lat temu, tuż przed jej czterdziestymi urodzinami. Cassandra zapamiętała tę lekcję. Teraz już była grzeczna. Poza tym, że miała żonatego kochanka, ale z nim zamierzała wkrótce zerwać. I wtedy już naprawdę zostanie aniołem.

Tak jak Fatima, parafianka tego właśnie kościoła. Cassandra zaskakująco szybko to ustaliła, dzięki imponującej wielkością i rozmachem stowarzyszeniu absolwentów Spelmana. Znalazła kontakt do nich na stronie uczelni, na której jej uwagę przyciągnęły na chwilę zasady dotyczące tradycyjnego białego stroju na specjalne uroczystości – zwłaszcza zakazy oraz surowe wymagania dotyczące bielizny. Oczywiście nie podano jej pełnych danych – adresu czy telefonu – ale kiedy powiedziała, że się przyjaźniły w dzieciństwie, uzyskała informację, jakie nazwisko Fatima przyjęła po ślubie. Wystarczyło przejrzeć internetową bazę artykułów „Beacon-Light”, żeby znaleźć tekst o słynnym, starym i czcigodnym kościele. Z biegiem lat jego kongregacja tak się rozrosła, że postanowiono przenieść ją do nowej super świątyni na przedmieściach, o czym sporo pisano w gazecie. Zacytowano słowa Fatimy: „Jak ktokolwiek może się sprzeciwiać obecności Pana, nawet gdyby wiązałoby się to ze zwiększeniem ruchu na ulicach?” Obecnie w nowym kościele w niedzielę odbywały się dwie msze, o ósmej i o jedenastej – ponieważ podczas jednej wierni mogliby się nie pomieścić. Cassandra wiedziała, że dla pewności powinna pojawić się na wcześniejszej ceremonii, a gdyby nie spotkała Fatimy, wrócić na drugą.

Nie umiała sobie jednak wyobrazić, by zabawowa dziewczyna, biegająca z imprezy na imprezę, aż tak się zmieniła, żeby przychodzić do kościoła z samego rana. Zdecydowała więc przyjechać kwadrans przed późniejszą mszą i usiąść w tylnych rzędach. Świątynia okazała się jednak ogromna i Cassandra zaniepokoiła się, czy wypatrzy Fatimę, tym bardziej że część miejsc znajdowała się na balkonie. Owszem, Tiszę rozpoznała bez trudu, ale też nie szukała

jej w tłumie. Poza tym byłoby niegrzecznie przyglądać się ludziom zbyt natarczywie. A do tego... ale oto i Fatima.

Większa, o wiele większa. Olbrzymia; przypominała transatlantyk płynący wzdłuż środkowego przejścia między ławkami. Jednak jej pewność siebie i energia przekonały Cassandrę, że widzi przed sobą dawną koleżankę z klasy. Fatima ważyła ponad setkę, ale nie miała najmniejszych wątpliwości, że dobrze się prezentuje. Miała na sobie kostium w kolorze fuksji i kapelusz w tym samym odcieniu, taki, jaki niewiele kobiet odważyłoby się założyć, z zawiniętym piórkiem i siateczką. Pasował do torebki, a ta z kolei do butów. Gdyby nie otoczenie – i komentarze Tishy – Cassandra uznałaby, że ta wystrojona kobieta jest rozrywkową agentką, jaką znała przed laty.

Kiedy zaczęła się msza, myśli Cassandry rozbiegły się na wszystkie strony. Fatima należała do dziewcząt, z którymi matki takie jak Lenora nie pozwalały się przyjaźnić swoim córkom. Głośna, trochę ordynarna. Oczywiście u źródła kłopotów leżał przedwczesny rozkwit, wybujała seksualność, wyraźnie widoczna dla dorosłych, zanim jeszcze Fatima skończyła dziesięć lat. Jako pierwsza – już w szóstej klasie – dostała okres, co oznajmiła koleżankom z fanfarami, wcale się nie przejmując, że usłyszeli chłopcy. Prowadziła też pod względem wielkości biustu. Rozwijała się błyskawicznie, jakby piersi rosły jej z dnia na dzień, zaskakując samą Fatimę swoimi imponującymi rozmiarami. W piątej klasie zaczęła umawiać się na randki. Kiedy w dziewiątej klasie Cassandra znów dołączyła do koleżanek z podstawówki, krążyły słuchy, jakoby Fatima nie była już dziewicą. Cassandra zawsze podejrzewała, że rozpuszczały je klasowe rasistki, uciekiniarki ze szkół katolickich, surowe, zgryźliwe dziewczyny, które nie akceptowały sposobu bycia Fatimy i nie rozumiały, jak Cassandra może się z nią przyjaźnić.

Teraz zobaczyła Fatimę pięćdziesięcioletnią, w kościele, holującą męża i trzech nastoletnich synów. Czy w ogóle powinna próbować podjąć rozmowę? Tutaj, w obecności rodziny? Nagle cała ta wyprawa wydała jej się zupełnie nieestosowna. Może lepiej spisać rejestrację samochodu, kiedy wyjdą z kościoła, a może nawet śledzić ich w drodze do domu. Nie, to jeszcze głupsze.

Z gonitwą myśli w głowie Cassandra automatycznie powtarzała ruchy wiernych, wstając, siadając i śpiewając jak oni. Ostatecznie, spokojny porządek mszy przełamał jej system obronny, zmusił, żeby się rozluźniła i zaczęła naprawdę słuchać. Powoli docierało do niej, dlaczego ludzie przychodzą w takie miejsca. Nie akurat do tego kościoła, którego Bóg wydawał się Cassandrze trochę zbyt surowy i groźny. Zrozumiała potrzebę odpoczynku, wyłączenia się, zatrzymania na godzinę chociaż raz w tygodniu. A poza wszystkim – muzyka

była naprawdę wspaniała. Cassandra żałowała, że nie potrafi zatracić się w niej jak otaczający ją wierni, którzy siedzieli w rozmarzeniu, kołysząc głowami, falującym ruchem podnosząc ręce. Nie, nie mogła: wyglądałaby śmiesznie.

Po mszy Cassandra, wciąż niepewna, co powinna zrobić, czekała w ławce na swoją kolej do wyjścia. Fatima na nią spojrzała i chyba ją rozpoznała, bo przyglądała się dłuższą chwilę, zanim odwróciła wzrok. Przed kościołem, gdy tłumy się rozpraszały, zadowolone z dość ciepłej jak na marzec pogody, Fatima podeszła.

– Czy ty jesteś...?

– Cassandra Fallows. Koleżanka z klasy.

Chyba nie skojarzyła nazwiska.

– Chodziłyśmy razem do Dickey Hill? Z Tishą Barr i Donną Howard? Zaczęłyśmy razem trzecią klasę, kiedy otworzyli szkołę...

– Pamiętam je, ale to było dawno temu – rzuciła Fatima sztywno i odpychająco.

Czyżby zmieniając się w pobożną parafiankę, odrzuciła całą swoją przeszłość? Czy tak musiała zrobić? Czy Bóg baptystów nie zdołałby wybaczyć dziewczynie, że korzystała z fascynacji chłopców jej bujnymi piersiami? Bo przecież o co innego mogło chodzić, jeśli nie o takie incydenty, jak przygoda z obciążaniem laski zębami? Jedynym grzechem Fatimy było to, że jako pierwsza z ich gromadki zorientowała się, jak wspaniale być pożądaną. To wybaczalna wina w każdym wieku.

– Bywałaś u mnie – powiedziała Cassandra niemal błagalnie. Nie tylko dlatego, że potrzebowała pomocy Fatimy przy książce. Nie mogła się pogodzić z tym, że zapomniała ją dziewczyna, która w jej wspomnieniach zajmowała tak ważne miejsce. – Mieszkałam niedaleko szkoły, na Hillhouse Lane, w ślepej uliczce.

– Och, Cassandra. Bogata Cassandra.

– Nie, wcale nie byłam bogata. – Zaśmiała się z ulgą i nieco obronnie. – Zwłaszcza kiedy odszedł ojciec, z mamą ledwie wiązałyśmy koniec z końcem. Nie pamiętasz, jak się nabijałaś z moich drugich śniadań? Kiedyś przez cały miesiąc dzień w dzień jadłam kanapki z masłem orzechowym.

– Mielicie basen w ogródku...

– Pusty!

– Wszystko jedno. Do biednych nie należałaś. Moja matka i ja nie klepałyśmy biedy, a miałyśmy o wiele mniej niż ty. W naszej szkole nikt nie był biedny.

– Nawet Calliope?

Przez twarz Fatimy przeleciał cień tak lekki, że niemal niezauważalny.

– Wtedy ludzie w ogóle nie uważali się za biednych – powiedziała, nie podejmując tematu. – Nie w naszej okolicy. Jeśli ktoś tam mieszkał, to już znaczyło, że w miarę dobrze mu się powodzi. Prawdziwi biedacy byli tam, skąd się z mamą wyprowadziłyśmy.

– No tak, ale Calliope nie mieszkała na północnym zachodzie, niedaleko ciebie. Tylko za Edmondson Avenue, prawda? Chyba tam się poznałyście?

– No dobra. O co ci chodzi?

Taką Fatimę Cassandra zapamiętała: ostrą, konkretną, a jednak – w jakiś sposób – ujmującą. Kiedy była na ciebie zła, nie ukrywała tego, bezlitośnie naśmiewała się z twoich ubrań czy kanapek. Ale też nie umiała się długo gniewać i nie chciała nikogo skrzywdzić.

– Piszę książkę. O nas wszystkich.

– Jaką książkę?

– Wspomnienia, tak jak poprzednie. – Po minie Cassandra zorientowała się, że Fatima nie ma pojęcia, o czym mowa. – Zamierzam opowiedzieć, jakie byłyśmy w dzieciństwie i jakie jesteśmy teraz.

– A kto chciałby to czytać?

Cassandra nie wiedziała, jak uprzejmie poinformować, że jej książki są czytane przez tysiące ludzi. Oczywiście wspomnienia, nie powieść. Uodporniła się już na fakt, że ludzie nie sięgają po słowo pisane, że większość poznanych osób nie potrafiła nawet udawać, że słyszała o niej czy o jej książkach. Ale jak mogła nie mieć o nich pojęcia Fatima, która występowała pod własnym imieniem w pierwszym tomie autobiografii Cassandry? Czy w ciągu ostatnich piętnastu lat nikt nie podszedł do niej z pytaniem: „Przepraszam, czy przypadkiem nie jesteś tą Fatimą z książki?”

– Chcę napisać o nas wszystkich – odezwała się wreszcie. – Ale przede wszystkim wykorzystam historię Callie...

Znów to niemal niezauważalne wzdrygnięcie. Fatima lekko zmarszczyła nos, zupełnie jak w dzieciństwie.

– Napiszesz o tym, co się jej stało?

– Tak, i...

– Nie mam nic do powiedzenia. W ogóle. Nie mieszaj mnie do tego. – To był rozkaz, nie prośba. – To dawne czasy. Nie zgadzam się, żeby mnie kojarzyć z takimi rzeczami.

Odwróciła się gwałtownie, a tłum rozstał się przed jej wielkim ciałem. Cassandra nie ruszyła za nią. Stała, wyróżniając się wśród wiernych, a mimo to mijana obojętnie. Rozważała słowa Fatimy: „Napiszesz o tym, co się jej stało?” Dziwnie sformułowane pytanie, jakby Fatima myślała o wypadku czy boskiej interwencji, nie o prawdopodobnym morderstwie

dziecka i siedmioletnim męczeńskim milczeniu kobiety, która teraz, po tym wszystkim, rozplynęła się w powietrzu. Calliope nic się nie „stało”. A jeśli nawet ktoś tak to widział, w jaki sposób ta historia mogłaby zaszkodzić Fatimie?

## Rozdział 20

Donna Howard-Barr posiadała mistrzowską umiejętność skłaniania bliźnich, żeby spełniali jej życzenia, sprawiając przy tym wrażenie, że to ona wyświadcza im łaskę. Dzisiaj na przykład wezwała Tiszę do swojego domu w śródmieściu Baltimore, w ogóle nie zwracając uwagi na to, że dezorganizuje jej cały dzień i zmusza, żeby w drodze powrotnej tkwiła w korkach. Oficjalnym powodem spotkania była konieczność przekazania Tishy rodowych sreber Howardów w związku z wielkanocnym obiadem dla rodziny, do której pozostawało jeszcze wiele tygodni. Nieważne, że Tisha nawet nie zapytała o srebra ani tym bardziej o to, dlaczego ma urządzać kolację drugi rok z rzędu, skoro zgodnie z planem powinna to zrobić bratowa. Mimo to Donna przedstawiła sprawę tak, jakby chodziło tylko o dobro Tishy. „Na pewno nie możesz się już doczekać, kiedy nas wszystkich zobaczysz u siebie. Zwłaszcza, że twój salon wygląda teraz tak pięknie z tą nową tapetą i meblami”.

Nie, w rzeczywistości propozycja pożyczania sreber była poleceniem stawienia się u Donny, która najwyraźniej chciała porozmawiać ze szwagierką, lecz – jak zwykle – nie powiedziała tego jasno i wyraźnie. Tishy, która niemal zawsze mówiła otwarcie, takie załatwianie spraw wydawało się kłopotliwe, lecz zarazem godne pozazdroszczenia. Donna zakładała, że wszystko pójdzie po jej myśli, i spokojnie czekała. Nigdy się nie zawodziła. Porywczy, uparty Reg, zawsze obstający przy swoim i skory do kłótni, pierwszy ulegał Donnie, i to nie tylko dlatego, że przez wiele lat pracował dla jej ojca. Sama Tisha – która właśnie szukała miejsca do zaparkowania na zatłoczonych ulicach Bolton Hill – nie miała prawa krytykować brata, bo w konfrontacji z Donną okazywała się niemal tak samo miękka.

Trzeba Donnie przyznać jedno: potrafiła ze zwykłego spotkania uczynić wyjątkową towarzyską okazję. Gdyby Tisha wpadła do którejś ze znajomych z Columbii, żeby coś odebrać, zastałaby dom w radosnym chaosie – klocki na stole, rzeźąca z przepracowania pralka, stos butów w korytarzu. Znajoma przyjęłaby ją na pewno w dresie lub rozciągniętym swetrze, a rozmowę co chwila przerywałby dzwonek komórki. Dom Donny był wyciszony i perfekcyjny, podobnie jak jego właścicielka. Jedyne ślad obecności dziecka to wiszący na wysokim wieszaku w holu śliczny przeciwdeszczowy kapelusik Aubrey i dopasowane do niego różowe kaloszki, ustawione równiutko na specjalnej nieprzemakalnej macie.

Na stole w jadalni czekała zastawa do popołudniowej herbatki. Gdyby chodziło o kogokolwiek innego, na widok takiej afektacji Tisha prychnęłaby pogardliwie. Jednak Donna, ze starannym makijażem i perfekcyjną fryzurą, ubrana w ten zwykły dzień w eleganckie

spodnie i wykwintną bluzkę, potrafiła z wdziękiem zaaranżować takie małe przedstawienie. Przy całej swojej cichej skromności Donna niezachwianie wierzyła we własną wartość. Była przecież Howardówną – a nawet ostatnią z Howardów, bo wuj nie miał dzieci. Tiszę, która przyjęła nazwisko męża, zawsze trochę raził upór, z jakim Donna przedstawiała się jako pani Howard-Barr i pilnowała, żeby nikt nie skracał nazwiska Aubrey. Cóż, może gdyby Tisha była ostatnią z Barrów, zachowywałyby się tak samo.

– Ile osób przyjdzie w tym roku na wielkanocny obiad? – zapytała Donna, nalewając herbaty i podsuwając Tishy talerzyk z domowymi ciasteczkami.

No tak, ona miała czas piec. Nawet teraz, kiedy Aubrey poszła do pierwszej klasy, do prywatnej szkoły, którego to luksusu odmówiono Donnie w związku z politycznymi ambicjami jej wuja – zatrudniała na pełny etat opiekunkę do dziecka; zawoziła dziewczynkę do szkoły i odbierała po południu, a w ciągu dnia zajmowała się domem. W takich okolicznościach Tisha też piekłaby ciastka. A może nawet odkryłaby lekarstwo na raka.

– My czworo, was troje. Twoi rodzice, nasi rodzice. Czy wuj Julius i ciotka Gladys idą do kogoś?

– Dowiem się.

Obecność wuja na rodzinnych uroczystościach zawsze była wielką niewiadomą, bo z zadziwiającą regularnością Julius Howard wypadał z łask brata i znów zostawał przyjęty na łono rodziny. Od lat krążyły plotki o rozmaitych brzydkich sprawkach, których dopuszczał się – podobno – przede wszystkim w latach osiemdziesiątych, kiedy tak nagle wycofał swoją kandydaturę z wyborów na przewodniczącego rady miasta, choć zdawało się, że zwycięstwo ma w kieszeni. Mimo jednak wewnętrznych niesnasek rodzina Howardów zawsze stała murem za każdym ze swoich członków, czy to w związku z niepowodzeniami Juliusa, któremu nie udało się również zostać pierwszym czarnym przedstawicielem stanu w senacie federalnym, czy to w związku z pierwszym małżeństwem Donny.

– Zaplanowałaś już menu?

Tisha wybuchła śmiechem.

– Donno, to dopiero za miesiąc.

– Już za miesiąc – poprawiła, ale i ona się zaśmiała.

Miała poczucie humoru na własny temat – oczywiście do pewnych granic, czyli tak jak każdy. Potrafiła kpić ze swojej potrzeby organizowania i kontrolowania wszystkiego, z nieugiętego perfekcjonizmu. Gdyby to Donna urządziła w tym roku kolację, menu byłoby już dopracowane w najdrobniejszych szczegółach, a w wielofunkcyjnym telefonie pani domu czekałyby na zrealizowanie liczne listy zakupów i zadań. Tisha, przykuta do komórki ze



względu na dzieci, nie pozwalała sobie wcisnąć nowoczesnego gadżetu. Powtarzała, że inteligentny telefon jest dla głupich ludzi. Nie rozumiała, jak cokolwiek mogłoby zastąpić starą, dobrą listę na kartce, z której wykreśla się kolejne pozycje. Przecież samo sporządzanie takiej listy pomaga ćwiczyć pamięć.

– Zakładam, że znów podasz szynkę własnej roboty? – odezwała się Donna.

– Muszę, chyba że chcę mieć bunt na pokładzie. – Na specjalne okazje Tisha piekła szynkę marynowaną w coca-coli, według dawnego przepisu, który rodzina jej ojca przywiozła z Georgii.

– Tak, wiem. Wszyscy ją uwielbiają. Ale skoro już drugi rok z rzędu urządzasz kolację – ani słowa o tym, że Tisha robi to na prośbę Donny – pomyślałam, że może masz ochotę na mały eksperyment. Znalazłam bardzo ciekawy przepis na szynkę w glazurze mandarynkowej...

– Nie, wolę się trzymać sprawdzonej klasyki. Szynka w coca-coli i tłuczone ziemniaki. Jeśli chcesz spróbować czegoś nowego, proszę bardzo.

Donna odpuściła. A więc chce załatwić jakąś sprawę ważniejszą niż wielkanocne menu, pomyślała Tisha.

– Reg wspominał, że jadłaś lancz z Cassandrą Fallows, tą z naszej szkoły.

Aha, no to już wiadomo. Donna nigdy nie zapytałaby wprost o najnowsze plotki, ale je uwielbiała.

– Owszem, chociaż od początku miałam złe przeczucia. Myślałam, że naprawdę chce odnowić kontakt, ale chodziło tylko o kolejną książkę. Dość, że jesteśmy w dwóch pierwszych, choć nie uprzedziła, że zamierza o nas pisać. Nie mam ochoty na więcej wynurzeń na mój temat.

– Nie była dla ciebie niemiła – zauważyła Donna. – Ani dla mnie. Prawdę mówiąc, aż za bardzo nas wychwala.

– Tak, i to mnie właśnie martwi. Zrobiła z nas bohaterki, i wcale nie po to, żeby potem obsmarować. Wszystko upiękusiła. Ta kobieta umie rozdać sprawę plamy na nowej sukience do pięcioaktowej tragedii, a nawet nie przejdzie jej przez myśl, że istnieją proszki do prania. Znasz mnie, nienawidzę, jak się robi z igły widły. Na świecie i bez tego dość jest nieszczęścia.

– Myślałam, żeby zadzwonić i zaprosić ją do siebie.

– Donno...

– Pamiętajś to powiedzenie: „Przyjaciół trzymaj blisko, wrogów jeszcze bliżej”.

Tisha nie wiedziała, jak zareagować. Choć Cassandra zawsze wyprowadzała ją z równowagi, nie uważała jej za wroga. A Donna niezmiennie poczytywała sobie za powód do dumy, że nie próbuje prostować tego, jak Cassandra przedstawiła ją w książce.

– Przyznaję, jest głupia, a jej wspomnień nie da się spokojnie czytać, ale...

– To, co teraz pisze, będzie dotyczyło też Rega. I firmy Howard & Howard.

Howard, Howard & Barr, poprawiła w myślach Tisha.

– Przecież nie zmusi Calliope do mówienia, nawet jeśli ją znajdzie, a z tego, co wiem, nikt nie ma pojęcia, gdzie Callie teraz jest, nawet Reg. O czym w takim razie napisze? A jeżeli zaatakuje strategię z procesu? Powie, że chodziło tylko o rozgłos kancelarii, a nie o dobro Calliope?

– Myślisz, że mogłaby...? Wspominała o tym przy Regu?

– Nie, ale próbuje dopaść Glorię Bustamante, pierwszego obrońcę Callie. A co, jeśli Gloria zwęszy okazję, żeby poprawić swój wizerunek kosztem Rega? Wiesz, jaka z niej suka, jak kocha reklamę.

Prawdę mówiąc, Tisha nie wiedziała. Donna często zapominała, że obraca się w świecie, który dla szwagierki był obcy jak inna planeta. Znajomi Donny i Rega plotkowali o prawnikach z Baltimore – kto co komu powiedział, co zrobił – podczas gdy tam, gdzie mieszkała Tisha, wszyscy pasjonowali się nowym podziałem rejonów szkolnych lub humorami trenera koszykówki.

– Dwa dni temu – dodała Donna – dopadła Fatimę. W kościele, ni stąd, ni zowąd!

– Fatima do ciebie dzwoniła? – zapytała Tisha z żalem.

Ludzie z każdym rokiem oddalali się od siebie. Możliwe, że ona i Donna także rozeszłyby się w różne strony, gdyby nie rodzinne więzi. Poza tym Fatima, za jaką Tisha tęskniła, już nie istniała. Nowa pławała się we własnej świętości i nie chciała, żeby ktokolwiek przypominał jej o dziewczynie, którą była dawno temu. A jednak, mimo wszystko... Tisha bardzo by się ucieszyła, słysząc w telefonie jej głos, niezależnie od powodu.

– Nie, zadzwoniła do Rega. Pytała, co się dzieje.

– Do Rega? Dlaczego do niego?

Donna wzruszyła ramionami.

– Nasz domowy numer jest zastrzeżony. Rega łatwiej znaleźć. Cassandra zrobiła to samo. Dotarła do Rega, a przez niego do ciebie.

Tisha spojrzała na stół. Porcelana Howardów – podobnie jak srebra Howardów – była w rodzinie zaledwie od trzech pokoleń. A więc te pamiątki, które od swojej zamożnej matki otrzymała Irene Thomas Howard, nie zasługiwały raczej na status drogiego dziedzictwa,

przypisywanego im przez Donnę, właścicielkę nakryć od dnia ślubu z Reglern. Nie były też w guście Tishy: talerze z wielkim bukietem piwonii na środku i grubym, czerwono-złotym rantem, sztuce z równie bogatą dekoracją. Tisha miała wrażenie, że sama Donna niezbyt przepada za tymi nakryciami, dlatego tak chętnie je wypożycza.

– Co ci to da, że porozmawiasz z Cassandra?

– Moim zdaniem ona chce nam zrobić na złość, choć może nieświadomie. Wiesz, dlaczego nigdy nie przejmowałam się jej książką tak jak ty? Bo w tej historii jest jakaś równowaga. Cassandra zawiodła nas, my ją. Nieważne, czy ta bójka naprawdę się zdarzyła, przynajmniej zostałyśmy usprawiedliwione, że działałyśmy pod wpływem zranionych uczuć. Ale jeśli Cassandra napisze książkę w obronie Callie, to będzie miało bardzo konkretne konsekwencje.

– Więc jeżeli się z nią zaprzyjaźnisz, to nie napisze tej książki?

– Owszem, to jedna z możliwości. Niejedyna, ale najłatwiejsza dla nas wszystkich.

– A jeśli się nie uda?

Drzwi otworzyły się i na progu stanęła Aubrey z opiekunką. Dobrze wytresowana dziewczynka zostawiła płaszczyk na wieszaku, weszła do salonu i uściskała matkę oraz ciotkę, a potem grzecznie zaczekała na pozwolenie, zanim sięgnęła po ciastka. Nawet nie próbowała się targować, żeby dostać więcej niż trzy sztuki. Nie włączała się też do rozmowy dorosłych, póki Tisha nie zapytała, jak minął jej dzień. O swojej szkole – pod wezwaniem Bożej Łaski i Świętego Piotra – opowiadała z wielkim entuzjazmem. Ciekawe, bo ani Donna, ani Reg nigdy nie wyróżniali się w nauce. Czy to tylko próżność każe Tishy sądzić, że bratanica przypomina ją tym głodem wiedzy, zapalem do sztuki i przedmiotów ścisłych? Niedługo wszyscy zaczną małej mówić, że powinna się zdecydować, że musi wybrać, co ją bardziej interesuje. Tisha, która dała się przekonać i postawiła na sztukę, bardzo się ucieszyła, kiedy dzięki klubowi miłośników książki wpadły jej w ręce powieści Andrei Barrett o XIX-wiecznych biologach. O, to jest prawdziwa literatura. Dlaczego Cassandra, której na pewno nie brakuje talentu, nie zajęła się czymś równie ambitnym, zamiast grzebać się w urazach z dzieciństwa?

Tisha pomogła sprzątnąć ze stołu i umyć naczynia, choć Donna bez przerwy protestowała i nakłaniała ją, żeby już ruszała w drogę. Oczywiście utknęła w samym środku największych korków na międzystanowej numer 95. Tkwiąc w sznurze samochodów i szukając w radiu komunikatu o ruchu w godzinie szczytu, przypomniała sobie nagle wyraz twarzy Donny, kiedy ją zapytała, co będzie, jeśli nie zdoła urobić Cassandry. Zrobiło się jej

niemal żal tej biednej kobiety. Bo Donna, kiedy napotka opór, staje się naprawdę straszna, jak większość ludzi przywykłych dostawać wszystko, czego zapragną.

## Rozdział 21

Podobno znów idziesz na obiad z ojcem – powiedziała Lennie.

Cassandra, która w trakcie rozmowy z matką składała uprane ubrania, omal nie upuściła telefonu, ściszanego między uchem a ramieniem. Rodzice od lat nie utrzymywali kontaktów. W rzadkich chwilach, gdy zdarzało im się dzielić tę samą przestrzeń – zwykle przy okazji jakiegoś wydarzenia związanego z Cassandrą – wysilali się na uprzejmość, nic więcej. Od śmierci Annie napięcie między nimi wzrosło, jakby okazywali jedynie ze względu na nią dobrą – i zimną jak lód – wolę.

– T-t-t-tak... – wyjąkała Cassandra. Musiała rzucić podkoszulek, żeby złapać wyslizgującą się słuchawkę.

Chciała wyjaśnić, że musi porozmawiać z ojcem o planowanej rozmowie w Gordon School. A poza tym matka może w każdej chwili zadzwonić i umówić się z córką. Albo nawet sama ją zaprosić. Ale Cassandra wolała to przemilczeć, wiedząc, co usłyszałyby w odpowiedzi. Na wzmiankę o Gordon School Lennie odparłaby: „A to ciekawe... uczyłam tam tyle lat, ale patrzcie, kto będzie na scenie. Twój ojciec. Nigdy nie wydałabym pięćdziesięciu dolarów, żeby wziąć w tym udział. Och, nie, nie kupuj mi biletu. W końcu ja doskonale znam tę historię”. Jeśli zaś chodzi o proszenie o cokolwiek – nawet własną córkę – to po prostu nie mieściło się Lennie w głowie. Cassandra spotykała się kiedyś z mężczyzną, który tak wyćwiczył swojego psa, że mógł go zostawić samego w pokoju z pachnącym stekiem, a zwierzę tylko patrzyło na mięso oczami pełnymi żalu. Lennie też tak umiała, chociaż tej sztuczki nauczyła się sama.

– Zadzwonił do mnie, żebym mu podała twój numer. Zapisał go na jakiejś kartce, a potem zgubił.

– Bardzo chętnie zjem z tobą lancz albo kolację. Kiedy tylko zechcesz.

– Może lancz we czwartek?

Cassandra doskonale wiedziała, dlaczego matka zaproponowała ten właśnie dzień i tę godzinę. We środę wieczorem była umówiona na kolację z ojcem. Lennie chciała skorzystać z okazji i podczas wspólnego posiłku z córką wbić byłemu mężowi kilka starannie wymierzonych szpilek. Robiła tak przez wiele lat co drugą niedzielę, ilekroć Cassandra wracała wieczorem z weekendu z ojcem. Dni pod jego opieką okazały się, prawdę mówiąc, dość posepnymi epizodami, lecz Cassandra zaparła się, że nie wyjawia dowodów rodzicielskiej nieudolności Cedrica Fallowsa, takich jak obiady w Pappy's Pizza Parlor – z początku miła

nowość, z biegiem lat nuda – czy wielogodzinne seanse przed telewizorem przy wtórce ojcowskich narzekań. Jak każde dziecko, które marzy, by mieć nieograniczony dostęp do zakazanego owocu, Cassandra szybko się przekonała, że nadmiar bywa bardzo nużący. Kilka lat później, kiedy ojciec zabrał ją – zaledwie trzynastoletnią! – do kina na *Mechaniczną pomarańczę*, błyskawicznie zrozumiała, jak zadziałała terapia Aleksa. Sama przez to przeszła. Och, oczywiście teoretycznie zawsze mogła odejść od telewizora i wziąć książkę. I ostatecznie tak zrobiła, wcześniej jednak musiała na własnych nogach przejść przez okres nastoletniego marnotrawstwa czasu.

– Mam już plany na czwartek – odpowiedziała przepaszająco. – Jem lancz u Donny Howard. – Howard-Barr, poprawiła się w duchu. Żony Rega, który jest zbyt atrakcyjny, żeby zostawić go w spokoju. Ale dla własnego dobra muszę to zrobić. I akurat tak się składa, że tylko Donna Howard-Barr chce ze mną gadać, a nawet sama do mnie zadzwoniła, więc nie mogę tego spieprzyć.

– O, ją lubiłam najbardziej – stwierdziła matka. – Była taka grzeczna, doskonale wychowana.

A do tego bogata i z koneksjami, pomyślała Cassandra. Nie, nie powinna krytykować matki: w końcu sama z szacunkiem i zachwytem patrzyła na Donnę, która poruszała się z gracją baletnicy, z daleka omijając wszelkie przeszkody. Cassandra wciąż na coś – lub na kogoś – wpadała, przez co miała wiecznie posiniaczone nogi i ręce, i dałaby wiele, by móc osiąść sztukę tak subtelnego poruszania się. Chociaż nie: nie umiałyby zwolnić. Ciekawe, sądziła, że ze wszystkich dawnych koleżanek Donna okaże się najmniej chętna do pomocy. Jako dziewczynka była wycofana, pełna rezerwy, nikomu się nie zwierzała. Z drugiej strony, pochodząc z takiej rodziny, pewnie jest bardziej obyta i światowa. Rozumie, nad czym pracuje Cassandra, i chce mieć w tym udział.

– A lancz we środę? – podsunęła.

– Dwa posiłki na mieście jednego dnia? – Najwyraźniej matka widziała w tym coś skandalicznego. – Nie, nie możesz.

– Owszem, stale tak robię.

– Przyjdź do mnie. Zrobię sałatkę z krewetkami i kupię ciastka, które lubisz. U Bauhofa, to znaczy U Louise, teraz tak się nazywają, ale chyba pieką według tych samych przepisów.

W ostatnich latach Cassandra straciła apetyt na słodczyce. Zaczęła zajadać się słonymi potrawami. Mogłaby siedzieć cały dzień w cukierni i nie skusić się na okruch ciasta, ale nie umiała się powstrzymać na widok czipsów. I choć czuła się trochę urażona, że matka wciąż ją

uważa za małą dziewczynkę, która szaleje za biało-różowymi ciastkami z kremem, z drugiej strony wzruszała ją to i chętnie podtrzymywała iluzję. Dobrze, więc pojedzie do Dickeyville, zje glutowatą sałatkę krewetkową mamy, dopchnie ciastkami, a potem nie będzie w stanie wmusić w siebie kolacji w jednej z najlepszych restauracji w Baltimore, gdzie wybierała się z ojcem... Ach, pewnie od początku o to chodziło.

– Tutejszy szef kuchni prowadzi też lokal z francuskimi potrawami – oznajmił ojciec, oceniając wzrokiem salę restauracji Charleston. – I w zasadzie wolałbym iść tam, ale mają beznadziejną akustykę. Weźmiemy butelkę wina?

Cassandra zerknęła na stojące przed nim martini. W kieliszku został zaledwie łyk na samym dnie. Ojciec czekał już na nią w barze, kiedy pojawiła się pięć minut przed godziną, na którą mieli zarezerwowany stolik. To był jego pierwszy czy drugi drink?

– Naprawdę uważasz...

– Cassandro, znam swoje możliwości i granice.

Nie skomentowała tego. W rzeczywistości życiu Cedrica Fallowsa nadawała kierunek nieznajomość własnych możliwości i granic; o tym właśnie zamierzała z nim porozmawiać. Chowała też w zanadrzu jedno pytanie, którego nie mogła zadać przed pełną salą w Gordon School. Nigdy wcześniej nie ośmieliła się pytać ojca o tę sprawę i miała nadzieję, że uda jej się przemycić temat dzisiejszego wieczoru między smakowitymi daniami i kolejnymi kieliszkami wina. Wynajęte mieszkanie było dwie przecznice od restauracji. Gdyby zaszła taka potrzeba, ojciec mógł spać na rozkładanej kanapie.

– Białe czy czerwone?

– Białe wino jest mdłe.

Szkoda, że nie umiał się wyzbyć tego uprzedzenia, biorąc pod uwagę, że menu obfitowało w potrawy z owoców morza. Cassandra postanowiła zamówić mięso i zaczęła studiować kartę *Viandes*. Jako przystawkę szef kuchni proponował pasztet z gęsich wątróbek, do którego chętnie wzięłaby sautern... ale nigdy nie odważyłaby się wspomnieć o tym przy ojcu. Wina – a w zasadzie każdy alkohol – pozostawały jego domeną. Niektórzy ojcowie zajmowali się zawsze przydomowym trawnikiem czy samochodem. Cedric Fallows był niepodzielnym władcą barku.

Cassandra znacznie częściej udzielała wywiadów, niż sama je przeprowadzała. Ostatnio jednak pracowała nad metodą prowadzenia dyskusji, zainspirowana przez Joan Didion, która wykorzystywała swoją wrodzoną nieśmiałość, pozwalając rozmówcom, by

wypełnili chwile niezręcznego milczenia. Cassandra nie umiałaby udawać onieśmienia, zwłaszcza przed ojcem. Mogła za to naprowadzić go na temat, który chciała poruszyć. Pogawędka zaczęła się gładko. Nad sałatą snuli o problematycznych miejscach w historii ojca. Będąc białym mężczyzną, wpadł w sam środek wydarzeń ostatecznie o wiele ważniejszych dla Afroamerykanów. Czy jego historia miała jakiś głębszy sens, czy była tylko wyniesioną na wyżyny opowieścią o miłości?

– Pytasz, czy to bardziej *Wojna i pokój*, czy *Anna Karenina*? – zagadnął ojciec. – Każdego po trochu. Po prostu znalazłem się w niewłaściwym czasie w niewłaściwym miejscu.

– Czy dlatego tak cię skatowali, bo jesteś biały? Jak tego faceta podczas zamieszek w Los Angeles. Wyciągnęli go z ciężarówki.

– Tak sędzę. Ale to Annie została zaatakowana pierwsza. Nie trać z oczu tego wątku. Inni nawet ginęli. I tak się składa, że głównie czarni.

Próbowała go skłonić, żeby opisał tę scenę, ale zawsze się upierał, że pamięta tylko pierwszy cios. Mógł za to doskonale opisać co innego: kiedy patrzył z przerażeniem, jak tłum przewraca Annie, jak ona wstaje, jak gromada ludzi biegnie plądrować sklep. Współczesne relacje o plądrowaniu miały – jak się przekonała Cassandra, zbierając materiały do pierwszej książki – zabarwienie jednoznacznie rasistowskie: uczestników zamieszek przedstawiano jako chytrych oportunistów palących sklepy, żeby zniszczyć dowody swojego zadłużenia. Druga żona ojca poznała jednak Cassandrę z kobietą, która wyjaśniła, jak w ich oczach wyglądało tamto pełne zamętu i chaosu popołudnie. Uznali, że ich świat stanął na skraju apokalipsy. Rozpaczliwe poszukiwania jedzenia, lekarstw i mleka w proszku dla dzieci po jakimś czasie wymknęły się spod kontroli. To był sądny dzień. „W takich chwilach ludzie nie pokazują się z najlepszej strony”, skomentowała sucho Annie.

Twierdziła jednocześnie, że nie miała żadnego planu. Po prostu wracała z pracy do domu, kiedy wybuchły zamieszki. Ktoś przewrócił ją na ziemię, jacyś mężczyźni zaczęli zdzierać z niej ubrania. Wtedy wkroczył rycerski Cedric Fallows. Czy wysiadłby z samochodu, gdyby nękana kobieta była mniej piękna? Raczej nie – Cassandra wiedziała to, choć nie ośmieliłaby się napisać. Przyjęła wersję ojca: po prostu zakochał się od pierwszego wejrzenia. Nie musiała dodawać, że zapalał miłością do wspaniałego ciała Annie i uroczej twarzy, której jedyną skazę stanowiła szpara między przednimi zębami – ojciec zresztą ją uwielbiał.



– Cassandro, chyba nie zdajesz sobie sprawy, jak poważnie zostałem ranny. Nie miałem obrażeń mózgu, i Bogu dzięki. Nie wyobrażam sobie życia z niesprawnym umysłem, ale zdrowiej było zapomnieć o tym wszystkim. I mój mózg posłuchał.

– Nie byłoby jeszcze zdrowiej przyjąć, że cierpisz na zespół stresu pourazowego? Zauważyłam, że twoja świadomość wyparła te zdarzenia, ale podświadomość jest jak pole minowe. Wystarczy najmniejszy hałas, na przykład kiedy nagle otworzą się drzwi, a ty już podskakujesz.

– Podskakiwałem, kiedy hałas do mnie docierał. Teraz mogłabyś mi strzelić nad uchem z armaty, nawet bym nie drgnął.

Wycofała się; nie chciała za mocno naciskać. I – prawdę mówiąc – wołała też nie poszerzać grząskiego tematu starzenia się ojca, bo wtedy myślała o własnej nadciągającej starości. Zaczęli więc rozmawiać o jego ocenie zamieszek – jak się okazało, dość łagodnej. Cóż, przejął w tej kwestii punkt widzenia Annie. Jej świat odrzucił go niemal tak całkowicie, jak jego świat odrzucił ją. Żyli jak na wyspie. Dobrze, że ich miłość przetrwała, myślała często Cassandra. Poza sobą nie mieli już nikogo. Koledzy ojca, dobrze wychowani liberałowie, nie potępiali go, ale też nie zapraszali do domu z nową żoną, a kiedy przyprowadzał Annie na uroczystości uniwersyteckie, traktowali ją obrzydliwie protekcyjnie. Annie nie była głupia, tylko mało odcytana. Dzięki zachęce i wsparciu męża zdobyła dyplom pielęgniarki. Jednak dla jego przyjaciół pozostała nikim.

Jeśli chodzi o rodzinę Annie – w dniu ślubu z Cedrikiem Fallowsem uznali ją za martwą.

W ciągu całego obiadu Cassandra krążyła wokół swojego pytania, zbliżała się i znów odsuwała, czekając na właściwy moment, żeby uderzyć. Pojawił się dopiero przy serach, kiedy ojciec rozluźnił się nad kieliszkiem porto.

– Wciąż brakuje mi papierosów – powiedział.

Cassandra była zaskoczona.

– Rzuciłeś palenie prawie czterdzieści lat temu.

– Owszem, i nigdy nie zszedłem z dobrej drogi. Ani razu. Ale po takim posiłku mam straszną ochotę zapalić.

„Nie zszedłem z dobrej drogi?”. Tak, na takie słowa czekała.

– Tato... kiedy poznałeś Annie, byłeś już... no, doświadczony, jeśli chodzi o zdrady. Miałeś przed nią kilka kochanek.

– Kilka romansów, nie kochanek. Nie kochałem tamtych kobiet.

– Dobrze, kilka romansów. – Czasami, tak jak teraz, to semantyczne rozróżnienie napelniało ją goryczą. – Chodziło mi o to, że miałaś doświadczenie w niewierności. Ale kiedy zacząłeś się spotykać z Annie, po wyjściu ze szpitala, nie starałeś się ukryć romansu. Wręcz obnosiłeś się z tym przed matką, żeby na pewno zauważyła. Po prostu zmusiłeś ją, żeby wykopała cię z domu. Dlaczego?

– Cassandro, myślę, że znasz odpowiedź.

– Nie znam. Dlatego pytam.

– A jak uważasz? Wiesz co nieco o zdradzie... Stwierdzam z bólem, że nawet całkiem sporo. Nigdy nie próbowałbym ci narzucić, co masz pisać, a twoja druga książka wyszła całkiem nieźle, ale nie zamierzam udawać, że nie cieszyłbym się, gdyby w ogóle nie powstała.

– Czyżbyś mnie pouczał? Stosujesz metodę Sokratesa<sup>20</sup>, żebyś zaczęła objaśniać ci twoje życie?

– Sądzę, że masz teorię i chcesz się przekonać o jej słuszności. Odwagi, Cassandro. Dlaczego po tylu latach ukrywania swoich przygód tak otwarcie zaangażowałem się w romans z Annie? Dlaczego nie próbowałem go ukryć?

– Myślę, że dlatego, że zawsze kłamałeś, przed matką, przed tamtymi kobietami. Zdrada wymusza kłamstwo. Uznałeś, że jedyny sposób, aby uczynić Annie kimś specjalnym, to nie kłamać: ani jej, ani nawet o niej.

Pociągnął łyk porto.

– Zakładam, że to nie będzie jednym z wątków naszej rozmowy przed pełną widownią? – Z grzeczności udał, że to pytanie, nie stwierdzenie faktu.

– Nie, ale...

– A więc zostawmy to, jak jest. Zawieśmy sprawę w wymownym milczeniu. A co do twoich przypuszczeń na mój temat, nie potwierdzam ani nie zaprzeczam.

Kiedy tylko wyruszył z powrotem do domu opieki, pomyślała o kilku ostatnich kilometrach nieoświetlonej drogi do Broadmeade i pożałowała, że pozwoliła mu jechać samemu. Zaraz też zostawiła wiadomość na sekretarce, żeby się odezwał, jak tylko dojedzie. A ponieważ tego nie zrobił, pół nocy chodziła po pokoju, nie mogąc zasnąć.

Zadzwoił o dziesiątej rano po to, żeby zapytać o nazwę wina, które wybrał, i dowiedzieć się, czy u Wedgmana mają kozi ser. Cassandra zrozumiała, że odczekał tak długo,

---

<sup>20</sup> Nawiązanie do maieutyki, metody naliczania lub raczej wydobywania wiedzy, jaką stosował Sokrates. Podczas dyskusji zmuszał rozmówcę, by ten dostrzegł słabości w swoim sposobie myślenia i doszedł do właściwych wniosków (przyp. tłum.).

żeby jej przypomnieć, że na razie to on troszczy się o nią jako rodzic. Córka nie opiekowała się Cedrikiem Fallowsem. Jeszcze nie teraz.

## Rozdział 22

Dom państwa Barrów stał w okolicy podobnej do tej, w której mieszkała Cassandra w Boerum Hill. Prawdę mówiąc, tutejsze kamienice – zbyt okazałe, aby nazywać je szeregowcami – wyglądały jeszcze ładniej, a wokół było więcej zieleni, a raczej będzie więcej, kiedy późną wiosną zaczną pączkować drzewa. Jej rodzice przez krótki czas wynajmowali tu mieszkanie w pierwszym roku swojego małżeństwa. „Naprzeciwko F. Scotta Fitzgeralda”, jak mawiał ojciec. Minęły lata, zanim Cassandra zorientowała się, że Fitzgerald nie był tak naprawdę ich sąsiadem, lecz literackim duchem, którego ojciec lubił przywoływać.

Zastanawiała się, dlaczego Barrowie wybrali właśnie tę okolicę i ten dom. Czy to miała być jakaś manifestacja? Rodzice Donny mieszkali nie dalej niż półtora kilometra od rodzinnego domu Cassandry, a jednak zdawało się, że ich posiadłość należy do innego świata: nowoczesny jak na tamte czasy, wielopoziomowy budynek na stromym stoku, oparty o lesiste wzgórze po drugiej stronie Gwynn’s Falls. Wszystko w domu Howardów lśniło nowością. Możliwe, że pomieszały jej się dwa przyjęcia, jak twierdziła Tisha, ale z całą pewnością zachowała żywe wspomnienia balu „maturalnego”, który odbył się tam na zakończenie szóstej klasy. Tak, nazwali to balem „maturalnym”. Ostatnio wszyscy załamywali ręce nad tendencją do celebrowania pomniejszych przełomowych momentów w życiu dzieci. Cassandra tylko się uśmiechała: nie dość, że zakończenie szóstej klasy udawało bal maturalny, to już na zakończenie przedszkola maszerowała w todze i birecie. Żadna nowość.

Ale przyjęcie w domu Howardów przyćmiło szkolne uroczystości. Miała wtedy na sobie bardzo krótką – w zasadzie za krótką – sukienkę we wzorki, prezent bożonarodzeniowy. Cassandra urosła pięć centymetrów w ciągu pięciu miesięcy – i osiągnęła, jak się później okazało, ostateczny wzrost stu sześćdziesięciu centymetrów – więc długość stroju balansowała na granicy przyzwoitości. Chłopcy okropnie jej dokuczali: z powodu sukienki i włosów, których nie myła przez trzy dni przed przyjęciem, bo dzięki temu były bardziej posłuszne. Spryskała je tylko jakimś kosmetykiem w aerozolu, nazywał się Pssst. Bóg jeden raczy wiedzieć, co zawierała ta skondensowana mikstura chemikaliów. Równie dobrze Cassandra mogła sobie posypać głowę talkiem. Na jej ramionach osiadło trochę białego proszku – chłopcy upierali się, że to łupież, i zmiatali go dłońmi, naśladując gest z popularnej reklamy. Chciałaby uznać, że to takie ich zaloty, ale nawet wtedy nie umiała siebie okłamywać. Koledzy z klasy, biali czy czarni, nie uważali jej za dziewczęcą dziewczynkę, a Donna i Tisha najwyraźniej zasługiwały na ich zainteresowanie. Przysięgłaby, że mały

„Słodziak” Barr zaprezentował tam swój taniec... a może chodziło jednak o przyjęcie urodzinowe Tishy dwa miesiące później?

A Callie? Czy tam była? Wpadłszy na nią na stronach własnej książki, Cassandra przetrząsała pamięć w nadziei, że natknie się na Callie w jakimś przeoczonym kącie. Na tak wielkie przyjęcie na pewno zaproszono wszystkich. Ale to nie znaczy, że wszyscy przyszli.

– Cassandra – powiedziała Donna, otwierając drzwi.

Zestarzała się ładnie, prawie tak jak Tisha. Delikatne rysy Donny łatwiej poddawały się upływowi lat; to dziewczyny o interesującej urodzie zyskiwały z czasem. Ale jej głos wciąż był słodki i tak cichy, że chciało się nachylić ku niej, żeby nie stracić żadnego słowa.

– W ogóle się nie zmieniłaś – stwierdziła Cassandra.

– A ty przeciwnie. – Donna oceniła wzrokiem ubranie przyjaciółki. – To spodnie od Armaniego?

Cassandra przytaknęła zadowolona. Spodnie musiały spełnić wymagania Teeny, to samo dotyczyło kaszmirowego swetra w kolorze mchu, na który Cassandra sama nigdy by się nie zdecydowała. Było jej przyjemnie, że Donna rozpoznała markę. Czuła, że ich pozycja się zrównała. Kiedy chodziły razem do szkoły, Cassandra głaskała jasne drewno obudowy kolorowego telewizora Howardów, zachwycając się wspaniałością tego sprzętu. Dziś ona i Donna mieszkały w podobnych domach, nosiły podobne ubrania.

– Ale włosy... – zauważyła Donna. – Gdybym patrzyła od tyłu, chyba poznałabym cię po włosach.

„Włosy”. Tym jednym słowem Donna bez wysiłku przywróciła dawne porządki. Cassandra może osiągnęła jej poziom finansowy, lecz Donna nie była gotowa traktować ją jak równą.

Zdecydowała się obrócić wszystko w żart.

– Szósta klasa była ciężka, ale jeszcze nie osiwiłam.

– Nie, to prawda – przyznała Donna, prowadząc ją do salonu, pełnego perkalowych obić i drapowań, w dobrym guście, ale trochę zbyt staroświeckiego. Nie w stylu Cassandry. – Miałaś całkiem zasłoniętą twarz, ledwie cię było widać spod tej grzywy.

Ukrywałam się, chciała powiedzieć Cassandra. Po odejściu ojca czasem potrzebowała zasłony włosów, żeby przetrwać dzień. Zaczesywała czuprynę do przodu, na twarz, a chłopcy wołali za nią „Kuzynka To”<sup>21</sup>.

---

<sup>21</sup> Nawiązanie do postaci całkowicie owłosionego Kuzyna To (Cousin It) *Rodziny Addamsów* (przyp. tłum.).

– Co za przemiana – dodała Donna. – Czuję się przy tobie taka nudna. Zostałam w Baltimore, poślubiłam chłopaka, którego znałam całe życie. Reg opowiedział mi, jak na ciebie wpadł. Bardzo mnie zaintrygował twój nowy pomysł. Książka o nas i o tym, jak się potoczyły nasze losy. Rozdziałów o mnie nikomu nie będzie chciało się czytać. Co powiedział Tolstoj? Wszystkie szczęśliwe rodziny są do siebie podobne?

– Zawsze uważałam, że to totalna bzdura – stwierdziła Cassandra, celowo wchodząc w swoją rolę prowokatorki, opozycjonistki. – Nie ma tylko jednego smaku szczęścia, tak samo jak lodów.

Donna nagrodziła ją śmiechem, jak dawniej nieśmiałym i tajemniczym. Zawsze był główną bronią w jej arsenale.

– Masz rację. Między czekoladą a wanilią jest kolosalna różnica, ale jeśli kochasz lody waniliowe, ciesz się nimi do woli.

Czy to aluzja do Cassandry? To ona miała być wanilią? Nie, Donna nie walczyła w ten sposób. To Cassandra słowami dręczyła bliźnich.

– Wydaje mi się, że jesteś jedną z najważniejszych postaci w tej całej historii – skłamała gładko, jak na córkę Cederica Fallowsa przystało. – Zajmujesz centralne miejsce. Masz związek z każdą osobą.

Donna uroczo zmarszczyła brwi. Robiła ślicznie nawet brzydkie rzeczy.

– O nie. Wszystko zawsze obracało się wokół Tishy, nie mnie.

– Tak, w szkole. – Cassandra przysięgłaby, że Donnę zabolalo, że od razu się z nią zgodziła; jakby liczyła, że dawna koleżanka zaprzeczy. – Ale wyszłaś za Rega, który pracował dla twojego ojca, a on bronił Callie. Ciągłe zadaję sobie pytanie, czy prosiłaś tatę, żeby jego firma podjęła się obrony? Czy to zbieg okoliczności?

– Zbieg okoliczności polegał na tym, że mój ojciec był jednym z najlepszych adwokatów w mieście – oznajmiła sucho Donna. Naprawdę aż tak nieprzyjemnie było przypomnieć sobie, że to Tisha przewodziła ich grupie? – Myślałam, że wziął tę sprawę na prośbę Amerykańskiej Unii Swobód Obywatelskich<sup>22</sup>. Mieszkałam wtedy... gdzie indziej, kiedy to się zaczęło. Większość lat osiemdziesiątych spędziłam w Knoxville. Tam... miałam męża. To nie było krótkie studenckie małżeństwo. Trwało siedem lat i skończyło się... dość niemilo.

– Hej, ja przeżyłam to dwa razy – wyznała Cassandra.

Słyszac to, Donna chyba się odprężyła.

---

<sup>22</sup> Amerykańska Unia Swobód Obywatelskich (American Civil Liberties Union – ACLU) jest jedną z najstarszych w USA organizacji pozarządowych, działających na rzecz praw człowieka (przyp. tłum.).

– To okropne, prawda? Rozwód. Drugi raz nigdy bym przez to nie przeszła.

„Reg Barr, ten pies na baby”. Teena Murphy rzuciła to niemal odruchowo, jakby wszyscy znali prawdę, ale nikogo ona nie obchodziła. Dla Cassandra było to ważniejsze, niż chciałyby przyznać. Dobrze wiedziała, jakich kompromisów wymaga małżeństwo z mężczyzną, który nie przestaje sypiać z innymi kobietami, nawet jeśli robi to bardzo dyskretnie. Ale nie umiała sobie wyobrazić, żeby zносиła to Donna. Może Teena mówiła o tym, jak Reg zabawiał się jeszcze przed ślubem.

– Czy to dziwne uczucie? – spytała. – Wyjść za mężczyznę, którego znałaś jako małego chłopca?

– Tak. Na początku czułam się trochę zażenowana, te dwa lata różnicy wydawały się przepaścią. Do tego pracował dla mojego ojca. Ale pochlebiali mi, że tak bardzo o mnie zabiegał. Był kobieciarzem, mógł przebierać w chętnych. Nigdy do końca nie zrozumiałam, dlaczego zdecydował się na nudną Donnę.

Cassandra wiedziała, że teraz powinna zaprzeczyć, zapewnić, że Donna nie jest nudna, tylko cicha z natury. Ale, ku własnemu zaskoczeniu, stwierdziła:

– No cóż, w końcu byłaś córką szefa, a Reg ostatecznie został współnikiem.

Powiedziała to lekko. Najwyraźniej nie dość.

– Został współnikiem, jeszcze zanim się zaręczyliśmy. I bardzo go bolało, kiedy ludzie mówili, że dzięki małżeństwu zrobił karierę. To nie był nepotyzm; Reg zasłużył na to stanowisko. Mógł rozkręcić własny biznes, w każdej kancelarii był gwiazdą. W najlepszym interesie mojego ojca, firmy, leżało, żeby go zatrzymać.

– Czy kiedykolwiek wspominał o Callie?

– Oczywiście, że nie. Tajemnica zawodowa.

– A pytał cię o nią, próbował zbierać jakieś informacje o jej dzieciństwie? W końcu ty i Tisha trochę ją znałyście. Gdybym ja broniła Callie, na pewno chciałabym porozmawiać z jej dawnymi przyjaciółkami.

– To nie prawo, to psychologia – odparła Donna. – Przydaje się w orzecznictwie wstępnym, ale nie w sprawie Callie. Poza tym, jak się zastanowić: co my tak naprawdę o niej wiedziałyśmy? Nikt nie był u niej w domu, tylko Fatima znała jej rodzinę. Cicha uczennica. Nigdy nie zgłaszała się na lekcji, a wywołana do tablicy wyglądała, jakby zaraz miała zemdleć. Przypominasz sobie, żeby w ogóle coś mówiła?

– Pamiętam, jak śpiewała. I jak się śmiała. Ale gadułą nie była na pewno.

– Czasem tylko szeptała coś na ucho Fatimie, a ta wygłaszała jej komentarze jako własne. Połowa zabawnych rzeczy, które powiedziała Fatima, to były słowa Callie. Szeptała do niej albo pisała na marginesie zeszytu.

Zeszyty. To słowo przywołało wspomnienia. Wtedy nie było wielu rodzajów zeszytów, a może to matka nie pozwalała na odmianę. Wszyscy nosili do szkoły skoroszyty oprawione w płótno, z wrywanymi kartkami. Liczyła się schludność, a to niezbyt mocna strona Cassandry. Za to Donna... O tak, jej zeszyty były bez zarzutu przez cały rok. Nigdy nie zaklejała taśmą dziurek w kartkach, bo ich po prostu nie rozrywała. Nie bazgrała też po okładkach. A kiedy robili okładki do szkolnych podręczników, jej zawsze były złożone i dopasowane z precyzją origami. Okładki Cassandry natomiast w zadziwiający sposób okazywały się zatłuszczone i poszarpane.

– Między Fatimą a Callie była szczególna więź. Ale Fatima nie chce ze mną rozmawiać.

– Naprawdę? No cóż, zaczęła inne życie, stworzyła się na nowo... Wiesz, jak to jest. – Czy Donna sugerowała, że Cassandra zrobiła to samo, czy tylko, że powinna rozumieć, jak przebiegają takie procesy? – Ze mną też nie rozmawia, a nie skończyłaby nawet Spelmana, z czego jest taka dumna, gdyby nie mój wuj Julius. Napisał jej rekomendację. Fatima nigdy nie miała dobrych ocen.

– Miło, że jej pomógł.

– Była wolontariuszką w jego biurze, latem, kiedy skończyliśmy szkołę. Uważaliśmy, że jesteśmy wyjątkowi, bo dostaliśmy dyplomy w 1976 roku, pamiętasz?

– W Gordon School to nie było aż takie ważne – powiedziała Cassandra. Czy Donna naprawdę zapomniała, że nie kończyły razem liceum? Nie czytała jej książki? – My mieliśmy się za hipisów, patriotyzm nas nie kręcił.

Donna pokręciła głową.

– Nie wiem, Cassandro, jak chcesz z tych wszystkich drobiazgów złożyć książkę. Znałyśmy dziewczynę. Została oskarżona o potworną zbrodnię. I co dalej?

– Ja też nie mam pojęcia, dokąd to prowadzi. Ale tyle historii wiąże się z tą sprawą. Jak mogłabym nie porozmawiać z tobą i wszystkimi, którzy znali Callie?

– I z Regiem. Chcesz się spotkać z Regiem. – Zabrzmiało to jak wyzwanie.

– Tisha powiedziała, że nie będzie ze mną rozmawiał.

– Och, zapomina, że nie ona jest już szefową Rega, tylko ja. – Donna puściła oko, ale mówiła śmiertelnie poważnie.



– A ta druga prawniczka z kancelarii twojego ojca? Możesz ją skłonić, żeby ze mną pogadała?

– Och, Gloria. – Donna się skrzywiła. – Stale chodzi pijana. Sama odeszła z firmy, zostawiła Callie. To Reg doprowadził sprawę do końca.

– Czyli to z nim muszę porozmawiać.

– Skoro naprawdę musisz... – Donna westchnęła. – Poproszę go, żeby zrobił mi przyjemność i zarezerwował dla ciebie trochę czasu. Ale to i tak ślepa uliczka. To taka... mała, żaloszna historia. Czy ludzi naprawdę interesują takie rzeczy?

– Z mojego doświadczenia wynika, że tak. – Uśmiechnęła się.

– „Z mojego doświadczenia”, zabawne wyrażenie. Czy mamy cokolwiek innego? Czy możemy wiedzieć więcej niż to, czego sami doświadczyliśmy?

Jej ton był łagodny, zamyślony, a pytanie jak najbardziej uzasadnione. Mimo to Cassandra nie mogła oprzeć się wrażeniu, że została sprowadzona na swoje miejsce. Spytała o obraz nad kominkiem – Horace Pippin, nie, nie wiedziała, kto to taki, ale wysoka jakość dzieła była niezaprzeczalna – i reszta popołudnia upłynęła im spokojnie, na snuciu wspomnień, które mniej więcej się pokrywały. W przeciwieństwie do Tishy, Donna nie miała zastrzeżeń do tego, co Cassandra o niej napisała, i zachwycała się pochwałami, jakie zebrała książka. Właściwie było to nawet miłe.

Osiemnaście godzin później Cassandra znalazła się w łóżku z mężem Donny. Na pewno zaskoczyło ją to bardziej niż Rega, który od chwili, kiedy otworzyła przed nim drzwi, traktował całe spotkanie jako fortel, obmyślony tylko po to, żeby mogli zobaczyć się na osobności. Jak zwykle pewny siebie, zdziwił się jej wahaniem. Potraktował je jak kokieterię. Może i słusznie, pomyślała, kiedy już ją rozbroił. Zanim jednak przypomniała sobie, że zaczęła się interesować Calliope na długo przed spotkaniem Rega – był już w niej i tylko to się liczyło.

Zacisnęła ręce na jego ramionach, jakby groził jej upadek z dużej wysokości, jak gdyby unosiła się wysoko nad światem, niczym Leda w dziobie Zeusa – łabędzia. „Czy wzięła jego wiedzę z mocą jego łona?” Jak to szło? Kojarzyła tylko jeden ułamek: „trup Agamemnona”, choć nawet nie pamiętała, co to za Agamemnon. Potem poczuła się winna, że pomyślała o czarnym mężczyźnie jako o łabędziu, o zwierzęciu. Chociaż tak naprawdę wyobraziła go sobie jako Zeusa, prawda? On – bóg, ona – śmiertelniczka. Ale to też jej się nie podobało: zbyt przypominało sposób, w jaki ojciec opisywał pojawienie się w jego życiu

Annie. Porównywał ją do Afrodyty. Wtedy sobie przypominała: Agamemnon wziął Kasandrę jako łup ze splądrowanej Troi. Obydwoje zostali później zamordowani. Leda, przygnieciona pierśią łabędzia, uchwyciła cząstkę przyszłości, ale to Kasandra miała prawdziwy dar jasnowidzenia.

– Więc tylko tutaj jesteś cicho – powiedział Reg, kiedy oboje leżeli jeszcze spleceni. – Ja też. Zabawne, że ci najbardziej wygadani cichną w łóżku.

Cassandra kiwnęła głową.

## Izba chorych

Ojciec leżał w szpitalu przez trzy tygodnie. Jako dziecko nie mogłam go odwiedzać – przepisy zabraniały – ale matka nie chciała zostawiać mnie samej w domu, więc siedziałam w poczekalni i odrabiałam prace domowe. Szpital znajdował się daleko od naszego domu. Idąc przez ulice, którymi jeszcze niedawno wstrząsały zamieszki, matka czuła, że zasługujemy na jakąś nagrodę, szczególnie w piątki. Szłyśmy więc jeszcze dalej Eastern Avenue, do Highlandtown i Hausnnera. Ta niemiecka restauracja była jedną z instytucji naszego miasta. Całe wnętrze, od podłogi do sufitu, wypełniały XIX-wieczne obrazy. Sam rozmiar malowideł, ich przypadkowe, chaotyczne rozmieszczenie – to wszystko sprawiało, że uważałam je za tandetę, taką jak obrazki, które wypełniało się farbami według wzoru. Mój ojciec traktował pobyty w tym miejscu jako pogładowe lekcje estetyki, szydził z dzieł i zachęcał mnie, żebym robiła to samo. Kiedy jednak wróciłam do tej restauracji jako osoba dorosła, odkryłam, że wiszące w niej obrazy są uznawane za bardzo piękne przykłady sztuki XIX wieku.

Matka nie zabierała mnie tam po to, żeby wygłaszać wykłady na temat wystroju wnętrz. Wybrała ten lokal, ponieważ spełniał zarówno oczekiwania dziecka, jak i dorosłego. Mogła zamówić sobie koktajl i, powiedzmy, wątróbkę albo cielęcinę, a dla mnie wziąć napój Shirley Tempie i placki ziemniaczane. Jadłyśmy bez słowa. Wtedy zdałam sobie sprawę, jak wielki wkład w rozmowę miał zawsze mój ojciec. To właśnie on kierował naszymi dyskusjami przy obiedzie. W restauracji, gdzie panowała radosna kakofonia, milczenie nie wydawało się tak niezręczne, dopiero w domu cisza stawała się dokuczliwa i krępująca.

Pod koniec drugiego tygodnia, tuż po złożeniu zamówienia, matka nagle powiedziała:

– Nigdy nie pytasz o ojca.

– Mówiłaś, że wszystko będzie dobrze. – Poczulałam ukłucie paniki w sercu. – Wyzdrowieje, prawda?

– Tak. Z początku lekarze się martwili. Został bardzo mocno pobity i... cóż, nie było pewności czy mózg... ale będzie dobrze. Potrzebuje tylko czasu, żeby fizycznie wrócić do zdrowia.

– Dlaczego go pobili?

Matka podniosła swojego drinka – żółtego, o nazwie Limonkowy Rickey – i przyjrzała mu się uważnie.

– To, co się dzieje podczas zamieszek, nie ma sensu. Emocje wymykają się spod kontroli. Gdyby twój ojciec został w samochodzie... ale nie został.

– A dlaczego?

– Zobaczył, jak kogoś... biją, i pobiegł na pomoc. Postąpił bardzo, bardzo odważnie. Głupio, ale odważnie.

Ani ja, ani matka nie znałyśmy jeszcze Annie. Ale w następnym tygodniu, ostatnim, który ojciec miał spędzić w szpitalu, w poczekalni podeszła do mnie jakaś kobieta. Wtedy powiedziałabym, że wygląda jak Diahann Carroll albo Diana Ross, a miałabym na myśli piękną czarną kobietę, bo w tamtym czasie znałam tylko dwie piękne czarne kobiety. Jednak w rzeczywistości typ urody Annie w 1968 roku nadal wydawał się czymś nowym. Skórę miała tak ciemną, jak to tylko możliwe, nos szeroki, a usta pełne.

Podczas gdy twarz Annie prezentowała kanon piękna przyszłości, jej ciało zachowało proporcje z lat pięćdziesiątych. Figura Annie mogłaby należeć do którejś z bohaterek komiksów: cieniutka talia, obfite biodra i największe – naturalne – piersi, jakie kiedykolwiek widziałam. A ponieważ właśnie zaczynałam się zastanawiać, jak będą wyglądać moje, kiedy już urosną – Fatima kupiła ostatnio stanik sportowy i wszystkie dziewczyny w klasie myślały już o swoich przyszłych piersiach – nie mogłam przestać się gapić. Czy coś takiego może wykielkować na mojej klatce piersiowej? Biust matki – tego słowa bym wtedy użyła, bardzo się czerwieniąc i chichocząc – przedstawiał się dosyć skromnie. W tamtych czasach to biusty wybierały nas, a nie my biusty. Ciało kobiety było wówczas owocem przypadku, zestawem kart, rozdawanych obrazkiem do dołu, które odkrywałyśmy w wieku dwunastu lub trzynastu lat.

Zafascynowana bujnym biustem dopiero po chwili zorientowałam się, że kobieta do mnie mówi.

– Ty pewnie jesteś córeczką Rica. Przypominasz go.

Trwało parę sekund, zanim zrozumiałam. Mój ojciec jest mężczyzną. Dziewczynki nie mogą być podobne do mężczyzn. Poza tym w mojej rodzinie panowało niewzruszone przekonanie, że jestem podobna tylko do siebie i do nikogo innego.

Kobieta uklękła, zniżając twarz do mojego poziomu.

– Jestem Annie. Byłam z twoim ojcem, kiedy...

– To panią pobili?

Twarz Annie na moment wykrzywiła się w grymasie bólu. Kiedy jakiś czas potem wszystko sobie poskładałam, odkryłam, że matka użyła eufemizmu, celowo niedokładnie opisała atak na Annie. Mój dziesięcioletni mózg nie przetworzyłby jeszcze prawdy o gwałcie.

– Pobili? No, tak, prawie. Ale to nic w porównaniu z tym, co spotkało twojego ojca. Czuję się okropnie z tego powodu.

– To nie ty zrobiłaś. – Do głosu doszło moje dziesięcioletnie poczucie sprawiedliwości. Dzieci, często niesłusznie obwiniane, są z natury ostrożne w sądach.

– Nie, nie ja. Jesteś tu z mamą?

– Tak. Siedzi u taty, w sali 208. Ty możesz wejść, bo jesteś duża.

– Bywasz tu codziennie? Pewnie się nudzisz.

– Odrabiam pracę domową. Zwykle przychodzimy wcześniej, a potem idziemy na coś fajnego, w tygodniu na syrop z lodem, a w piątki do restauracji. Albo – ściszyłam głos, jakby ojciec mógł z końca korytarza usłyszeć o naszej przewrotności – jemy obiad z tacek przed telewizorem. Udajemy, że lecimy do Europy i oglądamy film, który puszczają w samolocie.

– To fajne.

Ton głosu Annie nie pasował do jej wyrazu twarzy. Pewnie myślała, że to dziwaczne albo że jestem za duża na taką dziecianną zabawę.

– Przyszłaś tu podziękować mojemu tacie? Bo cię uratował?

– Martwiłam się o niego. Ale pacjenci nie powinni mieć zbyt wielu gości. To ich męczy.

– On już czuje się lepiej. Wychodzi w piątek.

– Nie, niech spędzi ten czas z twoją mamą.

Wtedy z sali wyszła matka. Podbiegłam do niej i zawołałam:

– To jest Annie, tata ją uratował! Przyszła mu podziękować.

Matka, tak samo jak ja, zapatrzyła się na olbrzymie piersi.

– To bardzo uprzejme – powiedziała. – Powinna pani wejść teraz, póki jest przytomny. Dużo śpi.

– Annie Reynolds – przedstawiła się kobieta, wyciągając rękę na powitanie. – Miło panią poznać.

– Godziny odwiedzin niedługo się skończą, nie chciałabym, żeby przegapiła pani okazję.

Matka mówiła hipersympatycznym tonem, jak zawsze, kiedy rozmawiała z kimś obcym. Annie ruszyła w głąb korytarza, a my wyszliśmy ze szpitala. Jechaliśmy samochodem przez okolice, które przerażały mnie i fascynowały zarazem. Zniesiono już godzinę policyjną, letnie dni stawały się coraz dłuższe, ale matka była niespokojna. Odetchnęła dopiero pod koniec naszej wyprawy, kiedy skręciliśmy w alejkę, która prowadziła przez park do Dickeyville.

– Czy to boli, jak rośnie? – spytałam.

– Co?

– Biust.

– Nie, skąd ci to przyszło do głowy?

– Zęby bolą...

– Hm, one muszą przebić się przez dziąsło. Piersi po prostu... rosną.

Nie widziałam specjalnej różnicy, poza tym, że zęby są twarde.

– A skąd wiedzą, kiedy zacząć?

– Dostają sygnały z twojego ciała, kiedy zaczynasz być nastolatką.

– Dojrzewanie – wygłosiłam. Tym wielkim słowem tłumaczono niemal wszystko, co robiły nastolatki. Najwyraźniej to było coś potwornego.

Matka skręciła zamyślona w naszą ulicę, zapominając, że miałyśmy po drodze wstąpić do kawiarni na obiecany koktajl z lodem.

Nienawidziłam przypominać jej o złożonych obietnicach – do dziś tego nie znoszę – ale moje usta tęskniły do soczystej słodkości.

– Mamo, a koktajl?

– Jesteś pewna, że nie popsujesz sobie apetytu przed kolacją?

– Jestem pewna.

W domu zapytała, czy chcę się pobawić w samolot, ale pamiętając wyraz twarzy Annie, odmówiłam. Nigdy już nie wróciliśmy do tej zabawy. Dwa dni później ojciec wyszedł ze szpitala. Dwa miesiące później zadzwonił do mojej matki i oświadczył, że się wyprowadza. Zakochał się w Annie Reynolds. „Ona jest moim przeznaczeniem – mówił. – Los zesłał ją na moją drogę nie bez powodu”. Matka z płaczem oskarżyła go, że jest kłamcą, że zawsze ją okłamywał.

– Nie – odpowiedział. – Byłem kłamcą, ale tym razem mówię prawdę. Ta kobieta i ja jesteśmy sobie przeznaczeni.

Wiem dokładnie, co mówili, bo podsłuchiwałam przy drugim aparacie. Pomyślałam, że mówiąc o miłości, ojciec posługuje się beznadziejnymi banałami, lecz to nie przyniosło mi

ulgi. Odłożyłam słuchawkę, nie starałam się nawet, żeby tego nie usłyszeli, ale moja matka albo nie zauważyła, albo jej to nie obchodziło.

# **Jak ugotować wszystko**

24-27 marca

## Rozdział 23

Kiedy Cassandra myślała o dworcu Baltimore, widziała we wspomnieniach rozczulająco mały budynek, stację podobną do tych, jakie są w zabawkowych zestawach z kolejką elektryczną lub w bożonarodzeniowej szopce. Pod wysokim sufitem stały staromodne drewniane ławki i działały tylko cztery kasy. Wszystko inne było już pojedyncze – jeden kiosk, jedna kawiarnia, jeden bar, jeden zestaw toalet, jedno stoisko czyściciela butów. Paradoksalnie, to właśnie nowsze dodatki wyglądały na zaniedbane i zużyte – elektryczna tablica odjazdów i przyjazdów, która chyba nigdy nie wyświetlała właściwych informacji, popsute lampki sygnalizatorów nad okienkami kas biletowych. Poczekalnia była bardzo przyjemna nawet o siódmej rano, w zimowy poranek. Słabe, rozwodnione światło miało kojący wpływ na pasażerów. Dojeżdżający do pracy siedzieli dziwnie spokojni i cisi jak na poniedziałek. Większość udawała się na południe, w kierunku Waszyngtonu. Tylko garstka ruszyła na peron, kiedy ogłoszono przyjazd pociągu Cassandra. Choć w ekspresie jadącym na północ było sporo ludzi, z łatwością znalazła miejsce w „cichym wagonie”, gdzie należało wyłączyć komórki i unikać rozmów. Cassandra, przyzwyczajona do atmosfery nowojorskiego dworca, nie mogła się nadziwić, że można podróżować tak spokojnie i... łagodnie, to najlepsze określenie. Skojarzyło jej się z Regiem, choć łagodności miał w sobie tyle co nic. Inna sprawa, że teraz wszystko Cassandrze kojarzyło się z Regiem – smutne, podniszczone tyły szeregowców; tryptyk przepraw przez wodę, każda coraz szersza, z kulminacją w postaci mostu nad Susquehanna w Havre de Grace; zarysy Wilmington na horyzoncie. Gazeta w jej ręce, laptop, otwarty i zapomniany. Jej głowa była pełna Rega, choć od pierwszej wspólnej nocy Cassandra spędziła z nim nie więcej niż pięć godzin.

Nie chciała jechać do Nowego Jorku, ale już dawno zaplanowanych spotkań nie mogła odwołać. Czekają na nią zbyt wiele osób: wydawca, agent i, na koniec, najmniej teraz ważny, jej kochanek. Będzie musiała zakończyć to dziś wieczorem. O tak, zmieniała już wcześniej mężczyzn i nie była aż taka głupia, żeby sobie wyobrazić, że to... z Regiem ma szansę przetrwania. A może jednak jest naiwna? Jedno wiedziała na pewno: udawanie przez cały wieczór z Bernardem, że wszystko jest w porządku, nie ma sensu. Tak czy inaczej, ich romans dobiegał końca. To, jak zareagowała na Rega, dowodziło, że związek z Bernardem należy już do przeszłości. Próbowała przekonać samą siebie, że nie będzie aż tak źle. Zerwie z nim w restauracji, choć może się to wydawać okrutne. Ale gdyby pozwoliła mu przyjść do domu, namawiałby ją do pożegnalnej wspólnej nocy. A tego chciała uniknąć za wszelką cenę.



Powie od razu, zanim zamówią przystawki. W ten sposób da mu czas na ucieczkę. A może jednak Bernard zostanie i kulturalnie zakończą to, co było tylko miłym romanssem. Nie powinno łączyć ich nic więcej niż letnia przygoda, która wygasłaby wraz z powrotem żony z letniskowego domu na przylądku.

Prawdę mówiąc, znacznie więcej myślała o lanczu z redaktorką niż o ostatniej kolacji z Bernardem. Czy powinna powiedzieć Ellen, że spała z Regiem? To... pewna komplikacja, z którą będzie musiała się zmierzyć. Niezaprzeczalny konflikt interesów. Gdyby została przy dawnym wydawcy, Belle, którą uważała za przyjaciółkę, chciałaby jak najszybciej wszystko wyjaśnić, prywatnie i zawodowo. Lecz Ellen... po prostu ją onieśmiała.

Pociąg wjechał do Filadelfii. Połowa drogi. Mogłaby właściwie porzucić te rozważania, zajrzeć do laptopa i podsumować stan prac nad książką. Skończyła jeszcze przed Metro Park.

– Ani jednej strony? – pytała Ellen; jej jasne oczy omiatały restaurację. – Nie zaczęłaś pisać?

– Trudno mi zacząć, dopóki nie dowiem się czegoś więcej. Pamiętaj, że książka nie ma być o moich przeżyciach, ale też nie będzie czystą fantazją. Wciąż węszę wokół tej sprawy i staram się odnaleźć Callie Jenkins. Okazuje się, że to bardzo trudne.

– Ale w końcu dotarłaś do jej prawnika, prawda?

O tak.

– Zgodził się ze mną spotkać, ale twierdzi, że nie ma pojęcia, gdzie podziewa się Callie. I wiesz co? Coraz bardziej czuję, że nie chodzi o sprawę sądową, tylko o historię tej dziewczyny. Jakbym pisała wspomnienia, których Callie nie może napisać sama.

Ellen zmarszczyła czoło, smarując masłem kromkę chleba, której nie zamierzała wziąć do ust. Rzadko jadała cokolwiek, przynajmniej w obecności Cassandry, a mimo to śmigała jak koliber. To ona zawsze nalegała na spotkanie przy lanczu. Zabierała Cassandrę do najmodniejszej restauracji, a potem wierciła się na krześle, jakby nie mogła uwierzyć, że marnuje półtorej godziny na rozmowę tylko z jedną osobą, nie odpisuje na e-maile, które wciąż przychodziły na jej blackberry, i nie odbiera połączeń. Chociaż i tak nigdy nie odbierała własnych rozmów.

Ich relacje wyglądały zupełnie inaczej, kiedy Ellen zdobywała Cassandrę, uwodząc ją i urabiając aż do całkowitego zaniku instynktu obronnego. Najpierw obrała za cel agenta. Szeptala mu do ucha, że obecny wydawca nie rozumie Cassandry. *Córka swojego ojca* zyskała popularność nie dzięki promocji, a wbrew niej, jak cudowne dziecko, które osiąga sukces mimo karygodnego, wręcz zbrodniczego zaniedbania. Owszem, *Wieczna żona* została

potraktowana znacznie lepiej, lecz – z drugiej strony – chyba tylko ktoś skrajnie niekompetentny mógłby podważyć wartość drugiego tomu wspomnień Cassandra Fallows. Nie kochali jej, nie doceniali – w przeciwieństwie do Ellen.

Jej następnym ruchem było zaproszenie Cassandra na lunch. Wtedy jeszcze unikała modnych lokali, do których chodziło się na biznesowe spotkania. Zabrała ją do knajpki – niedaleko domu Cassandra – gdzie panowała swobodna atmosfera. O tak, wtedy to Ellen do niej przyjechała. „Po co mamy dawać żer plotkarzom?”, stwierdziła podczas pierwszej rozmowy na Brooklynie. Spędziły urocze trzy godziny, zwieńczone butelką wina. Chociaż Cassandra uświadomiła sobie później, że sama wypila większość alkoholu: kieliszek Ellen jakoś nigdy nie domagał się dolewki. Pochłaniała za to litry wody. Jednak bardziej niż wino uderzyły Cassandrę do głowy pochwały, jakimi Ellen ją zasypywała. Mówiła o tym, jak na ostatnim roku studiów odkryła jej pierwszą książkę i jak wiele tym wspomnieniom zawdzięcza. W *Wiecznej żonie* rzuciło ją na kolana – użyła dokładnie tych słów – bezpruderyjne podejście do seksu. Byłaby szczęśliwa, gdyby mogła wydać cokolwiek, co wyszło spod pióra Cassandra, cokolwiek! „Wydałabym twoją listę zakupów – zapewniała. – Założę się, że to prawdziwa poezja. Nie wierzę, że potrafisz napisać jedno słabe zdanie!”

Tymczasem tydzień później dotychczasowy wydawca Cassandra, Belle, przysłał ponury e-mail, w którym krytkowała pomysł na powieść, wówczas ograniczający się do skromnych trzydziestu stron i bardzo wstępnego zarysu fabuły. „Bardzo przykro mi to mówić, ale tej książce czegoś brakuje. Niestety nie potrafię dokładnie określić, gdzie leży problem. Mogę tylko stwierdzić, że pisząc fikcję, wydajesz się niepewna, jakbyś nie wierzyła w moc własnej wyobraźni, w autorytet swojego głosu. Nie weszłaś w tę historię, co maskujesz, odwracając uwagę czytelnika faktografią na marginesie fabuły – opowiadaniem o szpitalu czy ruchu na rzecz praw adopcyjnych. Te dygresje dobrze wyglądały na etapie notatek. Teraz zmieniły się w dłużyzny. Myślę, że powinniśmy porozmawiać”.

Szkoda, że nie skorzystała z zaproszenia. Ten e-mail jednak zabolął – nie dlatego, że był niesprawiedliwy, ale uderzył z niespotykaną precyzją w splot lęków i niepewności Cassandra jako autorki. Tymczasem Ellen chciała zapłacić więcej, niż Cassandra kiedykolwiek pragnęła, za każde zapisane przez nią słowo. Naprawdę – każde. Zachwycała się pomysłem na powieść, którą nazywała „błyskotliwym połączeniem fikcji i faktów”. A kiedy okazało się, że autorzy pierwszych recenzji w zasadzie powtarzają zastrzeżenia Belle, Ellen niezłomnie stanęła u boku Cassandra.

– Oni nie recenzują książki – wyjaśniała. – Recenzują twój kontrakt. Zupełnie jak wtedy, kiedy Martin Amis wydał *Informatora*, a media mówiły tylko o jego życiu, o agencie, małżeństwie i stanie zębów.

Cassandra dokonała szybkich obliczeń: kiedy Amis opublikował tę książkę, Ellen chodziła do gimnazjum. Skąd więc знаła sekretną branżową plotkę? Prawda, że była maniaczką: mniej więcej w wieku jedenastu lat postanowiła, że zostanie wydawcą. Jak chętnie opowiadała, pieniądze otrzymane w prezencie na bar micwę<sup>23</sup> przeznaczyła na prenumeratę pism „*Publisher Weekly*” i „*Kirkus*”. Przed trzydziestką zdołała wyrobić sobie nazwisko: miała niesłychany talent do wyszukiwania debiutów powieściowych, które wykupowała za bezcen, a później wynosiła ponad czyjekolwiek przewidywania. Może w tym właśnie tkwił problem. W chwili, kiedy połączyły siły, i Ellen, i Cassandra zeszyły ze swojej zwykłej ścieżki. Ellen zapłaciła dużą sumę, Cassandra próbowała sił w fikcji. Ellen nie mogła się wycofać, ale próbowała pchnąć Cassandrę z powrotem w jej bardziej lukratywną niszę.

– Myślę, że musisz odpowiedzieć na podstawowe pytanie – powiedziała Ellen, patrząc spod zmarszczonych brwi na kawałek chleba, który kruszyła w palcach. – Zrobiła to czy nie?

– Tylko jej fryzjerka wie na pewno – odpowiedziała Cassandra. Ellen nie zareagowała. No tak, różnica wieku: najwidoczniej nie znała reklamy farby do włosów Clairol sprzed lat. Dobra, koniec żartów. – To śliska sprawa. Jej prawnik nie może upublicznić tej informacji. Ale myślę, że tak, zrobiła to. I chyba dlatego poprzednia prawniczka tak nagle odeszła. Dowiedziała się czegoś, może od samej Callie, co sprawiło, że jej obrona stała się nieetyczna. Teraz nikt nie chce ze mną rozmawiać.

– Nie proszę o reportaż o zbrodni, oparty na faktach – odparła Ellen. – Takie książki nie interesują twoich czytelników, to zbyt wąski rynek. Ale musi być w tym element podróży, w sensie metaforycznym. Nawet jeśli nie możesz powiedzieć otwarcie, co myślisz, czytelnicy muszą wiedzieć. Powinnaś sprawić, że zaczną współczuć komuś, kogo w zwykłych okolicznościach uznaliby za potwora. I dać wyjaśnienie lepsze niż „Och, ona zupełnie oszalała”. Pamiętasz, tak mówili o tej sprawie z Teksasu, kiedy kobieta utopiła własne dzieci. Szaleństwo to ślepa uliczka.

Cassandra posmarowała paluszek z ciasta taramasalatą. Rada Ellen, choć brzmiała trochę prymitywnie, miała sens. Cassandra wciąż nie wiedziała, co zrobi z niewygodnym faktem, że spała z jednym z głównych uczestników wydarzeń, które zamierzała przedstawić. Jeśli dopisze jej szczęście – a zwykle dopisywało – ona i Reg szybko się sobą nasycą, nikt

---

<sup>23</sup> Żydowska uroczystość religijna, związana z wejściem dziewczyny w okres dorosłości, odpowiednik bar micwy u chłopców (przyp. tłum.).

nigdy nie dowie się o ich romansie i oboje będą żyć dalej z czystym sumieniem. Ale... chętnie zaskoczyłaby Rega pomysłowością i talentami śledczymi! A gdyby tak powiedziała mu o tej sprawie coś, czego nie wiedział ani nigdy nie podejrzewał? Nie orientował się nawet, gdzie przebywa Callie. Teena też nie zdołała jej odnaleźć. A jeśli Cassandra dopnie swego? Tylko od czego zacząć? Pomyślała o Fatimie stojącej przed kościołem, zaniepokojonej, wręcz przestraszonej. „O tym, co się jej stało?” Co stało się Callie? Co wiedziała Fatima?

– Masz ochotę na deser? – zapytała wesoło Ellen, tonem, który sugerował, że odpowiedź powinna brzmieć „nie”.

– Kawa nie zaszkodzi – powiedziała przekornie Cassandra. – No i, cóż... zawsze lubię przestudiować listę deserów, choć to niebezpieczne dla kobiety w pewnym wieku.

– Wyglądasz fenomenalnie, jak zwykle – stwierdziła Ellen. – Zawsze szczupła, z piękną cerą... ale teraz jest coś więcej. Po prostu promieniejesz.

– Mikrodermabrazja – odparła Cassandra, rumieniąc się.

## Rozdział 24

Teena żałowała, że Cassandra nie poprosiła jej o wykonanie jakiegoś bardziej wyrafinowanego zadania, choć nie miała pojęcia, na czym mogłoby polegać. Wydobycie adresu Fatimy z działu finansowego było aż zbyt proste. Wymyśliła nawet idealną historyjkę: chce wysłać do niej list z podziękowaniem za ostatnio dokonany zakup. Tak robiło wielu sprzedawców sieci sklepów odzieżowych Nordstrom. Cassandra na pewno otrzymywałaby od nich korespondencję, gdyby Teena nie ingerowała i nie skreśliła jej z listy.

Przeglądając konto klienta, nie mogła nie zauważyć, że Fatima korzysta z karty stałego klienta i dokonuje zakupów na kredyt. Spłacała go zazwyczaj w ostatnim momencie, a czasem przekraczała termin. Nigdy więcej niż jeden i nie częściej niż raz, dwa razy do roku. Operacje na koncie wskazywały, że klientka nie zagląda do sklepu przez wiele miesięcy, a potem nagle wpada w szał zakupów i wydaje kilka tysięcy dolarów. Kupuje też wiele ubrań z taniej linii Rack. A zatem ilość, nie jakość.

Teena wspomniała o tym wszystkim Cassandrze. Czowała, że musi jej dać coś więcej niż tylko adres, który wydawał się marną zdobyczą – choć tylko o to była proszona.

– Hm... – Cassandra się zamyśliła. – To by pasowało do dziewczyny, którą znałam. I do kobiety, którą widziałam ostatnio. Kiedy kupujesz ubrania tak rzucające się w oczy, potrzebujesz ich naprawdę dużo.

Jej głos był przygaszony i słaby, Teena uznała jednak, że to wina rwącego się połączenia telefonicznego. Teraz większość ludzi traktowała telefony komórkowe jak zwykłe urządzenie, ale rozmowa przez komórkę z pociągu z Nowego Jorku kojarzyła się Teenie z czymś bardzo eleganckim i luksusowym. Ciekawe, jak wygląda mieszkanie Cassandry, jej zwykły dzień w Nowym Jorku, wśród splendoru wielkiego świata. Nie umiała traktować jej jak zwyczajnej dziewczyny z Baltimore. Cassandra była nie tylko lepiej wykształcona, ale też bardziej dystygowana, choć jej ojciec – wykładowca uniwersytecki – prawdopodobnie zarabiał mniej niż ojciec Teeny, właściciel firmy w branży klimatyzacyjno-grzewczej.

Teena nie pamiętała okolicy w pobliżu torów wyścigowych, gdzie dawniej mieszkała jej rodzina. Wyprowadzili się, gdy przyszła na świat. Zaglądali tam jednak od czasu do czasu, żeby rodzice mogli zaimponować swoim dzieciom i pokazać, jak daleko zaszli. W niedzielne popołudnie przejeżdżali główną ulicą Park Heights, a potem udawali się do podmiejskiego centrum handlowego, na „dobre stare żydowskie żarcie”, (jak nazywał je ojciec bez złośliwości). Wybredna Teena poprzestawała na hot dogu bez bułki, patrząc ze zgrozą, jak

ojciec zajada się podejrzanymi daniami. Czulent. Kreplach. Kugel. Już same nazwy brzmiały groźnie, jak imiona potworów z filmów science fiction. Mimo to lubiła te rodzinne wypadki w przeszłość. Jej bracia pamiętali, gdzie był sklep rowerowy i – o tym zawsze mówili ściszym głosem – sklep zoologiczny, w którym syn właściciela zamordował dziewczynę z sąsiedztwa.

Zbrodnia pozostawała nierozwiązana przez całe lata, a udało się ją wyjaśnić dzięki drobnemu szczegółowi, zupełnie jak w serialu kryminalnym. Okazało się, że piasek znaleziony na ciele ofiary pochodził spoza granic Stanów Zjednoczonych. To doprowadziło detektywów do sklepu zoologicznego i sprzedawcy, który pewnego dnia nie wytrzymał kolejnego upokarzającego spotkania z zarozumiałą, rozpuszczoną klientką.

Nie można powiedzieć, że akurat ta historia zaważyła na decyzji Teeny, żeby wstąpić do policji, choć, owszem, wiele razy opowiadała ją z sentymentem. Szczegółowe obserwacje i badania poszlak rzadko, jeśli kiedykolwiek, miały znaczenie w pracy gliny. W jej karierze nie było ani piasku z Karaibów, ani też zagadek kryminalnych z prawdziwego zdarzenia. Sprawcy nie grzeszyli inteligencją. Praca nie polegała na rozszyfrowywaniu łamigłówek, a raczej na łamaniu podejrzanych w trakcie przesłuchania. Śledczy miał wyraźną przewagę – zmieniał taktykę, ton głosu, a nawet nagiął fakty. Nawet to, że mógł się swobodnie poruszać, chodzić po pokoju czy wyjść, umacniało jego pozycję. Jednak Teena rzadko korzystała z tych przywilejów. Po prostu siedziała. Tkwiła na krześle, aż drętwiał jej tyłek, i właśnie tym niewzruszonym, cichym oczekiwaniem zmuszała ludzi do zwierzeń. Wykańczała ich swoim spokojem. Szczególnie szybko dawała sobie radę z mężczyznami, którzy zachowywali się jak na randce w ciemno. Zdawało im się, że muszą podtrzymać rozmowę.

Tylko z Callie było inaczej. Trafiła kosa na kamień. Callie okazała się jeszcze spokojniejsza od Teeny, cichsza i bardziej cierpliwa. Zastygała w przerażającym, milczącym bezruchu na całe godziny. Potęga jej woli kojarzyła się Teenie z jakimś wątkiem z *Batmana* – a może z filmu *Bardzo Dziki Zachód*, w którym jeden z agentów udawał nieboszczyka, spowalniając puls niemal do zera. Oczy Callie Jenkins zamierały, wbite w jeden punkt, i tylko sztywne plecy wskazywały, że jakaś moc każe jej się trzymać prosto. Bóg? Jeśli to Bóg dodawał jej siłę, musiała czuć, że postępuje właściwie, ale co to znaczyłoby w jej przypadku? W jakich okolicznościach kobieta może zabić swoje dziecko i uważać się za usprawiedliwioną? Choroba psychiczna, oczywiście. Ale wszystkie testy psychologiczne wskazywały, że jest zdrowa. Albo wystarczająco zdrowa, żeby zawisnąć, jak lubił mawiać Lenhardt.

Czy policja dysponowała jakimiś nowoczesnymi urządzeniami, którymi mogłaby się posłużyć w tej sprawie? Teena wiedziała, że seriale telewizyjne to stek bzdur, ale miała też świadomość, że od jej czasów, kiedy dane wyświetlały się na szarzielonym monitorze z pulsującym kursorem, narzędzia pracy na pewno się zmieniły. Dziś za pomocą domowego komputera dokonywało się rzeczy, o jakich nawet nie śniła, zaczynając pracę w wydziale zabójstw. Komputer nie zdołał jednak odnaleźć Callie Jenkins. Oczywiście wystarczył telefon, dwa: na pewno ktoś z dawnych współpracowników zgodziłby się pomóc. Może nie w miejskim wydziale zabójstw – tam znała już tylko McLarneya. Ale Lenhardt, pracujący na prowincji, na pewno oddałby jej przysługę.

Teena jednak nikogo o nic nie prosiła, nigdy. Łatwość, z jaką Cassandra nakłaniała ludzi do pomocy, była kolejną fascynującą cechą. Jej uprzejme prośby działały na ludzi jak rozkaz. Skąd bierze się taka pewność siebie? Przychodzi wraz z pieniędzmi i sławą? Nie, Teena znała mnóstwo życiowych nieudaczników, którzy mieli tę samą zdolność. Po prostu niektórzy bez oporów wysługują się innymi. Teena natomiast starała się zachować czystą kartę: ani nie prosiła, ani sama nie oddawała nikomu przysług. Kiedy więc wpadała w prawdziwe tarapaty, nikt nie przychodził jej na ratunek.

Pociąg z Nowego Jorku miał opóźnienie, spowodowane jedną z tych tajemniczych awarii, kiedy na długich odcinkach trasy skład zwalnia do ślimaczego tempa dziesięciu kilometrów na godzinę. Posuwali się nieznośnie wolno przez południową część stanu New Jersey; przed chwilą minęli wywieszoną na wiadukcie tablicę reklamową miasta Trenton – „Wyroby z Trenton podbijają świat”. Cassandra pożegnała się z Teeną, wróciła z korytarza do „cichego wagonu” i z przyjemnością zanurzyła się w samotności. Oczywiście cieszyła się z pomocy Teeny i była jej wdzięczna, ale nie czuła się najlepiej. Miała wyschnięte usta i bolała ją głowa. W zasadzie to nie kac, choć wczoraj wypła całkiem sporo. Za dużo.

Zerwanie z Bernardem okazało się trudniejsze, niż się spodziewała. Rozpłakał się nawet przy ludziach, w jej ulubionym lokalu, który odwiedzała przynajmniej dwa razy w miesiącu.

– Bernardzie, to nie jest miłość – powtarzała łagodnie i cicho. Stoliki dzieliła bardzo mała odległość: właściciele przerobili na restaurację dawną aptekę i zachowali część wystroju.

– Dla mnie to miłość, byłem gotowy...

Nie pozwoliła mu dokończyć.

– Jestem zawałona pracą, nie mam czasu na romanse. – Chyba takie wyjaśnienie go nie pocieszyło. – Poza tym to nie w porządku. Jesteś zonaty, nie mogę tego dłużej ciągnąć. – Teraz spiam z mężem swojej dawnej przyjaciółki, zamieszanym w wydarzenia, o których piszę książkę. Tak, to dopiero jest w porządku!

Bernard w końcu się uspokoił i nawet ze smakiem zjadł kolację. Tutejsze jedzenie naprawdę potrafiło ukoić największy ból. Zanim na stole pojawił się deser, Bernard poczuł się na tyle dobrze, że sam zaczął przywoływać argumenty za zerwaniem, co było jedynie pretekstem, by wymienić wszystkie rzeczy, jakich nie lubił w Cassandrze. Czy wie, że jest trochę zadufana? Nie całkiem narcystyczna, raczej skoncentrowana na sobie, patrzy na świat egocentrycznie. Widywali się zaledwie pół roku, a w tym czasie zaledwie kilka razy spotkali się z innymi ludźmi, lecz podczas tych wyjątkowych okazji zdążył zauważyć u Cassandry nieznośną manierę poprawiania jego wersji historii.

– Zawsze mi przerywasz. Wtrącasz: „Nie, nie, źle mówisz”. Jakby istniał tylko jeden dobry sposób opowiadania. Oczywiście twój sposób.

Dalej perorował o tym, że była, owszem, gorąca w łóżku, ale za to oziębła w innych sprawach, i zawsze dba tylko o siebie. Jej samowystarczalność wcale nie jest pociągająca, przeciwnie, Cassandra sprawia raczej wrażenie apodyktycznej i wymagającej. Jediną częścią tego wywodu, z którą chciało jej się dyskutować, był wątek o opowiadaniu historii.

– Jesteś bankierem – zaczęła. – Gdybym próbowała wyjaśniać komuś meandry twojej pracy, z pewnością byś mnie poprawił. Ja zajmuję się opowiadaniem historii, nie mogę znieść, gdy ktoś to robi marnie.

– Jezu, Cassandro, wszyscy opowiadają historie.

– Zgoda. A ja robię to lepiej niż większość ludzi.

– Na papierze – spierał się dalej. – Kiedy piszesz i poprawiasz. A to wcale nie znaczy, że jesteś jakimś wielkim gawędziarzem... Homerem.

– Jasne, ślepa nie jestem.

Roześmiali się oboje. Najwyraźniej uśmierzyło to jego żal, pozwoliło uwierzyć, że w innych kwestiach Cassandra też przyznaje mu rację. Nie zgadzała się z nim, oczywiście, ale musiała odpuścić, pozwolić mu wyliczać wszystkie swoje wady. Cóż, cena zerwania. Bóg jeden wie, ile już ma za sobą takich rozmów? Czy to się kiedyś skończy? Kiedy stuknęła jej trzydziestka, myślała, że to już koniec tego wszystkiego – huśtawek nastrojów, ściśniętego żołądka, namiętności, miłości. Później, jako czterdziestolatka, wygaśnięcie namiętności w drugim małżeństwie uznała za znak wolności, ciężko zdobytej dojrzałości. A tymczasem to był zaledwie dowód, że wciąż jest w stanie poślubić niewłaściwego faceta. Później pojawił się



Bernard: przy nim miała wszelkie powody przypuszczać, że nareszcie nauczyła się chłodu, opanowania, że nie potrafi już stracić dla kogoś głowy. Ale to po prostu nie była miłość.

Przy Regu wszystko odżyło. Wciąż chciała do niego dzwonić i nazwać go Słodziakiem – żeby mu uświadomić wspólną przeszłość – lecz instynktownie wyczuwała, że nie byłby zachwycony, słysząc swoje przezwisko. Cassandra natomiast uwielbiała to, że znali się od tak dawna, że pamiętali się z dzieciństwa, nawet jeśli o tym nie wspominali. On wiedział, że był namolnym, roześmianym, stale podskakującym bachorem. On wiedział, że w wieku dziesięciu lat miała włosy jak szopa. Podziwiali swoje nowe, wypolerowane i wygładzone wcielenia, pamiętając jednocześnie, że to tylko fasada.

Pociąg, zaprojektowany tak, by rozwijać prędkość dwustu kilometrów na godzinę, leniwie dysząc, toczył się przez Baltimore, uwięziony na torach, które nigdy nie wytrzymałyby jego pełnych możliwości. Cassandra nie martwiła się opóźnieniem: w Baltimore nikt na nią nie czekał. Z Regiem mieli się spotkać jutro po południu, w jej mieszkaniu. „Będzie ze mnie dumny: znalazłam Callie bez jego pomocy. Ale nie wolno mi przechwalać się sukcesem, żeby nie poczuł się gorszy. Ale jeśli wyłączę Rega z tej sprawy, równie dobrze mogę wyłączyć go z całej reszty swojego życia”.

Miał dziecko i żonę, które – według siostry – ubóstwiał; a z drugiej strony wszyscy – nawet Teena – wiedzieli o jego reputacji kobieciarza. Ich romans został już tysiące razy opowiedziany w nieśmiertelnych przebojach pop. „Za gorący, by ostygnąć...” – i tak dalej. „Poezja epicka opisuje to lepiej”, zaprotestowałby ojciec, oburzony, ilekroć ktoś przedkładał kulturę popularną nad sztukę. W tej jednej kwestii nie potrafiła się z nim w pełni zgodzić. Jeśli chodzi o wyrażenie miłości, wyciszona, poprawna poezja nie może konkurować z muzyką. W głowie Cassandry przepychały się teraz głupawe piosenki, ckliwe miłosne wyznania, których słuchała jako nastolatka. Gdyby miała swój notatnik w płóciennej okładce, wypełniłaby marginesy inicjałami „R” i „C”, wpisanymi w serduszko. Ten romans skończy się źle. Na pewno. Ale wmawiała sobie, że się tym nie przejmuje.

## Rozdział 25

Baltimore jest małym miasteczkiem – to stwierdzenie zbyt banalne, by wciąż je powtarzać. W tej małomiasteczkowości było jednak coś jeszcze: nieprzewidywalność, nieregularność, niespodzianka. Niektórych osób Gloria nie widywała całymi latami, a nagle zaczynała spotykać je wszędzie.

Tak było ostatnio z Regiem Barrem i całym klanem Barrów-Howardów. Wykasowała Rega z pamięci na wiele lat. Dzisiaj wydawał się wszechobecny. Najpierw pisarka i jej poszukiwania, potem jego telefon. Na Northon Avenue zawisł nowy billboard, reklamujący jego usługi prawne, który widziała codziennie, jadąc do pracy. Zmieniła trasę. Teraz z kolei otworzyła poranną gazetę i zobaczyła żonę Rega – córkę szefa, tak wciąż o niej myślała – jako bohaterkę wyjątkowo dziwnego artykułiku, złożonego z odpowiedzi na pytanie o „Pięć rzeczy, które muszę mieć, i to zaraz”. Gloria wyobrażała sobie, że Donna Howard-Barr jest ponad takimi rzeczami. Cóż, najwyraźniej chętnie poświęciła swoją dumę, sprzedała się, aby przyciągnąć uwagę do zbiórki pieniędzy na rzecz funduszu stypendialnego – Alpha Kappa Alpha.

Pięć „najpilniejszych” potrzeb Donny zafascynowało Glorię. Na pierwszym miejscu: nowoczesny dwupalnikowy grill gazowy, potem zestaw ekologicznych mebli tarasowych z drewna jatoba, para butów Christiana Louboutina, najnowsze tłumaczenie *Wojny i pokoju* oraz pikowana narzuta Gee’s Bend. Gloria nie mogła się powstrzymać, żeby nie sprawdzić w Internecie ostatniej pozycji, która okazała się patchworkowym wyrobem z Alabamy. Rzecz nie w jej guście, ale na pewno rzucająca się w oczy. Donna starannie przemyślała obraz, jaki rysował się na podstawie jej potrzeb: „Cenię domowe wartości, dbam o środowisko, sporo we mnie z dziewczynki, jestem intelektualistką, mam wyrafinowany gust”. Nic dziwnego: zawsze potrafiła się zaprezentować i czujnie strzegła swojego wizerunku. Jednocześnie Gloria szła o zakład, że do końca wiosny Donna zdobędzie wymienione przedmioty. Pani Howard-Barr nie należała do osób, które odkładają zaspokojenie swoich pilnych potrzeb. No, może poza nabyciem *Wojny i pokoju*.

Dzisiaj, w szary środowy poranek, w windzie budynku sądu, spotkała Rega po raz kolejny. Trzymał za rękę śliczną małą dziewczynkę. Gloria chciała się wycofać, ale było za dużo ludzi. Wyglądałoby, że go unika, a tego nie chciała – ktoś mógłby podejrzewać ją o słabość. Oczywiście nikt nie pamiętał – a nawet nie znał – historii, która ich łączyła. Po prostu Gloria miała wrażenie, że wszyscy ciągle szukają rys na jej pancerzu.

– Dzień „Z córką w pracy”<sup>24</sup>? – spytała.

– To jest w kwietniu – sprostowała dziewczynka; jak większość dzieci, miała potrzebę dosłowności i dokładności. – I teraz przychodzi się nie tylko z córkami, w ogóle z dziećmi. W przerwie wiosennej.

– Niania się rozchorowała, a Donna ma dziś jakiś ważny lancz – dodał Reg. – Moja siostra zabierze małą przed południem. – Po chwili, jakby dopiero do niego dotarło: – To jest pani Bustamante, kochanie. Pracowała kiedyś z tatusiem. Glorio, przedstawiam ci moją córkę, Aubrey Barr.

– Aubrey Howard Barr – poprawiła dziewczynka. – Moje drugie imię to nazwisko mamy.

Gloria próbowała sobie przypomnieć, czy wiedziała, że Reg i Donna mają córkę. Na pewno, ale na widok dziewczynki poczuła się niemal fizycznie dotknięta. Ty skurczybyku, pomyślała, choć zdawała sobie sprawę, że to irracjonalne i nie w porządku wobec niego. Dziewczynka wyglądała na osiem lat i była bardzo ładna. Oczywiście. Gloria nie wyobrażała sobie, żeby Reg i Donna dochowali się brzydkiego dziecka. Opanowana jak jej matka, ale z iskrą osobowości ojca. Córeczka tatusia, którego mocno ścisnęła za rękę. Ubrana była w nieco unowocześnionym stylu lat pięćdziesiątych – wełniany płaszcz, kapelusik, różowe rajstopy i modne czółenka z okrągłymi, bulwiastymi czubkami. Jak czuł się taki kobieciarz jak Reg, mając córkę? Za kilka lat pewnie zacznie sypiać z jej koleżankami. Z plotek wynikało jasno, że w tym kierunku szły jego podboje. Młode dziewczyny, apetyczne stażystki – oto materiał na jego kochanki, choć raczej nie z własnej firmy. Znał granice. Dla Rega to, że ma córkę, musi być koszmarem. Kiedy ona zacznie wchodzić w świat, on zbliży się do sześćdziesiątki i, coraz słabszy, będzie bezsilnie obserwował, jak mężczyźni tacy jak on traktują jego córkę. Nie ustrzeże jej przed losem tylu innych kobiet, które spotkały na swojej drodze facetów jego pokroju, przed losem „córkę szefa”.

I bardzo dobrze.

– Wyglądasz jak ten kot z czipsów – stwierdził.

Gloria nie zdawała sobie sprawy, że ma na twarzy szeroki uśmiech.

– Chyba kot z Cheshire – poprawiła go skrupulatnie córka.

Pedantyczna była ta mała Aubrey Howard Barr, lecz tym razem ojciec się nie przejęczył.

---

<sup>24</sup> Inicjatywa mająca zachęcić dziewczynki do myślenia o karierze zawodowej (przyp. tłum.).

Na następnym piętrze Gloria wysiadła, choć jechała wyżej. Zapomniała o tym żarcie z czipsowym kotem. Skąd się w ogóle wziął? A, chodziło o maszynę z przekąskami w starej siedzibie firmy Howard & Howard. Wieczorami można było z niej wyciągnąć tylko chrupki nikomu nieznanego firmy. Nazywali je kocimi czipsami, bo smakowały jak jedzenie dla kota. Gloria zawsze miała drobne lub nowiutkie jednodolarówki – w tamtych czasach maszyny były wybredne i nie przyjmowały byle czego. Natomiast Reg albo Colton Jensen, ich współpracownik, na ochotnika zbiegali trzy piętra niżej, do maszyny. Od czipsów mieli tłuste palce i zawsze musieli trzymać na biurku papierowe ręczniki, żeby nie zostawiać żółtych odcisków na dokumentach. Nazywali to klątwą czipsowego kota. Taki żart.

Często wtedy żartowali. Reg i Col śpiewali popularne piosenki ze zmienionymi słowami, żeby pasowały do biurowego kontekstu. Na przykład *You Can Call Me Al* przerabiali tak, żeby wyliczyć jak najwięcej drobnych zadań, spadających lawiną: „Możesz przynieść mi kawę”, „Możesz zrobić mi ksero”. Jeden z członków zarządu, obdarzony figurą w kształcie gruszki, wiecznie podciągał spodnie, przerywając w ten sposób długie, nedorzeczne wypowiedzi i niekończące się instrukcje. Pewnego wieczoru Reg zaczął go przedrzeźniać, a Col – Jezu, biedny Col, nie żyje już od piętnastu lat; jedna z pierwszych ofiar AIDS – potrząsał za nim paczką czipsów. Śmiali się wtedy do łez.

– Widzisz, Glorio... – spodnie w górę, szelest czipsów – ...zgodnie z zasadą *habeas corpus*... – spodnie w górę, szelest czipsów – ...prawo może nie być do dupy, ale prawnik zazwyczaj jest.

Te żarty rozumieli tylko pracownicy. Gloria też, ale nawet ona nie pamiętała już, czemu to wszystko tak bardzo ich śmieszyło. Byli ambitni, pełni energii, zamierzali nigdy nie stać się tacy, jak ich pracodawcy. Któregoś dnia po prostu się stali. Jak do tego doszło?

Ludzie rozumieli żalobę po straconej miłości. Gdyby kochała Rega, nawet bez wzajemności, współczuliaby jej, że go straciła. Intymna, bliska relacja z przyjacielem bywa tak samo istotna, ale nikt nie traktuje jej równie poważnie. W czasach, kiedy razem pracowali, Reg był bardzo młody, a ona przekroczyła już trzydziestkę. Mimo to w biurowej hierarchii zajmowali to samo miejsce. Poza tym łączyły ich dyskusje i drwiny na temat grzeszków oraz słabości szefostwa. Sądziła, że te rozmowy pomagają po prostu przetrwać długie, męczące wieczory w biurze. „Jedynie do celów rozrywkowych”, głosiły tabliczki na automatach do gry w pokera w barach Baltimore. Jednak to było kłamstwo zarówno w przypadku maszyn, jak i jej relacji z Regiem. Przewyższała go znajomością prawa, lecz to on lepiej rozumiał wewnętrzną specyfikę firm prawniczych, a w szczególności spółki Howard & Howard. Dlatego ich drogi się rozeszły.

Żeby być uczciwym – to nie on wypchnął ją z firmy, ale też za nią nie podążył. Reg nie należał do ludzi, którzy wyskoczyliby przez okno tylko dlatego, że Gloria stwierdziła, iż budynek płonie. Nie widział dymu ani tym bardziej płomieni. Poza tym właściwie nigdy mu nie powiedziała, dlaczego tak nagle rzuciła pracę. Musiał jednak podejrzewać, że chodziło o coś dużego i śmierzącego. Zastanawiała się, czy się domyślił. Chciała wierzyć, że gdyby wiedział, na pewno nie zostawiłby tak tej sprawy. Reg okazał się jedynym wygranym w tej smutnej grze: został współnikiem i zdobył córkę szefa. Niewiedza okazała się błogosławieństwem. Czy Reg na nie zasługiwał?

Tisha była tak szczęśliwa, że spędzi popołudnie ze swoją bratanicą, że nawet nie zadzwoniła do Rega, żeby zapytać, dlaczego ją oszukał, podając powód poszukiwania opiekunki do dziecka. Nie miała pojęcia, co dokładnie jest kłamstwem, a co nie, wiedziała tylko, że niezgodnie z prawdą przedstawił sytuację. Czyżby poczucie winy? Reg i Donna powinni lepiej sobie radzić ze zwykłymi życiowymi wypadkami jak to, że opiekunka została wystrzelona w kosmos czy przepadła w czarnej dziurze. Tisha nigdy nie prosiła Donny o pomoc w takich tarapatkach, kiedy jej dzieci były małe. Albo może... w zasadzie nie chciała myśleć, jaki mógł być inny powód kłamstw. Miała swoje podejrzenia, ale nigdy nie wypowiedziała ich wyraźnie, nawet w myślach, a tym bardziej nie zapytała brata. Kochał Donnę, to pewne. Sądziła nawet, że za bardzo, przez co niebezpiecznie zbliżał się do granicy bałwochwalstwa. Więc dlaczego... nie mogła tego pomyśleć. Nie o swoim bracie. Wiedziała, podejrzewała, ale kiedy ta myśl zaczynała przybierać zbyt konkretne kształty, zaciskała oczy, zatykała uszy i zagłuszała wewnętrzny głos: „La, la, la, la, nic nie słyszę”.

Wprowadzona do kancelarii, skąd miała odebrać małą, czuła się – jak zwykle w tym miejscu – okropnie: kura domowa z przedmieścia. Ktoś taki rzadko pojawiał się we wspaniałych biurach spółki Howard, Howard & Barr.

- Co słychać? – spytała krótko.
- Niewiele. Już wszystko pod kontrolą.
- To znaczy?
- Właściwie nic, Tisho. Po prostu wyratowałam mnie z opresji. Dzięki za pomoc.
- To ja ci dziękuję. Będziemy się z Aubrey świetnie bawić, prawda, słoneczko?

Dziewczynka się rozpromieniła. Popołudnie z ośmiolatką to wspaniała sprawa. Dzieci Tishy były urocze – oczywiście jak na nastolatki – lecz towarzystwa mamy nie uważały już za najbardziej pożądane.

Miała dokładnie osiem lat, kiedy pierwszego dnia w nowej szkole w Dickey Hill poznała Cassandrę. Dlaczego złapała ten kościsty biały łokieć i zaprosiła obcą dziewczynę do paczki, jaką tworzyły z Donna i Fatimą? Dobrze, że świat znał wersję Cassandry, bo Tisha wyszła w niej lepiej niż w rzeczywistości, którą pamiętała sama. Tak naprawdę chodziło o dziewczynę z ich starej szkoły. Nie lubiła jej i musiała szybko posadzić kogoś innego w czwartej ławce, żeby tamta nie zajęła miejsca. Pierwszy dzień przypominał zabawę w komórki do wynajęcia: wolnych miejsc było sporo, ale bardzo mało naprawdę fajnych. Zegar tykał, a dzieciaki kręciły się, szukając nie tylko wolnej miejscówki, ale też takiej, gdzie zostałyby chętnie przyjęte. Tisha wciągnęła Cassandrę do ich grupki, żeby uniknąć towarzystwa tamtej dziewczyny – nie mogła sobie przypomnieć imienia, choć miała przed oczami jej twarz, niebieską sukienkę w kratę, tlenione w domu, postrzępione na końcach włosy. Już wtedy Tisha potrafiła błyskawicznie rozpoznać sytuację i podjąć bezwzględną decyzję. Ty wchodzisz, ty wypadasz. Aubrey, podobnie jak jej matka w tamtych odległych czasach, wydawała się niewinna, wolna od takich motywacji i stereotypowych ocen. Albo – znów jak jej matka – ufała, że znajdzie się ktoś taki jak Tisha, kto odwali za nią brudną robotę.

– Czy możemy iść do baru U Franka? – wyszeptała Aubrey w windzie, zerkając z niepokojem na sufit, jakby się bała, że jej matka ma podgląd wszystkich kamer w firmie Howard, Howard & Barr.

– Jasne.

– A mogę zamówić frytki z sosem i kawałek ciasta?

– Oczywiście: frytki z sosem, kawałek ciasta i mlecznego szejka.

– A frytki z sosem, kawałek ciasta, mlecznego szejka i... cebulowe krążki?

– Możesz zamówić frytki z sosem i kawałek ciasta, i mlecznego szejka, i cebulowe krążki.

To była ich wersja starej zabawy w zapamiętywanki. Tisha zawsze pozwalała Aubrey wygrać. Może zresztą już nie musiała: pamięć Aubrey, mieszcząca wspomnienia z zaledwie ośmiu lat życia, okazywała się bardzo pojemna, a Tishy coraz słabsza. Czuli się jak stary pecet, konkurujący z nowiutkim makiem z procesorem Intela.

„Już wszystko pod kontrolą”, dlaczego te słowa nie dawały jej spokoju? Co Reg kombinował?

– Przegrałaś – pisnęła Aubrey, chichocząc ze szczęścia, kiedy ich lista dań doszła do około dwunastu. – Zapomniałaś o szejku.

– Co chłopców wabi jak muchy – mruknęła Tisha.

Jej dzieci kpiły z tych przestarzałych cytatów, ubawione przekonaniem mamy, że orientuje się w kulturze młodzieżowej i dotrzymuje im kroku. Tisha słuchała czasem ulubionych piosenek własnych dzieciaków, choćby po to, żeby wiedzieć, co takiego wchłaniają nastolatki. Ale Aubrey, która jeszcze nie rozumiała seksualnej aluzji w tekście przeboju Kelis, wsunęła rączkę w dłoń cioci i ruszyła w podskokach w dół Baltimore Street. Czy Tisha kiedykolwiek była tak szczęśliwa? Na pewno. Niestety, taka prosta, codzienna błogość nie pozostaje we wspomnieniach, wymyka się jak jedwabista, delikatna tkanina. Pamięć – jak gałęzie drzew, które chwytają foliowe torebki – zatrzymuje postrzępione, złe momenty. Babette. Tak, tamta dziewczynka miała na imię Babette. Stała na środku klasy – trzeciej klasy pani Klein – a Tisha omiatała ją pogardliwym wzrokiem.

Cassandra była wyczerpana. Mimo że rzadko sypiała w dzień, zaczęła odpływać, gdy Reg brał prysznic. Będzie musiał spędzić tam dużo czasu, jeśli chce pozbyć się zapachu seksu, jej zapachu. Marzyła o wspólnym wyjściu, o kolacji na mieście, ale знаła zasady. Na granicy snu i jawy ponownie przeżywała ostatnie dwie godziny. Samo wspomnienie było niemal tak przyjemne jak to, co robili. Rozumiała działanie chemii mózgu. Wiedziała, że taka namiętność nie trwa wiecznie, ale póki trwa, daje tyle radości... Pomyślała, że prawie nie rozmawiają i nic dziwnego, o czym tu dyskutować? Znali swoją przeszłość, a nad teraźniejszością żadne z nich nie chciałoby się rozwodzić. Zamrugła, żeby oprzytomnieć i rzuciła okiem na zegarek. Naprawdę minęła godzina? Prysznic już nie szumiał. Reg wyszedł bez pożegnania? Włożyła szlafrok i weszła do salonu – siedział przed jej laptopem w samym ręczniku.

– Sprawdziłem tylko pocztę – wyjaśnił. – Chyba ci to nie przeszkadza?

– Przecież masz blackberry. – Telefon odłożony na szafkę nocną bez przerwy wibrował, kiedy się kochali.

– Tak, świetnie się nadaje do czytania wiadomości, ale swoimi niezgrabnymi paluchami mogę odpisać najwyżej „tak” albo „nie”. Cóż, wygląda na to, że biuro może istnieć beze mnie.

Usiadła na nim okrakiem, zasłaniając ekran, i zaczęła masować mu kark.

– Uważaj – powiedział. – Bo przez ciebie się spóźnię.

Mogła go zatrzymać. To było kuszące. Ale na razie wystarczała sama świadomość, że ma taką moc. Niedługo ją straci. Tak to już jest – chociaż akurat ta relacja nie przypominała żadnej dotychczasowej. Mimo wszystko nie powinna wykorzystywać przewagi, sprawiać mu

problemów. Musi pokazać, że umie się opanować, wycofać w odpowiednim momencie. Pocałowała go długo, głęboko, pieszcząc przy tym jego ucho – i zatrzymała się, zanim zasłoby to za daleko.

– Masz rację. Musisz już iść.

– Jesteś okropna – powiedział, lecz w jego głosie zabrzmiał tylko podziw.

Budynek imienia Charlesa Bentona, nazwany tak po zasłużonym rewidencie, który czuwał nad finansami Baltimore i całego Marylandu, znajdował się w zupełnie niestosownym sąsiedztwie klubów ze striptizem, znanych powszechnie jako Kwartał. Zgodnie z miejscową plotką Benton nalegał, żeby budynek stanął właśnie w tej okolicy, bo miał nadzieję, że to zniszczy Kwartał. Inna, bardziej ekstremalna legenda mówiła, że żona rewidenta, zanim weszła na drogę chrześcijańskiej skromności i pobożności, pracowała jako tancerka w jednym z klubów. Gloria, świadoma, że jej życie stało się tematem najbardziej szalonych domysłów, nie umiała brać tych opowieści poważnie. Mimo to ciekawie było mijać słynny klub Po Północy w drodze do biurowca, gdzie miała sprawdzić sprawozdania finansowe z kampanii wyborczych.

– To wszystko można przeczytać w Internecie – powiedziała znudzona pracownica biura. Była tak młoda, że nawet nie pomyślała, że jej praca mogłaby być mniej nudna, gdyby skorzystała z okazji i zaczęła ją faktycznie wykonywać. Oto jedna z lekcji młodości: to nie praca jest nudna, ale jej brak.

– Wiem – skłamała Gloria. Skoro dotarła aż tutaj, byłaby wściekła, gdyby wyprawa poszła na marne. – Ale w Internecie są tylko najnowsze materiały, prawda? Ja szukam raportu z 1979 roku.

– Z 1979? – powtórzyła takim tonem, jakby chodziło o rok 1776 albo 1492.

– Tak, i jeszcze... – Gloria dokonała obliczeń w głowie; miejskie wybory odbywały się nieregularnie, za to stanowe co cztery lata – 1990 i 1998.

– To zajmie jakiś czas – mruknęła dziewczyna. – Mogę się nie wyrobić przed zamknięciem.

Wskazała na zegar; dochodziła czwarta.

– W takim razie przyślę tu jutro swojego pracownika. Przyjdzie ktoś z biura Glorii Bustamante. Po materiały dotyczące kampanii Juliusa Howarda. Biuro Glorii Bustmante, raport finansowy Juliusa Howarda z kampanii przed wyborami do senatu stanowego i na burmistrza miasta.



Oba nazwiska wypowiedziała głośno i wyraźnie z nadzieją, że dziewczyna okaże się plotkarą albo że dosłyszycie ją ktoś, kogo akurat zainteresują. Niech z budynku Bentona wyleci na świat jeszcze jedna plotka. Niech usłyszą, że wężycy w pobliżu, choć sama dokładnie nie wiedziała, czego szuka. Wiadomość, że Reg ma córkę, mocno ją poruszyła. Przeczowała – na razie tylko tyle – że ktoś może być jeszcze bardziej zszokowany widokiem miniaturowej wersji Donny Barr. O, przepraszam: Donny Howard-Barr.

## Rozdział 26

I jak w każdy czwartek rano Callie rozstawiła zapasy. Masło, żeby zmięкло; jajka, żeby nabrały temperatury pokojowej. Mąka i cukier były zawsze w pogotowiu w odpowiednio oznaczonych pojemnikach. Callie kochała te pojemniki. Kupiła je w QVC, korzystając ze swojej pierwszej karty kredytowej. Uwielbiała to uczucie, które towarzyszyło wizytom w sklepie Lowe'a. Kiedy przeprowadziła się na wybrzeże, kupowała rzeczy właśnie wtedy, kiedy ich potrzebowała. Gdyby przewidywała, jak istotne staną się dla niej mąka i cukier, pewnie inaczej wyposażyla by kuchnię. Porcelanowe pojemniki były ładne, ale ciężkie. Callie ciągle się bała, że upuści i stłucze któreś wieczko. Owszem, można kupić nowy zestaw albo skleić pękniętą pokrywkę. Nigdy jednak nie pozbyła się lęku, że coś popsuje. „Ty niezdaro”, mówiła jej matka, jakby Callie była przeklęta, opętana przez diabła, który sprawiał, że wszystko upuszczała, rozlewała i potykała się. „Ty głupia dziewczyno”. Teraz to matce trzęsły się ręce – rozlewała jedzenie i picie, a udawała, że tego nie zauważa. Gdy Callie mówiła: „Mamo, masz płamę z soku na ubraniu”, Myra Tippet odpowiadała: „Nie, nie mam”.

Callie nienawidziła kłamstw. Tak, większość ludzi uznałaby to za śmieszne, bo uchodziła za najohydniejszego kłamcę na ziemi. Wierzyła jednak, że milczenie nie było kłamstwem w porównaniu z mówieniem nieprawdy. Tego rozróżnienia Callie dokonała na długo przed ucieczką w milczenie. Zgodnie z twardym wymogiem matki nie mogła kłamać. Więc nie kłamała, tylko czasem nie dostarczała dowodów, niezbędnych, by ją ukarać. „Kto zjadł masło orzechowe?”, „Kto zostawił ręcznik na podłodze?” Matka szarpała ją i szarpała, ale z Callie nie wydobywał się nawet płacz. Póki nic nie mówiła – nie kłamała. Co też ona dzisiaj upiecze? Myślała o jednym z bardziej skomplikowanych przepisów: ciasteczka imbirowe polane lukrem tak, że wyglądały jak połówki księżycy. Ale dzieci wolą prostsze rzeczy. Przekartkowała świeżo pożyczoną z biblioteki książkę kucharską i znalazła przepis na babeczki truskawkowe. Za wcześniej na świeże truskawki, ale miała mrożone, a według przepisu się nadawały: w ostateczności wystarczą. Dawniej byłaby zdruzgotana koniecznością wyboru. Polecenie: „doprawić do smaku”, doprowadzało ją niemal do łez. Jak można powierzyć jej podjęcie tej kluczowej decyzji? Jak miała zaufać własnemu smakowi, własnym ustom, o tyle gorszym od wszystkich innych?

Gdy zaczynała piec, oglądała w telewizji rozmaite programy kulinarne i traktowała zalecenia prowadzących jak Ewangelię. Wkrótce jednak zauważyła, w drodze z kościoła Marthy do kościoła Pauli i dalej do kościoła tej Włoszki, której imienia nie mogła nigdy

zapamiętać, że jest mnóstwo niewielkich rozbieżności zdań. Zaczęła zaglądać do książek kucharskich w pobliskiej bibliotece, poszukując autorytetu, któremu mogłaby zaufać. Kogoś na poziomie, ale nie przesadnie drobiazgowego. Nikt nie pasował. Znowu wszyscy ją strofowali, znowu słyszała pyszałkowane pomruki rodem z placu zabaw, wiecznie to samo. Możesz zrobić to tak, ale lepiej zrób siak. Raz prawie udało jej się znaleźć mentorkę w tamtej Brytyjce, ale potem zobaczyła ją w telewizji i stwierdziła, że kobieta jest zbyt piękna. Taka nigdy nie zrozumiałaby Callie i tego, co się dzieje w jej nieskazitelnej kuchni i zabałaganionym umyśle.

Całe miesiące upłynęły, zanim do Callie dotarło, że w zasadzie – jeśli tylko zechce – może sobie zafundować książkę kucharską. Niejedną. Jak dotąd kupowała wyłącznie podręczniki do szkoły. Udała się do Salisbury, do Barnes & Noble'a. Wybór ją oszołomił, więc wyszła na chwilę i usiadła w samochodzie, walcząc z pokusą, żeby zawrócić do domu. Raz, tylko raz, gdy miała dwanaście lat, zdarzyło jej się – w domu Donny Howard – zakraść na górę, otworzyć na oścież drzwi szafy i spojrzeć na wiszące tam ubrania. Jak ktokolwiek może coś wybrać z tak imponującej kolekcji? Wizyta w księgarni przypomniła jej tamto uczucie. Z małą biblioteką było dużo prościej, brała to, co stało na półkach, dostępne dla każdego. Nigdy nawet nie zarezerwowała pozycji. W końcu przekonała samą siebie, by wrócić do księgarni, a potem wyłoniła się z niej z książką i kawą na wynos. Obie rzeczy okazały się równie męczące.

Książka była gruba, jasnożółta. *Jak ugotować wszystko* – obiecujący tytuł. Żadnych zdjęć, tylko proste rysunki. Napisana stylem, który przypominał Callie ulubionego nauczyciela z gimnazjum. Wykładał biologię tak wesołym i pewnym tonem, że Callie nie zastanawiała się nad tym, czy zadanie jest trudne, ani nawet nad faktem, że biologia to nauka przyrodnicza, a ona nie znosi nauk przyrodniczych. Książka kucharska prezentowała to samo optymistyczne nastawienie: dasz sobie radę. Callie łapała się na tym, że w trakcie pracy przemawia do autora, pana Brittmana – nie mogła sobie wyobrazić, że zwraca się do niego po imieniu, choć prawdopodobnie byli w zbliżonym wieku. „Czy powinnam dodać mleka do omletu, panie Brittman?” „Tak Callie, to zdecydowanie robi różnicę”. „Co pan myśli na temat użycia mąki tortowej do ciasta, panie Brittman?” „Lepiej włóż całe masło”. Choć miała w kuchni radio i telewizor, zwykle pracowała w ciszy, żeby nic nie przeszkadzało w rozmowie z nauczycielem.

Początkowo wyrzucała wszystko, co upiekła. Czowała, że to marnotrawstwo, ale co innego mogłaby zrobić? Lubiła przyrządzać słodczy, ale sama, o dziwo, w nich nie gustowała. Siedem lat w więzieniu odbiło się na układzie pokarmowym, mogła jeść tylko

najprostsze rzeczy, wyłącznie w małych ilościach. Na śniadanie owoc albo jogurt, zupa na lunch, kanapka na kolację. Dzięki panu Brittmanowi trochę poszerzyła swoje menu. Pieкла kurczaka i zachwycała się cudownym smakiem. Potem maksymalnie przedłużała tę przyjemność – zimny kurczak na obiad, sałatka z kurczakiem i majonezem własnej roboty. Wyciskała trójkącik cytryny nad kawałkiem ryby. Grillowanej, nie smażonej. Mimo to czuła, że przynajmniej raz w tygodniu musi coś upiec, i nie miała pojęcia, co zrobić z tym jedzeniem.

Próbowała rozdawać swoje wypieki, usiłowała też zainteresować nimi okoliczne sklepy i składy żywności. Wszędzie na drodze stawały liczne zakazy i regulacje. W końcu znalazła prywatną szkołę chrześcijańską, w kierunku na Cambridge, która zezwoliła jej sprzedawać poczęstunek w porze lunchu i przekazywać dyrekcji cały dochód. Callie miała wrażenie, że nawet takie działanie jej nielegalne i może w każdej chwili zostać przerwane przez Ministerstwo Zdrowia. Wolała też nie zastanawiać się nad światopoglądem szkoły. Uderzyło ją, że twórcy tej placówki byli chrześcijanami, którzy rzadko okazywali miłosierdzie. Gdyby znali przeszłość Callie, zapewne nie chcieliby jej i jej ciast. Przez chwilę nawet martwiła się – co było już czystą paranoją – czy dyrektor nie rozpoznał jej po imieniu. Może gdyby nie zostało skrócone wiele lat temu, bardziej zapadałoby w pamięć. Lecz – dzięki ci, Tisho – odkąd skończyła dziewięć lat, nazywała się Callie i nawet jeśli nie brzmiało to całkiem zwyczajnie, umykało uwadze. Imię Calliope byłoby bez szans. Dziwnie się poczuła miesiąc temu, słysząc pełną wersję własnego imienia. Pomyślała, że coś się stanie, szczerze mówiąc: miała taką nadzieję. Co takiego, nie wiedziała. Cokolwiek. Coś, co ożywi monotony rytmy dni, który nie różnił się specjalnie od więziennego, jak się nad tym zastanowić.

Przygotowanie babeczek okazało się wręcz zbyt łatwe. Kartkowała książkę pełną opowieści i pięknych fotografii, bardziej niewiarygodnych niż bajki z dzieciństwa. Te, pełne złych ludzi i nieprzewidywalnych zwrotów akcji, były dla niej całkowicie zrozumiałe. Co innego książka kucharska, gdzie każde wspomnienie związane zjedzeniem wydawało się szczęśliwe – tego nie mogła pojąć. Czy nikomu innemu hamburger nigdy nie wysliznął się na ziemię i nie został wyrwany z ręki jako niejadalny? Czyżby nikt poza nią nie rozlał herbaty z cukrem? Nie do wiary, że kupiła tę książkę. Poza tym wciąż czekała, że zawiedzie się na pana Brittmanie. Obiecał w końcu, że ją nauczy, jak ugotować wszystko, a ona jeszcze nie trafiła na potrawę, przy której nie potrafiłby jej pomóc. Callie też dotrzymywała obietnic. Wywiązywała się z nich bez względu na to, jak często inni łamali złożone jej przyrzeczenia.

Dlaczego nigdy nie piekła dla swoich chłopców, dla żadnego z nich? Naturalnie Donntay nie dożył nawet dnia, w którym dzieci próbują stałego jedzenia. Dlaczego wtedy nie potrafiła utrzymywać domu w tak doskonałym porządku jak teraz? Czy to tylko kwestia wieku, czy również pieniędzy? Czy mogła je mieć wcześniej? Nigdy nie prosiła o pomoc finansową, nawet teraz przyjmowała ją z trudem. Nie uganiała się za pieniędzmi i wbrew temu, co sądzili niektórzy, kiedy zachodziła w ciążę, nie chciała nikogo usidlić ani narobić kłopotów. Macierzyństwo ją przerosło, nie była na nie gotowa. Zupełnie. Pewnego razu, kiedy Gloria namówiła ją na rozmowę z psychiatrą, Callie starała się opisać to uczucie: jakby znajdowała się w tunelu, z którego wypompowano tlen. Przez kilka tygodni po narodzinach chłopców nie mogła oddychać i miała wrażenie, że powieki same jej opadają. I to nie ze zmęczenia, choć naprawdę była wykończona.

Oczywiście, miała też złamane serce, ale o tym nie należało mówić. Gloria zaklinała się, że cokolwiek Callie powie jej lub psychiatrze, pozostanie tajemnicą. Oprócz tego, naturalnie, co naprawdę wydarzyło się tamtego ranka, w dniu śmierci Donntay'a.

Callie powkładała babeczki do pudełek, których teraz zawsze miała mnóstwo pod ręką, i pojechała do szkoły pachnącym truskawkami samochodem. Chłopcy początkowo byli trochę nieufni, ale dziewczynki oszalały na widok różowych ciastek, więc i oni szybko zrozumieli: albo jedzą różowe, albo nie jedzą wcale. Sprzedawała je po pięćdziesiąt centów za sztukę – w sumie trzydzieści sześć dolarów dla szkoły. Dyrektor powiedział, że będzie to mogła odliczyć sobie od podatku, ale Callie nie korzystała z ulg. Jej dom został splecony, podatek od nieruchomości w stanie Delaware był niski, więc po co męczyć się nad długimi wnioskami. Poza tym twierdzenie, że działa charytatywnie, byłoby kolejnym kłamstwem – tak naprawdę piekła, żeby nie zwariować.

W drodze do domu Callie rozmyślała o cieście, które podano u Donny Howard na przyjęciu z okazji zakończenia szkoły. W odróżnieniu od zwykłych płaskich ciast, to przypominało tort weselny. Miało kilka warstw pokrytych lśniącym lukrem, a po bokach tkwiły pęki kwiatów. Niestety – smak okazał się wielkim rozczarowaniem. Po latach Callie doszła do wniosku, że dla dzieci te kwiaty były zbyt „dorosłe”. A czy ona umiałaby zrobić takie ciasto? Niezbyt nadawałoby się dla szkoły, lecz miała ochotę podjąć wyzwanie. Pięć lat temu odkryła – z ogromnym zdziwieniem – że do ucierania masła nie używa się tarki. Od tamtej pory przebyła daleką drogę. Potrafiła upiec warstwowe ciasto, ale jak poradzić sobie z tą twardą lukrową polewą, bardziej przypominającą zbroję niż cukier? Musiałaby zasięgnąć rady pana Brittmanna. Wyobraziła sobie, że stoi obok niej, przemawia łagodnym, kojącym głosem i pokazuje, co należy robić. Bibliotekarz mówił, że są filmy wideo z panem

Brittmanem i że prowadzi on blog, który można czytać na komputerze w bibliotece. Ale ona miała własną wizję i nie chciała, żeby cokolwiek mąciło ten obraz pana Brittmana.

Postanowiła, że upiecze ciasto i zanieś je do domu opieki swojej matki. Tamtejszy personel zawsze cieszył się z poczęstunku. Z każdym obrotem ręcznego miksera, każdym roztluczonym jajkiem i każdą przesianą szklanką mąki Callie powtarzała sobie, że czyni kłamstwo prawdą.

## Rozdział 27

W drodze do domu Fatimy Cassandra zgubiła się trzy razy. Nazwy ulic brzmiały znajomo, ale wszelkie charakterystyczne punkty, które pamiętała z tego północno-zachodniego przedmieścia, dawno zniknęły. Podążając za znakami kierującymi do centrum, trafiła do centrum handlowego. Miała wrażenie, że widziała je przed laty, ale wtedy było nowsze, bardziej błyszczące, z luksusowymi sklepami, takimi jak Saks. Dziś wydawało się zaniedbane, a Saks był najwyraźniej fatamorganą. Koniec świata, pomyślała Cassandra, przestawiając swój GPS.

W końcu udało jej się trafić do osiedla Fatimy, jednego z tych, w których każda ulica, plac, aleja, skwer, rondo nazywają się tak samo. Tutaj: Rosewood. Domy tłoczyły się wzdłuż ślepych uliczek, trawniki poświęcono na rzecz olbrzymich podjazdów przed garażami na trzy samochody. Całkiem przyjemnie, oceniła Cassandra. Solidna klasa średnia. Jednak, podobnie jak w przypadku centrum handlowego, czuło się, że kiedyś było tu ładniej. Wszędzie wisiały tablice: „Na sprzedaż”. Cassandra odnosiła wrażenie, że większość mieszkańców stara się żyć na poziomie, który przekracza ich możliwości. Dom Fatimy wyglądał na szczególnie sfatygowany. Skądinąd schludny i dobrze utrzymany, w kilku miejscach najwyraźniej potrzebował szybkich napraw: zapadnięty dach garażu, dziury w tynkowej elewacji. Mimo to na podjeździe stał duży, błyszczący, świeżo umyty lincoln kombi.

– Cassandra. – Fatima westchnęła zrezygnowana, ale nie zaskoczona. – Jak mnie znalazłaś?

– To nie było trudne. – Nie ma powodu narażać Teeny na kłopoty w pracy. I nie zaszkodzi, jeśli Fatima pomyśli, że Cassandra zna więcej szczegółów z jej życia niż tylko adres i stan konta. Choć właśnie adres, stan konta i wiedza, że Fatima ukończyła college Spelmana, były wszystkim, co miała. Oprócz wspomnień o dawnej koleżance.

Gdzie podziała się tamta dziewczyna?, zastanawiała się Cassandra, siadając na kanapie w schludnym, ale niewiarygodnie tandetnym salonie Fatimy, nad którym dominował fascynujący szklano-metalowo-lustrzany kredens.

Na jego półkach stały książka, dosłownie jedna – oprawiona w białą skórę Biblia – i kolekcja bibelotów: porcelanowa lalka, wazon w nieokreślonym orientalnym stylu, figurka dwóch jeleni, puchar z turnieju koszykówki, ceramiczny koszyk z różowymi kwiatkami i olbrzymie zdjęcie, prawie trzydzieści osób stłoczonych w ramce, każdy w T-shircie z napisem „Zjazd Hollinsów”. Widok rodzinnej fotografii ucieszył Cassandrę: dobrze, że Fatima należy

do takiej wielkiej kochającej rodziny. Była jedynaczką, wychowywaną tylko przez matkę i mimo śmiałości zawsze sprawiała wrażenie nieco samotnej.

Choć kobieta, która patrzyła na Cassandrę, zewnątrz przypominała tamtą dziewczynę – tylko dużo, dużo większą – to, co w Fatimie było najważniejsze, gdzieś znikło. Dziś wyglądała na wystraszoną, małowówną i zestresowaną. Żadne z tych określeń nie pasowało do młodej Fatimy. Cassandra nie rozpoznała też jej tonu: brzmiał niemal uniżenie.

– A więc jesteś pisarką.

– Tak, wspominałam o tym parę dni temu w kościele.

– Nie czytam dużo. Nie mam za bardzo czasu. Poza tym Gaston, mąż, spotkałś go wtedy, nie pochwalał moich lektur. Powiedział, że romanse są frywolne i niechrześcijańskie – zniżyła głos, jakby ktoś mógł podsłuchać rozmowę, choć dom wydawał się pusty. – Od czasu do czasu przemycam sobie Zane. Znasz ją?

– Słyszałam o niej – odparła Cassandra. – Odniosła wielki sukces.

– Urodziła się w Marylandzie – dorzuciła Fatima z cieniem dystansu w głosie.

Cassandra zrozumiała, że dla Fatimy świat pisarzy nie różni się zbytnio od jej megakościoła, wielkiego zgromadzenia ludzi, których połączyły wspólny cel i geografia. Skoro Cassandra nie zna Zane, czy aby na pewno jest prawdziwą pisarką?

– Cóż, ona bywa dosyć skryta. Chciałam porozmawiać o...

– Callie. Wiem, mówiłaś w kościele. Nie mam ci nic do powiedzenia. W ogóle się z nią nie kontaktuję.

– Ale na pewno pamiętasz dziewczynę, którą obie znałyśmy. A ty lepiej niż reszta. Nie należała do naszej paczki, ale mieszkała w twojej dawnej okolicy, prawda?

– Chodziłyśmy razem do osiemdziesiątki. – Używanie numerów zamiast nazw stanowiło lokalny zwyczaj. – Tamta część Edmondson Avenue już wtedy była dość paskudna. Mama cieszyła się, że zdołała wyciągnąć mnie stamtąd.

– Paskudna?

Fatima wzruszyła ramionami.

– Jak na tamte czasy. Wredne dzieciaki, dużo przemocy. Nie taka paskudna, jak to bywa teraz, z małolatami, które noszą pistolety do szkoły. Ale niemiła.

– I zamieszkałaś naprzeciwko Barrów, Tishy i Rega. – To dziecinne, ale wymawianie jego imienia sprawiało Cassandrze przyjemność.

– No. – Fatimie udało się włożyć mnóstwo emocji: zwątpienia, strachu?, w tę jedną sylabę.

– Jaka była Callie?



– Sama wiesz. Cicha. Jedno, czego chciała zawsze, to uniknąć kłopotów.

– Nie przypominam sobie, żeby w szkole miała kłopoty.

– W szkole nie, w domu. Jej mama... była surowa. Naprawdę surowa. Tak jakby... – Fatima zawiesiła głos, a Cassandra siłą powstrzymała się, żeby nie przerwać ciszy. Odpuść, odpuść, upomniała samą siebie. Jeśli nie będziesz się odzywać, może ona się rozkręci. – Jakby ta cała surowość, to, że trzyma Callie tak krótko, mogło powstrzymać ludzi od plotkowania. Została przy własnym nazwisku, kiedy jeszcze prawie nikt tego nie robił, wiesz?

– Przy własnym nazwisku?

– No wiesz, Myra Tippet. Dodała tylko „pani” na początku, chociaż nie było żadnego pana. Dlatego tak jej zależało na odpowiednim zachowaniu. „Pani Myra Tippet nie zniża się do ordynarnych postępów, Fatimo”, takie tam.

– Och, mówiła w trzeciej osobie – palnęła Cassandra i natychmiast poczuła się okropnie.

Fatima się uśmiechnęła.

– Stara, dobra Cassandra, zawsze ma jakiś przytyk w zanadrzu. Tak czy siak, mogła nazywać się panią i znęcać nad Callie. I tak wszyscy wiedzieli, że Callie nie ma ojca i nigdy nie miała. Ja też zresztą nie miałam, ale przynajmniej nie byłam nieślubna, tylko prawie ślubna. W dniu ślubu moja matka była w szóstym miesiącu, a sześć miesięcy później tatuś już przysnął. No, ale przynajmniej w akcie urodzenia mam nazwisko ojca. Prawdziwe. A ojciec Callie? Nikt nie wiedział, kto to taki, włącznie z panią Myrą Tippet. Co z tego, że wpisała „Jenkins” w papierach.

– Nie rozumiem. Po co dała Calliope inne nazwisko?

Fatima wzruszyła ramionami i w zamyśleniu przygryzła dolną wargę.

– Jeśli już kłamiesz, musisz kłamać porządnie, tak? A może po prostu był jakiś Jenkins wśród jej facetów, a ona nie zdążyła jeszcze postanowić, że narodzi się ponownie jako porządna kobieta. Może to była zabawowa dziewczyna, która nagle doszła do wniosku, że już się wyszalała i już czas być grzeczną. Tak grzeczną, żeby nikt nie powiedział jej złego słowa.

– Jak ty?

– Co powiedziałaś? – Krótki przeblysłk dawnej Fatimy, śmiałej i wyzywającej.

– Słyszałam od Tishy, a może od Donny, że jesteś teraz... – próbowała sobie przypomnieć słowo, które tak jej się spodobało – świątobliwa. I że nie chcesz się zadawać z dawnymi znajomymi.

– No więc od której? Tishy czy Donny?

Dziwne, że akurat na tym się skupiła.

– Nie pamiętam, chyba od Tishy.

– Cóż... – Fatima próbowała nie okazywać wściekłości. – Po prostu staram się żyć po swojemu. Trafiłam na dobrego człowieka, wyszłam za mąż. Mamy trzech synów. Nie zawsze było łatwo. Gaston trzy lata temu rozkręcił firmę, wypożyczalnię samochodów osobowych i limuzyn. Teraz ludzie niechętnie wyrzucają forszę na takie rzeczy. Na szczęście zbliża się sezon balów maturalnych, więc powinno być lepiej.

– Kiedy ostatnio widziałas się z Callie?

– Chodziłyśmy do tego samego dwuletniego college'u, a potem jeszcze jakiś czas razem pracowałyśmy.

– Gdzie?

– Nie słyszałaś o tym?

– Nie.

Fatima posłała jej długie, ciężkie spojrzenie.

– Nie zadzieraj z nimi – powiedziała w końcu.

– Z kim?

– Nieważne, uwierz mi. Jeśli ich zostawisz w spokoju, oni zostawią w spokoju ciebie. Nawet dadzą ci szansę, jeśli będzie trzeba. Nie są nieuczciwi. Pomogą ci, jeśli im na to pozwolisz. Tylko musisz dać sobie z tym spokój.

– Ale...

Fatima nachyliła się w stronę Cassandry. Była bardzo duża, ale zarazem krzepka, pełna mocy. Ciekawe, jak żyje się w ciele Fatimy. Prezentowała taką samą zadziorną pewność siebie, którą miała jako dziewczyna. A jej strój charakteryzował się radosnym ekshibicjonizmem. Zaskoczona po południu w domu, ubrana była w jasną tunikę w zielone, pomarańczowe i żółte kwiatki, z dekoltem w łódkę, a do tego zielone spodnie i żółte klapki.

Ale... czy aby na pewno została zaskoczona? Chyba jednak nie, przynajmniej nie tak, jak w kościele.

– Powiem ci tyle. Nie mam pojęcia, gdzie jest Callie. A nawet gdybym wiedziała, i tak bym ci nie powiedziała. Ale nie wiem. Przysięgam. Nie widziałam jej od czasu, kiedy miałyśmy po dwadzieścia lat, potem poszłam do szkoły w Atlancie.

– Do Spelmana.

– Tak jest. Callie też mogła gdzieś wyjechać, skończyć szkołę i zrobić coś ze swoim życiem. Ale była strasznie uparta. Potem pokazała wszystkim jak bardzo. Ona miała swoje metody, ja swoje. Nie twierdzę, że jestem mądrzejsza czy lepsza, ale cieszę się z tego, co mam. Gdyby Callie chciała, też mogła być szczęśliwa. Przynajmniej w miarę szczęśliwa. Daj

sobie z tym wszystkim spokój, Cassandro. To nie sprawdzian w szkole, nie musisz nikomu udowadniać, jaka jesteś inteligentna. A skoro masz trochę oleju w głowie, to sobie idź. Czasami tak jest najmądrzej.

– Kogo ty się boisz, Fatimo? Kogo mam unikać?

– Nie znasz ich – powiedziała stanowczo. – Nie chcesz ich znać.

– Piszę książkę. Zamierzam opowiedzieć tę historię.

– No to będziesz musiała nazmyślać, tak jak w szkole. – Kostium pani z komitetu parafialnego znikł, a spod niego wyłoniła się dawna Fatima. – Pamiętam twoje wypracowania na piątkę z plusem, takie wypieszczone, wycackane. Nauczyciele nie mogli się ciebie nachwalić. Mnie tam nudziły, ale ja się przecież nie znam na li-tera-turze.

Cassandrze nagle przypomniało się, jak w dziewiątej klasie Fatima odtańczyła zadane wypracowanie. W obcisłej, wydekoltowanej bluzce, owinięta batikową spódnicą, którą w połowie występu zrzuciła, odgrywała historię o wojnie gangów i zdradzie. Fabułę w znacznej części ściągnęła z *West Side Story*, ale skoro *West Side Story* jest ściągnięte z Szekspira – tłumaczyła Fatima – to i jej wolno. Cassandra uważała, że to doskonały argument, choć opowiadanie Fatimy nie zrobiło na niej wrażenia. W każdym razie nie na papierze. W wersji pisanej wydawało się przeciętne i bez polotu. Natomiast kiedy Fatima tańczyła, recytowała i śpiewała – jej piersi podskakiwały obscenicznie, a ręce i nogi poruszały się do rytmu, który tylko ona słyszała – tak, to robiło wrażenie. Prawdziwy taniec nieświadomości. Cassandra pamiętała, że ktoś z tyłu klasy krzyknął: „Nie mogłybyśmy robić takich rzeczy, gdyby do naszej szkoły chodzili chłopcy!” Nauczycielka postawiła Fatimie tróję, mówiąc, że wypracowanie jest plagiatem, a poza tym ma niewłaściwą formę.

Nieco później, w autobusie, którym codziennie wracały do domu, dziwnie zawstydzona Fatima spytała, czy mogłaby przeczytać opowiadanie Cassandry. To była długa i zawiła historia pobożnej dziewczynki, którą własna hipokryzja wtrąca do piekła na ziemi. Jedyne, co Cassandra z niej zapamiętała, to że starała się poetycko opisać uliczne lampy sodowe, jasne kule w kolorze melonów – wprowadzone w latach siedemdziesiątych w związku z powszechną wówczas obsesją napadów. Prawdopodobnie ona sama porównała je do melonów i użyła jakiegoś niezbyt udanego sformułowania: kule lamp zawieszony w zimowym zmierzchu przypominają niedawno odkryty Układ Słoneczny? Rany, czy nie lepiej pisać o ukochanym, który ma zginąć? Ale nauczycielce się podobało – choć nie omieszkała skrytykować Cassandry za nadużywanie niedokończonych zdań, obok których postawiła ptaszki.

– Czyli tak wygląda piątkowa praca – powiedziała wtedy Fatima.

Cassandra usłyszała w jej głosie tylko podziw. Teraz przyszło jej do głowy, że Fatima mogła nie rozumieć, dlaczego ta skromna historyjka bez strzelaniny czy pary nieszczęśliwych młodych kochanków zasługuje na najwyższą ocenę, podczas gdy jej wirtuozerski występ jest skazany na trójcę. Polecenie nauczycielki brzmiało: „Piszcie o tym, co znacie”. Fatima tak właśnie zrobiła. Po prostu *West Side Story* było czymś najbliższym jej sercu, dla niej tak samo prawdziwe, jak opowiadanie o dziewczynce dla Cassandra.

– Miło było cię spotkać, Fatimo – powiedziała szczerze.

– Szczęść Boże – odparła nieznajoma, która znów przejęła kontrolę nad Fatimą. Nie wstała, żeby odprowadzić Cassandrę do drzwi.

## Dziewczęca grupa

W szóstej klasie Tisha postanowiła założyć dziewczęcą grupę wokalną. Oto logika dwunastolatka: Diana Ross była blisko związana z Jackson Five – właśnie jej wszyscy przypisywali zasługę odkrycia tego zespołu, choć to robota public relations. Tak czy inaczej, uważałyśmy, że skoro Diana Ross odkryła Jackson Five, to założenie dziewczęcego zespołu Supremes musi stworzyć efemeryczną więź z Jackson Five, którzy z kolei odkryją nas. Tisha, Donna i Fatima odbywały więc próby w czasie przerw, dopasowując różne układy taneczne do piosenek, które śpiewały. Kołysały w ramionach niewidoczne dziecko albo machały rękami, jakby w imię miłości chciały zatrzymać samochód. Spytałam Tiszę, czy też mogę należeć do zespołu.

– Są tylko trzy Supremes – odparła szybko.

– Mogłabym być zmienniczką, dublerką – zasugerowałam. – Gdyby któraś się rozchorowała.

– Umiesz śpiewać? – rzuciła Donna.

– Jasne. – Przecież wszyscy umięją. Na lekcjach muzyki zawsze śpiewałam bardzo głośno, wkładając w to mnóstwo serca.

– Jesteś pewna, że umiesz śpiewać? – naciskała Fatima.

Zostałam mianowana zmienniczką – niezbyt znacząca rola, biorąc pod uwagę, że zespół nigdy nie wystąpił poza placem zabaw, ale byłam zadowolona. Nikt nie mówił: „Ale przecież Supremes są czarne, a ty biała”. Nastął czas nowych możliwości. Byłyśmy ponad to.

Przynajmniej tak mi się zdawało do momentu, kiedy wycięłam zdjęcie Jermaine'a Jacksona z magazynu „Szesnastolatka” i przykleiłam je taśmą w swoim niebieskim segregatorze.

– Tobie się nie może podobać Jermaine – powiedziała Fatima.

– Któraś już go sobie zaklepała? – Takie były, jak rozumiałam, zasady podziału łupów w postaci chłopców z zespołów. Paul, John, George i Ringo, Davy, Mickey, Peter i Mike. Prawie w każdym zestawie było dwóch dobrych, dwóch znośnych oraz jeden nieudacznik. Najwyraźniej życie miało wiele wspólnego z teleturniejem „Randka w ciemno” i występującą w nim skalą: od ideału – biała marynarka, kwiatek w butonierce – aż do niewypału – obdarty, niedomyty. Na przykład ze składu Jackson Five żadna z nas nie chciała Michaela. Nie dlatego, że przeczuwałyśmy, iż w przyszłości stanie się kontrowersyjną postacią – wtedy wydawał się całkiem normalny, a przynajmniej w miarę normalny, jak na nadnaturalnie uzdolnionego chłopca, występującego w telewizji z kapeluszem alfonsa na głowie. Raczej dlatego, że był od nas młodszy. Tak czy siak, miał jeszcze czterech braci i choć wiedziałam, że to wstętnie przywłaszczyć sobie najlepszego, tak się składało, że to ja dostawałam pismo „Szesnastolatka” do domu – ojciec wykupił mi prenumeratę, wydłużając listę prezentów, które wymusiło na nim poczucie winy.

– Nie, nikt go nie zaklepał – parsknęła Fatima. – Ale nie możesz, bo... no bo nie i już.

– Weź sobie Jackiego – odparłam. Czulałam się bardzo hojna: stawiałam Jackiego na drugim miejscu. Zarezerwowałam go dla Tishy, szefowej naszej małej mafii. Choć *Ojciec chrzestny* nie został jeszcze nakręcony, wiedziałyśmy, co to haracz.

– Nie możesz mieć żadnego – oznajmiła Fatima, a Donna przytaknęła. Tisha czuwała, uważając, żeby się nie angażować.

To było nasze ostatnie wspólne lato, choć wtedy jeszcze nie wychwytywałam realności zbliżającego się rozstania. Ja wybierałam się do gimnazjum Rock Glen Junior High, na południowy zachód, a moje przyjaciółki na południe, do Lemmel. Nie miało to związku z podziałami na mapie; w Baltimore panowała zasada otwartego naboru, uczniowie mogli zdawać, gdzie chcieli. Istniały jednak podziały w naszych głowach oraz, co ważniejsze, w głowach naszych rodziców. Czarne rodziny wysyłały swoje dzieci w jednym kierunku, białe w przeciwnym. Działo się coś, czego nie umiałyśmy nazwać. W końcu Tisha przemówiła jak to zwykle ona, z naciskiem, choć ostrożnie:

– Jesteśmy już za duże, żeby wycinać zdjęcia chłopców z gazet. Pora mieć prawdziwych chłopaków, nie takich na niby.

To mnie zaszokowało. Prawdziwych chłopaków? Nie byłam gotowa na prawdziwych chłopaków. Właśnie dlatego ciągle czytałam „Szesnastolatkę”, na której łamach występowali sami bezpieczni, bezpłciowi chłopcy, czasem z niewielką odmianą w postaci niepokojąco męskiego Jima Morrisona. Namietność, obecna w związku mojego ojca i Annie – mieszkali razem, choć udawali, że nie, bo to mogło skomplikować proces rozwodowy, ciągnący się niemal od dwóch lat – tak rzucała się w oczy, że postanowiłam w ogóle negować istnienie namietności.

A jednak skoro ojciec kochał Annie, czemu ja nie mogłam kochać Jermaine’a? Czyżby moje przyjaciółki twierdziły, że związek ojca jest nieprawy w znaczeniu, którego nawet matka nie śmiała sugerować? To była bomba, którą Tisha usiłowała rozbroić. Zapewne by się jej udało, gdyby nie wybuch śmiechu chłopaka, który siedział niedaleko nas, przerośniętego łobuza z tłustą, długą grzywką wpadającą do oczu.

– Hej, Cassandra nic nie poradzi, że uwielbia czarnuchów. Jak jej ojciec, ten asfaltofil.

Trudno to przyswoić naszym współczesnym, wyćwiczonym przez komputery mózgom, lecz takie stwierdzenie w latach siedemdziesiątych brzmiało znacznie mniej prowokacyjnie, niż zabrzmiałoby dzisiaj. Gdyby wypowiedź Curtisa Buncha usłyszała nauczycielka, udzieliłaby mu reprimendy, prawdopodobnie wysłała na dywanik, być może kazałaby mu zostać po lekcjach. Lecz tak samo postąpiłaby, gdyby chłopak przeklinał, o wiele zaś ostrzejsza kara spotkałaby go za bójkę lub przyniesienie do szkoły zapalniczki marki Zippo. Curtis Bunch zapowiadał się na podpalacza i kryminalistę. Mówiono, że lubi dusić koty w starych hermetycznych pojemnikach na mleko, które wciąż stały przed niektórymi domami w Dickeyville.

W tamtych czasach chłopak mógł pobić innego chłopaka z powodu takiej odzywki, ale tylko jeśli została skierowana bezpośrednio do niego. Jeżeli natomiast mowa o niegodnym zachowaniu cudzego ojca – cóż, trudno stwierdzić, kto powinien się złościć i w obronie czego stawać. Annie nie była jeszcze moją macochą. Ojciec ją kochał, ale czy to znaczyło, że jest... taki, jak powiedział Curtis Bunch?

Tisha, Fatima i Donna rzuciły Curtisowi groźne spojrzenia, ale puściły jego uwagę mimo uszu. Chciałam bronić ojca. Tylko, że nie mogłam, nie wypierając się przyjaciółek. Mnóstwo rzeczy związanych z miłością ojca do Annie było nie w porządku: to, że zdradził matkę, że doprowadził nas do ruiny finansowej, i to, że nieważne, jak często wspominał o wielkiej miłości, wszyscy wiercili się w fotelach, bo w tym romansie ewidentnie chodziło przede wszystkim o seks. Jednak rasa Annie nie była problemem. Prawda? Prawda?

– Mój ojciec wcale nie... – zaczęłam, ale słowa Curtisa nie przeszły mi przez gardło. – Przynajmniej nie jest taki jak twój. – Nic nie wiedziałam na temat ojca chłopaka, ale myślałam, że musi być okropny.

– Racja, mój stary mieszka z moją matką, nie z jakąś czarnuchą – odpalił Curtis.

– On nie... Ja nie jestem... – Widząc twarze przyjaciółek, zamknęłam usta.

Zadzwonił dzwonek i wyszłyśmy na przerwę, udając, że nic się nie stało. Dziewięć zespołów nie miało tego dnia próby. Grałyśmy za to w dwa ognie, jedną z niewielu gier, w których naprawdę dobrze mi szło. Jednak tego dnia niemal natychmiast odpadłam, choć Tisha z Fatimą nie przepuszczały prawie żadnej kolejki – Donna poruszała się z wdziękiem, ale nie była wysportowana, więc wołała obserwować grę z ławki. Później miałam wrażenie, że pozostałe dziewczyny zmówiły się przeciwko mnie i złośliwie posyłały mi podkręcone piłki, żebym tylko straciła kolejkę.

Z pozoru nasza przyjaźń wydawała się niezachwiana. Zostałam zaproszona na wielkie przyjęcie do Donny z okazji ukończenia szóstej klasy. Naturalnie zaproszono wszystkich, ale ja czułam się wyjątkowym gościem. Dziewczyną z paczki. Było to trzy lata przed tym, jak przyjaciółki dosłownie odwróciły się ode mnie, wymierzając mi karę, na którą zasłużyłam.

# **Selekcja naturalna**

28-29 marca



## Rozdział 28

Teena obudziła się z rwącym bólem w prawej ręce: pewny znak, że zmieni się pogoda. Na razie było ładniej niż zwykle w marcu, ale dla Teeny i tak nie dość ciepło. Na dodatek spała na ręce, żeby ją ogrzać, i prawa dłoń zeszywniała z palcami zgiętymi jak szpony. Musiała szykować się do pracy, używając tylko jednej ręki, przez co zwykle suszenie włosów stało się wyzwaniem. Na szczęście jakoś sobie poradziła i gdy wsiadała do samochodu, prawa ręka znów nadawała się do użytku.

Puste centrum handlowe wyglądało jak po ataku atomowym. Teena nie musiała czytać gazet, żeby wiedzieć, co się dzieje z gospodarką. Codziennie w pracy widziała to na własne oczy. Menedżerowie powtarzali jak mantrę, że biznes rozkręci się przed Wielkanocą. W Baltimore wciąż żyła stara tradycja kupowania na święta nowych ubrań i nakryć głowy. Organizowano nawet coś w rodzaju pochodu, choć często przeradzał się on w zamieszki. Tak czy owak, w tym roku ludzie najwyraźniej zwlekali do ostatniej chwili. Wielkanoc za niecałe dwa tygodnie, a sklepy jak wymarłe. Nie ma sensu zawracać sobie głowy śledzeniem informacji o rynku nieruchomości i giełdzie – jeśli ktoś naprawdę chce wiedzieć, jak nerwowi są konsumenci, powinien przejść się po droższych działach Nordstroma.

Z nudów po raz kolejny wpisała nazwisko Fatimy do systemu. Bardzo ją zabolą relacja Cassandry o spotkaniu, które okazało się porażką, i informacją o Fatimie – ta nie tylko nie zamierzała pomóc w odnalezieniu Callie Jenkins, ale straszyla jakimś nieokreślonym niebezpieczeństwem. Teena ani przez chwilę nie wierzyła w te przestrogi. Umiała rozpoznać grę, wyczuwała, kiedy ktoś blefuje, żeby ukryć niewiedzę. Nie wiedziała, co prawda, w czym mógłby jej jeszcze pomóc komputer, który już wcześniej obdarował ją adresem Fatimy. Ale nie miała nic lepszego do roboty, więc...

Kredyt na karcie sklepowej Fatimy Hollins został w całości spłacony. Tydzień temu był jeszcze na niej dług. Potem, dokładnie dwa dni po uregulowaniu zaległej należności, ktoś wydał sześćset dolarów na ubrania. Dwa dni przed wizytą Cassandry w domu przyjaciółki. Fatima kupowała tutaj, na tym piętrze, w dziale dużych rozmiarów.

W pierwszym odruchu Teena chciała zadzwonić do Cassandry. Ale właściwie – co takiego odkryła? Powoli, powiedziała sobie. Na razie to tylko interesujący zbieg okoliczności. Cassandra wybiera się w odwiedziny do Fatimy, a ta nagle znajduje pieniądze na wyrównanie długu, a nawet na zakupy. Jednak stan jej konta ukazywał historię ciągłych wzlotów i upadków. Jak wielu klientów, Fatima zanurzała się nieco głębiej niż po czubek głowy, a

potem znów wypływała na powierzchnię. Nordstrom, podobnie jak inne centra handlowe, zbankrutowałyby, gdyby od czasu do czasu ludzie nie wydawali więcej, niż mogą sobie pozwolić.

Nie, to nie do Cassandry powinna zadzwonić. Wrzuciła do systemu nazwisko kolejnej osoby. Nie myślała o niej od lat. Konto istniało, lecz ostatnich transakcji dokonano w okolicy Bożego Narodzenia. Właścicielka prawdopodobnie robiła teraz zakupy w bardziej ekskluzywnych sklepach. A jednak Teena pamiętała Glorię Bustamante z czasów, gdy ta nosiła żakiet ze spódnicą – tanią imitację stylu bizneswoman – z poduszkami na ramionach, które wyglądały jak para kur schowanych pod marynarką. Gloria była od niej starsza, lecz karierę prawniczą zaczęła późno, więc kiedy się poznały, nie miała jeszcze o niczym pojęcia. Teena trochę jej żałowała: Gloria została użyta jak przycisk do papieru, ważna i przydatna tylko dlatego, że pomogła ujarzmić Callie, przytrzymać ją w miejscu. Odeszła z kancelarii Howard & Howard przypuszczalnie dlatego, że szefom nie odpowiadały jej agresywne metody. Mimo to zdołała wyrobić sobie pozycję jako obrońca w sprawach kryminalnych, a więc musiała mieć poukładane w głowie lepiej, niż Teena przypuszczała. Ciekawe, co też może wiedzieć Gloria Bustamante.

– A jeśli to jest naprawdę? – spytał Reg.

Słowa zabrzmiały złowieszczo – może dlatego, że mało ze sobą rozmawiali. Większość czasu spędzali w łóżku, nie chcąc zmarnować kilku godzin, które mieli dla siebie. Cassandra zważyła to, co powiedział, przeanalizowała możliwe znaczenia i postanowiła podejść do tego lekko.

– Myślałam, że jestem prawdziwa. – Położyła sobie jego dłoń na biodrze. – To robi dość solidne wrażenie.

Nie zabrał ręki.

– Dla mnie to coś innego niż zwykle. I to nie dlatego, że jesteś starsza od tamtych kobiet.

– Dzięki – odparła oschle Cassandra. – Dobrze wiedzieć.

– To znaczy... posłuchaj, zawsze miałem w życiu... urozmaicenia. Chyba to rozumiałaś, kiedy się poznaliśmy.

– Ja tak. A Donna? – Nie była już taka beztroska.

– Myślę, że Donnie to obojętne – stwierdził, a Cassandra spojrzała na niego w osłupieniu. – Nie twierdzą, że ona wie. Na pewno podejrzewa. Oczywiście byłem ostrożny. Żeby nie musiała się wstydzić. Może z tym żyć.

Cassandra nie chciała się spierać, a już na pewno nie o to. Chociaż... jako córka swojego ojca nie umiała nie zauważyć, przejść do porządku dziennego nad brakiem logiki, nawet jeśli powinna tak zrobić dla własnego dobra.

– Byłam w Baltimore zaledwie miesiąc, a już wiedziałam, że uganiaś się za babami. Naprawdę myślisz, że do Donny nic nie dociera?

Wzruszył ramionami.

– A co ty wiedziałaś o swoim ojcu?

– Niewiele, ale byłam dzieckiem. Poza tym nie pytam o córkę, tylko o żonę.

– Przeczytałem twoją książkę...

– Naprawdę? – Trudno, nie mogła nic na to poradzić: przeszył ją dreszcz jak wtedy, kiedy powiedział to, co... chciała wierzyć, że powiedział. Wciąż próbowała rozszyfrować jego słowa. „A jeśli to jest naprawdę?” Oczywiście tryb przypuszczający oznaczał, że „to” nie jest naprawdę, ale...

– Przesłuchałem ją w wersji audio. Szkoda, że nie ty czytasz. Masz znacznie lepszy głos. Tak czy inaczej, wątpię, żeby twoja matka wiedziała. A ojciec praktycznie afiszował się ze swoimi romansami.

– Nie od początku. Doszedłeś do tego momentu, w którym pierwszy raz używa jej skróconej formy imienia, czego wcześniej nienawidził? Wtedy wiadomo, że matka zaczyna podejrzewać go o zdradę.

– To oczywiście dla ciebie, bo piszesz po fakcie. Pytałaś ją kiedyś, co i od kiedy rzeczywiście wiedziała?

Mimo woli Cassandra czuła coraz większą irytację. Jak śmiał kwestionować jej autorytet w kwestii własnej rodziny?

– Nigdy nie rozmawialiśmy... otwarcie o tych sprawach; są dla niej zbyt bolesne. Ale wiedziała, co napisałam, i niczemu nie zaprzeczyła. Ojciec też nie.

– Może po prostu twoja wersja bardziej jej odpowiadała. Chyba odpowiadałaby większości ludzi. Każdy wolałby nie wyjść na głupka. Może nadałaś jej godność, której naprawdę nie miała.

Cassandra usiadła.

– Czy my się kłócimy?

– Słucham?

– Czuję, że się spieramy, a nie wiem dlaczego.

– Przepraszam. – Objął ją i pocałował w czoło.

Poczuła się jak siedemnastolatka, taka, jakie nigdy nie istnieją: pewna siebie, szczęśliwa, mądra i doświadczona. Znow była Ledą w dziobie Zeusa, lecz teraz mu dorównywała.

– Nie wolno podważać tego, co dziewczyna z Baltimore myśli o własnej matce. Mój błąd – dodał pojednawczo Reg.

Wstał, żeby się wykąpać. Nie tylko cudzołężnicy brali prysznic po seksie, a jednak poczuła przygnębienie. Tym bardziej że sama odciągnęła jego uwagę od tamtych słów: „A jeśli to jest naprawdę?” Co wtedy? Nie, nie mogło być naprawdę. I jeśli nie zachowa ostrożności, wspomnienie tego romansu okaże się wszystkim, co zabierze ze sobą z Baltimore. Powinna skupić się na książce, na Callie. Jednak jej dotychczasowe starania okazały się równie frustrujące, jak wycieczka na przedmieścia Baltimore: nic, tylko labirynt ślepych uliczek. Znow zastanowiła się nad przestrogą Fatimy. Jak ktoś mógłby jej zaszkodzić? Ona – inaczej niż Fatima – nie odrzuciła swojej przeszłości. Co więcej, obwieściła ją wszem wobec. Przyjaciele i krytycy rozwodzili się nad tym czynem, uważając go najwyraźniej za niesłychane zuchwalstwo. Lecz Cassandra wyrosła w domu, w którym mówiło się wszystko i nic, i dla niej to było normalne. Jeśli sama powiesz od razu najgorsze rzeczy na swój temat, nikt nie zdoła cię skrzywdzić.

Nikt – poza mężczyzną w jej łazience. Facetem, którego rozpaczliwie udawała, że nie kocha.

– Jakaś starsza pani twierdzi, że musi się z panią zobaczyć. Czeka na dole – powiedział recepcjonista.

Gloria zeszła do holu i zobaczyła niemłodą, dobrze ubraną, lekko przygarbioną kobietę.

Zaraz też sobie uświadomiła, że ją zna i że jest od niej starsza niemal o dziesięć lat.

– Detektyw Murphy.

– Już nie detektyw. Od dawna, i dobrze o tym wiesz.

– Owszem. – Gloria rzuciła okiem na prawą dłoń Teeny, ale nie próbowała jej uściskać ani przywitać się w inny sposób.

– Myślę, że w ogóle wiesz dużo.

– Ale niemal wszystko jest tajemnicą zawodową. Moja klientka była pod tym względem bardzo stanowcza.

– Niemał. Powiedziałaś: „niemał”.

Gloria obserwowała twarz Teeny. Jezu, ale się zestarzała, pomyślała. Cieszyła się, że los nie dał jej urody – czas ją odbierał. Czuła tak już w młodości, kiedy broniła Callie. Chwała Bogu, że nie jestem piękna, skoro tylko tyle zostaje z urody. Gustowne i drogie ubrania Teeny, staranna fryzura tylko uwydatniały zniszczenia, jakich dokonał upływ lat. Z jednej strony była po prostu za chuda. Ale miała też ciemne podkopy pod oczami, jakby od dawna już porządnie się nie wyspała. „Dlaczego? Więc upadł ci pistolet, a koło patrolowca przejechało po nadgarstku? Gdybyś chciała, mogłabyś zostać w policji”. Gloria знаła detektywa, który po stracie jednej ręki nauczył się strzelać drugą.

Ale rozumiała, o co chodziło Teenie. Od samego początku. Teena postarała się, żeby uznano ją za nieodwracalnie niepełnosprawną, bo pragnęła kary. Chciała zostać wygnana. Zawsze słyneła z wyzywających, modnych strojów, a przecież tak naprawdę uwielbiała nosić włosiennicę. Jakie to głupie.

– Jesteś teraz prywatnym detektywem?

– Niezupełnie.

– To czym się zajmujesz?

– Pracuję w... – Teena urwała. – Pracuję.

– To ona się z tobą skontaktowała, prawda?

– Kto? – Czas zrujnował jej twarz, ale nie tknął stalowych nerwów Teeny. Tutaj nic się nie zmieniło. Może tylko jej chłód i spokój rzucały się w oczy mniej niż w młodości. Opanowanie, skupienie. Trudno przyznać, ale Gloria zawsze jej tego zazdrościła.

– Pisarka. Ta, co wszędzie próbuje namieszać. Dlaczego jej pomagasz? Co będziesz z tego miała?

Hol budynku, w którym mieszkała Gloria, był – jak zwykle w szklanych pałacach Miesa van der Rohe – rozległy i pusty. Jej słowa odbiły się echem od ścian, nabierając przejmującej mocy. Gloria popełniała w życiu błędy, ale nigdy nie zapominała o własnym interesie. Może zresztą w jej szafie też wisiało kilka włosiennic.

– Nie wiem – odparła Teena po dłuższej chwili. – Pewnie nic. A co ty z tego miałaś? – Zatoczyła ręką. – Własną kancelarię? Udało ci się wytargować to wszystko w zamian za swoją wiedzę. Wydawało mi się, że jesteś głupia, ale okazałaś się o wiele sprytniejsza ode mnie.

Wszyscy mieli mnie za głupią, pomyślała Gloria. Obkuta, odcytana, ale głupia, nieobyta. Sądziłam, że zbieram laury, a tymczasem oni liczyli na moją głupotę i bierność. A kiedy w końcu wykazałam inicjatywę, o mały włos nie przegrałam wszystkiego. To był mój wybór: porażka albo sukces, na własny rachunek. Co ty byś wybrała? Co wybrałaś?

– Umiesz czytać sprawozdania finansowe z kampanii wyborczej? – zapytała.

– Co?

– Na górze mam sprawozdania z posiedzeń komitetu Przyjaciele Juliusa Howarda. Wydruki z lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Nowsze są w Internecie.

– Mówisz, że...

– Mówię, że mam pewne raporty. Możesz je zdobyć. Każdy może. To jawne dokumenty, ogólnodostępne. Zamówiłam je kilka dni temu.

– Dlaczego? To znaczy, po co je zamówiłaś?

– Szczerze mówiąc, nie wiem. – Bo przypadkowo wpadłam na starego przyjaciela, który już nie jest przyjacielem, czego nie mogę znieść. Bo od piętnastu lat bezskutecznie usiłuję zrozumieć, czym jest sprawiedliwość. Bo zdobywałam wolność dla ludzi niewinnych i nie tak całkiem niewinnych, żeby jakoś odpracować to, że nie potrafiłam pomóc pierwszej klientce, którą mi powierzono. Owszem, ona nie chciała współpracować, ale to ja powinnam ją przekonać, żeby dała sobie pomoc, a nie umiałam. Porzuciłam ją więc i użyłam swojej wiedzy, żeby osłodzić sobie życie.

– Z tymi wcześniejszymi będzie łatwo, bo są na papierze – powiedziała. – Dopiero ostatnio, od kiedy raporty trafiają do Internetu, zrobili się cwańsi. Rozumiesz? Jeśli dobrze poszukasz, w starych aktach znajdziesz różne ciekawe rzeczy. Ale tobie nie są potrzebne stare akta, tylko nowe. Zaczekaj.

Nie chciała, żeby Teena wchodziła na górę. Kiedy oskarżają o złamanie któregoś z punktów umowy, gdy spróbują usunąć ją z listy adwokatów, recepcjonista powie im, że nie ukrywała swoich kontaktów z Teeną.

Po kilku minutach wróciła z aktami i starym albumem *The Rhythm of the Saints* Paula Simona na CD.

– Muzyka do pracy? – spytała Teena.

– Najbardziej lubię pierwszy utwór. – Kupiła ten album, bo uwielbiała poprzedni, *Graceland*. Przypominał jej wieczory spędzone z Regiem i Coltonem, kiedy przedrzeźniali szefostwo i parodiowali piosenkę *You Can Call Me Al*. Chciała odtworzyć atmosferę tamtej przyjaźni.

– *Obvious Child*. Wiadome dziecko – odczytała Teena na głos. – I co?

– To wszystko, co mogę powiedzieć. I posłuchaj: ode mnie niczego się nie dowiedziałaś. Zapamiętaj. Niczego.

– Zrozumiałam – odparła Teena. Przez ułamek sekundy Gloria widziała tę młodą, zadziorną, zarozumiałą kobietę, jaką miała okazję poznać dwadzieścia lat temu. Teena uważała ją wtedy za gorszą, za kogoś, kim nie warto zawracać sobie głowy. Może wcale się nie myliła.

– Jeszcze jedno – rzuciła Gloria, gdy Teena szła już do drzwi, ściskając pod lewym ramieniem teczkę z aktami.

– Tak?

– Gdyby udało ci się znaleźć Callie Jenkins, powiedz jej, że to nie ode mnie się dowiedziałaś, gdzie jest. Nie wiem tego i nie chcę wiedzieć. Wolalabym zostawić ją w spokoju, ale inni nie odpuszczają. Przekaż jej, że to nie moja wina, i jeszcze... – Zawiesiła głos na dłuższą chwilę.

– No co? – ponagliła ją w końcu Teena.

– Powiedz, że Gloria Bustamante ma nadzieję, że u niej wszystko w porządku. I że Reg Barr ma córkę. Powiedz jej to. Reg i Donna mają córkę.

## Rozdział 29

Była prawie pierwsza po południu, a Cassandrę bolała głowa. Jako studentka college'u celowała w całonocnych sesjach naukowych. Naszprycowana kawą i dopalaczem potrafiła w niecałe cztery godziny wycisnąć z siebie dwudziestostronicowy referat, a w ciągu jednej ponurej nocy wkuwała materiał z całego semestru. Ale taka wydolność nie trwa wiecznie. Jej pięćdziesięcioletnie ciało pod pewnymi względami było w lepszej kondycji niż przed trzydziestu laty: na przykład pozbyła się zbędnych kilogramów, jakie nazbierała w czasie studiów, zanim jeszcze codzienne ćwiczenia nie weszły jej w nawyk. Umysł jednak osłabł, bez dwóch zdań. Fakt, że z walających się dookoła papierów nie wyłaniała się żadna opowieść, żadna dająca się rozpoznać i śledzić historia, nie pomagał. Niekończące się listy beneficjentów i kwot, a wszystko wyglądało na beznadziejnie zgodne z prawem.

Teenie, obsługującej laptop Cassandry jedną ręką, wcale nie szło lepiej. Sprawdzała już we wszystkich możliwych wyszukiwarkach w sieci, ale Callie Jenkins nie pojawiała się nigdzie. Widząc, że Cassandra nalewa sobie kolejny kieliszek wina, Teena zmarszczyła brwi. Od chwili, kiedy przyszła, dźwigając te wszystkie papierzyska, sączyła tylko dietetyczną colę.

– Pomyśleć, że kiedyś chciałam zajmować się kontrolą sądową – wymamrotała, wpatrując się z rozpaczą w ekran komputera.

– Kiedy? – spytała Cassandra zadowolona, że może się na chwilę oderwać od nudnego zadania, choć wiedziała, że będzie musiała przeczytać tę samą stronę drugi raz.

– Po tym, jak... po tym. Zamierzałam robić coś podobnego, jak w policji. Ale księgowość to trudna sprawa. Rzuciłam kurs po sześciu zajęciach.

– Musiałaś odejść z jednostki?

– Z wydziału, nie z jednostki. – Uśmiechnęła się rozbawiona własną skrupulatnością. – To chyba zależy, jak rozumiesz „musieć”. Pewnie mogłam zostać. Ale w jakimś sensie poczułam ulgę, że to się skończyło.

– Brzmi jak diagnoza psychologa: chciałaś odejść, więc naraziłaś się i zostałaś nieodwracalnie okaleczona.

– Mogłam się nauczyć strzelać lewą ręką – odparła Teena. – Do cholery, znam faceta, który stracił wzrok od postrzału podczas akcji, ale nadal pracuje. Jest instruktorem w akademii. Cóż, gdybym poszła na terapię, miałabym sprawną nawet tę prawą rękę.

– Czemu nie spróbowałaś?



– Nie wiem. Czułam się przegrana. Raz za razem chodziłam rozmawiać z Calliope Jenkins. I nic. Nie ma zeznań. Nie ma ciała. Nie ma żadnych tropów. W filmach zawsze są: detektyw i mózg przestępstwa. I mnóstwo gadania. Ja wtedy zabiłabym za kogoś, kto by ze mną porozmawiał. A ona cały czas milczała. Jak ktoś, kto... czeka na autobus. Czułam się jak komar, który bzyczy nad uchem, a jej nawet nie chce się go odgonić.

– Jak w dawaniu posagów.

– Też się w to bawiłaś?

– Jak większość dziewczynek w Baltimore. I w co to za program. Nie pamiętam dokładnie zasad, ale trzeba było wykrzykiwać tytuły.

– I w klasy, w wielkie kroki, małe kroki. W co jeszcze?

– Bananowe kroki?

Cassandra mieszkała na końcu odludnej ślepej uliczki, sama wśród starszych dzieci. Rzadko miała okazję bawić się w cokolwiek. W letnie wieczory obserwowała ich zabawy, ale nigdy nie została zaproszona. Uważali, że jest za mała. Kiedy wreszcie podrosła, tamci już się wyprowadzili. Na Hillhouse Road żyła w samotności. Właśnie to pragnęła przekazać w swojej powieści. Dlaczego nie udała jej się tak prosta rzecz? Może dlatego, że nie chciała napisać wprost. A może to zbyt oczywista sprawa. Czy wszystkie dzieci nie są w jakimś sensie samotne?

Zaczerwienione oczy zapiekły, kiedy wpatrzyła się w kolejną stronę. Odbiorca, kwota, odbiorca, kwota. Boże, kampanie wyborcze są takie nudne. Rachunki za catering, usługi porządkowe, materiały biurowe. Wróciła do poprzedniej linijki. Za usługi porządkowe zapłatę otrzymała Myra Tippet. Myra Tippet! Cassandra tak skupiła się na szukaniu Callie albo Calliope Jenkins, że za pierwszym razem nazwisko Tippet jej umknęło. Nie знаła go wcześniej, usłyszała je dopiero od Fatimy. „Została przy własnym nazwisku, kiedy jeszcze prawie nikt tego nie robił”. „Pani” Myra Tippet.

Spojrzała na górę strony: rok 1990, trzy lata po tym, jak Callie trafiła do więzienia. Cofnęła się do 1988 roku – nazwisko już wtedy figurowało na liście. Nie pojawiało się co miesiąc, ale przynajmniej raz na kwartał. Kwoty – żadnych okrągłych sum: 3017, 2139, 4045 dolarów – wyglądały wiarygodnie, ale czy biuro wyborcze naprawdę wydaje tyle na sprzątanie?

– Matka Callie była sprzątaczką? – spytała Teeny.

– Możliwe. Chyba pracowała w zakładach mięsnych u Parksa, ale mogła sobie dorabiać.

– Wpisz „Myra Tippet” do bazy danych kampanii w sieci.

Jak na kogoś, kto ma sprawną tylko lewą rękę i używa do pisania jednego palca, Teena błyskawicznie wykonała polecenie.

– Nic.

Cassandra usiłowała zebrać myśli.

– Od 1988 roku biuro Juliusa Howarda wypłaca matce Callie pieniądze tak, żeby to wyglądało na wynagrodzenie za pracę. Kiedy dokumenty zaczynają być dostępne w Internecie, jej nazwisko znika.

– Bardzo ciekawe. Nawet nie wiemy, czy jeszcze żyje. – Znów rozległo się staccato klawiszy. – Nie ma nic w bazie danych ubezpieczeń społecznych, a tam zawsze trafia informacja o śmierci ubezpieczonego. Załóżmy, że nie umarła. Oczywiście nie mam pojęcia, gdzie jej szukać. Chyba powinnyśmy wrócić do albumu Paula Simona. Gloria chciała mi coś przekazać.

– „Wiadome dziecko” – przeczytała po raz kolejny Cassandra. – To jasne. Chodzi o zaginionego syna Callie.

– Albo o córkę Rega. Bardzo jej zależało, żebyśmy powiedziały Callie, że on ma córkę.

– Ale dlaczego dla niej to jest ważne? Był tylko obrońcą Callie, poza tym przejął jej sprawę dopiero po pięciu latach. Ona siedziała przez ten czas w więzieniu. Może Gloria Bustamante próbuje odwrócić naszą uwagę od czegoś, co sama zrobiła.

Cassandra nie mogła wyznać Teenie, że sprawa dziecka Rega dręczy ją, choć zupełnie z innych powodów. Na myśl o małej Aubrey za każdym razem czuła ukłucie bólu, bo właśnie to przesądzało o przyszłości – czy raczej braku przyszłości – ich związku. Cassandra potrafiła kochać mężczyznę, który porzucił żonę, ale nie takiego, który porzucił córkę. Nieźle się wkopała – teraz widziała to wyraźnie. Ale cóż, nie wiedziała przecież o istnieniu córki Rega. Inaczej niż Annie – ona poznała Cassandrę w szpitalu. Nienawidziła tego wspomnienia – jawnego dowodu jedynej znanej Cassandrze skazy na charakterze drugiej żony ojca. „Widziałaś mnie, widziałaś nas obie. Nawet jeśli z miejsca się w nim zakochałaś, kiedy cię uratował, naprawdę nie mogłaś opanować emocji i ustąpić? Owszem, to on cię ścigał po wyjściu ze szpitala, wiem, że potrafi być bardzo przekonujący. Ale przecież mogłaś się jakoś powstrzymać dla mojego dobra, Annie. Czy to naprawdę była taka wielka miłość?”

– Myra Tippet to za mało – stwierdziła Teena. – Chyba że ją znajdziemy, w co wątpię, bo nazwisko nie pojawia się w żadnej wyszukiwarce.

– Ech, Tippet, ta to ma tupet. – Cassandra wybuchła histerycznym śmiechem, jak ktoś zbyt długo pozbawiony snu. – Ale na liście płac wciąż są usługi porządkowe, prawda?

– Zobaczmy. – Teena znów spojrzała w ekran. – Firma cateringowa, sala bankietowa, materiały biurowe, obsługa, firma cateringowa, materiały biurowe, wynajem limuzyny, sala bankietowa...

– Stop.

– Przepraszam, czasami mi łatwiej, jak czytam na głos.

– Nie o to chodzi. Cofnij się. Wynajem limuzyny. Jak się nazywa firma?

– Usługi Transportowe w Wielkim Stylu.

Niestety, Fatima nie wymieniła nazwy, powiedziała tylko, że interes słabo się kręci.

– Adres?

– Rosewood Path w Owing Mills. Zaraz...

– Firma należy do męża Fatimy. Podałaś mi wtedy ten sam adres. Możesz ją sprawdzić?

– Chyba tak.

Stukot klawiatury. Kiedy indziej Cassandra skrzywiłaby się, że ktoś tak mocno wali w klawisze jej komputera, ale teraz nie zwróciła na to uwagi.

– W ciągu ostatnich dwóch lat figuruje tylko dwa razy – oznajmiła Teena.

– Fatima mówiła, że firma działa dopiero od dwóch lat. Ale założę się, że jest też w najnowszym raporcie. I że dostała kwotę nie mniejszą niż dług Fatimy w Nordstromie plus cena ubrań, które sobie kupiła.

– Co nam to daje? Politycy często wynajmują limuzyny. Trudno będzie udowodnić, że Howard nie zapłacił za faktyczną usługę.

– Ale my nie chcemy wygrać sprawy, tylko szukamy informacji, żeby ktoś wreszcie zaczął z nami rozmawiać. Fatima ostrzegła mnie przed jakimiś tajemniczymi „nimi”. Czyżby miała na myśli Juliusa Howarda? Może to, że kancelaria Howard & Howard reprezentowała Callie w sądzie, odgrywa tu jakąś rolę. Pamiętasz, co pisały wtedy gazety? Że ojciec Donny zgodził się zająć sprawą na prośbę ACLU. A jeśli tak naprawdę poprosił go brat?

– Dlaczego?

– Ze względu na „wiadome dziecko”.

– Julius był ojcem zmarłego dziecka Callie Jenkins? Według akt sądowych miała je z jakimś ćpunem.

– Wiem jedno: za dużo tu zbiegów okoliczności. – Cassandra próbowała sobie przypomnieć ten fakt z życia Fatimy, który znała od kogoś innego. Chodziło o college Spelmana, o to, jak się tam dostała. Kiedy usłyszała, że nazywają ją „świętobliwą”, była urażona i chciała koniecznie wiedzieć, kto powiedział, że tak bardzo się zmieniła...

– Teeno, daj mi komputer, muszę zerknąć do notatek.

Zanim zdążyła sięgnąć po laptopa, już sobie przypomniała: Tisha określiła Fatimę jako świętobliwą, ale to Donna skarżyła się, że Fatima odcięła się od przyjaciółek. „Mój wuj Julius napisał jej rekomendację. Pod koniec lat siedemdziesiątych pracowała w jego biurze jako wolontariuszka”.

Późne lata siedemdziesiąte. Julius Howard startował wtedy w wyborach na burmistrza – i przegrał. Potem już nigdy nie ubiegał się o tak znaczące stanowiska, lecz zaszył się w swoim okręgu senackim. Pod koniec lat siedemdziesiątych Fatima miała dwadzieścia albo dwadzieścia jeden lat. Apetyczny kąsek. Była apetyczna już jako dwunastolatka. Czy Callie też pomagała w kampanii wyborczej? Pracowały razem. Cassandra zapytała gdzie, ale Fatima wykręciła się od odpowiedzi.

Patrzyła w monitor, usiłując ogarnąć gonitwę myśli, w tym najbardziej melancholijną: To będzie mnie kosztować Rega. Trudno. I tak nie mogłaby go zatrzymać. Ale co to ma wspólnego z małą Aubrey? Jaki jest związek między nią a Callie? Wciąż wołała się nad tym nie zastanawiać. Poza tym to wszystko wyglądało jak teoria spiskowa wszech czasów. Najchętniej zadzwoniłaby do ojca po radę, ale zrobiło się już za późno. On na pewno umiałby poukładać poszczególne elementy. No cóż, jutro są umówieni na śniadanie. Przetarła oczy: raz, drugi, trzeci. Nagle – jak w bajce – dzin wyskoczył z butelki. Nie, nie całkiem dzin: po prostu dotarło do niej, na co patrzy. Na ekranie komputera był otwarty plik z listą wydatków z ostatniego okresu kampanii wyborczej Juliusa Howarda.

„Katering Muza, Bridgeville, Delaware”.

Cassandra usłyszała w głowie własny głos, o wiele młodszy, pewnej siebie, zarozumiałej dziewczynki: „Oczywiście, źle je wymawiasz, ale masz imię po jednej z muz. Ojciec też chciał mnie nazwać imieniem muzy, ale w końcu nazwał mnie Cassandra. Na cześć kobiety, która widziała przyszłość”. Callie uśmiechnęła się po chwili namysłu, zadowolona, że nawet źle wymówione, jej imię ma takie szlachetne pochodzenie. „Ta muza to jakaś muzyka?”, zapytała. „Nie, muza to opiekunka sztuki. Kaliope była muzą poezji epickiej”, wyjaśniła Cassandra, a potem wyrecytowała z pamięci imiona pozostałych muz. To była prawdopodobnie najdłuższa rozmowa, jaką kiedykolwiek odbyły z Callie. I przez większość czasu mówiła Cassandra.

– Dlaczego deputowany senatu stanowego z Baltimore wynajmuje firmę cateringową z Delaware?

Teena wzruszyła ramionami, a Cassandra wpisała „Katering Muza” do wyszukiwarki. Nazwa pojawiała się w danych z każdego kolejnego kwartału. Podobnie jak w przypadku

usług porządkowych Myry Tippet, kwoty nie były okrągłe, więc wyglądały wiarygodnie. W sumie około piętnastu tysięcy dolarów cztery razy w roku. Nie za dużo. Za mało, żeby wynagrodzić komuś siedem lat wyjęte z życia, ale Callie pewnie cieszyła się z tej niezwyklej hojności. To byłoby bardzo ciekawe dla dziennikarzy, gdyby którykolwiek przejrzał raporty. Ale kogo interesowały sprawy obecnie drugorzędnego senatora, Juliusa Howarda? Kto skojarzyłby Callie Jenkins z nazwą firmy cateringowej Muza, zarejestrowanej w innym stanie?

– To ona.

– Tu jest tylko kod pocztowy – zauważyła Teena.

– Skoro mieszka w takim miejscu, musi mieć samochód i prawo jazdy. Na pewno można zdobyć dane z wydziału komunikacji. Może nie tu i nie teraz, ale to wykonalne.

Teena podniosła lewą rękę, a Cassandra dopiero po chwili zorientowała się, że tamta chce przybić piątkę. Klepnęła lekko, z triumfem. Poczula też smutek. Tak wiele traciła na tym zuchwałym przedsięwzięciu. Nie tylko Rega. Również możliwość zbliżenia z Tishą, o Fatimie i Donnie nie wspominając. Dopiero teraz, w obliczu straty, uświadomiła sobie, jak bardzo liczyła, że odzyska z nimi kontakt. Doskonale zdawała sobie sprawę, że nie zdobędzie Rega na własność. Pożyczyła go tylko. Ale chciała móc znów przyjaźnić się z Tishą, mieć w swoim życiu kogoś, kto wie o niej wszystko. Kto zna nie tylko fragmenty, które spisała i wygładziła, ale każdy szczegół, każdy moment na boisku, najmniejszy sukces, wszystkie wielkie porażki. Łącznie z kołtunem we włosach.

„Nie zadzieraj z nimi”, ostrzegła Fatima. Wydawała się naprawdę przestraszona, ale przy tym należała do Howardów i była ich dłużniczką. Cassandra żałowała, że ich przyjaźń nie przetrwała, ale przecież nie mogła przetrwać. Same do tego doprowadziły. Nie będzie jej miło, jeśli skrzywdzi Donnę i jej rodzinę – lecz szansa odnalezienia Callie i opowiedzenia jej historii zbyt ją pociągała.

– Mimo wszystko ona może nie chce z tobą rozmawiać – ostrzegła Teena. – W końcu jesteś teraz zagrożeniem dla jej źródła utrzymania.

– Odstąpię Callie połowę dochodów z książki, jeśli zostanie wydana. Ale masz rację: może nie będzie chciała nic powiedzieć. Dlatego wolałabym pojechać tam bez ciebie, jeśli nie masz nic przeciwko.

Teena otworzyła usta, jakby zamierzała zaprotestować, ale ostatecznie kiwnęła głową.

– Dobra, spróbuj. Przez siedem lat usłyszałam od niej zaledwie kilkanaście słów, i to zawsze tych samych. Może tobie pójdzie lepiej.

A może nie, pomyślała Cassandra. Co wtedy? Co zrobić, żeby Callie Jenkins opowiedziała swoją historię?

## Rozdział 30

No i co o tym sądzisz? – dopytywał się ojciec następnego ranka.

– Robi wrażenie. – Cassandra rozejrzała się po restauracji urządzonej w jednym ze starych baltimorskich młynów. Ciągłe przerabiano je na sklepy i inne lokale. Poczula się staro: dorastała kilometr od młyna Dickey w czasach, kiedy jeszcze działał, a przed jej domem przejeżdżały dziesiątki ciężarówek ze zbożem i mąką. Ale, prawdę mówiąc, po czterech godzinach snu byle co sprawiało, że czuła się jak staruszka.

– Nie chodzi mi o wystrój, tylko o jedzenie. Właściciel należy do ruchu locavore, używają tu wyłącznie lokalnych produktów.

– Na razie wypiałam tylko kawę, to chyba niezbyt lokalny napój?

– Mamy marzec – bronił się ojciec. – Gdyby trzymali się zasad w stu procentach, jedlibyśmy, bo ja wiem? Korzonki z jajkami. Ale filozofia jest taka, żeby wykorzystywać jak najwięcej miejscowych składników.

Cassandra zazwyczaj podziwiała apetyt ojca na nowinki – zwłaszcza że dotyczył głównie jedzenia. Często zaskakiwał ją znajomością egzotycznych potraw, z których wiele nie było dostępnych w Baltimore i okolicy. Zastanawiała się nieraz, kiedy opowiadał, na przykład, o kuchni malezyjskiej, czy jego wiedza pochodzi z drugiej ręki, wyłącznie z lektury. Cóż, jak inaczej wykładowca przedmiotów klasycznych poznaje świat? To logiczne, że za pośrednictwem tekstów. Wyprawy z ojcem były o wiele przyjemniejsze niż obiady z matką, która zawsze wybierała te same miejsca, martwiła się cenami i z przerażeniem patrzyła, jak Cassandra zamawia przystawki i śmiało prosi o specjalności a la carte.

– Na pewno zjemy coś pysznego. – Głowa pulsowała jej bólem. To przez niedobór snu. Teena wyszła dopiero o drugiej w nocy, chociaż dodatkowa godzina poszukiwań nie przyniosła żadnych nowych tropów. Mimo to Cassandra nie mogła narzekać na brak odkryć. Myra Tippet, Fatima, Callie Jenkins, wszystkie dostawały pieniądze w ramach wydatków Juliusa Howarda na kampanię wyborczą. Nie miała czasu zapytać prawnika, czy to legalne – zresztą, co ją to obchodzi. Najważniejsze było przekonać Callie – kiedy już ją znajdzie – że dla własnego dobra powinna z nią porozmawiać i wyznać prawdę.

– Cassandro, czy ty mnie w ogóle słuchasz?

– Przepraszam – powiedziała automatycznie. – Siedziałam do późna. Sprawy związane z książką przybrały ciekawy obrót. Chyba znalazłam Callie Jenkins.

– Ach.

Ojciec czekał, żeby streściła ostatnie wydarzenia i, jak zwykle, zapytała o radę. Nagle dotarło do niej, że już tego nie chce. Po pierwsze, nie mogła mu opowiedzieć całej historii, włącznie z problemami z Regiem. Skrzyczałby ją – nie z powodu romansu, nie był aż takim hipokrytą. Chodziłoby mu o etykę. Zabawne, że wobec najbliższych pozwalał sobie na niejedno, ale w życiu zawodowym zawsze postępował etycznie. Osobiste wybory kosztowały go wiele kłopotów na uniwersytecie. niesprawiedliwe, wcale nie był jedynym kobieciarzem na wydziale ani seryjnym uwodzicielem studentek. Poza tym, niezależnie od wad i słabostek, cieszył się zasłużoną opinią świetnego wykładowcy. Uczył jeszcze w wieku siedemdziesięciu pięciu lat i nigdy nie obniżył poziomu ani się nie powtarzał.

W ostatnim roku jego pracy na uniwersytecie Cassandra wśliznęła się ukradkiem do sali wykładowej i słuchała, jak ojciec mówi o Homerze.

– „Morze ciemne jak wino”, w innym tłumaczeniu „morze czerwone jak wino” – zaczął.

Opowiadał o problemach z przekładem, o wątpliwościach niektórych naukowców wobec opisu Homera. Wspomniał krótko o tłumaczeniu Faglesa, które złamało mu serce, głównie dlatego, że nie mógł go w żadnym miejscu skrytykować. Cassandra wiedziała, że sam marzył o stworzeniu takiego dzieła: przekładu idealnego. Marzenie pozostało jednak tylko marzeniem i legło w gruzach, kiedy ktoś inny osiągnął to, o czym on sam mógł tylko śnić.

Nagle przerwał gładki wykład.

– Ile z was chodzi na sem-pis? – To skrót nazwy seminarium kreatywnego pisania, zajęć o sporej renomie. Kilka osób podniosło rękę. – Z całym szacunkiem, lecz prawdopodobnie nigdy nie stworzycie niczego, co równałoby się z dziełem Homera. Nawet tak pozornie proste określenie: „morze ciemne jak wino”, pozostanie poza zasięgiem większości z was. Ale, oczywiście, zawsze warto próbować – zakończył aż nadto uprzejmym tonem.

Cassandra zdała sobie sprawę, że wpoił jej ten sam standard – choć, oczywiście, studenci sem-pisu gotowi byliby zabić za sukces, jaki osiągnęła. Wiedziała, że nigdy nie napisze ani pół linijki tak dobrej jak u Homera. Czy ten standard jej ciążył? Czy raczej powinna podziwiać niezłomne trzymanie się zasady i to, że ojciec nie opuścił poprzeczki nawet dla swojej córki?

Teraz zaczęła się zastanawiać, czy ojciec potrafiłby docenić przynajmniej jej przedsiębiorczość, skoro nie ma złudzeń co do talentu pisarskiego.



– Callie mieszka w Delaware, nie wiem dokładnie gdzie. Muszę poszukać adresu przez wydział komunikacji albo w inny sposób.

– A co powiesz, kiedy już staniesz przed swoim świętym Graalem? Przygotowałaś się?

– Chyba tak. – Znów odrzuciła niewyrażone wprost zaproszenie, by wszystko mu opowiedziała i poprosiła o radę.

– Możesz się rozczarować. Życie bywa banalne. A jeśli ona powie: „Tak, zabiłam swoje dziecko, zostaw mnie w spokoju”?

– Zawsze to jakaś odpowiedź.

– Odpowiedzi są przeceniane.

– To byłby początek – spróbowała raz jeszcze.

– A gdzie widzisz koniec?

– Nie wiem. Dlatego tak mnie to interesuje. Poprzednie książki najpierw przeżyłam, a potem napisałam. Znałam zakończenie każdej sprawy, więc tak przedstawiłam wspomnienia, żeby w jakimś sensie usprawiedliwiały to, co się stało. Nawet w powieści...

– Ta książka ci nie wyszła – przerwał ojciec. – Jesteś dobrą pisarką, Cassandro, ale nie dajesz sobie rady z fikcją.

Musiała przełknąć ślinę, żeby się nie rozplakać. Co za żenada. Skończyła pięćdziesiąt lat, a ojciec wciąż potrafi ją zawstydzić i doprowadzić do łez. Miała ochotę obrazić się jak dziecko i uciec. Ale moje pisanie było wystarczająco dobre, żeby kupić ci mieszkanie w Broadmeade. Oczywiście, to ty jesteś specjalistą od fikcji, jako cudzołożnik. Prawda, nie umiałam wymyślić nic lepszego niż te historyjki, które opowiadałeś mamie.

Ale zapytała znienacka:

– Czy Annie czuła się źle przez to, że rozbiła naszą rodzinę? To jedno chciałabym wiedzieć.

– Interesująca zmiana tematu. Nie lubię, kiedy ktoś mówi o rozbijaniu rodzin i związków. To nie wazony, tylko dynamiczne organizmy. Rosną, zmieniają się, adaptują. Wyobraź sobie zastosowanie teorii Darwina do związków: ich ewolucja i zmiany służyłyby naszemu przetrwaniu.

– No tak, ale żywe organizmy, przynajmniej kręgowce, mają w sobie takie części, które można złamać.

– Kości. Nie serce. Serce się nie łamie. Zaczyna bić nierówno, staje, tworzą się na nim złogi tłuszczowe...

– Co za poetyczny obraz.

Roześmiał się, a Cassandra z nim. Nie chciała naciskać, po tylu latach domagać się emocjonalnego zadośćuczynienia. Nie miała do tego serca – w sensie dosłownym czy metaforycznym, wszystko jedno. Ale niewykluczone, że zapyta go o to na spotkaniu w Gordon School przed pięciusetosobową widownią. Może obecność świadków skłoni go, żeby wreszcie odpowiedział.

Cassandra ruszała w drogę do Delaware, gdy zadzwonił telefon. Zobaczyła na wyświetlaczu imię matki, przez chwilę myślała, żeby nie odbierać, poczuła się winna, że tak pomyślała, i wcisnęła klawisz na moment przed włączeniem się poczty.

– Co do naszej kolacji... – zaczęła matka.

Czyżby umówiła się z rodzicami na ten sam wieczór? Jak to możliwe?

– Och, mam, miałam właśnie dzwonić. Wypadła mi pilna sprawa, muszę to odwołać.

– W porządku. – Ale najwyraźniej wcale nie było w porządku.

– Chodzi o książkę. Znalazłam Callie. Umówiłam się z nią na spotkanie. – Nie znosiła kłamać, ale to łatwiejsze niż przyznać, że jedzie taki kawał drogi, żeby stanąć oko w oko z Callie... na jej progu.

– Oczywiście. Powinnaś nawet wyruszyć wcześniej, ale przecież musiałaś zjeść śniadanie z ojcem. Właśnie dzwonił.

– Naprawdę?

– Powiedział, że wyglądasz „cienko”.

– Siedziałam do późna, to wszystko. Raczej nie schudłam. – Może jednak tak. Od spotkania z Regiem biegała na nieustannym haju, jakby nałykała się amfetaminy, i w ogóle zapomniała o jedzeniu. A miejsce, które ojciec wybrał, w teorii interesujące, w praktyce okazało się wyzwaniem. Żart o korzonkach i jajkach był niezbyt odległy od prawdy. Tak zwany lokalny ser smakował obrzydliwie. – Możemy się spotkać jutro, mam?

– Jutro jest niedziela. Nienawidzę wychodzić w niedzielę, wszędzie tylko te brancze i brancze, nigdzie nie dostaniesz zwykłej kanapki. Nie mówię, że mam ochotę na kanapkę, to tylko przykład...

Cassandra nie chciała jej przerywać, ale nie widziała innej opcji.

– W takim razie kolacja.

– Ale ty jesz tak późno.

Cassandra zwykle siadała do kolacji o siódmej albo siódmej trzydzieści, nie później niż o ósmej.

- Kolacja – powtórzyła, żeby postanowienie nabrało mocy. – W jakimś nowym miejscu. Możemy się wybrać koło szóstej.
- Chyba nie znam żadnych nowych miejsc...
- Zrobię rozeznanie, mamó, i zadzwonię do ciebie z planem.

W sobotnie popołudnie na drodze do Bridgeville tłoczyli się miłośnicy wypoczynku na plaży. Mimo to Cassandrze udało się utrzymać niezłe tempo – nawet na długim odcinku dwupasmowej drogi 404 – i dojechała na miejsce w niecałe dwie godziny. Niepotrzebnie wybrała objazd i musiała zawrócić przez środek miasteczka, jednego z tych, których motto brzmi: „Gdybyś tu mieszkał, już byłbyś w domu”. Czy to tautologia? Domy wzdłuż głównej ulicy wyglądały dość przyjemnie, a nawet zachęcająco. Cassandra zastanowiła się, czy mogłaby żyć w takim miejscu, i natychmiast zdecydowała: nie, nigdy. Sąsiedzi wszystko by o niej wiedzieli. Prawdę mówiąc, adres Callie zdobyła nie przez wydział komunikacji, a dzięki staremu znajomemu Teeny, gliniarzowi, który mieszkał w tej okolicy. Wystarczyło, że Teena zadzwoniła i zagadnęła o Callie Jenkins.

– Ach, tak, taka wysoka – powiedział. – Trzyma się z dala od innych, jeździ brązowym chevroletem berettą. Mieszka na Walnut Street. Jej matka chyba jest w domu opieki w Denton.

Cassandra musiała tylko znaleźć ulicę i rozejrzeć się za samochodem.

Stał na podjeździe. Zwykły dom, niczym się nie wyróżniał – nie był, jak budynki przy głównej ulicy, utrzymany w uroczym stylu wiktoriańskim. Parterowy, z białym sidingiem i zielonymi okiennicami. Cassandra objechała kwartał ulic, raz i drugi. Objechałaby i trzeci raz, ale bała się podejrzliwych spojrzeń sąsiadów. Zmusiła się, żeby zaparkować, ale potrzebowała jeszcze pięciu minut, zanim mogła wysiąść i podejść do drzwi.

Zapukała. Cisza. Poczula niemal ulgę: świetnie, może wracać do domu. I wtedy usłyszała powolne, lekkie kroki. Ktoś wcale się nie śpieszył, żeby zobaczyć, co to niezapowiedziany gość w sobotnie popołudnie.

– Tak? – zapytała kobieta, zerkając na Cassandrę przez siatkowe drzwi.

Niektóre osoby można rozpoznać zawsze, choćby minęło dziesięć, dwadzieścia, czterdzieści lat. Tak było w przypadku Tishy, Donny, a nawet Fatimy. Zmieniły się, ale nie sposób pomylić ich z kimkolwiek innym. Cassandra ostatni raz widziała Callie Jenkins w wieku piętnastu lat. Od tamtego czasu Callie przeszła metamorfozę rodem z bajki – z *Brzydkiego kaczątka*. Zdjęcia w gazetach nie uchwyciły wspaniałej urody, nadal widocznej.

Jako dwudziestoparolatka musiała być zachwycająca, choć na fotografiach wyglądała wyjątkowo niekorzystnie. Pewnie dlatego, że wybierano te, na których marszczyła czoło albo wykrzywiała usta. A może dlatego, że na każdej miała wzrok wbity w ziemię. A jednak upływ trzydziestu lat nie zniszczył tego wysokiego, szczupłego, a jednak krągłego ciała, nie zatarł wyrazistych rysów, nie przyćmił wielkich, pięknych oczu. Fryzura i strój – to, nad czym panowała – nie wyglądały już tak pociągająco. Nie była zaniedbana – po prostu najwyraźniej nie przykładła do nich dużej wagi. Miała na sobie zielone spodnie i czarny sweter, wyprostowane włosy ściągnęła do tyłu – ni to w kok, ni to w koński ogon.

– W czym mogę pomóc? – zapytała grzecznie, z lekkim zaciekawieniem.

– Callie? To ja, Cassandra Fallows, chodziłyśmy razem do szkoły.

Callie cofnęła się o krok, przytrzymując drzwi, jakby Cassandra chciała się wedrzeć do środka.

– Pamiętam. Dziewczyna z ręką w górze.

– Co?

– Byłaś jedną z tych, które znały wszystkie odpowiedzi. Czego chcesz?

– Jestem pisarką, pracuję nad książką...

– Nie.

– Ale...

– Nie mogę z tobą rozmawiać. Po prostu nie mogę. Przepraszam.

Zrobiła jeszcze krok do tyłu i przymknęła drzwi.

– Wiem o firmie cateringowej Muza.

Zamarła.

– I o twojej matce.

– Jej w to nie mieszaj.

– I o Fatimie. Wiedziałaś? Ona też dostaje pieniądze z funduszu kampanii, pewnie za to, że siedzi cicho.

– Mam firmę cateringową – powiedziała Callie. – Piekę ciastka dla miejscowej szkoły.

– Ile trzeba upiec ciastek, żeby zarobić sześćdziesiąt tysięcy rocznie?

– Słuchaj, jak chcesz, wezwij gliny. Zwołaj konferencję prasową i powiedz wszystkim, jaka jesteś bystra. I tak nie będę z tobą rozmawiać.

Cassandra wolałaby nie używać ostatniego argumentu, który trzymała w zanadrzu – częściowo dlatego, że wolała nie wiedzieć, dlaczego ta wiadomość jest taka ważna. Ale nie miała wyboru.

– Reg Barr ma córkę.

Spojrzenie zmrużonych, zielonych oczu Callie Jenkins przebiło Cassandrę na wylot. Gdyby kłamała, w tej chwili zostałaby zdemaskowana. Ach, więc tak wygląda kobieta, z którą zmierzyła się Teena. I przegrała.

– Z Donna?

– Oczywiście, że z Donna. – Najeżyła się na sugestię, że Reg zdradza żonę, choć najlepiej wiedziała, że to prawda.

– Donna nie mogła mieć dzieci.

– Nic o tym nie wiem. Wiem, że mają dziecko.

– Kiedy...?

Dziwne pytanie.

– Jakież osiem lat temu. Może dziewięć. Mała chodzi do podstawówki.

Callie Jenkins objęła się ramionami, jakby zrobiło się jej zimno, chociaż drzwi z grubej siatki na pewno nie wpuszczały chłodu. Zaczęła kołysać głową, w górę i w dół, jak gdyby wierzyła, że jeśli tylko się postara, to, co właśnie usłyszała, zniknie, rozplynie się. Nie, nie, nie. Nie, nie, nie. Z oczu popłynęły strumienie łez – chyba nawet nie była tego świadoma. Wciąż kiwała głową, a ciało zgięło się w konwulsyjnym skurczu. Przez chwilę Cassandra się bała, że kobieta zaraz dostanie jakiegoś ataku.

Ale wtedy Callie otworzyła siatkowe drzwi i ruchem ręki zaprosiła ją do środka.

## Ewolucja

System szkolnictwa publicznego Baltimore miał w latach siedemdziesiątych kilka szczególnych cech. Pierwszą była zasada otwartych zapisów: uczniowie mogli chodzić do dowolnej szkoły na terenie miasta, choć o dowóz musieli się wtedy martwić rodzice. Większość mieszkańców wybierała szkoły w sąsiedztwie, a nieoficjalna segregacja rasowa pod względem miejsca zamieszkania przenosiła się również na szkolnictwo. Kiedy w 1972 roku zaczynałam naukę w szkole ponadpodstawowej, było tylko kwestią czasu, kiedy ten system zostanie podważony i zniesiony. Jeszcze przed zamieszkami 1968 roku rozpoczął się odpływ białych mieszkańców z niektórych dzielnic.

Jakby nie dość tych komplikacji, w mieście funkcjonował system gimnazjalny, a początek szkoły średniej wyznaczała dziesiąta klasa. Chyba że ktoś zakwalifikował się na Kursie A, co oznaczało – niebaltimorczyki nie potrafili tego zrozumieć, – że może już od dziewiątej klasy uczyć się w jednym z niekoedukacyjnych liceów państwowych.

Również ten system, jak mówiono, miał niebawem zostać zmieniony. Politechnika, szkoła męska, przyjęła pierwszą uczennicę, zanim skończyłam naukę na poziomie średnim. Western po dziś dzień jest wyłącznie dla dziewcząt – podobno dlatego, że żaden chłopiec nie chciał się tam uczyć. Brzmi to podejrzanie: czyżby w ciągu trzydziestu lat nie pojawił się chłopak z tupetem, marzący, żeby zostać rodzyńkiem wśród setek dziewczyn? Już w moich czasach, zanim na Politechnikę wstąpiła pierwsza uczennica, koleżanki z klasy walczyły o to, żeby Western pozostało szkołą dla dziewcząt. Zorganizowały nawet protest przeciwko wprowadzeniu koedukacji w dwóch najbardziej prestiżowych szkołach średnich w mieście. Nie dołączyłam do tego marszu pewnie dlatego, że już się przenieśliśmy do Gordon School. Chodziłam do Western zaledwie rok, zanim rodzice uznali, że nie jestem tam bezpieczna.

Problem, jak zwykle, polegał na tym, że nie umiałam trzymać języka za zębami. Przez osiem lat byłam najbystrzejszą dziewczynką w klasie, teraz uczęszczałam na Kurs A, razem z prymuskami z całego miasta. Te, które już mnie знаły – Tisha, Fatima, Donna i jeszcze inne koleżanki – bez problemu pozwoliły mi zająć pozycję najlepszej uczennicy. Inne uznały moją ambicję za wyzwanie i, podobnie jak ja, z rozkoszą wzięły udział w rywalizacji.

Moja klasa w Western składała się jednak z dziewczynek z różnych dzielnic Baltimore, w tym wielu wychowanek szkół parafialnych. Największy problem miały z myśleniem. Potrafiły wykuć wszystko na pamięć, rozwiązać dowolny test wyboru. Ale zastosowanie zdobytej wiedzy przekraczało ich możliwości. Moją zgorą była zwłaszcza jedna dziewczyna o niezdrowym wyglądzie i bezbarwnych włosach; zaplatała je ciasno, ale jej myślenie wydawało się zawsze potargane. Martha – biedactwo. Zadręczała nauczycieli, domagając się, żeby uczynili jej edukację pasmem zabójczej nudy. Poproszona, żeby napisała wiersz w wybranym metrum, pytała, dlaczego musi pisać wiersz – czemu nie może go powiedzieć z pamięci? Miała niewiarygodną pamięć.

Na zajęciach z socjologii w dziewiątej klasie, kiedy uczono nas o Darwinie i selekcji naturalnej, wpadała w szal. Upierała się, że ta teoria nie może być prawdą. Nie czuła się urażona samą koncepcją ewolucji. Po prostu wierzyła, że wyzwania stawiane przez środowisko powodują zmiany w ciągu jednego pokolenia. Żyrafy potrzebowały długich szyj, żeby dosięgnąć jedzenia, no więc szyje im urosły. „Nie, Martho, tutaj chodzi o gen długiej szyi: żyrafy, które go nie miały, z czasem wymarły, a ich geny znikły z puli”, powtarzał nauczyciel. Martha nie była aż tak głupia, żeby nazwać go kłamcą, ale domagała się dowodów i nie przyjmowała przedstawianych wyjaśnień.

Szybko zaczęłyśmy się nienawidzić. Nie wystarczyło mi, że dostawałam najlepsze stopnie, udzielałam najmądrzejszych odpowiedzi, oczarowywałam nauczycieli, których

Martha odstręczała. Musiałam też zniszczyć ją samą – i chociaż nie znoszę tych wspomnień, nie zamierzam zatajać swojego nastoletniego okrucieństwa. Wyśmiewałam nie tylko pomysły Marthy, ale też jej włosy i pryszcze na zaczerwienionej twarzy. Przyjaciółki zagrzewały mnie do ataku, zachwycone naszymi starciami. Byłyśmy tanią rozrywką dla grupki uprawnionych. Do tej elity należały Tisha, Donna i Fatima: patrzyły na nasze wygłupy z wysoka, chłodnym okiem, jak bogowie, szczujący śmiertelników przeciwko sobie, żeby się zabawić.

Tak, smutna i dziwna rzeczywistość w dziewiątej klasie była taka, że dziewczynki, z którymi rozłączono mnie w siódmej i ósmej klasie, przestały być moimi przyjaciółkami. Owszem, traktowałyśmy się przyjaźnie: codziennie wracałyśmy do domu tym samym autobusem, miło gawędząc. Ale między nami pojawiła się przepaść. Wtedy myślałam, że chodzi o chłopców. W dziewiątej klasie każda z nich miała już chłopaka, tylko ja nie – i nawet nie wiedziałam, skąd go wziąć. W końcu o tym nie pisali w książkach, a ojca na pewno nie mogłam zapytać. Szkoda – doskonale wiedział, co podoba się mężczyznom.

Tamtego roku codziennie zabierał mnie do szkoły, choć przez to nakładał drogi i wstawał wcześniej. Nie musiał pokazywać się na uczelni przed dziesiątą. Mimo to każdego ranka przyjeżdżał pod nasz dom z mieszkania, które wynajęli z Annie kilkanaście kilometrów dalej. Wydaje mi się, że to wymyśliła matka, jako rodzaj pokuty. Tak czy inaczej, co dzień przez dwadzieścia czy dwadzieścia pięć minut miałam ojca wyłącznie dla siebie. Bardzo ceniłam ten czas. Nie mogłam opowiadać mu o chłopakach ani o tym, że chciałabym się z kimś spotykać, ale przynajmniej mogłam mówić o czymkolwiek innym. Zabawiałam go historiami o Marcie: jej ograniczeniu, uporze, a nawet prawdopodobnie rasizmie.

– Ta cała Martha jest ze szkoły parafialnej, tak? – pytał. – Ze Świętego Jana od Banana czy Matki Boskiej Kabanoskiej?

Prychnęłam. Nie znałam tego żartu.

– Coś w tym rodzaju. Mieszka na północnym wschodzie.

– A, no to wszystko jasne.

Chciałam ze zrozumieniem pokiwać głową w tym samym rytmie co on, ale nie rozumiałem, co właściwie ma na myśli. Po dłuższym wahaniu postanowiłam zdradzić się ze swoją ignorancją i poprosiłam o wyjaśnienia.

– Uczniowie ze szkół parafialnych stale gadają o integracji, ale tak naprawdę są przerażeni, że przyskrzyni ich jakaś większa zmiana systemu edukacji. Dlatego zapisują się na Kurs A, inaczej w następnym roku mogliby wylądować w jakiejś szkole na drugim końcu miasta. A niektórzy dostali się na kurs tylko dlatego, że nauczyciele napisali im odpowiednią rekomendację. To szkodliwe dla całego systemu.

Do dziś nie wiem, czy przedstawił mi fakty, czy własną teorię spiskową. Każdy z nas ma kilka takich niezachwianych przekonań, za które dałby się posiekać, choć – gdy je przeanalizować – okazują się tylko splotem uprzedzeń. Mój ojciec nisko oceniał religię, choć nie tak nisko, jak białych mieszkańców dzielnic robotniczych – miejsc, w których on i Annie musieli całkiem dosłownie bać się o życie. Nigdy na przykład nie jadali u Hausnnera. Czasami zapominam, jak dużo ojcu przyszło zapłacić za swoją miłość, ile śmiałości, a nawet bohaterstwa wymagała od niego decyzja, żeby związać się z Annie.

Walka z Martha i kolejne bitwy stały się jedną z moich szkolnych przyjemności. Byłam coraz bardziej brawurowa i okrutna. Kpiłam z jej religii. Na zajęciach z literatury, kiedy kazano nam napisać opowiadanie, przygotowałam historię o dziewczynce, która zostaje odrzucona przez społeczność, ponieważ nie udało jej się przyswoić biblijnych nauk o dobroci i miłosierdziu. Dla każdego musiało być jasne, że chodzi o Martha. Przeczytałam wypracowanie na głos, nie patrząc w jej stronę. Klasa uznała je za prawie najlepsze. Najbardziej podobała im się, muszę przyznać, praca Fatimy – niezborna opowiadka o ulicznej przemocy, marnie pomyślana i jeszcze gorzej napisana. Największą siłą tych wycieczek był występ Fatimy, która odtańczyła część historii.

Jednak Martha miała swoje popieczniczki – bardziej lojalne niż moje. Kilka dni po lekcji literatury wypadł wuef. Korzystałyśmy z wiosennej pogody, grając w softbol<sup>25</sup>, co w moim przypadku stanowiło powód do ponurych rozważań. Marny stopień z wuefu zawsze zagrażał zburzeniem równiutkiego rzędka szóstek. Żeby poprawić ocenę, często zgłaszałam się do pomocy nauczycielce. Tego dnia zobowiązałam się poznać sprzęt i kręcić się po boisku, szukając zapomnianych piłek, kiedy podeszła do mnie Martha z dwiema swoimi przyjaciółkami.

– Znów błyszczałaś dzisiaj na wuefie – zagadnęła. – Przepuściłaś trzy czwarte piłek. A wywalasz się jak prawdziwa mistrzyni.

– Och, zdaje się, że jeśli będę musiała nauczyć się dobrze grać w softbol, to po prostu wyewoluuję. Tak to się według ciebie dzieje, prawda? Może dlatego masz taką paskudną cerę... bo nie musi ewoluować. Ale wierz mi, Martho, selekcja naturalna zadba o to, żeby twoje geny nigdy nie wróciły do puli.

Odwróciłam się, żeby dalej szukać piłek, kiedy Martha – zakładam, że ona – kopnęła mnie z tyłu. Pierwszy raz w życiu ktoś tak mocno mi przyłożył. Jako dziecko kilka razy dostałam klapsa, a pewnej okropnej nocy matka uderzyła mnie w twarz. Ale nigdy się z nikim

---

<sup>25</sup> Gra zespołowa podobna do bejsbola, w której używa się jednak większej i bardziej miękkiej piłki (przyp. tłum.).



nie biłam. Kopniak Marthy zwałił mnie z nóg. Zwinęłam się jak gąsienica, próbując się osłonić, a wtedy już wszystkie trzy zaczęły mnie kopać i szarpać za włosy. Udało mi się wstać, ale znowu mnie przewróciły. W tej krótkiej chwili zauważyłam jednak Tiszę, Donnę i Fatimę – stały na drugim końcu boiska i patrzyły, średnio zainteresowane. Nie, nie widziałam ich twarzy ani min – z tej odległości mogłam je rozpoznać, zwłaszcza Fatimę, tylko po posturze, ale same pozycje, układ ciał świadczyły, jak mało obchodziło je to, na co patrzą. Dla nich to kolejna scena z przedstawienia, nieróżniąca się od wydarzeń w klasie. Tam walczyłyśmy z Marthą na słowa. Tutaj – na pięści. No i fajnie.

Trzy na jedną!, chciałam krzyknąć do dziewczyn. To nie w porządku! Tak czy inaczej, nikt nie przyszedł mi z pomocą, póki nauczycielka w końcu nie przybiegła na ratunek.

Bójka była poważnym wykroczeniem, lecz Marthę i jej przyjaciółki ukarano tylko zatrzymaniem po lekcjach. Nikt nawet nie wspomniał o zawieszeniu czy wyrzuceniu ich ze szkoły. Ani o tym, że powinny mnie przeprosić. „Sama jestem sobie winna”, takie oskarżenie wisiało w powietrzu. Zasłużyłam na lanie. Bałam się wrócić do Western, więc do końca roku pracowałam w domu z nauczycielami, którzy po lekcjach przychodzili do mnie na dwie godziny. Kiedy w czerwcu skończył się rok szkolny, matka oznajmiła, że jej pracodawca, Gordon School, chętnie przyzna mi stypendium. Nigdy już nie zobaczyłam Tishy, Donny ani Fatimy.

Co się z nami stało? Dlaczego przyjaźń zmieniła się w obojętność? Dlaczego stały na drugim końcu boiska i patrzyły, jak jestem bita? Wiem tylko, że nie byłam już jedną z nich, że ich zdaniem zostałam słusznie ukarana za upokorzenia, jakich nie szczędziłam Marcie przez cały rok. Martha i ja byłyśmy jak zapaśnicy: chociaż przez większą część turnieju prowadziłam, nadszedł mój czas na porażkę. Ojciec, wykładowca przedmiotów klasycznych, powinien mi wyjaśnić, że bohaterem nie można być zawsze. Nikt nie ucieknie przed swoim przeznaczeniem.

# **Trup Agamemnona<sup>26</sup>**

29-31 marca

---

<sup>26</sup> Cytat z wiersza W.B. Yeatsa *Leda i labędź* (przyp. tłum.).

## Rozdział 31

Cassandra siedziała w kuchni Callie, przed kubkiem stygnącej herbaty Liptona. Prostota wnętrza była dla niej czymś nowym: przywykła do domów, które – jak jej mieszkanie – zostały zaaranżowane niczym scena dla wyjątkowej osobowości jej właścicieli. Dom Callie przypominał sterylny model na wystawie budownictwa, przy czym nie wyglądało to na przemyślany styl – raczej na brak stylu, całkowity brak wyborów. Niemal wszystko było tu białe – ściany, kubki, przybory kuchenne. Kolorem wyróżniały się tylko beżowe linoleum i biało-niebieska patera, którą Callie uparła się wypełnić ciastkami, choć Cassandra zarzekała się, że nie jest głodna.

– Upiekłam je rano – powiedziała Callie.

– Są idealne, wszystkie takie równiutkie – zachwyciła się Cassandra, odłamując kawałek. Nie była to czcza uprzejmość: miękkie pierniczki zdołał biały lukrowy łuk, jak księżyc podczas zaćmienia. – Trudno je zrobić? Chyba niełatwo zanurzać je w lukrze.

Callie nie odezwała się – nie od razu. Cassandra zaczęła wyczuwać jej rytm, sposób prowadzenia rozmowy: była jak nerwowy kierowca, który czeka, żeby włączyć się do ruchu na autostradzie. Potrzebowała dużo przestrzeni i czasu.

Cassandra rozejrzała się, szukając w tym monotonnym wnętrzu jakiegoś osobistego czy oryginalnego elementu. Na ścianie wisiał kalendarz lokalnej firmy ubezpieczeniowej ze zdjęciem: jakiś krajobraz ze Wschodniego Wybrzeża. Przy kilku dniach marca widniały zapiski ołówkiem, ale z daleka nie mogła ich odczytać. Jej wzrok zatrzymał się na ceramicznych pojemnikach.

– Trzymam torebki z herbatą w puszcze na kawę – powiedziała Callie.

– Co takiego?

Callie się wzdrygnęła. Tym razem jednak szybciej odważyła się otworzyć usta.

– Zamówiłam te pojemniki w QVC, u tej kobiety, wiesz, z taką wielką szopą srebrnych włosów. Trochę jak twoja.

Cassandra kiwnęła głową, choć nie miała pojęcia, o czym Callie mówi.

– Mąkę i cukier wsypuję do pojemników na mąkę i cukier. Ale kawy nie piję, więc w puszcze na kawę trzymam torebki z herbatą. Myślisz, że to dobrze?

Cassandra omal nie prychnęła: Trzymaj sobie nawet heroinę. Ale natychmiast zrozumiała, że Callie wcale nie kpi, pyta całkiem serio. Ta kobieta była tak zastraszona, że czekała na pozwolenie, żeby włożyć herbatę do pojemnika z napisem „Kawa”. Świat dookoła

był pełen zasad i praw, których nikt nie chciał jej wyjaśnić. Może dlatego w domu brakowało śladów indywidualności. Nie wiedziała, na co może sobie pozwolić, nie ufała własnym wyborom. Cassandra zobaczyła w wyobraźni, jak Callie siedzi przed telewizorem, powtarzając w myślach, co powie, gdy dodzwoni się do QVC, przerażona, że nie wie, jak zamawia się zestaw ceramicznych pojemników.

– Fatima mówiła, że twoja matka była bardzo surowa.

Callie poruszyła głową, jakby zamierzała przytaknąć, ale natychmiast podniosła brodę, cofając poprzedni ruch.

– Chciała dobrze.

– Mieszka z tobą?

– W domu opieki w Denton.

– A ty płacisz?

Kolejne kiwnięcie głowy zatrzymane w połowie. I znów długa cisza. Cassandra pomyślała o jedynym prawdziwym wspomnieniu Callie ze swojego dzieciństwa: dziewczynka, która siedzi na wysokim kuchennym stołku, machając nogami, całkowicie obojętna na widok matki bijącej dziecko.

– Nie było mnie stać, żeby ze mną mieszkała.

Cassandra otworzyła usta, żeby zapytać: Więc kto ci pomaga?, ale nawet najłżejsza sugestia, że się czegoś żąda lub wymaga, nie robiły na Callie wrażenia. Nic nie robi na niej wrażenia, ostrzegała Teena. Callie przyznała jednak, że otrzymuje wsparcie finansowe, którego nie może stracić. Prawdopodobnie opłata za utrzymanie Myry Tippetts w domu opieki również kryje się gdzieś w wydatkach na kampanię wyborczą Juliusa Howarda.

– Czujesz się wobec niej zobowiązana.

– To moja matka.

– Mimo że była dla ciebie... surowa.

– Starła się jak najlepiej.

– Przemoc to nie...

– Nie powiedziałam „przemoc” – wtrąciła szybko Callie i znów zamilkła na dłużej, jakby zaskoczona własną gwałtownością.

Ile słów wypowiada w ciągu tygodnia? Pewnie mniej niż ja w ciągu jednego dnia, pomyślała Cassandra. Czasem, w trakcie dłuższych podróży samochodem, kiedy brakowało jej towarzystwa, zakładała słuchawkę telefonu, żeby ludzie myśleli, że rozmawia przez zestaw głośnomówiący, i mówiła do siebie. Czy Callie w ogóle myślała słowami, czy raczej obrazami?

Callie przechyliła głowę, jak by podziwiała echo swoich zdecydowanych zdań.

– Nie powiedziałam „przemoc”. To wielkie słowo. Ludzie mówili tak o mnie, a to nie była prawda. Nigdy nikogo nie skrzywdziłam. I nie powiem tego o nikim innym.

W takim razie... Nie, żadnych pytań. Żadnych więcej słów. Cassandra piła herbatę, myślała i milczała. Może milczenie też jest językiem, formą komunikacji. Nakazała sobie cierpliwość, siłą powstrzymując słowa, które chciały się wyrwać na wolność. Chwila rozciągnęła się w minutę, potem w kolejną. Zaczęła się zastanawiać, czy Callie zamierza przejść na kontakt telfepatyczny.

– Nie idzie mi najlepiej – odezwała się Callie.

Cassandra nie kiwnęła nawet głową, mrugnęła tylko i łyknęła herbaty.

– Ludzie myśleli, że jestem silna... Wytrzymałam tyle lat. Ale mnie po prostu nie idzie mówienie. Wszystko zawsze pokręcę.

Łyk, mrugnięcie.

– Mówiłaś, że Donna ma dziecko. Córkę. Podobna do niej?

Cassandra wstrzymała oddech. Bała się, że z jej pierwszym słowem czar pryśnie.

Callie odpowiedziała sobie sama.

– Na pewno tak. – I zaczęła płakać.

Tego nie robiła cicho: szlochała gwałtownie, głośno, z gardła wyrwały jej się zwierzęce, chrapliwe odgłosy, z nosa ciekło, łzy płynęły strumieniami po policzkach. Cassandra wstała, rozejrzała się i podała jej kawałek papierowego ręcznika. Dlaczego wiadomość o córce Rega tak wstrząsnęła Callie? Tego pytania wołała nie wypowiadać na głos, a tym bardziej nie chciała poznać odpowiedzi.

– Callie, nie musisz mi nic mówić.

– Rozumiem. Ale jesteś tutaj. Wiesz... różne rzeczy. Powiesz ludziom, co wiesz. Może nawet musisz, bo takie jest prawo. Co wtedy? Nie chodzi tylko o mnie. Ale też moją matkę. Muszę się nią opiekować.

– Przede wszystkim musisz się zaopiekować sobą, Callie.

Spojrzała na Cassandrę, jakby pierwszy raz widziała ją na oczy, po czym wzięła kilka głębokich wdechów, jak gdyby przygotowywała się do jakiegoś fizycznego wysiłku: biegu przez przeszkody albo skoku z trampoliny. Do czegoś, co wymagało nie tylko energii, ale także odwagi.

Callie zaczerpnęła tchu. Przyszło jej na myśl wzgórze w pobliżu szkoły – wtedy wydawało się niesamowicie wysokie. U jego stóp rosło piękne drzewo – wierzba, tak mówili – a stok porastały gęste łąny koniczyn, czekające na cierpliwych poszukiwaczy czterolistnych skarbów. Callie była najcierpliwsza. Wzgórze znajdowało się przecznice od szkoły, ale nie mogła się tam bawić: musiała złapać autobus do domu. Jednak w słoneczne dni pod koniec roku szkolnego nauczyciele czasem zabierali dzieci na wzgórze, w nagrodę. Kiedyś ktoś – najpewniej Fatima – wymyślił zabawę w turlanie się po zboczu na wyścigi. Chichocząc, zderzając się, raz za razem staczali się na sam dół. Po południu Callie wróciła do domu z bukietem dla mamy: rumianki, fiołki i trzy czterolistne koniczyny. Trzy – a nikt inny nie znalazł nawet jednej. Myra Tippet zobaczyła plamę od trawy na szkolnej sukience i zbiła Callie szczotką do włosów.

Teraz Callie znów stała na szczycie wzgórza, gotowa sturlać się w dół. Och, jaką miała ochotę – ale oczywiście się bała. Poznała konsekwencje takiej bez troski. Zawsze są konsekwencje. Zanikną jej matkę w strasznym miejscu, w porównaniu z którym dom opieki jest pałacem. Wznowią proces. Sprawa o zabójstwo nie ulega przedawnieniu – słyszała to wiele razy. Siedem lat za obrazę sądu nie wejdzie do kary za morderstwo. Jeśli powiesz cokolwiek, nie będziemy mogli cię chronić.

A zresztą – dlaczego miałyby wszystko popsuć? Przecież była szczęśliwa, prawda? No, może nie szczęśliwa, ale zadowolona... tak jak nigdy w tym życiu. Co zyska, jeśli powie? Przez tyle lat milczenie było dowodem jej siły, świadectwem miłości do niego, jej najgłębszą istotą. Teraz... okazuje się dowodem głupoty. Została oszukana. No i co? Kto nie bywa?

„Poczujesz się lepiej, kiedy powiesz”, powtarzała ta mała detektyw. Próbowwała przekonać, że tajemnica obarcza, dręczy Callie, że jeśli wyjaśni, co stało się z Donntayem, uwolni duszę swojego dziecka. Ale Callie rozumiała to inaczej: milczenie nadawało sens jej życiu, stało się świadectwem miłości, której zaprzeczał cały świat. Nawet teraz wciąż wierzyła, że on ją kochał, kocha. Nieważne, jak okropnie się zachowywał – kochał ją. To wszystko, co miała, skarb jej życia. Jeśli otworzy usta, straci go na zawsze.

Wytarła oczy, wydmuchała nos. Podeszła do lodówki, przyłożyła kostki lodu do zapuchniętych powiek, po czym wróciła do stołu i zaplotła palce na zimnym kubku. Czy to herbata już wystygła, czy dłonie skostniały od lodu? Napiała się łyk – i wciąż nie wiedziała. Takie skrajne odczucia, jak ciepło, zimno, radość, rozpacz, już dawno znikły z jej życia.

– Najpierw chcę powiedzieć, że chyba nie zabiłam Donntaya. Ale nikt by w to nie uwierzył, bo zabrali mi pierwsze dziecko, prawda? – Zobaczyła, jak Cassandra wyjmuje ze

skórzanej torby mały dyktafon i podnosi go z pytaniem w oczach. Pokręciła głową. – Słuchaj – powiedziała. – Słuchaj.

Ku jej zaskoczeniu Cassandra schowała dyktafon. Ktoś zrobił to, o co prosiła? Nigdy nie miała takiej władzy – nad nikim. Poza nim, na samym początku, a wtedy nie pragnęła więcej niż to, co i tak robił: dzwonił do niej, kochał ją, mówił w kółko, jaka jest niezwykła. Zabawne: zdobyła władzę, kiedy nie potrzebowała, a potem, kiedy rozpaczliwie chciała ją mieć, nie mogła jej odzyskać.

– Kiedy chodziłam do dwuletniego college’u, Fatima stwierdziła, że powinnam podjąć pracę przy kampanii wyborczej. Powiedziała, że Jenkins Howard będzie pierwszym czarnym burmistrzem Baltimore i że warto się w to zaangażować, chociaż nie płacili. Miała rację. To była najwspanialsza rzecz w moim życiu. Zakochałam się.

– W Juliusie Howardzie – stwierdziła Cassandra.

Callie omal nie wybuchła śmiechem. Ta pewność w głosie! Cassandra Fallows pozostała dziewczyną z ręką w górze. Tylko, że tym razem się myliła. Może jemu chodziło o to od początku. Teraz zdała sobie sprawę, że każdy pomyślałby jak Cassandra. Niemal wbrew sobie poczuła dumę. Zawsze był taki mądry. Dlatego jej pochlebiło, kiedy dla niej rzucił Fatimę. Fatima mówiła, że to nie miłość, że w jego przypadku w grę nie wchodzi uczucia, że trzeba złapać dla siebie, co się da, zostawić go i iść dalej. Ale Callie wiedziała, że to jest miłość i że nic dla siebie nie „złapie”. Och, zostawiał ją, ale zawsze wracał. Póki nie zaszła w ciążę.

– Nie w Juliusie. W jego bracie, ojcu Donny. Mieliśmy romans, prawie dwa lata. Potem zaszłam w ciążę i ze mną zerwał. Trochę mi wtedy odbiło. To był, zdaje się, początek. Mhm, chyba tak się to zaczęło.

Uwielbiała ten wyraz twarzy. W szkole ręka Cassandry zawsze sterczała w górze, jak ogon polującego psa. Oczywiście wtedy Callie znała takie psy tylko z kreskówek. Przez trzynaście lat mieszkania na wybrzeżu – o Boże, to już trzynaście lat? – wiele razy widziała wyżły i retrievery. Późną jesienią wypłaszały z mokradeł ptaki, gorliwe, uradowane, że mogą pomóc właścicielom. Dlaczego? – chciała zawsze zapytać. Co z tego macie? Poklepią was po głowie, pochwalą, ale kaczki nie dostaniecie. Ktoś inny mógłby was kochać, dałby jedzenie i dom, nie wymagając niczego poza waszym oddaniem.

Ona jednak rozumiała. Sama sprzedała swoje życie równie tanio. Rzuciła własne dzieci do stóp mężczyzny, którego kochała. Co dostała w zamian za ich życie? Poklepał japo głowie, podrapał za uchem, kilka razy – bardzo cicho – obiecał, że będzie ją kochać.

## Rozdział 32

Cassandra była tak opita herbatą, że w drodze powrotnej z Bridgeville, zanim przejechała zatokę, musiała dwukrotnie iść do toalety. Za drugim razem – w McDonalddie przy szosie numer 50 – zdała sobie sprawę, że poza kilkoma kęsami ciastka nie jadła nic od czasu mniej niż zadowalającego śniadania z ojcem. Zamówiła bigmaca z serem, mimo że kelnerka usilnie namawiała ją na Zestaw Okazja.

– To żadna okazja płacić za coś, czego nie chcę – odparła Cassandra. Ojciec powtarzał to bardzo często. Bigmac okazał się niepokojąco dobry – smakował przeszłością, jak proustowska magdalenka. Przypomniała sobie czasy, kiedy jako siedemnastolatka poruszała się po cienkiej linii między byciem dziwką a szkolną gwiazdą. Kluczem było uprawianie seksu wyłącznie z chłopakami, z którymi się chodziło, choć, oczywiście, wystarczyło chodzić z którymś miesiąc. W pewnym momencie Cassandra zakochała się poważniej w Chrisie, ani specjalnie popularnym, ani wyróżniającym się w nauce – choć w Gordon School akurat te kryteria nie znaczyły wiele. Wśród uczniów najstarszych klas było miejsce dla bardziej skomplikowanych osobowości. Chris mógł być sobie Chrisem: maniakiem gry w Dungeons and Dragons, palaczem trawki, muzykiem, miłośnikiem biegów przełajowych.

Inteligentny i zgryźliwy, pasował do Cassandry jak ulał. I nagle z nią zerwał, bez wyjaśnienia, nawet bez pożegnania. W ogóle bez słowa. I, co gorsza, nie zaczął od razu spotykać się z kolejną dziewczyną. Zostać porzuconą dla innej, choć bolesne, to zupełnie coś innego niż zostać porzuconą przez kogoś, kto wybiera samotność. To znaczyło, że jesteś naprawdę nudna.

Cassandra zaczęła zajadać swój smutek, pochłaniając wielkie ilości bigmaców. Choć do domu zawozili ją już wtedy chłopcy, ojciec wciąż zabierał ją co rano do szkoły. Przestała mu się jednak zwierzać. We wrześniu, po całym lecie hamburgerowego obżarstwa, pewnego dnia ojciec zauważył: „Bigmac, czyli Wielkimac. Rozumiem, że to twoja droga do prawdziwej wielkości?” Natychmiast zaczęła się odchudzać i już nigdy nie przestała. Dieta w jej życiu przypominała wojskowy rygor: obowiązywała zawsze, czasem bywała trochę rozluźniona, często wystawiana na próbę. Ciekawe, czy Callie w ogóle myśli o jedzeniu? Podczas długiej, przerywanej milczeniem rozmowy nie dopiła nawet herbaty i nie spróbowała pysznych pierniczków własnej roboty.

Cassandra wyciągnęła moleskinowy notatnik i zaczęła zapisywać z pamięci. Historia Callie była prosta – niemal banalna. Dziewczyna miała romans z Andre Howardem, zaszła w



ciążę. Zerwał z nią, wtedy się załamała. Mniej więcej pół roku po narodzinach dziecka ktoś doniósł, że je zaniedbuje. Odebrano jej prawa rodzicielskie i oddano syna do adopcji. Przez kilka lat dryfowała bez celu, pogrążona w autodestrukcji, niezdolna utrzymać pracy. Nie chciała też wrócić do szkoły, chociaż to jedno Andre Howard jej zaoferował. Senat stanowy prowadzi program stypendialny, którego nikt w zasadzie nie kontroluje, wyjaśnił. Takie stypendium, dzięki rekomendacji Juliusa Howarda, stało się przepustką Fatimy do Spellmana. Callie zaprzeczała, że jej relacja z Andre Howardem jest taka jak Fatimy, i odrzuciła jego pomoc, obstając przy miłości. Wpadała w oko innym mężczyznom i wykorzystywała ich, a kiedy z którymś była, przejmowała jego zwyczaje, dobre i złe. Palila krak – w fifce, dodała – kiedy urodziła Donntaya. Dlatego znów kontrolowała ją opieka społeczna. Upierała się, że nie była uzależniona, po prostu czasem popalała. Gdy odszedł ojciec Donntaya, przez ostatnie miesiące ciąży prawie wcale nie brała.

Któregoś dnia obudziła się, a Donntay nie żył. Nic mu nie zrobiła, nawet go nie dotknęła, ale kto by jej uwierzył? Palaczce kraku, rozrywkowej dziewczynie, której już odebrano jedno dziecko? W hysterii zadzwoniła do Andre Howarda. Dzwoniła do niego kilka razy w ciągu tych lat, zawsze był bardzo miły. Przysięgał, że ją kocha, że chce z nią być, ale zawsze miał jakąś wymówkę. Ambicje polityczne brata. Rozpacz żony po wyjeździe Donny. I w końcu – kiedy trafiła na siedem lat do więzienia, wciąż przekonana, że Andre kiedyś porzuci żonę – bezpłodność Donny. Nie mógł odejść od żony i zacząć nowego życia z Callie, póki nie pojawi się pocieszenie w postaci wnuków. Tak właśnie powiedział, gdy wreszcie wypuścili ją na wolność. Musi zostać z żoną, bo ona nigdy nie doczeka się wnucząt.

Mimo to ukrył ciało dziecka, ocalił ją przed dochodzeniem, choć sam bardzo przy tym ryzykował. Callie uważała to za dowód miłości.

Boże, co za smutna, historia. Kto w nią uwierzy? Cassandra nie była pewna, czy sama uwierzyła. Och, oczywiście wątpliwości nie powstrzymają jej od opisanie wszystkiego. Niech różne wersje prawdy staną przeciw sobie na kartkach książki. Tylko że... ta historia nie może znaleźć się w książce. Callie twierdziła, że Andre Howard, jeden z najbardziej szanowanych mieszkańców Baltimore, pomógł jej ukryć ciało dziecka, uniemożliwiając przeprowadzenie dochodzenia. Taki zarzut na pewno nie pozostanie bez odpowiedzi. Pierwsi odezwą się prawnicy wydawcy, potem sprawa trafi do sądu, a ten nakaze wznowić śledztwo. Andre Howard prawdopodobnie wszystkiego się wyprze. Z czym zostanie Cassandra? Będzie miała słowo ćpunka przeciwko przysięgom bogatego, zasłużonego człowieka.

Nie, jednak jest coś więcej niż tylko słowo, nawet jeśli Fatima nie potwierdzi szczegółów. Są przecież rachunki z kampanii, dowód, że Callie, Myra Tippetts i Fatima otrzymywały pieniądze. Czy to też da się łatwo wyjaśnić?

Cassandra pochłonęła hamburgera i podniosła z tacy kawałek konserwowego ogórka, który wypadł z kanapki, i też go połknęła, choć właściwie nie lubiła marynat. Zadzwoiła do Teeny tuż po rozstaniu z Callie, pewna, że nowiny wywołają wybuch entuzjazmu. Jednak Teena zareagowała złością i oburzeniem.

– Co, twierdzi, że to była śmierć łóżeczkowa? Genialny pomysł. Zwłaszcza że nie ma ciała. Czekala dwadzieścia jeden lat z tym gównianym oświadczeniem, bo teraz nic już nie można sprawdzić, tak?

– Dlaczego miałyby kłamać?

– O rany, Cassandro, bo ludzie po prostu kłamią. Zwłaszcza jeśli grozi im oskarżenie o morderstwo. Miała dwadzieścia lat na obmyślenie tej historyjki. Moim zdaniem mogła się lepiej postarać.

– A Andre Howard? Skoro uwierzył, że nie zabiła Donntaya, nie mógłby chociaż potwierdzić, że nie ukrył morderstwa? Zdaje się, że zostałby oskarżony o utrudnianie śledztwa, ale chyba o nic więcej...

– W to też nie wierzę. Facet miał z nią romans, był ojcem jej pierwszego dziecka, jest łajdakiem i nie chce, żeby się wszyscy dowiedzieli. W porządku. Ale żeby z tego powodu wplątał się w morderstwo? Wątpię.

– Ale... – Cassandra wiedziała, że może obalić ten argument, nie była jednak w stanie. W jej zmęczonej głowie szalało za wiele myśli.

– Pierwsze dziecko wystarczy, żeby wytłumaczyć chęć szantażu – upierała się Teena.

– Ale wypłaty w ramach kampanii pojawiają się dopiero po śmierci Donntaya.

– O ile nam wiadomo. Możliwe, że przekazywali Callie pieniądze bezpośrednio; potem, kiedy została oskarżona o morderstwo, robili to oficjalnie, żeby nie przysporzyła im kłopotów. Sama popatrz. Wpadła w tarapaty i zwróciła się z tym do wysoko postawionego człowieka. Zmusiła faceta, żeby jej pomógł, bo miała na niego haczyk. Wymyślił dla niej strategię, dzięki której nie została skazana za morderstwo. Ale żeby to Andre Howard ukrył ciało dziecka? Nie, w to nikt nie uwierzy. Moim zdaniem Callie twierdzi, że brał w tym udział, bo nie chce stracić źródła dochodów. Kiedy Howard znajdzie nowy sposób na opłacanie jej, odwoła wszystko, co ci powiedziała. Nagrywałaś?

– Nie, prosiła, żebym tego nie robiła.

– O Jezu, Cassandro. Nie masz nic.

– Nie idę do sądu, Teeno. Jestem pisarką. Potrzebowałam historii i ją mam.

– Póki Callie się nie wycofa. Wykorzystała cię.

W tej sytuacji naprawdę trudno było stwierdzić, kto kogo wykorzystał. Cassandra znalazła to, co jej kazano. Odpowiedź. Co prawda niezbyt zadowalającą – musiała przyznać, siedząc nad hamburgerem w McDonalddie – ale cóż, odpowiedzi zazwyczaj nie dają satysfakcji. Stając przed zagadką, ludzki umysł próbuje tysięcy różnych rozwiązań. Podnieca go możliwość odkrycia właściwego. Lecz kiedy zagadka zostaje wyjaśniona, napięcie spada. Taka jest natura pytań. Nawet oglądając telewizyjny turniej, największe emocje czujemy, tuż zanim zawodnik odpowie, zanim się dowiemy, czy ma rację, czy się myli. Cassandra już mogła zacząć pisać, znała zakończenie. Książka będzie w o wiele większym stopniu, niż Cassandra się spodziewała, reportażem o zbrodni, o fabule bardziej jednak skomplikowanej, pełnej kontrastów i podobieństw. Callie, biedne dziecko samotnej matki, która się nad nią znęcała, znajduje ojca i kochanka w osobie Andre Howarda. Donna, prawdziwa księżniczka, bogata córka jednej z najbardziej znaczących rodzin w Baltimore. Po raz pierwszy dotarło do Cassandry, jak podobnie brzmią imiona Donna i Donntay. Zupełnie jakby Callie próbowała jakoś się zbliżyć do Howardów. Cassandra powinna usunąć się z tej historii i napisać prostą opowieść o Howardach i cichej dziewczynie, która rozsadziła ich życie jak bomba.

Tylko że... nie mogła się usunąć, bo spała z prawnikiem Callie, który – akurat tak się złożyło – był zięciem Howarda. I co z tym teraz zrobić?

Przypomniała sobie dzień spędzony na przeglądaniu mikrofilmów w bibliotece i moment, gdy zobaczyła twarz Rega. Pomyślała wtedy o seksie z tym mężczyzną, ale starała się to wyprzeć. „Wiadome dziecko”, powiedziała Gloria Bustamante. Nie, nie powiedziała: zasugerowała, podsunęła. Była równie ostrożna, jak naiwna okazała się jej klientka. Cassandra założyła, że wiadomym dzieckiem jest Donntay, potem – Aubrey, której samo istnienie przerwało wieloletnie milczenie Callie. A jeśli chodziło o pierwsze dziecko? To odebrane Callie na podstawie anonimowego doniesienia o jej stanie psychicznym? Syna Andre Howarda. Cassandra zobaczyła siebie, jak siedzi zgarbiona nad ekranem czytnika, wpatrzona w śmigające przed nią dni 1987 roku, i walczy z mdłościami, wywołanymi przez migające światło i zapach rozgrzanej kliszy. Z przeszłości wypłynął oderwany fakt, dziwny, zaskakujący... i znikł, zanim zdołała go uchwycić.

W następnej sekundzie już wiedziała. Dotarło do niej to samo, co dawniej zrozumiała Gloria. To, czego Callie nie umiała dopuścić do świadomości. Andre Howard popełnił błąd – i to nie jeden. Spłodzenie nieślubnego dziecka nie zburzyłoby jego pozycji. To sposób, w jaki rozwiązał problem, ściągnąłby na jego głowę powszechną pogardę i oburzenie.

Cassandra zamówiła dietetyczną colę na wynos i dostała ją wraz z pouczeniem kasjerki: proszę, trzeba było jednak zamówić Zestaw Okazja. Kto nie lubi stwierdzić: „A nie mówiłem”? Usiadła za kierownicą i wybrała numer, pod który nie powinna dzwonić w weekend. Cóż, miała – w pewnym sensie – interes, niewątpliwie bardzo pilny.

## Rozdział 33

Dzwoniąc do Cassandry – w odpowiedzi na jej telefon z prośbą o spotkanie – Reg nie zadał niemal żadnych pytań. Stwierdził tylko, że będzie na nią czekał w swoim domu. Sądziła, że wybrał to miejsce, żeby podkreślić profesjonalny charakter spotkania – pewnie uważał, że jej wizyta w pustej kancelarii jest zbyt dużym ryzykiem.

Cassandrze nie przyszło do głowy, że zastanie też Donnę.

– Reg chciał, żebym wam towarzyszyła – powiedziała, spokojna, opanowana i śliczna w niedzielnym ubraniu. Tak, to na pewno strój, w którym poszła do kościoła. Nawet nienaganna Donna w niedzielne popołudnie nie siedziałaby w domu w zielonym żakiecie z dzianiny. – Ponieważ książka będzie dotyczyć również mojego życia.

– Twojego? – powtórzyła Cassandra.

– Mojego dzieciństwa. Nie taki masz plan? Chciałaś chyba napisać o naszej drodze do dorosłości?

– Owszem, myślałam o tym – przyznała Cassandra. – Ale sporo się pozmieniało i...

– Oczywiście ty pewnie będziesz tą, której najlepiej się powiodło. – Donna potrafiła wpaść rozmówcy w słowo, nie sprawiając przy tym wrażenia niegrzecznej ani zniecierpliwionej. – Dlatego tak cię zainteresowały nasze historie, prawda? Tisha jest miłą mamusią z przedmieścia, Fatima przeszła zdumiewającą przemianę z rozrywkowej dziewczyny w opokę Kościoła, a mnie ludzie znają jako czyjaś córkę i czyjaś żonę. Za to ty jesteś naszą małą gwiazdą.

Mówiła dobrodusznym, przyjaznym tonem, wciąż z tym samym uśmiechem i gładkim czołem. Cassandra przysięgłaby, że słyszy w jej głosie – choć może jednak tylko jej się zdawało – ostrą nutę, jak trzask cieniutkiej warstwy lodu pod stopami, kiedy ziemię skuje pierwszy przymrozek. Zerknęła szybko na Rega, chcąc odczytać coś z jego twarzy. Niestety stał odwrócony tyłem. Dokładał do ognia na kominku, który w marcowe popołudnie wydawał się zbędnym nadmiarem. Cassandra uświadomiła sobie nagle, że jest jej strasznie gorąco, i niemal pożałowała, że to nie menopauza. Wolałaby już menopauzę od tego dławiącego uczucia wstydu i upokorzenia. Czy Reg powiedział Donnie o ich romansie? Powinna z nim zerwać, zanim pojechała do Callie. Nie – przede wszystkim nie powinna w ogóle tego zaczynać.

Cóż, w innych sferach życia umiała się zdyscyplinować, ale nigdy nie potrafiła sobie odmówić mężczyzny, którego pragnęła.

– Donno, nie wiem, czy to dobrze, że tu jesteś.

– Ależ proszę cię! – Donna podniosła dłonie, jakby Cassandra właśnie powiedziała średnio zabawny dowcip. – Reg i ja nie mamy przed sobą tajemnic.

Cassandra dałaby wiele, żeby jednak zobaczyć twarz Rega, który postanowił chyba za wszelką cenę unikać kontaktu wzrokowego. Niesamowicie, ileż starań i troski wymaga ten kominek!

– W weekend znalazłam Callie Jenkins.

– Tak, w Bridgeville.

– Wiesz, gdzie mieszka? Reg mówił, że nie ma pojęcia.

Donna kiwnęła głową.

– Troszeczkę cię okłamał. Przykro mi z tego powodu, ale nikt, zwłaszcza Callie, nie skorzysta na tym, że odgrzebiesz sprawę. Słyszałaś takie powiedzenie, że każdy dobry czyn zostaje ukarany? Mój ojciec chciał pomóc Callie, a teraz ona rozpuszcza te plotki na jego temat. Nie ma w tym najmniejszego sensu, ale ludzie przywykli już do tego, że prawda może być bezsensowna. To chyba klucz do sukcesu w twoim biznesie, prawda?

– Moim biznesie?

– W pisarstwie. Prawda jest dziwniejsza niż fikcja. Dlatego ludzie są skłonni uwierzyć w takie bujdy, jak to, co mówi Callie. Prościej było zapewnić obrońcę za darmo i zapłacić jej, zamiast pozwolić, żeby upokarzała go łgarstwami nie z tej ziemi.

Cassandra nauczyła się od Callie czegoś przydatnego. Nie trzeba odpowiadać od razu, zawsze można uciec w milczenie. Starannie rozważyła słowa Donny i znalazła słaby punkt.

– A Fatima? Jakie ona niestworzone historie opowiada? Dlaczego dostaje pieniądze? Może po prostu chodzi o to, że też była wolontariuszką w kampanii i romansowała z twoim ojcem. I również, jak rozumiem, miała z nim kontakty seksualne?

– Mąż Fatimy prowadzi wynajem limuzyn. Podczas kampanii stale korzysta się z usług transportowych. Jestem pewna, że Fatima chętnie ci to objaśni.

– Mnie może okłamać, tego prawo nie zabrania. Ale czy powie to samo przed ławą przysięgłych?

– Och, ławy przysięgłych raczej nie będzie to obchodzić. A poza tym, skoro można cię oszukać bez żadnych konsekwencji, jak sama mówisz, czemu zakładasz, że Callie powiedziała prawdę?

Reg odwrócił się wreszcie od kominka, ale chyba nadal wolał zostawić ster rozmowy w rękach żony. Miał wystudiowany wyraz twarzy. Cassandra nie umiała stwierdzić, czy jest zły, czy przybity. Albo czuje się zdradzony. Okłamałaś mnie, chciała powiedzieć. Mówiłeś,

że nie wiesz, gdzie ona jest. Z drugiej strony oboje byli cudzołożnikami, a oszustwo to podstawa zdrady. Przed oczami przemknął nagle obraz Rega siedzącego w samym ręczniku przed jej laptopem. Przypomniała sobie zrezygnowany ton, jakim powitała ją Fatima, i całkowity brak zaskoczenia na widok dawnej przyjaciółki. Reg mógł przejrzeć zawartość komputera, szukając konkretnych nazwisk, żeby sprawdzić jej postępy. Czy tylko dlatego poszedł z nią do łóżka?

– Może to jednak powinna być rozmowa w cztery oczy? – zwróciła się do Rega.

– Oczywiście. – Donna ze zrozumieniem pokiwała głową.

Ale z pokoju wyszedł Reg, nie ona.

– Musisz mu wybaczyć – odezwała się Donna, kiedy zostały same. Po raz pierwszy do Cassandry dotarło, co to znacz mówić lodowatym tonem. Donna mogłaby trzymać w zaciśniętych ustach kostkę lodu, a ta by się nie stopiła. – Sporo przeszedł. Zdawał sobie sprawę, że moja rodzina pomagała Callie. Ale nie wiedział, że w grę wchodził szantaż, chociaż coś podejrzewał. Wuj Julius zawsze miewał... skłonności.

– Wuj Julius? A nie twój ojciec?

Donna sprawiała wrażenie trochę zagubionej. Była silna, ale nie przywykła do otwartej walki. W jej świecie nie mówiło się o niemiłych sprawach. A mąż musiał się nauczyć, że lepiej nie zadawać zbyt wielu pytań o klientkę, którą reprezentuje na polecenie szefa.

– Nie chodzi o mojego ojca. To wszystko, co musisz wiedzieć. Nie będzie upokarzany tylko dlatego, że jakiejś podstarzałej zaćpanej dziwce nagle zachciało się więcej pieniędzy.

– Callie nie chce pieniędzy. Rozmawiając ze mną, ryzykowała, że je straci.

– Zmanipulowała cię.

To samo mówiła Teena. Tak, ale ona była wstrząśnięta, załamana, zawiedziona, że Callie nie przyznała się do winy.

– Powiem ci, czego się dowiedziałam. Callie miała romans z twoim ojcem i zaszła w ciążę. Zerwał z nią na miesiąc przed narodzinami chłopca. Callie była wściekła tak bardzo, że do aktu urodzenia podała nazwisko twojego ojca. Oczywiście akt urodzenia nie jest ogólnodostępnym dokumentem, ale istniał, był niebezpieczny i mogła go w każdej chwili wykorzystać, zażądać alimentów, a wtedy sąd nakazałby badanie DNA.

– Ale nie zażądała. O czym to świadczy twoim zdaniem?

Cassandra dokładnie przemyślała tę część historii.

– O tym, że kochała Andre Howarda i wierzyła, że kiedyś wreszcie porzuci dla niej twoją matkę. W ten sposób zdobył nad nią władzę. Tylko że Callie miała depresję, histeryzowała, stawiała się coraz bardziej nieprzewidywalna. Uczciwy, porządny Andre

Howard musiał się bardzo martwić. Ta sprawa była jak odbezpieczony granat. Potem Callie odebrano dziecko i oddano do adopcji. Co za szczęśliwe zrządzenie losu.

– Owszem, dla tego chłopca. Inaczej mógłby nie przeżyć, jak ten drugi.

– Mówimy o twoim bracie, Donno. Pomyśl o tym. O twoim przyrodnim bracie, wuju Aubrey. Straciłaś go na zawsze. Chyba że się zgłosi do jednego z tych rejestrów dla adoptowanych dzieci i ich biologicznych rodziców, które powstały w latach osiemdziesiątych. Wtedy, kiedy umarł Donntay.

– Oho, czyżbyś wracała do fikcji, Cassandro? Może tym razem lepiej ci się uda.

Atak trochę zabolął, choć jak na możliwości Donny był dość niezgrabny.

– Moim zdaniem to twój ojciec anonimowo doniósł opiece społecznej, że Callie zaniedbuje dziecko. A nawet jeśli nie on, z pewnością skorzystał z okazji, żeby przekonać Callie, że powinna oddać syna do adopcji. Niecałe pół roku po pierwszym doniesieniu o zaniedbaniach odebrano jej prawa rodzicielskie. Coś takiego jest możliwe tylko wtedy, gdy rodzic zrzeknie się opieki nad dzieckiem. Nie pozwoliby na to nawet najgorszy obrońca z urzędu. Ale Callie zgodziła się oddać własnego syna.

– O, to coś nowego. Jakiś jej ostatni wymysł.

– Nie, nie powiedziała mi tego z własnej woli. Wstydziła się, że tak łatwo zrezygnowała z dziecka. Dopiero kiedy zadzwoniłam do niej zeszłego wieczoru, przyznała, że to twój ojciec namówił ją, żeby oddała syna do adopcji.

– Ta historia robi się coraz bardziej fikcyjna, nie sądzisz?

– Raczej coraz bardziej logiczna. To wyjaśnia, dlaczego Andre Howard zgodził się pomóc Callie, kiedy zmarło jej drugie dziecko. Owszem, ich syn dosłownie zniknął: jego akt urodzenia został utajniony; nawet przed samym adoptowanym. Ale Callie wciąż chodziła po świecie, tak samo nieprzewidywalna jak wcześniej. Zaczęła ćpać i znów wpadła w dołek, jak po urodzeniu pierwszego dziecka. To znaczy, że mogła działać pod wpływem depresji poporodowej, czego oczywiście nie zechciał zauważyć żaden jej obrońca. Andre potrzebował sposobu, żeby ją kontrolować. Oskarżenie o morderstwo nadawało się doskonale. Nieważne, że okoliczności, jak opisała je Callie, wskazywały na przypadek śmierci łóżeczkowej, a sekcja dowiodłaby, że dziecko nie zostało zaniedbane. Jeśli Callie mówi prawdę, przeprowadzenie autopsji byłoby korzystne dla niej, ale nie dla twojego ojca. Nauczył ją milczeć, kazał zachować tajemnicę, a Callie nigdy nie kwestionowała jego poleceń. Inaczej niż Gloria. Ta zaczęła węszyć i wtykać nos w nie swoje sprawy. Dlatego odeszła z firmy, a obrońcą został Reg?

– Gloria ci to powiedziała? Jeśli tak, usuną ją z listy adwokatów...



– Gloria Bustamante nie odbiera moich telefonów. – To była stuprocentowa prawda. Gloria zapewne nic nie ryzykowała, przekazując im powszechnie dostępne dokumenty i płytę z muzyką, ale po co komplikować jej życie?

– Callie Jenkins nie nadawała się na matkę. Odebrano jej pierwsze dziecko...

– Za zaniedbania, nie za znęcanie się. Callie twierdzi, że nigdy nie podniosła ręki na żadnego ze swoich synów, a ja jej wierzę. Bo ona wie, co znaczy być bitym, nie zrobiłaby tego własnym dzieciom.

– Proszę cię. Przecież wiadomo, że bite dzieci chętniej stosują przemoc. A poza tym jej drugi syn był krakowym dzieckiem, dlatego przydzielono jej opiekunkę społeczną. Pewnie stale płakał, więc trzęsła nim, aż umarł.

– Krakowe dzieci to wymysł dziennikarzy.

– Ale wszystkie dzieci płaczą. Nigdy się nie dowiemy, co zaszło, prawda?

– Dlatego, że twój ojciec zabrał ciało Donntaya i dopilnował, żeby nikt nie znalazł zwłok. Kto skorzystał na tym, że Callie przesiedziała siedem lat w więzieniu, nie mówiąc ani słowa? Przede wszystkim twój ojciec.

Donna tupnęła kilka razy, jakby znudziła ją rozmowa, przez którą marnuje niedzielne popołudnie.

– Słuchaj, czego ty od nas chcesz?

– Niczego. Jestem tu z grzeczności. Napiszę o tym wszystkim, chociaż prawdopodobnie nastąpią konsekwencje prawne, jeszcze zanim ukaże się książka.

Donna machnęła dłonią, odganiając niewidocznego owada.

– Nie będzie żadnych konsekwencji prawnych. Jeśli nawet przekonasz kogoś, żeby wydał ten stek bzdur, może uda ci się zmusić prokuratora stanowego, żeby ponownie przyjrzał się sprawie. Ale wtedy słowo Callie będzie przeciwko słowu mojego ojca. Jak sądzisz, komu wszyscy uwierzą?

– To mnie nie obchodzi. Napiszę, co wiem, a ludzie sami zdecydują, po czyjej stronie jest prawda.

Donna najwyraźniej nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby ktokolwiek – Cassandra, czytelnicy, obce osoby – natychmiast nie zauważył, że członek rodziny Howardów przerasta wartością wszystkich ludzi na świecie.

– Chyba nie wyraziłam się jasno – stwierdziła. – Co chcesz za to, że zostawisz tę sprawę?

– Nie możesz mnie kupić. Podpisałam kontrakt na tę książkę. A nawet gdybym nie podpisała, czułabym, że mam obowiązek powiedzieć komuś, co wiem. Inaczej stałabym się współniczką. W tym tygodniu porozmawiam z prokuratorem stanowym.

– Chcesz Rega? – zapytała Donna tak, jakby proponowała jej kawę lub herbatę.

– Co?

– Dla ciebie. Na zawsze. To da się załatwić. Przyznaj, że jeśli napiszesz o tym wszystkim książkę, twoja wiarygodność stanie pod znakiem zapytania. Wiesz: wzgardzona kobieta, te rzeczy.

„A jeśli to jest naprawdę?” Cassandra sądziła, że Reg pyta, co się stanie, jeżeli ich romans zmieni się w poważny i trwały związek. Teraz musiała się zastanowić, czy niechęć nie dał jej wtedy znać, że została wmanipulowana w sytuację, która miała odwrócić jej uwagę i – tak – odebrać wiarygodność.

– Powiedziałaś swojemu mężowi, żeby poszedł ze mną do łóżka?

Donna westchnęła niecierpliwie, jakby była obsługiwana przez powolną ekspedientkę.

– Powiedziałam, żeby pomógł ci w projekcie. Chciałam, żebyśmy mieli na ciebie oko. Nie kazałam mu się z tobą pieprzyć, raczej miałam nadzieję, że tego nie robi. Ale znam go. Wiem o nim wszystko, wbrew temu, co myślą ludzie. A ty... no cóż, ze szczegółami opowiedziałaś o swojej rozwiązłości milionom czytelników. Za nic nie umiesz trzymać nóg razem. W twoim wieku to trochę niestosowne. Nawet Fatima z tego wyrosła.

– Być może z pomocą twojego ojca.

– Słuchaj, nie obchodzi mnie, co zaszło między tobą a Regiem. Mój mąż mnie kocha.

– A ty go kochasz?

Jak sprytny policjant, Donna nie zwracała sobie głowy pytaniami, na które nie zamierzała odpowiadać.

– Moglibyście całkiem miło ułożyć sobie życie. Nie w Baltimore. Tutaj zostałby wyklęty jako prawnik, gdyby tak mnie upokorzył, zostawiając dla jakiejś białej neurotyczki, która ciągle gada o sobie. Ale ktoś na pewno odkupiłby jego udziały w kancelarii i Reg byłby bogaty, nawet kiedy mi odda moją część.

Cassandra poczuła się oburzona w imieniu Rega niemal tak samo jak w swoim – kilkoma zręcznymi słowami została zredukowana do wstrętnej kreatury. „Biała neurotyczka, która ciągle gada o sobie”. Ale Donna, Fatima, a nawet Tisha skarżyły się, że im zafundowała to samo: przyszpiliła je do strony w książce paroma beztroskimi linijkami, które miały wystarczyć za całą charakterystykę. Odmalowany przez Donnę obraz Rega jako zupełnie bezwolnego mężczyzny był jeszcze mniej pochlebny.

– Sekrety są jak woda, Donno – odezwała się. – Kiedy woda zacznie wzbierać, prędzej czy później znajdzie słabe miejsce i przerwie tamę. Nie możesz już kontrolować Callie. A mnie nie zawstydzisz. Zawsze mówiłam prawdę na swój temat, nawet niezbyt miłą.

– Jesteś pewna?

– Oczywiście. – Nie mogła opanować rumieńca. Kilka spraw wolałaby utrzymać w tajemnicy. Niekoniecznie romans z Regiem. Pogodziła się, że to wyjdzie na jaw, jeśli podniesie rękę na Howardów. Byli też jednak Bernard i jego żona.

Donna podeszła do zabytkowego sekretarzyka, wymyślnego, przeładowanego dekoracjami mebla z takich, jakie architekci wewnątrz zwykli nazywać „mocnym akcentem” – eufemizmem dla „paskudztwa”. Kobieta naprawdę świadoma swojej wartości, z dobrym gustem nigdy nie pozwoliłaby sobie wcisnąć czegoś podobnego. Donna wyjęła z przegródki tekturową teczkę i podała Cassandrze.

– Co...?

To był raport policyjny, nie dłuższy niż dwie kartki. Z szóstego kwietnia 1968 roku.

– Możesz przeczytać na głos.

Cassandra wolała po cichu.

„Komenda otrzymała zgłoszenie o pobiciu w budynku numer 1800 przy Druid Hill Avenue. Patrol stwierdził na miejscu, że mężczyzna numer jeden bije mężczyznę numer dwa, podczas gdy kobieta numer trzy próbuje go powstrzymać. Napastnik, Manfred Watson, powiedział policjantom, że zastał swoją dziewczynę w łóżku z pokrzywdzonym, Cedrikiem Fallowsem. Pokrzywdzony uciekł z mieszkania...”

– To jakieś bzdury.

– Bzdury są w twojej książce. Sprawdź sobie godziny. W przyszłym miesiącu mija czterdziesta rocznica, na pewno znajdziesz mnóstwo informacji. W ten weekend doszło do kilku incydentów, ale nie w tej okolicy. I zamieszki zaczęły się dopiero późnym popołudniem. Twój ojciec zakradł się do swojej dziewczyny na mały numerek i dostał w tyłek od jej konkubenta. Potem wykręcił się udziałem w zamieszkach.

Mimo osłupienia Cassandra nie mogła nie zauważyć, że oficjalne, bezosobowe stwierdzenia raportu nadają sens wydarzeniom sprzed lat. Teraz było jasne, dlaczego ojciec uparł się, że przywiezie tort, dlaczego matka czekała w milczącym napięciu. Tort... Annie pracowała w cukierni Silbermana. Pewnie to ona zrobiła ciasto z syrenami dla Cassandry. Może ojciec poznał ją dwa miesiące wcześniej, kiedy kupował dla matki ten obrzydliwy tort z okazji urodzin Waszyngtona. Dlatego, zwykle tak wymowny, nie potrafił z prawdziwym dramatyзмом opisać ulicznego ataku, dlatego Annie czuła się zakłopotana, kiedy wpadła na

Cassandrę w szpitalu. Tylko że to nie ojciec rozpowiadał zmyśloną historię. To ona, Cassandra, przekazała ją światu. A Cedric Fallows był po prostu zbyt dumny, żeby wszystko sprostować.

– Prywatność mojej rodziny za prywatność twojej rodziny – zaproponowała Donna. – Co prawda twoja rodzina nie ma już prywatności, ale chyba wiesz, o co mi chodzi. Twoja wersja nie zostanie podważona. Chyba że zaczniesz mówić o Callie.

Przez głowę Cassandry przetoczyła się lawina myśli. Chciała dowodzić, że ich ojcowie bardzo się różnią. Cedric Fallows skłamał, fakt, ale kłamstwo było przeznaczone tylko dla jego żony i córki, nie dla całego świata. Natomiast Andre Howard żył w kłamstwie, obojętny na ból ludzi, których krzywdził, o ile nic nie zagrażało jego reputacji. Historia jej ojca stanowiła tylko część pierwszego tomu wspomnień, któremu nie sposób odmówić szczerości. Ale czy Cassandra również – w pewnym sensie – nie wykorzystywała Callie?

– Sekrety nie zawsze są takie złe – stwierdziła Donna. – A w tym przypadku nikt nie ucierpi. Callie Jenkins zabiła syna i przesiedziała siedem lat w więzieniu, prawdopodobnie więcej, niż gdyby skazano ją za morderstwo. Twój ojciec skłamał. Mój ojciec pozwolił się zaszantażować.

Cassandra odzyskała głos.

– Ludzie, którzy pozwalają się szantażować, zwykle mają coś do ukrycia.

– Wszyscy mają coś do ukrycia.

Cassandra zdała sobie sprawę, że dla Donny sekrety i tajemnice są codziennością. Co właściwie zdarzyło się między tobą a pierwszym mężem? – miała ochotę zapytać. Dlaczego to stało się tabu, nawet dla Rega? Czy właśnie z tego powodu nie możesz mieć dzieci? Czy naprawdę tak mało cię obchodzą zdrady męża? Czy to nie wyczerpujące: wciąż pamiętać o wszystkich rzeczach, o których nie należy mówić, utrzymywać tę perfekcyjną fasadę?

– Skontaktuję się z tobą, Donno. Nie mogę sama podjąć tej decyzji. Ale jedno powiem ci od razu: jeśli chodzi o twojego męża, odrzucam ofertę.

Opuściła Bolton Hill i ruszyła przez miasto, patrząc niewidzącym wzrokiem na znane ulice, ledwie odnotowując kilka charakterystycznych punktów, które pozostały jeszcze z czasów jej dzieciństwa. Dom pomalowany w pasy jak zebra, biegnąca przez Leakin Park cienista aleja, obsadzona drzewami w pąkach, sklep wielobranżowy Windsor Hill, zagarnięty przez sąsiadujące z nim stację benzynową i minimarket. Chrząst żwiru pod stopami przywołał ją do rzeczywistości. Warkot silnika na podjeździe wywabił matkę – wyszła z garażu, wycierając dłonie w szmatę.

– Zdawało mi się, że umawialiśmy się w restauracji, Cassandro. Poza tym przyjechałaś kilka godzin za wcześnie.

– Raczej czterdzieści lat za późno.

## Rozdział 34

Lenora zdejmowała warstwy starej farby z niskiego stoliczka.

– Wybacz, że będę pracować. Trochę za zimno na taką robotę, a boję się tutaj używać grzejnika. Nie mogę teraz przerwać.

– Nie poznaję tego stolika – powiedziała Cassandra, próbując znaleźć w garażu jakieś niezakurzone miejsce, gdzie mogłaby usiąść.

– Znalazłam go na śmietniku – oznajmiła matka z nieskrywaną dumą. – Stale coś wyrzucają w parku. Nie wiem, w jakim stanie jest drewno, ale zawsze mogę je pomalować.

W powietrzu rozchodził się zapach rozpuszczalnika – znajomy, choć nie kojarzył się Cassandrze zbyt dobrze. Jako dziecko często wstydziła się hobby matki, która z upodobaniem wywlekała graty ze śmietników albo zdobywała za grosze. Kiedy sama zaczęła nieźle zarabiać, rozkoszowała się możliwością kupowania rzeczy wtedy, kiedy ich potrzebowała, i nie zamierzała zbierać żadnych promocyjnych kuponów ani czekać na wyprzedaże. Uparła się też, że nie nauczy się dokonywać drobnych domowych napraw. Pamiętała pierwsze dzieło matki majsterkowiczki: montaż prysznica w łazience przy sypialni córki. Przedsięwzięcie wymagało trzech wypraw do sklepu z artykułami sanitarnymi w jedną deszczową sobotę. W końcu w łazience zostało zainstalowane jakieś ustrojstwo marki Rube Goldberg z... nie, Cassandra do dziś nie miała pojęcia, jak nazywają się te wichajsterki. Nowy kran wystawał ze ściany na długość piętnastu centymetrów, przez co wciąż się o niego obijała. Trzeba jednak przyznać, że z każdym rokiem Lenora radziła sobie coraz lepiej. Teraz potrafiła sama złożyć młynek do odpadków, zamocować sztukaterię, położyć płytki na podłodze – owszem, samoprzylepne, ale to nie umniejszało jej zasług. Dawała sobie radę nawet z elektryką. Miała już jednak ponad siedemdziesiąt lat; traciła siłę i sprawność w dłoniach. Co zrobi – kim się stanie – kiedy nie będzie już mogła niczego więcej remontować ani naprawiać?

– Wiem o tacie i Annie – odezwała się Cassandra.

Lenora nawet nie podniosła głowy.

– Aha, powiedział ci? Martwił się o tę sprawę.

– Jak to... – Te ich rozmowy. Ojciec nie dzwonił do matki, żeby dręczyć ją relacjami ze spotkań z Cassandrą. Nie: zwierzał się jedynej osobie, która znała prawdę. – Wiedziałaś? Od początku?

– Nie od samego początku. – Lenora zabrała się do nóg stolika, wzdychając lekko. – Zawsze zapominam, jaki kłopot jest z nogami. Mówię sobie: zacznę od nóg, bo blat to

łatwizna, więc zostanie na deser. I zawsze zapominam. Czyszczenie płaskich powierzchni to o wiele większa przyjemność.

Cassandra nie zamierzała pozwolić na zmianę tematu.

– Więc od kiedy?

– Dowiedziałam się niedługo po tym, jak odszedł na dobre. Wcześniej już miałam pewne podejrzenia. Najpierw tak się uparł, żeby wyjść z domu w twoje urodziny, potem zobaczyłam Annie w szpitalu. Tylko że ona była... zupełnie inna niż te jego wcześniejsze kościste żony profesorków. Mówiłam sobie: Przecież nie może jej kochać, ona nie czyta nawet „New York Review of Books”!

Cassandra nie zdołała powstrzymać się od śmiechu, a Lenora zawtórowała, kiedy tylko zrozumiała, że córka nie z niej się śmieje. Zastrzeżenia matki tak bardzo przypominały własne wątpliwości co do kobiety, którą wybrał ojciec!

– Widziałś raport policyjny? – spytała ze skrytą nadzieją, że matka odpowie: „Raport? Jaki raport? Nie było żadnego raportu!” Ale czy to ważne? Lenora właśnie potwierdziła, że raport jest zgodny z prawdą.

– Kiedyś zdobyłam nawet kopię. Myślałam, że uda mi się wytargować lepsze warunki finansowe. Ale, jak mawiał twój ojciec: z kamienia krwi nie wyciśniesz. Po prostu nie miał aż tyle.

– Dobrze, ale dlaczego pozwoliłaś, żebym uwierzyła w... jego wersję? Dlaczego się zgodziłaś, żeby mnie okłamał, skoro... skoro...

Nie musiała kończyć. Lenora prawdopodobnie sama zastanawiała się nad tym od lat.

– Skoro mogłam przeciągnąć cię na swoją stronę? Więc... nawet jeśli nienawidziłam twojego ojca, a tak było przez wiele lat, nie chciałam, żebyś ty też go znenawidziła. Bardzo skomplikował ci życie, ale... – Jej oczy wezbrały łzami, których nie mogła otrzeć, mając na rękach grube, gumowe rękawice wysmarowane rozpuszczalnikiem. Widząc, jak przyciska twarz do ramienia, Cassandra poczuła, że sama zaraz się rozplacze. – Zawsze byłaś córeczką tatusia. Mogłam popsuć jego obraz w twoich oczach, ale tego nigdy nie chciałam. Pragnęłam tylko, żebyś mnie też uważała za... godną zainteresowania.

– Och, mamó, przecież jesteś niezwykła – powiedziała Cassandra.

Nigdy nie mówiła tego głośno, ale zawsze tak myślała. Jej matka była niezwykła. Cassandra wróciła myślami do początku swojej pierwszej książki, do opowieści o tym, jak zaczęła mówić. Nie poświęciła zbyt wiele uwagi roli matki w tej ulubionej rodzinnej opowieści, nie zastanowiła się nad przerażającym wyborem, jakiego ta musiała dokonać, gdy skierowała samochód w dół oblodzonej Northern Parkway. Jak musiała się czuć kobieta

zamknięta w domu z dzieckiem – niemym dzieckiem – której mąż poruszał się w świecie idei i mądrych słów? Czy naprawdę Lenora różniła się tak bardzo od Callie, pogrążonej w depresji, przytłoczonej życiem, marzącej o mężczyźnie, którego nigdy nie zdobędzie? Cedric uwodził Lenorę, recytując Poego, zalecał się do niej – a potem ruszył dalej. Porzucił matkę na długo przed tym, zanim poznał Annie. A mimo to nie wykorzystwała swojej wiedzy, żeby zwrócić Cassandrę przeciwko niemu.

Lenora pokręciła głową, odrzucając komplement.

– Nie, byłam śmieszna, żenująca. Tolerowałam mnie, nic więcej. To by się nie zmieniło, gdybym pozwoliła ci odkryć kłamstwa ojca. Nie chciałam względnego podziwu. Chciałam czegoś prawdziwego.

– Nigdy nie uważałam, że jesteś śmieszna. – Oczywiście, że uważała. – I wstydziałam się ciebie tylko jako nastolatka. Wtedy każdy wstydzi się swojej matki.

– Może „śmieszna” to złe słowo. Nudna. *Córka swojego ojca*. Ten tytuł mówi wszystko. Zupełnie jakbyś wykluła się z jajka, które wysiedział ten słoń, wiesz.

Ojciec na pewno nawiązałby do historii Zeusa i Ledy, ale Cassandrze spodobało się, że matka wybrała doktora Seussa<sup>27</sup>.

– Horton?

– Tak, Horton. Zupełnie jakby słoń wysiedział jajko, kiedy ja się gdzieś włóczyłam.

Lenora opanowała się i wróciła do pracy. Jej ramiona lekko drżały, jak gdyby wciąż powstrzymywała gwałtowne emocje, lecz poza tym sprawiała wrażenie całkiem spokojnej.

– Kiedy się dowiedziałam, od razu tu przyszedłam – odezwała się Cassandra. – Ktoś... grozi, że ujawni tę sprawę, ale mogę temu zapobiec. Decyzja należy do ciebie.

– Raczej do twojego ojca. Z nim porozmawiaj.

– Oczywiście. Ale ojciec zrobi to, co uzna za dobre dla siebie. On już wybrał. Ty nie. Co powinnam zrobić, mamó?

Uświadomiła sobie, że chyba po raz pierwszy w życiu prosi matkę o radę, której naprawdę potrzebuje, nie z czystej grzeczności.

– Pytasz, czy poczuję się upokorzona, jeśli ta sprawa wyjdzie na jaw? Może trochę. Ale to będzie nic w porównaniu z tym, co przeżyje twój ojciec. Z drugiej strony... pewnie mu ulży. Bał się tej rozmowy w Gordon School.

– O cholera. – Cassandra zapomniała o spotkaniu. Cokolwiek postanowi, nie może ciągnąć tej gry pozorów. Ale jeśli odwoła całe wydarzenie, będzie musiała podać wiarygodny

---

<sup>27</sup> Dr Seuss (wł. Theodor Seuss Geisel) – amerykański autor książek dla dzieci, m.in. *Horton, który słyszy Ktosia*. Tu mowa o książce w tłum. St. Barańczaka: *Słoń, który wysiedział jajko* (przyp. red.).



powód albo nawet zwrócić wydatki, jakie dotąd poniosła szkoła. „Sekrety są jak woda”, ostrzegła Donnę. Nie wiedziała wtedy, że jej samej przyjdzie ukrywać tajemnicę.

– Dlaczego tata nic nie powiedział, zanim wyszła książka?

– Było za późno. I nie sądziliśmy, że tyle ludzi ją przeczyta...

– Oczywiście. – Zabawne, przypomnienie, że rodzice nie wierzyli w jej sukces, wciąż smakowało gorzko.

– Poza tym ojciec nie chciałby, żebyś usunęła z książki tę historię. W końcu ty w nią wierzyłaś. I zrobiłaś z niej coś naprawdę pięknego. No a najważniejsze sprawy się zgadzały.

– Jak to?

– Twój ojciec i Annie się kochali. Naraził dla niej życie. Zdradzony chłopak najpierw rzucił się na Annie, a twój ojciec ją obronił. Nieważne, czy Cedric spotkał ją w samym środku zamieszek, czy kupując ten idiotyczny tort z Waszyngtonem w cukierni Silbera. Przytrafiła mu się miłość od pierwszego wejrzenia, i to go na zawsze zmieniło. Poza tym był z ciebie dumny, kochanie.

– Jasne, kiedy książka zaczęła się dobrze sprzedawać.

– Nie, kiedy skończyłaś pisać. Nie mógł się tym nacieszyć. Prawdę mówiąc, wtedy rozmawialiśmy pierwszy raz od lat. Preczytał tamten...

– Wstępny wydruk. – Pamiętała tę zwyczajną książkę, w gładkiej niebieskiej okładce. Zawsze myślała o niej z wielką czułością. W dniu, w którym wyciągnęła tomik z koperty FedEksu, miała wrażenie, że życie zaczęło kipieć nowymi możliwościami. Pod niejednym względem spełniły się jej marzenia i nadzieje, które wtedy snuła. Dlaczego więc nie czuje się szczęśliwsza?

– Tak. Zadzwoił do mnie zaraz potem, chyba pierwszy raz, od kiedy skończyłaś liceum, i powiedział: „Uwierzysz, że to nasza córka?” Och, zachowywał się nieznośnie, biegał po mieście i przed wszystkimi się przechwalał, jaką to jesteś świetną pisarką.

– Naprawdę?

– Naprawdę. To ja zapytałam: „No tak, a co z... tym faktem? Bo naprawdę było trochę inaczej”. A on na to: „Opisała to tak pięknie, że teraz stało się prawdą”.

Za późno, za późno.

Nie zwracając już uwagi na pył i kurz, Cassandra opadła na stary kuchenny stołek, pamiętający jeszcze szwedzki okres w dekoratorskiej karierze jej matki. Może na tym samym stołku siedziała czterdzieści lat temu Callie. Na Hillhouse Lane w niedzielne popołudnie panowała cisza, w której słychać było każde pociągnięcie kłębka stalowej wełny po nodze stolika, szum wiatru w koronach drzew, odległy pomruk silników od strony Forest Park

Avenue. Cassandra spojrziała na stolik. Pełne sęków, węzłaste drewno, zdaje się, że najtańsza sosna. Matka pewnie go pomaluje. Renowacji mebli znalezionych na śmietniku poświęcała wiele godzin pracy. Teraz, po tych wszystkich staraniach, zyska stolik, jaki mogłaby kupić za pięćdziesiąt, sześćdziesiąt dolarów w każdym sklepie meblowym średniej klasy. Cóż, pracowała z tym, co miała. Jak każdy.

– Co zrobisz, Cassandro?

– Jeszcze nie wiem, mamó. W grę wchodzi pieniądze, kwestie prawne. Jestem winna wydawcy książkę. Jeśli jej nie dostarczę, będę musiała zwrócić sporą sumę.

– Masz tyle pieniędzy?

– Możliwe. Problem w tym, że główny wątek moich wspomnień okazał się właśnie fikcją. Jeśli wycofają książkę, dadzą na przemiał... stracę dochody. Na wiele lat.

Matka wyglądała na przestraszoną. Udźwignęłaby skandal – ale kłopoty finansowe wciąż ją przerażały.

– Wszystko będzie dobrze – uspokoiła ją Cassandra. – Jakoś się ułoży. Mogłabym wykręcić się od problemu, pisząc książkę o tobie. *Córka swojej matki*. Wreszcie powiedziałabym prawdę, a ciebie zrobiłabym główną bohaterką.

Żartowała. Tak, chyba żartowała.

– Nie, dziękuję – odparła Lenora. – A poza tym w przyszłym tygodniu skończysz pięćdziesiąt lat, Cassandro. Kimkolwiek jesteś i cokolwiek piszesz, jesteś teraz przede wszystkim sobą. Przynajmniej powinnaś być.

# **Weseli wędrowcy**

2-3 września

## Rozdział 35

Bal „maturalny”, który urządzili Howardowie z okazji ukończenia przez nas podstawówki i rozpoczęcia nauki w gimnazjum, miał być pamiętnym wydarzeniem. Dla mnie ten wieczór był pełen melancholii. Wszystko przypominało mi, że odtąd będę się uczyć w innej szkole niż pozostali. Na kolory przyjęcia wybrano kasztanowaty i złoty – barwy Lemmel – a na wykwintnym torcie umieszczono napis: „Oto my, Szkoła 79!” Nie wiedziałam nawet, jakie barwy ma Rock Glen, choć uczęszczałam już na kurs przygotowawczy, podczas którego uczono nas szkolnego hymnu na melodię polki *Wesoły wędrowiec*.

*Stajemy, by zaśpiewać pieśń,  
jej słowa wiernie odtąd nieść:  
Nauki czas  
z zabawą wraz -  
To nasza Rock Glen School!*

– O rany, Cassandro. Ale ty się wydzierasz – skomentowała Fatima moje wykonanie hymnu.

Dostałam też spis wymagań odnośnie do szkolnego stroju, który bardziej kładł nacisk na to, czego nie wolno, niż co wolno. Dodatki traktowano jako potencjalną broń. Zakazywano noszenia drewniaków – wtedy to były potężne kłoc drewna ze Szwecji – metalowych spinek oraz niezapiętych pasków. Prawdopodobnie chodziło o to, żeby utrudnić wyciągnięcie paska ze szlufek i użycie go jako pejcza. Żałuję, że nie mogę określić listy zakazów jako świadectwa przesadnej czynności i konserwatywnej hysterii. Niestety, w naszej szkole wszystkie te zasady miały głęboki sens. W Rock Glen panowało prawo pięści – chociaż uczniowie w klasach z rozszerzonym programem zwykle poruszali się po korytarzach w bezpiecznej bańce, z dala od szkolnych łobuzów. W roku, kiedy robiłam maturę, w Rock Glen wybuchły zamieszki. Lemmel słynęło jako jeszcze twardsza szkoła życia, lecz o tym na przyjęciu nikt nie wspominał.

Dom Howardów był architektonicznym cackiem – nowoczesny jak na tamte czasy, zaprojektowany tak, że front nie zdradzał prawdziwych rozmiarów budynku ani jego wysmakowanego luksusu. Nie, dowody zamożności Howardów widziało się dopiero na

tyłach domu, położonego w taki sposób, żeby w pełni wykorzystać zalety działki na lesistym zboczu nad Gwynn's Falls. Tylne fasada została niemal całkowicie przeszklona, co pozwalało podziwiać piękno wodospadów i okolicy. Kilka miesięcy wcześniej jakaś dziewczyna, zbiegając z tego wzgórza, tak się rozpędziła, że wpadła do wezbranego po fali deszczów strumienia i utonęła. Donna twierdziła, że jej rodziców nie było wtedy w domu – inaczej ojciec na pewno uratowałby dziewczynę. W ogrodzie znajdował się basen, otoczony szerokim kamiennym murkiem. My też mieliśmy basen, ale nie było nas stać, żeby go napełnić – nawet zanim odszedł ojciec – nie mówiąc już o usunięciu pęknięć i przywróceniu go do użyteczności. Tańczyliśmy wtedy wokół basenu Howardów, ale nikt do niego nie wskoczył – nie tamtej nocy.

Przyjęcie dobiegało końca, kiedy wpadł między nas młodszy brat Tishy; pewnie kazano mu zawołać siostrę, bo przyjechali po nią rodzice. Reginald Barr był wtedy znany jako Słodziak. Tisha nigdy nie pozwoliłaby sobie tak nazywać. Przezwisek Słodziak mogłoby zniszczyć dzieciaka o mniej silnej osobowości, ale Reggie przyjął je z radością, a nawet uzupełnił popisowym tańcem, który wykonywał przy każdej okazji, śpiewając przy tym piosenkę Astors. „Bzzz, bzzz”, wołał, kręcąc się w kółko. Tisha przewracała oczami zirytowana, że młodszy brat przeszkadza w zabawie. Słodziak śpiewał jednak dla Donny, naszej gospodyni. Nie pamiętam już dokładnie słów: to była typowa piosenka o miłości, pełna niebieskich oczu i ust słodkich jak miód. Kiedy „Słodziak” Barr doszedł do fragmentu o tym, że oświadcza się dziewczynie, która kiedyś zostanie jego żoną, przykląkł na kamiennych płytach nad basenem i wyciągnął ręce do Donny. Donna zasłaniała twarz, żeby stłumić – i tak cichy – śmiech, lecz Słodziak wcale się nie przejmował. Mogła się z niego śmiać, proszę bardzo; ważne, że się śmiała. Śmiech Donny był rzadką nagrodą – wszyscy o nią zabiegaliśmy.

– Problem w tym, że jego tam wcale nie było – powiedziała Tisha, otwierając tom w miejscu zaznaczonym samoprzylepną karteczką. Trzymała w rękach egzemplarz *Córki swojego ojca* w twardej oprawie, który stał się ostatnio podwójną gratką dla kolekcjonerów: jako pierwsze wydanie bestselleru poddanego gruntownej rewizji. – To wszystko działo się na moich urodzinach, miesiąc wcześniej.

– Cóż, ogromnie dziękuję za poprawkę w tak kluczowej kwestii. Niestety, posłałam już do wydawnictwa nowy epilog, książka jest w redakcji.

Siedziały w tym samym podmiejskim lokalu, w którym spotkały się na lanczu pół roku wcześniej. Tym razem to Tisha zaproponowała wspólne wyjście. Wybrała również godzinę – późniejszą niż poprzednio, obiadową *happy hour*. „Lepiej później niż za wcześnie, żeby zdążyli się przewalić ci wszyscy nauczyciele”. Pozwoliła sobie też zamówić kieliszek wina. Mimo to Cassandra nie mogła wyzbyć się niepokoju. Tisha jest siostrą Rega i przyjaciółką Donny. Na pewno przyszła załatwić jakąś sprawę.

– Nie chodzi o to, żeby ci udowodnić, gdzie się pomyliłaś – powiedziała Tisha. – Tylko o to, że napisałaś prawdę. Nie widzisz? Już wtedy mój brat szalał na punkcie Donny. Ten taniec nie był zwykłym wygłupem. Reg zrobiłby dla niej wszystko.

– Doskonale o tym wiem.

– On ją kocha. O wiele bardziej niż ona kiedykolwiek kochała jego, i w tym cały dramat. Może nie zrozumiałaś, co widzisz, ale wychwyciłaś moment, w którym ustawił ją na piedestale.

– Hm... – Ten wstęp, choć najwyraźniej Tisha miała dobre intencje, nie poprawił sytuacji. Po co podkreślać drobiazgi, które oceniła właściwie? W niczym nie zmieni to faktu, że myliła się w tylu ważnych sprawach.

Jeszcze bardziej niepokojące było to, jak małe zainteresowanie wzbudziły jej próby opowiedzenia świata prawdy. Z błogosławieństwem ojca – jak przewidziała Lenora, z ulgą uwolnił się od tajemnicy – Cassandra poszła do pierwszego wydawcy, Belle, i wyjaśniła, że najważniejszy wątek *Córki swojego ojca* jest kłamstwem. Spodziewała się, że istniejące egzemplarze książki zostaną wycofane i oddane na przemiał. Ale Belle zaproponowała nowe wydanie z obszernym epilogiem, w którym Cassandra wytłumaczy wszystko i opowie o tym, jak sama się zmieniła od czasu napisania wspomnień.

– To wciąż piękna i poruszająca książka – stwierdziła Belle. – Moim zdaniem powinnyśmy ją tak zostawić, przedstawiając czytelnikom nowy kontekst. W końcu to opis twoich przeżyć, nie fikcja, nie zmyślona rzeczywistość. Kiedy pisałaś, to była twoja prawda. A teraz... to też prawda, tylko innego rodzaju.

Podczas pracy nad epilogiem – rozmawiała z rodzicami i szukała historycznych źródeł, żeby jak najzgodniej z faktami przedstawić zamieszki – Cassandra zdała sobie sprawę, że większa część książki pozostanie niezmieniona. Jak brzmiały te bolesne słowa, które jej wytykano? „Martin Luther King dał się zamordować i popsuł mi urodziny, leee-lee-lee”. Pozbawiona fałszywego wątku, nieistniejącego w rzeczywistości powiązania z ważnym historycznym momentem, *Córka swojego ojca* zmieniła się w prawdziwie smutną opowieść o dziewczynce, która potrzebowała wielkiego mitu, żeby pogodzić się z pospolitą zdradą ojca.

W epilogu nie wyjawiała okoliczności, w jakich poznała prawdę – napisała tylko, że ktoś przekazał jej kopię policyjnego raportu. I chociaż dawny wydawca – kolejne szczęśliwe spotkanie po latach – rzucił mediom kilka kąsków o posmaku skandalu, Cassandra zdecydowała się zachować większość szczegółów dla siebie. Zamówienia na nową wersję książki dobrze wróżyły, więc Belle zaczęła napomykać o uaktualnionym wydaniu *Wiecznej żony*. Cassandra nie stanęła w obliczu finansowej ruiny – wręcz przeciwnie. Po sprzedaniu domu w Brooklynie przekazała część pieniędzy Gordon School. Miała nadzieję, że po powrocie do Baltimore będzie ją stać na mieszkanie na najwyższym piętrze apartamentowca nad zatoką. Niestety, darowizna dla szkoły i decyzja o zwrocie zaliczki za książkę o Callie uszczupliły jej środki, tak że mogła sobie pozwolić jedynie na dom na osiedlu z widokiem na inny dom.

Nie przeniosła się do Baltimore ze względu na to, że w tym mieście żyje się taniej. Chciała być bliżej rodziców, zwłaszcza matki, która kiedyś będzie przecież musiała zrezygnować z domu przy Hillhouse Lane; może nawet wcześniej, niż jej się wydaje. Kilka tygodni temu Cassandra wpadła niezapowiedziana do matki i zastała ją we łzach. Lenorze zabrakło siły, żeby odkręcić kolanko przy umywalce. Cassandra złapała klucz i – po solidnej porcji wskazówek – poradziła sobie z kolankiem.

– Jak ci się teraz podoba w Baltimore? – zapytała Tisha.

– Tęsknię za Nowym Jorkiem. Ale z drugiej strony mieszkam o krok od kilku niezłych restauracji, centrum handlowego, siłowni i sklepu ze zdrową żywnością. Czego więcej mi potrzeba? Poza tym mogę być u ojca i u matki w ciągu pół godziny. A co u twoich rodziców?

– Ciągłe mieszkają w tym samym domu; są na tyle zdrowi, że radzą sobie sami. – Tisha odpukała w mahoniowy blat stołu. – Zobaczy – my jak długo. Cieszę się, że Reg ma dość pieniędzy, żeby im pomóc w razie czego. I wcale mi nie wstyd. My musimy zapłacić za dwa chesne w college’u.

– Zastanawiałam się, czy nie kupić domu na Bolton Hill. Przypomina mi Brooklyn. Ale...

– Bałaś się, że prędzej czy później wpadniesz na Rega i Donnę.

– Możliwe. Sama nie wiem. Dziwne, że ta sprawa wywołała tak mało zamieszania, nie sądzisz?

Tisha wzruszyła ramionami.

– To już stara historia. A czego się spodziewałeś?

Proroctwo Donny dotyczące Callie Jenkins okazało się słuszne. Dzięki pieniądzom i radom Cassandry Callie znalazła prawnika, który umówił ją na spotkanie z prokuratorem

stanowym. Powtórzyła przed nim wszystko, co powiedziała Cassandrze, na co prokurator podziękował jej za „wyznanie” i stwierdził, że oskarżanie jej o zabicie dziecka byłoby bezcelowe. Spędziła przecież w więzieniu siedem lat – zapewne więcej, niż wynosiłby wyrok za morderstwo. Nagła śmierć łóżeczkowa wydawała się prawdopodobnym wyjaśnieniem zgonu Donntaya, a ponieważ nie można przeprowadzić sekcji, ława przysięgłych musiałaby zdecydować, czy Callie jest wiarygodna. Przysięgli w sądach miejskich słynęli z łagodności; wystarczyłby głos jednego sceptycznego obywatela, żeby zatrzymać całą machinę karną.

Krótko mówiąc, prokurator stanowy nie uwierzył w ani jedno słowo, ale postanowił, że nie będzie marnować pieniędzy na proces.

A Andre Howard i pieniądze, które przekazywał kilku osobom przy okazji kampanii wyborczych brata? Callie usłyszała, że informacja o tym trafi do władz federalnych, ale Julius Howard zrezygnował z ubiegania się o ponowny wybór, więc sprawa pewnie nie wzbudzi zainteresowania. Nie ukradł środków z kampanii, pozwolił tylko przepuścić pewne sumy przez księgi. Cassandra zasugerowała, że Callie mogłaby iść z tym do mediów, które rzucają się jak sępy na nowinę o skandalu w rodzinie Howardów. Albo żeby wydała własną książkę. Obiecała, że znajdzie agenta, a nawet napisze za Callie, anonimowo i bez wynagrodzenia.

Callie odrzuciła wszystkie propozycje. „Nie mam ochoty mówić”, stwierdziła po prostu. Choć straciła część dochodów, nie chciała wykorzystać swojej wiedzy na szkodę Howardów. Martwiła się tylko o matkę, ale pozbawiona środków do życia Myra Tippet bez trudu zakwalifikowała się do programu rządowej pomocy. Callie wystarczyło do szczęścia, że przyszłość jej matki została zapewniona. Powiedziała Cassandrze, że znajdzie pracę. Niewiele potrzebuje. Dom i samochód ma opłacony. Ludzie ze szkoły, w której była wolontariuszką, chyba mogą jej dać zajęcie.

– Ale gdybyś sprzedała książkę – tłumaczyła Cassandra – nie musiałabyś w ogóle martwić się o pieniądze. Poszłabyś do szkoły gastronomicznej, jakoś wykorzystала to, że umiesz piec. Mogłabyś...

Callie nie chciała słuchać. „Nie mam ochoty mówić”, powtarzała. Wtedy brzmiało to jak wyrzut. Minęło trochę czasu, zanim Cassandra uświadomiła sobie, że Callie Jenkins nigdy nie pouczałaby, jak ktoś ma żyć. Ty idziesz swoją drogą, ja swoją, chciała powiedzieć Cassandrze. Żadna z dróg nie jest dobra czy zła.

Pewne – niewielkie – pocieszenie stanowił fakt, że Howardowie będą musieli żyć z myślą, iż Callie może zmienić zdanie. Poza tym Andre Howard wiedział najlepiej, jak doskonale opanowała sztukę milczenia. Może właśnie dlatego kiedyś ją wybrał. A może naprawdę ją kochał. I to, i to mogło być prawdą.



Po skończeniu *Córki swojego ojca* Cassandra zastanawiała się, czy ma jeszcze coś do powiedzenia. Może znów zabierze się do pisania powieści? W końcu dotąd pisała głównie fikcję.

– Pracujesz teraz nad czymś? – zapytała Tisha.

Czyżby śledziła jej myśli? Nie, to zwykła uprzejmość.

– Zamierzam zrobić sobie rok wolnego. Będę prowadziła seminarium kreatywnego pisania u Hopkinsa, poukładam myśli, znajdę jakieś towarzystwo. Właściwie nie znam nikogo w Baltimore poza rodzicami. Bardzo chętnie spotkałabym się z tobą od czasu do czasu.

– To byłoby... skomplikowane. Donnie by się nie spodobało, a co nie podoba się Donnie, nie podoba się też Regowi.

– Muszą wiedzieć?

– Prędzej czy później się dowiedzą. Baltimore to naprawdę małe miasto.

Cassandra się uśmiechnęła.

– Mówisz tak, jakby chodziło o romans. Ale ja jestem dyskretna. Mam doświadczenie w tych sprawach.

Tisha zasłoniła uszy.

– Nie chcę o tym słyszeć, jasne? – Ale i ona się uśmiechała.

Cassandra spojrzała na swoją starą książkę, z której wystawał brzeżek różowej kartki samoprzylepnej. Tisha kupiła tę książkę wiele lat temu. Pamiętała Cassandrę, cokolwiek mówiła.

– Pewnie powinnam była zapytać, co twoim zdaniem pokręciłam w swoich wspomnieniach. Owszem, wysłałam już korektę, nie mogę wprowadzić dużych zmian. Ale będę miała okazję poprawić drobne błędy. Więc jeśli coś naprawdę nie daje ci spać...

– Wszystko jedno, co napiszesz o przyjęciu. To nie jest aż takie ważne.

– A bójka?

– Bójka?

– W dziewiątej klasie, kiedy Martha zaatakowała mnie na boisku do softbola. Ty, Donna i Fatima tylko patrzyłyście. Stałyście daleko, ale nic nie zrobiłyście. Zdawało mi się, że do tej historii macie najwięcej zastrzeżeń.

Tisha przywołała kelnera wzrokiem i zamówiła jeszcze jeden kieliszek wina dla siebie i Cassandry.

– Więc jak? – przycisnęła Cassandra.

– No dobra, skoro pytasz. Po pierwsze, widziałas, żeby Donna kiedykolwiek się biła?

– Nigdy nie używała pięści – przyznała Cassandra. – Ale ja też nie, częściowo dlatego, że w podstawówce zawsze trzymałyście moją stronę. Wiedziałaś, że to ja tam leżę na ziemi?

– Tak. Poznałam cię nawet w dresie. A w dodatku napadły na ciebie we trzy, jak tchórze. Ale wiesz, co jeszcze widziałam z miejsca, w którym stałyśmy?

Cassandra pokręciła głową.

– Cztery białe dziewczynki. Gdybyśmy pobiegły ci na pomoc, nauczyciele uznaliby, że to bójka czarnych z białymi i że to my zaczęłyśmy. Cassandro, tamte trzy dziewczyny mogłyby kopać zakonnice, a ja bym się nie ruszyła o krok.

– Ale przecież byłyśmy przyjaciółkami.

– Owszem. Dawniej. Wszystko się skończyło, kiedy poszłyśmy do różnych gimnazjów. Oddaliśmy się, po prostu. A kiedy nie wróciłaś do Western w drugiej klasie... no cóż, nie wiedziałam, o co chodziło, póki nie przeczytałam o tym w książce.

– Naprawdę? – Cassandra nigdy nie pomyślała że jej losy też mogą być dla kogoś tajemnicą. Oczywiście, miała ten przywilej, że oceniała wszystko z własnej perspektywy. Przez trzydzieści pięć lat Tishę i ją dzieliło nie więcej niż pięćdziesiąt metrów. Stały na tym samym boisku do softbola, tego samego dnia, patrząc na to samo, widząc to samo... nie, właśnie nie to samo. Oddaliły się, niech będzie. Ale czy nie mogłyby się znów zbliżyć? – Jesteś pewna, że nie chcesz się ze mną spotkać od czasu do czasu? – zapytała. – Albo chociaż pogadać przez telefon? Lubię z tobą rozmawiać. Nikt nie zna mnie tak jak ty. I prawie nikt nie jest taki szczery.

W zatłoczonej restauracji panował gwar, ale Cassandra tego nie słyszała, jakby nie docierały do niej dźwięki. Wpatrywała się w Tishę, która siedziała zamyślona, ze ściągniętymi brwiami i zaciśniętymi ustami.

– A do diabła – powiedziała w końcu, podnosząc kieliszek do toastu. – Możemy się czasem spotkać. Tak jak teraz. Reg i Donna na pewno od tego nie umrą.

## Rozdział 36

Callie przejechała przez most – w pełnym świetle dnia, w sobotnie popołudnie, kiedy weekendowy ruch już zelżał. Teraz, kiedy mogła wybrać się, dokąd chciała, kiedy nie krępowały jej już żadne zakazy, odkryła, że wcale nie czuje palącej potrzeby powrotu do Baltimore.

I chociaż nigdy nie była mocna w mówieniu, miała jednak parę rzeczy do powiedzenia. Dokładnie jedną. Mogłaby to załatwić teraz i raz z tym skończyć. Przy takiej cenie benzyny – ponad cztery dolary za galon! – na pewno nie chciała zmarnować wyprawy. Pracowała w szkole, jako pomocnica do wszystkiego, z pensją tylko trochę wyższą od minimalnej, bez żadnych dodatkowych świadczeń. Ledwo starczało jej na życie, choć dom i samochód miała opłacone. Na szczęście ludzie ze szkoły byli gotowi pomóc komuś, kto wpadł w poważne kłopoty, zachorował albo spotkało go inne nieszczęście. Okazało się jednak, że stać ich na chrześcijańskie miłosierdzie. Jakoś da sobie radę.

Dom przy Clifton Road wyglądał inaczej niż zwykle. Zaczęła się martwić, że pomyliła miejsce, kiedy dotarło do niej, że nigdy nie widziała go w jasnym świetle dnia. Zawsze zakradała się tutaj szarym świtem albo o zachodzie słońca. Nawet przyjęcie z okazji zakończenia szkoły zaczęło się po południu, kiedy już się ściemniało. Dom nie wydawał się wtedy tak zaniedbany i pokraczny jak teraz, w gorącym blasku wrześnieego słońca. Uświadomiła sobie, że budynek ma mniej więcej tyle lat co ona sama.

Zaparkowała przed domem, dokładnie na środku, „odważna, że przepraszam bardzo”, jak powiedziała by matka. Podeszła do drzwi i zadzwoniła, jakby miała do tego pełne prawo. Otworzyła jej kobieta, pani Howard. Rzuciła na Callie tylko jedno spojrzenie i od razu zawołała: „Andre, ktoś do ciebie!”

– Czego chcesz? – zapytał.

Omal nie odpowiedziała: Ciebie.

Stojąc z nim twarzą w twarz, bliżej niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich dwudziestu lat, widziała mężczyznę, którego zapamiętała – nie staruszka. Czuła się niemal tak, jakby dotrzymał swoich obietnic i jakby żyli ze sobą przez ten cały czas, w ciągu którego nie zauważyła, jak się zmienił. Nie patrzyła na starego człowieka. Patrzyła na człowieka, którego kochała.

A on na miejscu ślicznej młodej dziewczyny zobaczył pewnie panią w średnim wieku.

– Chciałam, żebyś wiedział, że zgłosiłam się do rejestru. Więc jeśli nasz syn też się zapisze...

– Nie mamy żadnego syna. Nie obchodzi mnie, jakie kłamstwa podałeś do aktu urodzenia.

– Więc jeśli nasz syn też się zapisze – mówiła dalej bez wahania, choć uprzejmię – spotkam się z nim i powiem, dlaczego został oddany do adopcji. Jeśli chce wyjaśnień, ma prawo.

– Biedny dzieciak miał prawo do życia. Szkoda, że nie zrobiłaś tego samego dla swojego drugiego syna.

Zabolało, ale nie pokazała mu, że wciąż ma nad nią władzę, że nadal może ją zranić. Nie dała mu tej satysfakcji. W pewnym sensie... żałowała go. Jego serce pragnęło Callie, ale on wyrzekł się jej i siebie, ponieważ uznał, że musiałby zapłacić zbyt wysoką cenę. Czułby się z nią szczęśliwy, czyby się do tego przyznał, czy nie. A ona, kimkolwiek była, nie była nieszczęśliwa. Nie to, że całkiem szczęśliwa, ale nie nieszczęśliwa. Pocieszało ją to, że dla swojej sprawy – dla miłości do niego – poświęciła wszystko. Skoro sprawa okazała się tego niewarta... trudno. To już nie zmieni całego jej oddania.

– Wybaczam ci – odezwała się. – Nie mogę obiecać, że on też wybaczy, ale spróbuję mu w tym pomóc. O ile go poznam.

– Co ma mi wybaczyć?

Poklepała go po policzku – jak córka, nie jak kochanka.

– To nic, że nie byłeś silny. Ja byłam. Byłam silna za ciebie.

Tyle razy powtarzała sobie w myślach, co mu powie, ale tych słów nie było w wyuczonej roli. Mimo to dotarło do niej, że to prawda. Ona była silna. On nie. Był słaby i dlatego ją uwiódł, jeszcze słabszy, bo próbował zniszczyć dowody, że Callie istniała w jego życiu. Słyszała, że mężczyźni często pokornieją, widząc, przez co przechodzi kobieta podczas porodu. Co czuł Andre, kiedy siedziała w więzieniu, wiedząc, że to z miłości do niego, że mogła wszystko znieść w zamian za obietnicę jego miłości?

– Trzymaj się od nas z daleka – powiedział. – Jeśli będzie trzeba, załatwię zakaz zbliżania się. I nawet nie myśl o rozprowadaniu tych kłamstw. Są kary za oszczerstwo, za pomówienie...

– W porządku – uspokoiła go. – Ja już skończyłam.

I tak było. Musisz wybaczyć, żeby tobie wybaczone. Jeśli kiedykolwiek spotka swojego syna – ich syna – oby okazał jej taką samą hojność. Callie wybaczyła nie tylko Andre, ale także swojej matce. Matka chciała dobrze. Nie była odpowiedzialna za ten wciąż

niegasnący, nieuzasadniony gniew, za jej lęk. Cassandra próbowała się z nią spierać, mówiła, że Callie nie powinna szukać usprawiedliwienia dla przemocy. Nie szukała. Zaakceptować ludzi takimi, jakimi są – to nie ma nic wspólnego ze znajdowaniem wymówek.

Słońce wciąż stało wysoko, kiedy ruszyła na wschód. Zapłaciła za przejazd przez most, którego może nigdy już nie zobaczy. Chyba że syn – teraz prawie trzydziestoletni – naprawdę ją odnajdzie. Gdy Cassandra powiedziała: „Zostańmy w kontakcie”, zabrzmiało to szczerze, ale kiedy właściwie się kontaktowały? Gdzie miałyby zostać? Była wdzięczna Cassandrze, że ją znalazła – uwolniła, prawdę mówiąc – tylko że Cassandra za dużo, o wiele za dużo mówiła. Nawet matka Callie, która w domu opieki całymi dniami gadała, zrędziła, narzekała i marudziła, nie wyrzucała z siebie aż tylu słów. Pewnie znów zaczęłyby wiercić jej dziurę w brzuchu, żeby napisać książkę. Callie nie widziała takiej potrzeby.

Poza tym... jak mogłaby opowiedzieć tę historię, skoro sama nie była pewna, że w nią wierzy? W gorsze dni zastanawiała się, czy przypadkiem nie potrząsnęła Donntayem? Może nakarmiła go czymś, co mu zaszkodziło? Może źle ułożyła i przydusiła? Nic takiego raczej się nie zdarzyło, ale te myśli po prostu przyływały do niej, drażniły się z nią, mąciły jej w głowie. Gdyby zaczął się nowy proces, gdyby znów kazali jej stanąć przed sędzią, musiałyby przyznać, że nie pamięta, co się wtedy działo, że wierzyła tylko w to, w co musiała wierzyć: obudziła się pewnego ranka i jej syn nie żył. A gdyby powiedziała to, powinna też powiedzieć, że pomyślała wtedy tylko jedno: Teraz mogę zadzwonić do Andre. Jedynie tego nie mogła zapomnieć, w to wspomnienie nie wątpiła nigdy. Patrzyła na zimne, sztywne ciało swojego syna, a jej serce skakało z radości, bo miała wreszcie pretekst, żeby zatelefonować po Andre. Dzwoniła zawsze, kiedy wpadła w kłopoty, i on zawsze wtedy odbierał, więc zaczęła szukać kłopotów. Niewłaściwi mężczyźni, niewłaściwe decyzje. To nie było normalne, ale taka była prawda. Tak, o tamtym poranku jedną, jedyną rzecz wiedziała na pewno. W sekundę po tym, jak zorientowała się, że jej syn nie żyje, pomyślała: Teraz mogę zadzwonić do Andre. Wtedy wszystko kojarzyło się z nim, każdy drobiazg. Ptak śpiewa: Andre. Przypalił się tost: Andre. Zacięłam się kartką: Andre. Dziecko płacze: Andre, Andre, Andre.

Wybrała dłuższą drogę, omijając miasto, żeby zatrzymać się jeszcze w markecie Food Lion i kupić masło. Trwał sezon na brzoskwinie, więc chciała wypróbować przepis na placek z owocami, ale pan Bittman powiedział wyraźnie, że do kruszonki trzeba użyć masła, nigdy smalcu czy margaryny. Podziwiała takie zdecydowane opinie i pewność, z jaką niektórzy ludzie poruszali się w życiu. Ona sama nigdy nie będzie jedną z nich. Zawróciła w stronę

Bridgeville i wjechała do miasteczka główną ulicą. „Gdybyś tu mieszkał, byłbyś już w domu”, obiecywał znak.

Ona była.

## Od Autorki

Główny wątek książki – jak często w moich powieściach – oparty jest na prawdziwych wydarzeniach z życia Baltimore. Jackie Bouknight miała syna, Maurice'a, który pewnego dnia zniknął bez śladu, mimo że nad obojgiem czuwał, niezbyt dobrze, miejski wydział opieki społecznej. Jackie nie powiedziała, gdzie przebywa syn, i odmówiła zeznań. Trafiła na siedem lat do więzienia za obrazę sądu. Po dziś dzień nie wyjaśniono, co się stało z Maurice'em Bouknightem. To wszystko, co wiem o tej sprawie, choć jeden z moich przyjaciół stanął kiedyś oko w oko z Jackie Bouknight w korytarzu sądu. Opowieść o tym spotkaniu nie pozwoliła mi o niej zapomnieć. Ale fabuła jest fikcją o wymyślonych ludziach, którzy jednak żyją w miejscach istniejących naprawdę.

Zbiory czytelników czasopism na mikrofilmach w bibliotece centralnej Enocha Pratta pomogły mi odświeżyć pamięć o czasach, w których sama dorastałam. Niezwykle pomocne okazało się umieszczone w sieci archiwum materiałów dotyczących zamieszek w 1968 roku, stworzone z inicjatywy Uniwersytetu Baltimore. Uczestnicy Memory Project (Projektu Pamięci) dowiedli, że są doskonałymi wywiadowcami. Wynaleźli źródła, dzięki którym udało się ustalić, jak i kiedy wiadomość o zamordowaniu Martina Luthera Kinga została ogłoszona w telewizji.

Jeśli chodzi o architekturę, skorzystałam z prawa powieściopisarki do budowania zamków w wyobraźni. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych na Hillhouse Lane nie było pięciu nieruchomości; dom Fallowsów to moja kreacja, choć pozwoliłam sobie umieścić przy nim pusty basen, który rzeczywiście znajdował się przy stojącym tam budynku. Podobnie postąpiłam w przypadku domów należących do Teeny Murphy i Howardów. Na pewno za to w Columbii przy drodze numer 108 istnieje przemiła winiarnia, Iron Bridge, gdzie, jak donoszą wiarygodni informatorzy, często można spotkać nauczycieli. I mnie także.

Dziękuję osobom, które za każdym razem biorą udział w moim szaleństwie: Carrie Feron, Vicky Bijur, Joan Jacobson, Davidowi Simonowi. W tym roku dołączyły do nich Lizzie Skumick i Lisa Respors.

Książkę tę zadedykowałam pamięci człowieka, który kiedyś pod wpływem impulsu spalił swój rękopis. Zawsze sądziłam, że to zmyślona historia, jednak kilka lat temu sam potwierdził prawdziwość tej opowieści. Muszę przyznać, że dzisiaj – inaczej niż wtedy – rozumiem, dlaczego poszedł za tym impulsem. Mimo to żałuję, że spalił swoje dzieło. Zapytany o ten incydent, powiedział: „Kto chciałby czytać kolejną cholerną ckliwą historyjkę

o białym chłopaku ze wsi, który odkrywa Joyce'a? Albo jeszcze gorzej – Raymonda Chandlera?" Gdybyś to ty napisał tę historyjkę, Jim, chciałabym ją przeczytać.

*Laura Lippman*

listopad 2008